

B.V.

LARSON

LEGION 

NIEŚMIERTELNYCH

11

ŚWIAT PANCERZA

B.V.
LARSON
LEGION
NIESMIERTELNYCH
II

ŚWIAT PANCERZA

Przekład
Marcin Moń



Warszawa 2023

Tytuł oryginału: UNDYING MERCENARIES #11. ARMOR WORLD

Copyright © 2019 by Iron Tower Press, Inc.
All rights reserved

Projekt okładki: Tomasz Maroński
Redakcja: Rafał Dębski
Korekta: Agnieszka Pawlikowska
Skład i łamanie: Karolina Kaiser
Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:
Drageus Publishing House Sp. z o.o.
ul. Kopernika 5/L6
00-367 Warszawa
e-mail: drageus@drageus.com
www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-67053-71-6
ISBN MOBI: 978-83-67053-72-3

Raport „Niebezpieczeństwa ekspansji ekonomicznej” opublikowany przez Departament Gospodarki Hegemonii

Być może najbardziej pomysłowym ogniwem spajającym Imperium jest jego model ekonomiczny. System ten jest prosty i dzięki temu zrozumiały nawet dla całkiem nieokrzęsanych gatunków, a jednocześnie pozostaje miażdżąco skuteczny.

Każdy świat musi wytwarzać jeden produkt przeznaczony do sprzedaży na imperialnych rynkach. Na każdą planetę przypada jeden i tylko jeden produkt – na tym polega fenomen tego rozwiązania. Monopol na produkcję zostaje przyznany raz na zawsze. Dopóki inna planeta nie udowodni, że potrafi zapewnić lepszą wersję tego samego produktu, nie wolno jej go wytwarzać. W praktyce przeniesienie monopolu należy do rzadkości. Dzięki temu nie ma konkurencji, rywalizacji ani rozwoju. Światy spoza Układów Centralnych doświadczają radykalnego spowolnienia postępu technologicznego. Ten efekt od wielu pokoleń przyczynia się do utrzymania pokoju na peryferiach Imperium.

Ostatnio ziemscy uczeni zaczęli pojmować, na jak bardzo odmiennych zasadach funkcjonują Galaktycy. Zupełnie inaczej niż na prowincji, w centrum Drogi Mlecznej odbywa się wolna i otwarta wymiana ekonomiczna. Każdy z ponad dwudziestu pradawnych gatunków zamieszkujących Układy Centralne może swobodnie sprzedawać i kupować towary, zawierać umowy handlowe, wprowadzać embarga i tak dalej. Krótko mówiąc, panują między nimi podobne stosunki, co między państwami w przeszłości Starej Ziemi.

Sto lat temu ludzkie narody walczyły ze sobą tak, jak obecnie Galaktycy. Autor niniejszego raportu wzdraga się na myśl o tych minionych dniach. Zawierane lekkomyślnie umowy i traktaty prowadziły do niezliczonych wojen. Obecnie podobny chaos panuje wśród Galaktyków.

Tutaj, na prowincji, słyszy się czasem narzekania na stłamszony postęp, bezrobocie oraz ubóstwo, ale przynajmniej mamy pokój. Prawie nigdy nie dochodzi do wojen pomiędzy dwiema cywilizacjami spoza Układów Centralnych. Czemu? Choćby dlatego, że nie za bardzo jest o co walczyć. A nawet gdyby ktoś ośmielił się wysłać okręty wojenne przeciwko sąsiadowi, naraziłby się na

eksterminację ze strony naszych roztropnych dobroczyńców z centrum Drogi Mlecznej.

Cóż może być przyjemniejszego od powolnego rytmu naszego życia? Ci, którzy tęsknie spoglądają wstecz, myślą jedynie o jasnych stronach przeszłości, a zapominają o jej potwornościach.

Jednak ostatnimi czasy rząd Hegemonii uznał za stosowne wykroczyć poza sprawdzony model. Ziemia aktywnie poszerza granice swojej strefy wpływów. Imperium patrzy na to przez palce, gdyż jest słabe i potrzebuje lokalnego wsparcia wojskowego. Zdaniem autora niniejszego raportu kroczymy niebezpieczną ścieżką. Łamiąc zasady, dajemy innym cywilizacjom zgubny przykład kapitalizmu i ekspansji.

Czy naprawdę wierzymy, że w takim razie Saurianie z Cancri-9 na zawsze zadowolą się rolą wydobywców metalu? A co z błyskotliwymi inżynierami z 51 Pegasi, którzy wytwarzają moduły sztucznej inteligencji? Skrullowie już poczuli się pokrzywdzeni. Zapamiętaliśmy budujemy własne okręty wojenne, co ma fatalny wpływ na ich gospodarkę. Czy pozostaną na zawsze potulni? A może raczej zbudują jednostki dla innych planet obawiających się naszej rosnącej potęgi?

Mamy przed sobą trudną i nieznaną przyszłość. Już nie raz do naszych bram załomotali obcy – Rigelianie oraz Wurowie. Inni wciąż czają się w ciemności. Co gorsza, wkrótce będziemy musieli mieć oczy dookoła głowy, gdy byli sprzymierzeńcy zmienią się we wrogów z powodu naszej chciwości i zaniedbań.

Zabiję cię stu pięćdziesięcioma sposobami![\[1\]](#)

Probiarczyk, błazen na dworze księcia Fryderyka

Rozdział 1

Niebo miało barwę złota. Słońce chyliło się ku zachodowi, a wkrótce miała nastać ciepła noc. W Georgii późną wiosną ludzie tacy jak ja lubili przesiadywać wieczorami na werandzie i sączyć piwo. To właśnie robiłem.

Podeszła do mnie Etta, co samo w sobie nie było niczym dziwnym. Niedawno zjedliśmy kolację i pomogliśmy moim rodzicom posprzątać po posiłku. W starym domu zawsze znalazło się coś do zrobienia, a ostatnio Etta bardzo przykładała się do swoich obowiązków.

Prawdę mówiąc, odkąd wróciła ze Świata Pyłu, w jej oczach widziałem, że coś ją dręczy. To było subtelne, lecz wyczuwalne. Ja to dostrzegałem i moja mama również, ale żadne z nas nie odważyło się nic powiedzieć. Etta wróciła do rodzinnego gniazda, jednak była już wystarczająco dorosła, żeby popełnić więcej poważnych błędów. Dlatego uznałem, że powinienem po prostu cieszyć się z jej powrotu.

Jednak dzisiaj zmartwienie w jej oczach zdawało się wyjątkowo wyraźne. Znałem to spojrzenie – dziwne i szkliste. Nazywałem je „blaskiem gwiazd” i najczęściej widziałem je u ludzi, którym eksplodował mózg po odwiedzeniu innych światów. Zwykle byli to rekruci. Czasem nowi nie mogli przywyknąć do cyklu życia i śmierci. Tacy żołnierze odchodzili z legionów, a potem wracali na Ziemię zdezorientowani i zawstydzeni.

Na szczęście w głowie Etty najwyraźniej nie działo się nic aż tak dramatycznego. Nie wyglądała na rozbitą ani cierpiącą. Ale na pewno widziała różne rzeczy – takie, których nie zapomni w tym życiu ani w następnym.

Oczywiście jako ojca kusilo mnie, żeby o tym porozmawiać. Etta była jedynym dzieckiem w naszej rodzinie. Można powiedzieć, że pokładaliśmy w niej wszystkie swoje nadzieje. To naturalne, że chcieliśmy ją chronić – a jednak przez ostatnie tygodnie udawało mi się poskromić ciekawość. Powtarzałem sobie, że Etta jest już dorosłą kobietą. Jeśli zechce pogadać, sama poruszy temat.

Tamtego ciepłego wieczoru weszła po skrzypiących schodkach na werandę. Spodziewałem się, że rozstawi autoskop, żeby pooglądać gwiazdy, ale tego nie zrobiła. Chyba dość już się napatrzyła na migające punkciki zimnego światła.

Nie odezwała się ani słowem, tylko wręczyła mi piwo, a drugie otworzyła dla siebie. Niezbyt mi się to spodobało, bo ściśle rzecz biorąc, wciąż była nieletnia, ale nie skarciłem jej.

– O czym rozmyślasz w tak piękny wieczór? – zapytałem radosnym tonem.

Nawet na mnie nie spojrzała.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała, patrząc w dal.

Zmarszczyłem brwi. Prawie mnie nie słuchała. Minęło już kilka miesięcy od jej powrotu, a ona wciąż nic mi nie powiedziała. W tym momencie straciłem cierpliwość i postanowiłem trochę podrażnić temat.

– Widzę w twoich oczach blask gwiazd, Etto – oznajmiłem. – To nie wróży nic dobrego. Wiem, bo sam dużo latam w kosmos. Jakie upiory cię dręczą?

Powoli odwróciła się w moją stronę. Przekrzywiła głowę i otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła i pokręciła głową.

– Żadne. Nic mnie nie dręczy, tato.

Roześmiałem się.

– Kłamczucha!

Na jej ustach zapełgał uśmiech, lecz zaraz zgasł. Czekałem cierpliwie. W milczeniu sączyliśmy piwo.

– Nie chcę... – zaczęła w końcu. – Nie mam już ochoty wstępować do legionów.

– Serio? – zapytałem, z całych sił próbując nie okazać radości. – A to czemu?

– Widziałam cię – mruknęła ze wzrokiem wbitym w podniszczone deski werandy. – Widziałam, jak umierasz. A wcześniej jak odrastasz w tamtym śmierdzącym zbiorniku... Widziałam cię jako bezkształtną masę tkanek...

– Aha...

Zginałem krótko po przybyciu na Świat Pyłu. Dziadek mojej córki wskrzesił mnie chałupniczą metodą, którą sam opracował – co oczywiście było pogwałceniem praw Galaktyków. Etta widziała, jak

Badacz hoduje w zbiorniku moje nowe ciało. A niedługo później klon Clavera zabił mnie na jej oczach.

Wcale się nie dziwiłem, że dziewczyna mocno to przeżyła.

– Jasne, rozumiem – dodałem. Prawdę mówiąc, ulżyło mi. – Życie i śmierć. Potem znowu życie i jeszcze więcej śmierci. Do tego cyklu z trudem przywykają najtwardsi nawet żołnierze.

Spojrzała mi w oczy.

– Czy ty naprawdę jesteś moim ojcem? A może jakimś dziwnym mutantem? Zlepkiem komórek ożywionym przez mojego dziadka? Biochemicznym robotem, który...

– Hej! Nie wolno tak mówić do legionisty! To nieuprzejme.

– A jak wy radzicie sobie z takimi pytaniami? – zapytała.

Poprawiłem się w fotelu i pociągnąłem solidny łyk piwa, żeby dać sobie trochę czasu do namysłu. Beknąłem, westchnąłem głośno i dopiero wtedy odpowiedziałem.

– Posłuchaj, jestem staromodnym legionistą i żyję według staromodnych zasad. Tych samych, którymi kierują się legioniści od stu lat.

– Czyli?

– Czyli nie rozmawiamy o tym gównie.

Przyjrzała mi się badawczo.

– Nie myślisz o tym ani ci się to nie śni, ani...

– Nie – odparłem beznamiętnie. – Już nie. Na początku, jeszcze zanim się narodziłaś, trochę mi to dokuczało. Ale już przeszło.

– Jestem już prawie w twoim wieku, tato – powiedziała cicho. – To druga rzecz, która nie daje mi spokoju.

– Nieprawda – roześmiałem się. – Może i wyglądam młodo, ale stary ze mnie dziad. Oczywiście nie jestem niedołężny, ale mam znacznie starszy umysł, niż ci się wydaje. To jednocześnie przekleństwo, błogosławieństwo i ironia losu.

Mówiłem prawdę. Mój umysł wyraźnie się postarzał, choć ciało nie. Skórę miałem gładką, wzrok świetny, a mięśnie szybkie jak u zająca. Zawdzięczałem to oczywiście licznym wskrzeszeniom. Jednak umysł był dojrzały, mądrzejszy. Mój mózg pamiętał setki walk i tysiące zabitych wrogów. Albo i miliony, jeśli liczyć kosmitów.

– Więc umieranie wcale ci nie przeszkadza? – zdziwiła się Etta.

– Tego bym nie powiedział. Po prostu legionieści nie roztrząsają każdego zgonu. Inaczej byśmy... no cóż, oszaleli.

Etta wzruszyła ramionami i uniosła wzrok nad poszarpaną linię drzew. Na ciemniejącym niebie pojawiały się pierwsze gwiazdy.

– Tam jest coś dziwnego. – Wskazała na najjaśniejszy punkcik.

– Pewnie Jowisz – odpowiedziałem. – Król rzymskich bogów.

– Może i tak. Ale to wydaje się aż zbyt jasne.

– A co innego miałoby to być? Chcesz drugie piwo?

Nie odpowiedziała od razu. Zaczekałem chwilę. W końcu westchnęła.

– Miałeś rację, tato. To znaczy w sprawie legionów. Próbowalesz mnie chronić. Mówiłeś, że służba nie jest dla mnie, a ja ci nie wierzyłam. Myślałam, że jesteś nadopiekuńczy.

– Hm, no tak.

– Żeby to zrozumieć, musiałam sama polecieć na Świat Pyłu i dwa razy zobaczyć twoje martwe ciało. Wiesz, że dziadek chciał cię znowu wskrzesić? Mówił, że za drugim razem będzie lepiej kontrolował eksperyment.

– Hmm, „lepiej kontrolował”? To nie brzmi dobrze. Kiedy się budziłem, próbował mi coś wstrzyknąć. Myślisz, że go wkurzyłem i dlatego chciał mnie uśpić?

– Pewnie tak. Dziadek nie lubi chaosu. Woli porządek. Lubi, kiedy rzeczy są wykonywane we właściwy sposób.

– Czyli dokładnie tak, jak on sobie wymyśli?

Wzruszyła ramionami. Zamiast dalej głądzić o jej dziadku – który, umówmy się, był dziwacznym człowiekiem – przyklepiłem uśmiech na usta i poklepałem ją po ramieniu. Drgnęły jej kąciki ust.

– A więc zobaczyłaś śmierć na własne oczy i nie spodobał ci się ten widok – podsumowałem.

– Ani trochę. Nie chciałam patrzeć, jak umiera ktoś bliski. Nie wyobrażam sobie, żebym się z kimś zaprzyjaźniła, a potem widziała, jak ten ktoś umiera. Albo gdybym sama miała zginąć. I później znaleźć własnego trupa... – Wzdrygnęła się. – Zdarzyło ci się to kiedyś, tato?

– Yy... – Przyszło mi do głowy kilka makabrycznych scen, postanowiłem jednak jej tego oszczędzić. – Nie, ale mogło. W każdym razie czym zamierzasz się zająć po szkole?

– Myślałam o studiach.

Teraz już nie kryłem radości. Wiedziałem, że potrafi szybko przyswajać wiedzę – pod warunkiem że choć trochę przyłoży się do nauki.

– To świetnie, skarbie. A co chciałabyś studiować?

Znowu zrobiła nieufną minę. Przygotowałem się na najgorsze, ale gdy padła odpowiedź, wcale nie była taka zła.

– Chyba medycynę albo biologię. Coś eksperymentalnego.

– To brzmi wspaniale! Tyle że nasz uniwersytet jest dość drogi. Czesne może wynosić nawet ponad milion kredytów rocznie. To, co mam odłożone na koncie, powinno chyba wystarczyć na początek...

Potrząsnęła głową.

– Spokojnie, tato, sama za siebie zapłacę.

– Co? Ale jak?

– No bo... ja nie mówię o uniwersytecie w naszym dystrykcie. Chodzi mi o największą uczelnię ze wszystkich. Tę w Mieście Centralnym.

Zamrugalem ze zdziwienia.

– Poważnie?

– Tak. Zapisałam się na staż w ośrodku badawczym. Będę królikiem doświadczalnym, a oni w zamian pokryją koszty, o ile będę miała dobre oceny.

Mój dobry humor gdzieś się ulotnił.

– Już się... Zaraz, jak to już się zapisałaś? Gdzie?

– W Hegemonii. Zrobili testy, spodobały im się moje wyniki. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę pracowała w Centrali, w wojskowym laboratorium.

Opadła mi szczeka. Od razu pomyślałem o Floramel, jednej z moich byłych dziewczyn. Pracowała w tajnych laboratoriach pod Centralą i wcale nie miała łatwego życia.

Wysiłkiem woli zamknąłem usta i zmusiłem się do uśmiechu. A to dlatego, że nowe życie Etty w tajnych podziemiach i tak będzie lepsze niż umieranie raz po raz jako legionowy trep.

– Nie jesteś zły? – zapytała.

– Nie – odpowiedziałem szczerze. – Cieszę się.

W tym momencie mnie przytuliła. Zrozumiałem, że bardzo jej ulżyło. Jeśli o mnie chodzi... Nie byłem może wniebowzięty, ale

w sumie sprawy potoczyły się całkiem nieźle. Oby tylko pewnego dnia nie pożałowała tej decyzji.

Rozdział 2

Nazajutrz z samego rana mój urlop nagle dobiegł końca z powodu jednego połączenia.

– James? – odezwała się przez stuka Galina Turov. – Jesteś potrzebny w Centrali.

– Yy, a co się stało, trybunie?

– Po prostu wsiądź do pociągu i bądź tu jutro rano. Albo wcześniej, jeśli dasz radę.

Rozłączyła się, zanim zdążyłem zapytać o szczegóły. Parę minut później przyszło oficjalne powiadomienie o przywróceniu mnie do czynnej służby. Przepustka się skończyła.

Tak w skrócie wyglądało legionowe życie – człowiek nigdy nie wiedział, kiedy go wezwą, żeby zażegnał jakiś kryzys albo po prostu wypucował komuś buty. Przynajmniej od tej chwili płacili podwójnie.

Włożyłem kurtkę, wyjąłem spod kanapy wojskową torbę i wyszedłem z szopy. Rodzice oraz Etta zauważyli mnie, gdy jeszcze szedłem trawnikiem w stronę domu. I natychmiast zrozumieli, co to oznacza.

Oczywiście się zmartwili. Zawsze się zmartwili, jednak trochę przywykli. W końcu tak wyglądało nasze życie od kilkudziesięciu lat.

Spoglądając na rodziców, byłem pod wrażeniem tego, jak dobrze się trzymali. Parę lat temu odświeżyłem ich oboje szybkim zgonem i nielegalnym wskrzeszeniem. Dzięki temu pozbyli się blizn, uszkodzeń organów i tego typu rzeczy. A ostatnio ich proces starzenia spowalniała inna technologia. Na rynku pojawiły się dostępne bez recepty leki przedłużające życie. Stymulanty komórkowe, kremy regenerujące i różne substancje do wstrzykiwania. Jeśli ktoś w miarę o siebie dbał, po dekadzie mógł popatrzeć w lustro i stwierdzić, że postarzał się mniej więcej o rok.

Po pożegnaniu poszedłem do auta. Ku mojemu zaskoczeniu Etta siedziała na fotelu kierowcy.

– Hm, nie musisz mnie odwozić, skarbie. Mamy autopilota. Samochód sam przyjedzie do domu.

– Ale ja nie wracam. Jadę z tobą.

– Yy, co?

Spojrzała mi w oczy z poważną miną.

– Za parę tygodni zaczynam studia. Równie dobrze mogę się rozejrzeć po Mieście Centralnym.

– No dobra.

Odjechaliśmy, zostawiając rodziców samych. Etta robiła się tym weselsza, im bardziej oddalaliśmy się od Waycross. To nie tak, że nie lubiła mieszkać z dziadkami, ale młoda osoba zawsze myśli trochę inaczej.

Wsiedliśmy do pociągu powietrznego, a potem przez cały dzień i kawałek wieczoru lecieliśmy do Centrali. Gdy dotarliśmy na miejsce, spodziewałem się, że Etta zostanie ze mną, ale tak się nie stało. Na stacji powitała nas Della. Matka mojej córki nie straciła ani odrobiny urody oraz osobliwego uroku. Uścisnęła nas oboje i wyprowadziła ze stacji.

– Tato, ja teraz spędzę trochę czasu z mamą – oznajmiła Etta. – Ale chcę, żebyś jutro obejrzał ze mną pokój w akademiku. Obiecujesz?

– Obiecuję i żebym zdechł, jak nie dotrzymam słowa!

Po jej twarzy przemknął cień. Natychmiast pożałowałem doboru słów. Nie mogłem ich cofnąć, a próba obrócenia tego w żart tylko pogorszyłaby sprawę, więc po prostu stałem i szczerzyłem się jak kretyn.

Chyba podziałało, bo sprawa szybko poszła w niepamięć. Znów się poprzytulaliśmy, a potem poszły. Westchnąłem ciężko i rozejrzałem się za barem.

Zanim zdążyłem upić łyk drugiego piwa, ktoś mi nieuprzejmie przerwał.

– McGill! – krzyknął mały człowieczek o niecierpliwym, nieco ptasim chodzie.

Był to oczywiście primus Winslade. Przydreptał bliżej w takim pośpiechu, jakby paliły mu się stopy.

– Tu jesteś! Czemu, do jasnej cholery, nie masz włączonego udostępniania lokalizacji?

– Ach, racja.

Uniosłem stuka do oczu. Kiedy nie byłem na służbie, nie lubiłem, gdy ktoś mnie szpieguje, więc wyłączałem wszystkie możliwe funkcje śledzące. Winslade łypnął na mnie ze złością.

– Co wiesz o tej sprawie?

– O jakiej sprawie?

Westchnął.

– Nigdy nie wiem, czy tylko zgrywasz idiotę, czy naprawdę jesteś opóźniony w rozwoju.

– Zwykle chyba jedno i drugie. Ale naprawdę nie wiem, czemu zostałem wezwany. O co chodzi? O nową misję na jakiejś gównianej planecie?

– Obawiam się, że to nic tak przyziemnego. Chodź ze mną.

Wyszliśmy na ulicę, gdzie czekał na nas wieprz-kierowca w stopniu specjalisty. Wsiedliśmy do latającego pojazdu wyposażonego w metalowe siedzenia, od których strasznie boli tyłek. Specjalista ostro wystartował i pomknął w stronę czarnej jak obsydian forticy znanej pod nazwą Centrala.

Po drodze złamaliśmy masę przepisów. Inne pojazdy umykały nam z drogi, żeby uniknąć zderzenia. Paru kierowców wykrzykiwało wyzwiska i pokazywało nam środkowy palec.

Im dłużej myślałem o tej sprawie, tym bardziej się niepokoiłem. Musiało wydarzyć się coś poważnego. Winslade w przeszłości był przydupasem Turov, ale został primusem i w dodatku wieprzem. To dziwne, że odbierał mnie z okolic lotniska, ale wolałem nie drążyć tematu. Wyszedłem z założenia, że niedługo i tak się dowiem.

Wylądowaliśmy na dachu. To też było nietypowe. Ostatni raz byłem tutaj co najmniej kilka lat temu. Raz zastrzeliłem tu Galaktyka. Innym razem uczestniczyłem w czymś w rodzaju buntu.

Potrząsałem głową, uśmiechając się do starych wspomnień.

– Jesteś pijany? – zapytał ostro Winslade.

– Niestety nie.

Prychnął pogardliwie. Wsiedliśmy z pojazdu. Specjalista odleciał bez słowa tak gwałtownie, że syknął nam zwirom w twarz.

– Cholerne wieprze – mruknąłem.

– Uważaj. Zapomniałeś, gdzie jesteś?

– Ani trochę. To główna siedziba wieprzy. A teraz, skoro zostaliśmy sami, powiesz mi wreszcie, co tu się odpieprza?

– Nie słyszałeś o... artefakcie?

– Nie.

– Nie obilo ci się o uszy? Trąbią o tym nawet w wiadomościach.

– Yy...

Nagle przypomniał mi się jasny obiekt, który zauważyliśmy na werandzie zeszłego wieczoru. Zadarłem głowę i spojrzałem w ciemniejące niebo. Popatrzyłem na południe i wtedy je zobaczyłem – jaskrawe światło. Punkcik był jeszcze większy i jeszcze jaśniejszy niż wczoraj.

To chyba musiała być planeta... Prawda?

Rozdział 3

Gapilem się na światło przez dłuższą chwilę i nie byłem już wcale taki pewien, że to planeta. Przez lata dość dobrze poznałem Układ Słoneczny. Umiałem instynktownie poznać, że z niebem nad naszymi głowami jest coś nie tak, podobnie jak żeglarz mógł rozpoznać konkretną linię brzegową albo wyczuć, że zbiera się na burzę. Gdy jest się międzygwiazdowym podróżnikiem, człowiek zaczyna interesować się astronomią.

– To nie planeta, prawda? – zapytałem.

Winslade stanął obok mnie i też zadarł głowę.

– Nie, nie planeta – odpowiedział i tym razem w jego głosie nie słyszałem sarkazmu. – To jest coś... nieznanego.

Nie spojrzałem na niego ani on na mnie. Spoglądaliśmy obaj w niebo, na mały punkcik, który świecił coraz jaśniej na ciemniejącym niebie.

– Jak to nieznanego? – zdziwiłem się. – Przecież mamy lidar i sieć optycznych...

– Słyszałem parę szczegółów – przerwał mi. – Obiekt powstał z metalu i najprawdopodobniej nie jest pochodzenia naturalnego. Jest zbyt gładki i symetryczny. A co ważniejsze, pędzi w kierunku Ziemi z prędkością miliona kilometrów na godzinę.

Wciąż wpatrzony w niebo, zrobiłem krok naprzód. Chropowaty pastobeton na dachu Centrali zachrząścił pod butami.

– I z tego powodu wezwali mnie do Centrali? A co ja, zdaniem Turov, mogę poradzić?

Winslade prychnął lekceważąco.

– W tej kwestii jestem równie zdumiony, co ty. Rozpoznajesz ten obiekt?

– Z takiej odległości? To tylko pyłek.

– Niedługo się zbliży, a wtedy zajmie większy kawałek nieba.

Zmarszczyłem brwi i wreszcie zaszczyciłem go spojrzeniem.

– Jak to? Więc jak daleko on jest?

Wzruszył ramionami.

– Bodajże dwadzieścia milionów kilometrów.

– Dwadzieścia milionów... – powtórzyłem.

Nigdy nie byłem szczególnie uzdolniony, jeśli chodzi o działania matematyczne, ale i tak próbowałem wykonać parę obliczeń. Obiekt na niebie już teraz był pozornie większy od Marsa czy Jowisza. Oczywiście głównie dlatego, że znajdował się bliżej, ale...

– To coś musi być rozmiarów planety – podsumowałem.

– Mniej więcej tak. Musimy zejść na dół. Wzywają mnie.

Zauważyłem, że jego stuk miga na czerwono. Właśnie dlatego przy każdej okazji wyłączałem śledzenie lokalizacji. Kiedy przełożeni mogą łatwo człowieka znaleźć, co chwilę przydzielają mu jakieś nowe zajęcie.

Jak się okazało, mój stuk też migał na czerwono. Skrzynkę odbiorczą miałem pełną pilnych wiadomości. Nie chciało mi się ich otwierać. Zamiast tego poszedłem razem z Winslade'em do drzwi prowadzących do środka. Minęliśmy bramkę ochrony i wsiedliśmy do windy.

– Tak, tak, jest ze mną – powiedział primus do swojego stuka. – Nie, wydaje się równie zdziwiony, co wszyscy. Oczywiście wiem, że może kłamać. Nie jestem idiotą, sir.

Ignorowałem go i myślałem intensywnie. Odtworzyłem w głowie wszystko, co usłyszałem do tej pory. Uznałem, że mogę spokojnie założyć, że obiekt nie odpowiedział na żadne transmisje radiowe. Zatem mądrze z Centrali nawet nie wiedzieli, skąd on pochodzi. Mógł być po prostu wielkim kawałkiem metalu albo okrętem kosmicznym – a w tym przypadku byłby największą jednostką, o jakiej w życiu słyszałem.

Zresztą jeśli coś takiego miało uderzyć w Ziemię, szczegóły były bez większego znaczenia. Rozpędzony obiekt takich rozmiarów zrobiłby z moją rodzinną planetą to, co pocisk karabinowy z gumowym balonikiem.

Kto wysłał ten obiekt? Mój mózg szybko przywołał szereg podejrzanych. Rigelianie, Wurowie, może nawet grupa zbuntowanych kalmarów. Sporo okolicznych kosmitów nienawidziło Ziemi.

Winda zatrzymała się, a Winslade wysiadł. Podążyłem za nim, nawet nie zwracając uwagi na numer piętra. W każdym razie

znaleźliśmy się gdzieś wysoko, może pięćset kondygnacji nad powierzchnią. Czyli na terytorium najwyższego dowództwa.

Primus zatrzymał się przed ozdobnymi, podwójnymi drzwiami. Na ścianie obok wejścia widniały insygnia pretora. Domyśliłem się, czyj to gabinet. Drusus kiedyś dowodził Legionem Varus, ale to było dawno. Obecnie naszym trybunem była Turov, a Drusus stał na czele Centrali.

Winslade uniósł rękę, żeby zapukać, ale zawahał się, więc ze zniecierpliwieniem po prostu otworzyłem drzwi. Wszedłem do środka, omijając Winslade'a.

Gabinet był bardzo duży i w większości pusty. Kilkanaście kroków od wejścia, po przeciwnych stronach ogromnego biurka, siedzieli Drusus i Turov. Ten pierwszy oczywiście w swoim fotelu, a ona na miejscu dla gościa, przykuta kajdankami do krzesła, które wydawało się przymocowane do podłogi zaczepami grawitacyjnymi.

A to ciekawe. Czyli była więźniem. A skoro to ona wezwała mnie do Centrali...

Robiąc dobrą minę do złej gry, wyszczerzyłem się jak głupek z prowincji, zsalutowałem, a potem podszedłem do biurka i wyciągnąłem rękę w stronę pretora.

– Dobrze państwa widzieć! – oznajmiłem głośno.

– Mnie również cieszy to spotkanie, McGill – odpowiedział Drusus, ignorując moją dłoń. – Usiądź.

Obok Galiny stało drugie stalowe krzesło. Ono też miało grawitacyjne zaczepy. Mimo wszystko usiadłem na nim z taką miną, jakby to był obity aksamitem fotel.

– Przyleciałem najszybciej jak się dało – zapewniłem. – Ludzi bardzo stresuje to nowe światło na niebie. Wie pan coś na jego temat?

Oboje popatrzyli na mnie uważnie. Turov wydawała się przybita, poirytowana i zmartwiona. Drusus był śmiertelnie poważny.

– Sądzymy, że to może być statek Mogwa – oznajmił.

– Coś takiego...

– Kto inny dysponuje technologią umożliwiającą zbudowanie czegoś podobnego? – wcięła się niespodziewanie ostro Turov. – Kto inny potrafiłby stworzyć kulę wielkości Księżyca?

– Yy, pewnie całkiem sporo obcych gatunków. Na przykład Wurowie – zasugerowałem.

Drusus pokręcił głową.

– To mało prawdopodobne. Wurowie kiepsko radzą sobie z obróbką metali. To ich podstawowa słabość, pamiętasz?

– Rzeczywiście.

Po raz pierwszy od opuszczenia Georgii poczułem ciekący po żebrach pot.

– Masz jeszcze jakieś sugestie, McGill? – zapytał Drusus.

– Może Saurianie? Oni mają od groma metalu.

– Fakt. Jednak według mojej wiedzy nigdy nie zbudowali ani jednego okrętu. Wypożyczają je od Galaktyków. I nawet nie wspominaj o Skrullach, naszych lokalnych konstruktorach statków kosmicznych. Bądźmy poważni.

– No tak. Oni są podstępni, ale nie agresywni. Więc oczywiste, kto za tym stoi. Rigelianie.

Turov przewróciła oczami, ale Drusus zmarszczył brwi i pogładził się po podbródku.

– To nie jest całkowicie absurdalne podejrzenie. Rigelianie nas nienawidzą, potrafią budować znakomite jednostki, a w dodatku są wystarczająco bezczelni, żeby odwalić taki numer.

– Prawdopodobieństwo, że to oni, jest bardzo niskie – zaznaczyła Turov. – Niech się pan nie rozprasza gdybaniem McGilla.

Drusus strzelił oczami w jej stronę, a potem znów skupił wzrok na mnie.

– Odkąd wykryliśmy obiekt, śledzimy jego położenie i próbujemy nawiązać z nim kontakt – powiedział. – Nasze transmisje zostały zignorowane. Obiekt nie posiada żadnego widocznego napędu ani uzbrojenia, a jednak się porusza. Zbliżając się do Ziemi, przyspiesza i koryguje kurs.

– To doskonała wiadomość!

– Skąd taki wniosek, McGill?

– Może to po prostu nowy gatunek, który postanowił złożyć nam wizytę. Mogą jeszcze zwolnić i spokojnie wejść na orbitę. Mama zawsze mówiła, żeby nie oceniać gości, dopóki się z nimi nie porozmawia.

Drusus uśmiechnął się lekko.

– Masz bardzo optymistyczne podejście, McGill. Niestety, nie możemy ryzykować. Muszę wiedzieć, czy ta jednostka stanowi zagrożenie dla Ziemi.

– Hm, oczywiście nie da się tego wykluczyć. Zebraliście flotę? Rozwalicie to cholerstwo, zanim podleci bliżej?

– Owszem – oznajmił stanowczo. – Spróbujemy zatrzymać obiekt. Stwierdziłem jednak, że w ramach zbierania informacji przed podjęciem tak radykalnego kroku powinienem porozmawiać z ludźmi, którzy najczęściej są zamieszani w różne nietypowe wydarzenia.

Zerknąłem na Turov i jej skute nadgarstki.

– Rozumiem. Pomyślał pan, że trybun może wiedzieć, skąd wzięło się to UFO?

– Istotnie. Prawdę mówiąc, zgodziła się nam pomóc i zasugerowała, że ty możesz być w posiadaniu informacji, których szukamy.

Spojrzałem na nią, zaskoczony. Wbijiała wzrok w podłogę, tak jakby czegoś tam szukała. Od razu załapałem – sprzedała mnie. Zrzuciła na mnie winę za to zagrożenie, które spadło jak grom z jasnego nieba. A wnioskując po kajdankach, podstęp nie pomógł jej wywinąć się od kłopotów.

Z Galiną łączyła mnie skomplikowana relacja. W życiu osobistym byliśmy w zażyłych stosunkach. Na przepustce często uprawialiśmy seks. Na służbie czasem też. Nie znaczyło to jednak, że jesteśmy zgraną parą na dobre i na złe. Regularnie dowodziły tego zdradzieckie momenty, takie jak ten. Galina mnie lubiła. Może nawet trochę kochała, swoją karierę i ambicje kochała jednak znacznie mocniej.

– Rozumiem – powtórzyłem. Skoro tak się chciała bawić, ja też mogłem zagrać w „przerzucić winę na drugą osobę”. – Więc wspomniała, że niedawno byłem na nieautoryzowanej wycieczce na pewnej odległej planecie. O to chodzi?

Incydent, o którym mowa, miał miejsce tuż przed moim odlotem na Świat Burz. Zostałem zastrzelony, a potem wskrzeszony na Mogwa Prime. W wyniku niefortunnego zbiegu okoliczności musiałem zabić Xlura, gubernatora naszej prowincji.

– Owszem – przytaknął Drusus. – Jeżeli ten okręt faktycznie należy do Galaktyków, nie przychodzi mi do głowy lepsze wyjaśnienie tej wizyty niż przestępstwa, jakich mogłeś dopuścić się w Układach Centralnych.

Postanowiłem wyjawić trochę więcej. Wskazałem ruchem podbródka na Galinę.

– Nie dodała, że to ona mnie zastrzeliła, a potem załatwiła mi wskrzeszenie na Mogwa Prime? I że cała wyprawa była jej pomysłem?

Galina spojrzała na mnie – najpierw ze zdumieniem w oczach, a potem z wściekłością.

– Zamknij się, McGill – syknęła. – Nikt nie chce słuchać twoich kłamstw!

Pokazałem stuka, na którym było aż trzydzieści jeden wiadomości od samej Turov. Nie chciało mi się ich czytać, ale sama ich obecność jednoznacznie pokazywała, że Galinę bardzo interesowało, co mam do powiedzenia.

– Jeszcze godzinę temu zależało ci, żebym został wysłuchany – powiedziałem spokojnie.

– Nie obchodzi mnie wasze osobiste spory – powiedział Drusus. – Ale co się stało na Mogwa Prime? Co ty tam zrobiłeś, McGill?

Szczęka opadła mi na sekundę wbrew mojej woli. Nie znosiłem, gdy tak się działo.

– Yy, no cóż, sir, powiedzmy, że ja i Galaktycy nie zawsze się ze sobą zgadzamy. Ale, co bardzo ważne, nie ma mowy, żeby ten okręt przyleciał z Mogwa Prime, szukając zemsty.

– A to czemu? – zapytał Drusus.

– Bo Sateekas jest po mojej stronie. Podoba mu się to, co zrobiłem. Rozmawialiśmy na ten temat w układzie Świata Burz. Uważa moje działania za dowód lojalności wobec niego.

Drusus zamrugał. W ten sposób zdradził swoje uczucia. Choć sporo wiedział o bieżącej sytuacji – albo przynajmniej tak mu się wydawało – mimo wszystko sprawa go przerosła. Wszyscy to zrozumieliśmy.

– Sateekas? Były admirał floty bojowej? Mogwa, który obecnie rządzi naszą prowincją?

– Ten sam.

– On wie o twojej nieusankcjonowanej podróży? Skąd?

Podzieliłem się z pretorem mocno okrojoną wersją opowieści.

– Jak państwo widzą, nie mamy się czym przejmować. Ten okręt nie należy do Mogwa. To ktoś inny.

– Nie wiesz tego na pewno – zaznaczyła Galina i spojrzała na Drususa. – Nie może pan narażać całej Ziemi z powodu przecucia jednego niesubordynowanego centuriona.

Drusus popatrzył badawczo najpierw na nią, a potem na mnie. Intensywnie myślał. Trzeba przyznać, że w tym rozdaniu nie dostał od losu najlepszych kart.

– Ale o co tyle rabanu? – zapytałem. – Ja tylko dzielę się informacjami. To nie zmienia naszej sytuacji, tylko...

– Bo ty wcale nie myślisz, James – syknęła Galina. – Gdybym wiedziała, że tu przyjdiesz i wspomnisz o podróży do Układów Centralnych, w ogóle bym cię nie wezwała.

– Już wyjaśniam, o co „tyle rabanu”, McGill – powiedział Drusus. – Próbuję ustalić, czy Ziemia wykona pierwsze uderzenie skierowane przeciwko nadlatującemu obiektowi. Turov nalega, żebyśmy zachowali ostrożność. Na poparcie swojego argumentu wyznała, że ostatnio kontaktowała się z Galaktykami.

– Chodziło jej o wysłanie mnie nagiego do Układów Centralnych?

– Okazuje się, że tak.

– Rozumiem.

Rzeczywiście rozumiałem. Drusus musiał uporać się z tym zagrożeniem. Miał jednak świadomość, że jeśli popełni błąd i okaże się, że jednostka przyleciała, aby aresztować mnie albo Galinę, albo tysiąc innych osób, wtedy zaatakowanie obiektu zmieni nas wszystkich w buntowników. A z drugiej strony, jeśli będzie zbyt długo zwlekał z podjęciem działań, Ziemia może tego nie przetrwać.

Drusus przez jakiś czas przechadzał się po gabinecie, spoglądając na biurko. Na blacie wyświetlał się obraz obcej sfery. Rósł bardzo powoli, ledwo zauważalnie, czym przywodził na myśl wskazówkę minutową tradycyjnego zegara.

– Jeśli dobrze pamiętam, McGill, powiedziałeś mi kiedyś, że jesteś lojalny przede wszystkim wobec Ziemi, a potem wobec swojej rodziny i Legionu Varus, w tej kolejności. Czy to nadal aktualne?

– Oczywiście, sir.

Skinął głową i nerwowo krążył jeszcze przez chwilę. Zauważyłem, że Galina też się stresuje i ma trochę niedbały, rozmazany makijaż. Z jej włosów skapnęła kropelka potu.

– Musimy to zrobić – zdecydował wreszcie pretor. – Musimy uderzyć pierwsi. Mocno.

Uwolnił Galinę i wyrzucił nas oboje ze swojego gabinetu. Gdy zostaliśmy sami, Turov od razu na mnie naskoczyła.

– James! To nie jest zabawa! Nie masz pojęcia, kto do nas leci ani czy zaatakowanie tego obiektu nie skaże nas wszystkich na zagładę. Co, jeśli właśnie zabiłeś nas wszystkich?

Wzruszyłem ramionami.

– Czasem człowiek po prostu nie zna całej prawdy, Galino. Trzeba wybrać najlepiej, jak się potrafi. I tyle.

Zrobiła taką minę, jakby ją zemdliło. Towarzyszyła mi w drodze do windy. Nie umiem zbyt dobrze odczytywać emocji u kobiet, ale nawet ja czułem, że w tej chwili Turov nie jest w nastroju na romanse. Moje nadzieje, że spędzimy razem przyjemny wieczór, rozwiały się błyskawicznie.

Rozdział 4

Gdy zjeżdżaliśmy na dół, Galina wciąż unikała mojego wzroku – a przecież w Centrali przejażdżka windą potrafi zająć kawał czasu. Mijaliśmy setki pięter, niezręczna cisza stawała się nieznośna.

– Hm, dokąd teraz jedziemy? – zapytałem w końcu.

– Ty? Dokąd zechcesz. Ja jadę do centrum dowodzenia, żeby popatrzeć, jak rozegra się ta katastrofa.

– Chodzi o działania floty? Ciekawie byłoby to zobaczyć. Założę się, że nasi chłopcy rozwalą w cholere tę wielką, stalową piłkę.

– Według analizy spektralnej obiekt nie jest ze stali.

– Dobra, no to tytanową, wszystko jedno.

– Z tytanu też nie jest. To dziwny budulec. Zewnętrzna warstwa odbija fale elektromagnetyczne, ale pod spodem wykrywamy bardzo ciemną substancję. Coś jak węgiel.

Teraz wreszcie uniosła wzrok. W jej oczach widziałem skupienie oraz niepokój.

– Jeśli wolno spytać, czemu właściwie Drusus przykuł cię do krzesła?

– Bo jest bezrozumnym chamem – odpowiedziała. – Z powodu incydentów z przeszłości założył, że ta niespodziewana wizyta ma coś wspólnego ze mną. Dlatego kazał mnie aresztować.

– Mówiąc o „incydentach z przeszłości”, masz na myśli to, jak próbowałaś pomóc kalmarom podczas inwazji na Ziemię?

Wzruszyła ramionami i skupiła wzrok na wyświetlaczu windy. Zjechaliśmy już poniżej dwusetnego piętra.

– Wtedy uszła ci na sucho próba współpracy z wrogiem – przypominałem. – Czemu po tylu latach Drusus nagle sobie o tym przypomniał?

– Bo teraz nie mam takiego poparcia Rady Rządzących jak kiedyś. Jej członkowie stali się podobni do ciebie, aroganccy i dumni. Uwierzyli, że Ziemia upora się z każdym przeciwnikiem.

– Aha, no tak, mam podobnie. A ty nadal uważasz, że trzeba paść kolana przed każdym strasznym kosmitą, który do nas przyleci? Co

z Rigelem? Nie kusi cię, żeby oddać się do niewoli tym wrednym miśkom?

Przybrała zatroskany wyraz twarzy.

– Nie, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Na Świecie Burz udowodniłeś, że ich da się pokonać, ale to jednak wielkie ryzyko. Kto jak kto, ale ty powinieneś mnie rozumieć, James. Ludzie myślą, że jestem nieprzewidywalna, choć przecież to nieprawda.

Miała rację. Należała do osób, które zawczasu przewidują zagrożenia i próbują im zapobiegać za pomocą zdecydowanych działań. Może bardziej pasowało określenie „patologicznie ostrożna”.

– Rzeczywiście – przytaknąłem. – Znam twój sposób rozumowania. Więc jak twoim zdaniem powinniśmy zareagować na wizytę tych kosmitów? Niech się zbliżą i oby byli w dobrym humorze?

Westchnęła.

– Tym razem nie wiem. Przyznam, że ich zachowanie jest groźne. Po prostu... otwarty atak wydaje mi się ostatecznością. Po nim już nie będzie odwrotu. Wywołamy wojnę.

Pokiwałem głową i niezgrabnie położyłem jej rękę na ramieniu. Skrzywiła się lekko, ale nie zaprotestowała ani się nie odsunęła.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Dowodzenie polega na podejmowaniu trudnych decyzji. Teraz ta rola przypadła Drususowi. On też nie zna idealnego rozwiązania, ale wie, że nie wolno pozwolić, żeby ważący biliony ton okręt kosmitów zniszczył Ziemię. Trzeba się bronić. Czasem nawet zwykły skunks da radę odpędzić pumę.

Spojrzała na mnie z namysłem.

– Przez chwilę mówiłeś z sensem, ale potem przestałeś.

Uśmiechnąłem się, a ona odwzajemniła uśmiech. Postanowiłem zaryzykować i lekko ją przytuliłem. Nie wstydzę się przyznać, że ze strachu jądra schowały mi się do brzucha. Wystarczyło jedno nieodpowiednie dotknięcie, żeby nastrój Galiny zmienił się diametralnie – a wtedy potrafiła zareagować agresją. Ale cóż, czasem facet musi podjąć ryzyko. Inaczej sprawy nigdy nie pójdą po jego myśli.

Na szczęście Galina odwzajemniła uścisk. Pogładziła otarcie na nadgarstku – ślad po kajdankach – i wtuliła się we mnie.

– Nie lubię, gdy ktoś mnie aresztuje – wyznała. – Gdy tylko przyszli po mnie wczoraj... postanowiłam cię wezwać.

Nagle wszystko nabrało sensu.

– Dlatego kazałaś mi przyjechać? Bo cię aresztowali?

– Tak. Później mogłam tylko wysyłać wiadomości. Swoją drogą, chyba wcale nie spieszyło ci się do Centrali.

Wiadomości... Powinienem się domyślić. Galina posługiwała się stukiem z mistrzowską wprawą. W razie potrzeby umiała wklepać całą ścianę tekstu z rękami skutymi na plecach. Nieraz to widziałem.

– Więc to dlatego mnie wezwałaś i kazałaś Winslade'owi mnie odebrać. Ale po co?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może potrzebowałam kogoś, kto mnie ochroni.

Gdy zajrzała mi głęboko w oczy, zrozumiałem, że po części kłamie, a po części mówi prawdę. Pewnie chciała, żebym był pod ręką, gdyby musiała kogoś rzucić wilkom na pożarcie, jeśli sprawy potoczą się fatalnie. Ale jednocześnie naprawdę potrzebowała pomocy. Miała w Centrali wielu wrogów. Wielki jak księżyc okręt obcych na kursie kolizyjnym z Ziemią mógł być pretekstem do pozbycia się jej.

Uścisnąłem ją lekko i puściłem. Oczywiście najchętniej bym ją pocałował – ale to jeszcze nie był odpowiedni moment. Z wiekiem nabyłem instynktownego wyczucia w takich sprawach.

Zanim winda zatrzymała się i z piśnięciem otworzyła drzwi, atmosfera między nami uległa całkowitej zmianie.

Galina i ja ostatnio staliśmy się kimś więcej niż okazjonalnymi kochankami. A jednak naszej relacji nie dało się nazwać stałym związkiem. Na przykład w miejscach publicznych zwykle odruchowo udawaliśmy, że nic nas nie łączy.

Gdy wyszliśmy z windy do lobby na parterze, od razu skręciłem w kierunku głównych drzwi. Byłem gotów pójść na miasto i zjeść z nią obiad, gdyby dała się przekonać. Ona jednak szybkim krokiem ruszyła na wschód, w kierunku ciemniejszej i cichszej części olbrzymiego budynku.

Westchnąłem i podążyłem za nią. Obejrzała się przez ramię i przystanąła, opierając ręce o biodra.

– A ty dokąd?

– Chcę zobaczyć akcję floty.

– Nie miałam na myśli...

– Posłuchaj, Galino, chcesz mojej pomocy czy nie?

Zmarszczyła brwi.

– A co możesz dla mnie zrobić w centrum operacji strategicznych?

Prychnąłem lekceważąco.

– Zadaj sobie pytanie: ilu z obecnych tam oficerów tak naprawdę cię lubi? Ilu by cię poparło w kryzysowej sytuacji? Albo jeszcze lepsze pytanie: który z tych wieprzy na ciebie doniósł?

Te słowa dały jej do myślenia. Zdjęła ręce z bioder i rozluźniła dłonie zaciśnięte dotąd w pięści.

– W porządku. Chodź ze mną, ale nie próbuj niczego, co może mnie ośmieszyć.

– Spokojnie! Będę równie grzeczny, co swego czasu w szkółce niedzielnej.

– Tego się obawiam.

Rozdział 5

Z parteru można było wsiąść albo do wind jadących na górę, albo do tych, które zabierały człowieka głęboko pod ziemię. Wybraliśmy jedną z tych drugich. Przejechaliśmy około stu pięter. Parę razy trzasnęło mi w uszach przy zmianach ciśnienia.

Gdy wysiedliśmy, przesadnie skrupulatni strażnicy odebrali nam całą broń i elektronikę, a potem weszliśmy do trzeciej windy. Ta mogła zabrać nas na sam dół – to znaczy o ile mi wiadomo. Sam nigdy nie zapuściłem się głębiej niż na minus pięćsetne piętro. Niektórzy twierdzili, że poniżej rozciągają się kolejne kondygnacje, ale nic o tym nie wiedziałem.

W okolicach minus trzechsetnego piętra dotarliśmy do martwej strefy. To był obszar położony tak głęboko pod Centralą, że numery kondygnacji przestały pojawiać się na wyświetlaczu – ale zjeżdżaliśmy jeszcze niżej. Przez kilka sekund miałem niepokojące uczucie, że winda zerwała się i runęła w przepaść... ale zanim to skomentowałem, zwolniła i zatrzymała się.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce, ale nic się nie wydarzyło. Drzwi nieruchomej windy pozostały zamknięte.

– Przed nami centrum dowodzenia – oznajmiła Galina, odwracając się do mnie.

– Yy... Inaczej je zapamiętałem.

– Niedawno je rozbudowano. Około trzydziestu pięter zostało wydrążonych i połączonych w jedną gigantyczną grootę.

– No dobra, ale czemu drzwi się nie otwierają?

– Bo ochrona nas obserwuje. Sprawdzają. Jeśli nie zdamy jakiegoś testu, odeślą nas na górę. Albo gorzej.

– Hm, a jaki byłby najczarniejszy scenariusz? – zapytałem.

– Jeśli uznają nas za zagrożenie, ta stalowa skrzynia stanie się naszym grobowcem.

– Bardzo zachęcające...

Mówiąc te słowa, podszedłem do kamery i zmrużyłem oczy. Była maleńka, ale wiedziałem, że posiada bardzo wysoką rozdzielczość

i zawiera niezliczone inne czujniki. Pewnie nawet badała powietrze, które wydychałem.

– Hej! Hej, wy tam, wieprze! Czujecie mój oddech? Nie ma w nim ani odrobiny alkoholu.

Chuchnąłem w stronę kamery. Galina lekko kopnęła mnie w kostkę, ale to zignorowałem.

– Zostaw to – syknęła. – Mówiłam ci, żebyś nie robił sobie z tych ludzi wrogów.

To raczej oni robili sobie wroga ze mnie. Mimo wszystko wyprostowałem się i czekałem niecierpliwie. Szybko zacząłem się nudzić. Miałem ochotę położyć dłoń na ramieniu Galiny, ale uznałem, że nic z tego nie wyjdzie. Nie było mowy, żeby rozluźniła się i pozwoliła mi na coś więcej pod czujnym okiem zgrai wieprzy.

Po jakimś czasie drzwi się otworzyły. Zobaczyliśmy oddział strażników, a za nimi komorę z grubo ciosanego kamienia i pastobetonu. Wyglądała tak, jakby ktoś wykuł ogromną grootę w skałach pod Centralą – bo właśnie tak było.

– Najwyższa pora – powiedziałem z wyrzutem. – Przez ten czas objadaliście się pączkami czy co?

Wyszedłem z windy i stanąłem wśród szóstki uzbrojonych weteranów. Nie uśmiechali się. Ani trochę. Zza ich pleców dobiegł znajomy głos:

– McGill? Co tu robisz?

– Primus Graves! Miło pana widzieć! – powiedziałem, gdy tamci się rozstąpili.

Zmarszczył brwi.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Przyszedłem jako asystent trybun Turov.

Graves popatrzył na Galinę, a później znów na mnie. Z rezygnacją pokręcił głową, odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Za mną.

Poprowadził nas w stronę okrągłych otworów, przez które zobaczyliśmy jeszcze większe pomieszczenie. Przechodząc przez jeden z otworów, zrozumiałem, że wcześniej byliśmy tylko w lobby, a teraz znaleźliśmy się w głównej sali.

Była ogromna. Co najmniej tak rozległa i wysoka jak Izba Werbunkowa w Newark. To zdumiewające, biorąc pod uwagę fakt,

że znajdowaliśmy się kilometr pod ziemią. Sufit i ściany oświetlono wielkimi panelami LED, ale sala była tak gigantyczna, że mimo wszystko tonęła w półmroku. Czułem się trochę tak, jakbym odwiedził nocą stadion piłkarski.

Na głównym parkiecie poruszał się tysiąc ludzi i robotów. Obsługiwali stacje robocze i aktualizowali ekrany. Wszędzie wisiały niezliczone ogromne wyświetlacze holograficzne.

– To teren zastrzeżony – przypomniał Graves, gdy schodziliśmy po nierównych stopniach z pastobetonu.

Do tej pory staliśmy kilka kondygnacji nad głównym parkietem. Schody nie miały poręczy. Współczesne wojsko nie przykładalo wielkiej wagi do bezpieczeństwa. Jeśli ktoś był na tyle nieuważny, żeby zginąć, po prostu wychodził z maszyny wskrzeszającej i dostawał reprimendę.

– Znam zasady, primusie Graves – odparła Turov.

Była od niego starsza stopniem, a w dodatku oboje należeli do tego samego legionu. To zrozumiałe, że się zirytowała – w łańcuchu dowodzenia była bezpośrednią przełożoną Gravesa.

– Musiałem opuścić spotkanie i przyjść do lobby, żeby osobiście autoryzować wpuszczenie tutaj McGilla – kontynuował Graves. – W tak krytycznym momencie to niedobrze, gdy oficer zostaje oderwany od obowiązków.

Graves ewidentnie miał Galinie za złe, że mnie tu przyprowadziła.

– Od kiedy jest pan wieprzem, sir? – zapytałem.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– Żaden ze mnie wieprz, McGill. I obym nigdy nim nie został. Ale dzisiaj Ziemia jest w niebezpieczeństwie, a ja wykonuję rozkazy pretora Drususa. Dlatego postaraj się już więcej nie przeszkadzać, w porządku?

– Yy, tak jest, sir. Przepraszam – odpowiedziałem z odrobiną autentycznej skruchy. – Przecież wiem, że daleko panu do wieprza.

Dalej szliśmy w milczeniu. Graves zaprowadził nas do stanowiska z jednym fotelem i jednym ekranem dotykowym. Chciałem usiąść, ale Turov odepchnęła mnie i posadziła na fotelu swój zgrabny tyłeczek.

Graves odszedł, a ja zajrzałem Galinie przez ramię.

– W porządku, słuchajcie wszyscy – odezwał się z głośników czyjś głos. – Zaczynamy za dziesięć minut. Pierwsze wiązki dotrą przed tym czasem, ale mierzalne rezultaty zobaczymy dopiero wtedy, gdy uderzą T-bomby. Wszystkie dane otrzymamy jednocześnie. Bądźcie czujni i nie opuszczajcie stanowisk.

Bezwiednie otworzyłem usta.

– Flota już zaraz zaatakuje tę wielką kulę?

– Dziesięć minut to niewiele czasu, prawda? – mruknęła Galina.

– To będzie się dłużyć w nieskończoność.

Miałem rację. Niecierpliwie śledziliśmy odliczanie oraz rozmieszczenie naszych jednostek.

Ziemskie siły kosmiczne przeszły długą drogę przez ostatnią dekadę. Po inwazji Głowonogów stworzyliśmy pierwsze własne okręty. Te obrzydlistwa z pastobetonu wyglądały jak wanny wypełnione tlenem i uzbrojeniem. Były powolne, brzydkie i łatwe do zniszczenia choćby jedną rakieta albo dłuższą wiązką.

Od tamtej pory zaszło wiele zmian na lepsze. Otrzymaliśmy licencję na wykonywanie pracy Skrulli – lokalnego gatunku z monopolem na stocznie – o ile robiliśmy to w imię ochrony Imperium. W związku z tym nasze jednostki nie mogły transportować towarów ani pełnić funkcji statków pasażerskich, ale mogły być okrętami wojennymi. Ich projekty stały się również o wiele bardziej wyszukane. Domyślałem się, że głównie za sprawą pozaziemskich naukowców, których engramy wzięliśmy ze Świata Buntowników. Warto przypomnieć, że do obrony własnej planety zbudowali jednostkę, która przez dłuższą chwilę stawiała zacieklej opór całej flocie bojowej i zniszczyła około dwudziestu procent wszystkich imperialnych okrętów przydzielonych do naszej prowincji.

Oczywiście ten wybryk naszych genetycznych kuzynów omal nie doprowadził do unicestwienia ludzkości, jednak wyszliśmy z tego cało. A dziś czułem, że zaraz zobaczę na własne oczy efekty pracy Floramel i innych zbuntowanych badaczy.

Obiekt był już dość blisko Ziemi, bo zaledwie osiem razy dalej niż nasz Księżyc. Nie zamierzaliśmy dopuścić intruzów bliżej. Nie bez walki.

Między Ziemią a gigantyczną kulą znajdowały się setki naszych okrętów oraz platform orbitalnych, baz księżycowych, kopalni i innych obiektów ukrytych w nieskończonej czerni kosmosu.

Osiem minut przed sekundą zero zaczęły się fajerwerki. Wszystkie ekrany nagle się rozświeciły.

– Co to było, do cholery? – zapytałem.

– Defensywny ostrzał wroga – odpowiedziała Galina. – Nie ma innej możliwości. Wreszcie zareagowali...

Patrzyliśmy w napięciu. Tłum wokół nas ucichł. Bitwy kosmiczne były same w sobie bezgłośnie, bo w próżni nie rozchodzi się dźwięk. Choć nie mogliśmy tego usłyszeć, przestrzeń przecinało mnóstwo materii oraz energii. Ekspłodowały setki rakiet. Niektóre zdetonowały głowice w spektakularnych kulach zniszczenia, ale wiele innych zostało zniszczonych przez ostrzał defensywny. Nie miały szansy uwolnić swojego potencjału i pojawiały się na ekranach jako małe, żałosne rozbłyski.

Otoczający nas tłum zaszemrał. Niektórzy wydali nerwowe sapnięcia i westchnienia.

– Co się dzieje? – zapytałem Galinę, nachylając się nad jej ramieniem.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała nerwowo. – Rakiety w coś wlatują... Może to pole siłowe albo jakiś aerożel. Nie docierają do celu.

Wyprostowałem się i rozejrzałem po tłumie w poszukiwaniu znajomej twarzy. W końcu jakąś wypatrzyłem. Należała do Floramel.

Wiele osób pracujących w najciemniejszych głębinach Centrali było genetycznymi wariantami ludzi. Czasem zastanawiałem się, czy to na pewno dobry pomysł, żeby tak na nich polegać w naszym głównym centrum dowodzenia, lecz nikogo nie interesowały moje przemyślenia.

Zostawiłem Galinę i szybkim krokiem przemierzyłem dystans dzielący mnie od technistrużnicy. Strażnicy, podobnie jak wszyscy inni, byli wpatrzeni w ekrany, więc nie próbowali mnie zatrzymać. W sumie lepiej dla nich.

– Floramel? – odezwałem się.

Wyciągnęła smukłą, śliczną szyję i spojrzała na mnie, zdziwiona.

– James? Co ty tutaj...? Proszę, nie rozpraszaaj mnie w takiej chwili.

– Wybacz. Przyszedłem tylko jako obserwator i doradca.

Przez chwilę wpatrywała się w ekran pełen liczb, ale zaraz zmarszczyła brwi i znów na mnie zerknęła.

– Doradca? A komu ty doradzasz?

– Pretorowi Drususowi oczywiście. Niecałą godzinę temu byłem u niego w gabinecie.

– James – powiedziała zmęczonym głosem – nie wiem, jak się tu dostałeś, ale próby zaimponowania mi jego nazwiskiem są skazane na porażkę. Już ci mówiłam, że nie masz co liczyć na seksualne...

– Słuchaj – przerwałem, kładąc rękę na oparciu jej fotela – po prostu powiedz, co niszczy nasze rakiety. Jakies pole siłowe?

– Nie. Wykrylibyśmy je. Podejrzewam, że to inteligentny żel.

– Co takiego?

– Chmura mikroskopijnych maszyn zaprogramowanych tak, aby masowo przyłgnąć do pocisków raketowych i je zniszczyć.

Pokiwałem głową.

– To brzmi prawdopodobnie. Jak sobie z tym poradzimy?

– W następnej kolejności wystrzelimy T-bomby. Już rozpoczęto odliczanie.

Ożywiłem się.

– Z jakimi głowicami?

– Opracowaliśmy sposób, żeby system teleportacyjny działał ze standardowymi bombami fuzyjnymi.

Położyłem jej rękę na ramieniu i lekko ścisnąłem.

– Dobra robota. To na pewno w dużym stopniu twoja zasługa. Ratujesz Ziemiąom tyłki.

Po jej ustach przemknął cień uśmiechu, ale zaraz spojrzała z niechęcią na moją dłoń.

– James...

– Wybacz!

Zabrałem rękę, jakby jej ramię mnie oparzyło. Wiedziałem, że w jej kulturze każdy dotyk stanowi wstęp do seksu. Oczywiście znaliśmy się od dawna i kiedyś byliśmy kochankami, od tamtej pory upłynęło jednak sporo czasu.

– W porządku, ale proszę, więcej mnie nie rozpraszaaj.

Staralem się ze wszystkich sił. Trzymałem gębę na kłódkę i tylko stałem za nią, gdy lustrowała ekrany. Parę minut później na kadłubie gigantycznego okrętu zaczęły pojawiać się rozbłyski.

– Czy to bomby teleportacyjne?

– Nie, jeszcze ich nie wystrzeliliśmy. Jest problem z namierzeniem wroga.

– A co to za problem? – zdziwiłem się. – Sukinsyn jest wielki jak Księżyc. Czemu nie można w niego wycelować?

– Nie wiem. Posiada zaawansowane systemy defensywne. Pracujemy nad tym.

– Gdzie są T-bomby?

Floramel wskazała na sufit.

– Piętro wyżej. Na pewno jesteś upoważniony do posiadania takich informacji?

– Przecież mnie tu wpuścili, prawda?

Nie sprzeczała się ze mną. Wbiłem wzrok w tonący w półmroku sufit. Myśl, że bezpośrednio nad głową mam magazyn pełen głowic fuzyjnych, była... niepokojąca. Z powrotem popatrzyłem na ekrany.

– Ale przecież coś przeszło przez tę ochronną chmurę i uderzyło w obiekt. Sam widziałem.

Pokręciła głową.

– To były nasze wiązki. Uderzyły parę sekund wcześniej, ale z tej odległości oglądamy wszystko z opóźnieniem.

– Tak, tak, wiem o tym. Ale czy nasze wiązki wyrządziły jakieś szkody?

Znów pokręciła głową.

– Nie wykryto znaczącego uszkodzenia pancerza, jedynie przebarwienie. Okrętowi nic się nie stało.

Byłem zdumiony. Ta lecąca przez kosmos kula nie była tylko durnym głazem. Radziła sobie ze wszystkim, czym ją atakowaliśmy.

– Czy obiekt robi uniki? Jak wasz zaawansowany okręt nad Światem Buntowników?

– Nie wydaje mi się. Nadal podejrzewam obecność chmury ochronnej. Drobin pyłu albo metalu, które dezorientują nasze czujniki i nie pozwalają uszkodzić celu.

– W takim razie wyślijcie te bomby teleportacyjne choćby na ślepo – rzuciłem. – Prosto na skurwiela. Cholerstwo jest wielkie, więc

część na pewno trafi.

Floramel zerknęła na mnie.

– Słuchasz, co mówią na kanale dowodzenia?

– Nie mam uprawnień.

– Możesz być z siebie dumny. Dowództwo postanowiło zrobić dokładnie to, co zasugerowałeś.

Parę chwil później poleciały T-bomby – i wszystko się zmieniło.

Rozdział 6

Początkowo zobaczyliśmy szereg oślepiających rozbłysków. Najpierw kilkanaście, a potem... sto? Tysiąc? Trudno stwierdzić, ale wyglądało to tak, jakby w okolicy zapłonęło nowe słońce. Odruchowo zasłoniłem oczy. Ekrany tak wiernie oddawały rzeczywistość, że zalały nas białoniebieskim światłem. Blask wyświetlaczy rzucał na podłogę ostre cienie, a na jego tle odcinały się ciemne sylwetki operatorów i oficerów.

– Jezu! – wykrzyknąłem. – Co to, kurwa, było?! Wyszadziliśmy go?

– Przedostały się! – zawołał ktoś.

Pierwszy szok minął. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu i wydałem radosny okrzyk. Mózgowcy przy terminalach popatrzyli na mnie jak na wariata, ale miałem to gdzieś.

– Ja pierdziele! Rozerwaliśmy tę wielką kulę, Floramel? Nic nie widzę.

Cierpliwie sprawdziła ekrany i przyrządy, na których więcej było cyfr i wykresów niż ładnej grafiki.

– Bezsprzecznie trafiliśmy w nią. Tamci najwyraźniej nie spodziewali się gradu T-bomb. Nie mieli podstaw podejrzewać, że dysponujemy podobną technologią.

– To świetnie, mała, ale czy obiekt został zniszczony?

– Nie... Otacza go obłok gazów, ale według wskazań magnetometrów i czujników grawimetrycznych obiekt pozostaje względnie nienaruszony. Nie wykryto znaczącego spadku masy ani rozbicia na mniejsze fragmenty.

– Na pewno? Jak twardy musi być kamulec, żeby nie ruszyło go kilkanaście głowic fuzyjnych?

Powoli odwróciła się do mnie na krześle, ale unikała mojego wzroku. Z ponurą miną wbijała spojrzenie w podłogę.

– Masz rację – powiedziała. – Zwyczajna materia powinna odparować albo przynajmniej pęknąć. Natomiast lecący w kierunku Ziemi obiekt jest nie tylko masywny, ale najwyraźniej również nienaturalnie odporny.

– Z czego on jest zrobiony? Jaki materiał wytrzymałby coś takiego?

Wzruszyła ramionami. Na ekranie za jej plecami zobaczyłem, że chmura radioaktywnych gazów zaczyna się przerzedzać. Z oparów wyłonił się obiekt. Pieprzona kula wciąż tam była, wciąż na kursie kolizyjnym z Ziemią.

– Szlag – mruknąłem. – Przynajmniej jest cała czarna i przypalona. Hej, a może kadłub wytrzymał, ale pasażerowie zginęli? Jak myślisz?

Floramel powoli i z namysłem odwróciła się do konsoli. Wydawała się niemile zaskoczona. Liczyła na to, że T-bomby lepiej się sprawdzą – podobnie jak my wszyscy.

– Obiekt zwalnia – oznajmiła. – Drastycznie redukuje prędkość.

– No i dobrze. Przynajmniej nie zamierzają wbić się w Ziemię i jej rozbić jak wielkiego jajka.

– Nie, najwyraźniej nie taki jest ich plan. Niestety, manewry oznaczają, że ani promieniowanie, ani siła uderzenia nie zabiły załogi. Zdaje się, że wewnątrz kadłuba wszystko w porządku, bo obiekt zwalnia płynnie i w kontrolowany sposób.

W tym momencie przyszedł Graves.

– Wasze T-bomby nie zadziałały, mądrale – burknął.

– Jak widać, primusie – odpowiedziała Floramel.

– Jakie inne zabawki macie zachomikowane na czarną godzinę? – zapytał.

Floramel oblizwała usta, uciekając wzrokiem.

– Flota zawiodła. Specjalne uzbrojenie zawiodło. Wątpię, czy tego wroga powstrzymałby nawet nasz inteligentny okręt, który przez ponad godzinę samodzielnie stawiał czoło Flocie Bojowej 921.

– Po prostu wspaniale – skwitował primus, kiwając głową. – No dobra, żarty się skończyły. McGill, idziesz ze mną. Może się jednak na coś przydasz.

Kiedy Graves i Floramel rozmawiali, ja patrzyłem na ekrany innych ludzi – na strumienie danych z miasta poza murami Centrali. Tkwiliśmy tutaj jak w twierdzy. Na całej planecie nie było bezpieczniejszego miejsca, chyba że na dnie kopalni. Jednak na zewnątrz wiele osób zostało trwale oślepionych przez rozbłyski. Inni doznali ostrego poparzenia słonecznego nawet przez grubą warstwę chmur. Na ulicach rozbrzmiały syreny alarmowe, a żołnierze

w pancerzach wspomaganych zajęli pozycje obronne. Nie widziałem czegoś takiego w Mieście Centralnym od czasu inwazji Głownogów.

– Yy, da mi pan dwie minutki, primusie Graves? – poprosiłem.

Popatrzył na Floramel i znowu na mnie.

– Niech będzie – westchnął. – Za pięć minut chcę cię widzieć piętro wyżej w sali konferencyjnej. Bo inaczej każę cię znaleźć i aresztować.

– Dziękuję, sir.

Położyłem Floramel rękę na ramieniu. Dziewczyna lekko się spięła.

– James, to nie jest...

– Martwię się, Floramel. Potrzebna mi twoja pomoc.

Zmarszczyła brwi. Przykro było widzieć w jej oczach cień nieufności.

– Della i Etta, moja mała dziewczynka, są na ulicach miasta – wyjaśniłem.

Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Spojrzała na otaczające nas ekrany, na których wyświetlały się sceny paniki, korków ulicznych, a nawet pożarów. Płonęły stare, drewniane budynki we wschodniej części miasta.

– Och. Twoja córka gdzieś tam jest?

– Tak. Chce pracować w laboratorium, tak jak ty. Już ją przyjęli na uniwersytet.

– Naprawdę? Zakładam, że w takim razie nie jest neurotypowa.

– Nie jest. Pochodzi ze Świata Pyłu, pamiętasz? Jej dziadkiem jest Badacz.

– Ach tak, oczywiście – powiedziała takim tonem, jakby wyjaśniła się wielka zagadka.

Floramel była zaskoczona, że mam inteligentną córkę. Mógłbym się obrazić, ale to faktycznie żadna tajemnica, że nigdy nie byłem dobry w szkole.

– Mama zawsze mi mówiła, że jestem w jednej czwartej geniuszem i w trzech czwartych debilem. Może Etta odziedziczyła tę właściwą część.

– Rozumiem twoje obawy, James, ale nie wiem, co mogę zrobić – oznajmiła Floramel. – Jeśli Della powie strażnikom, że ma ważną sprawę do załatwienia w kwaterze głównej Legionu Varus, może

wpuszczą ją do naziemnej części Centrali. Ale twoja córka... Ona jeszcze nawet nie jest stażystką.

– Nie możesz wydrukować dla niej jakiejś przepustki?

– Nie mam takich uprawnień. A ochrona będzie dzisiaj zwracać szczególną uwagę na to, kto wchodzi do budynku.

Przypomniało mi się, z jaką nieufnością wieprze potraktowały w windzie mnie i Turov. Floramel chyba miała rację. Ścisnął mi się żołądek. Moja córeczka przyjechała do Miasta Centralnego w najgorszym możliwym momencie.

– Dobra, spróbuję czegoś innego – stwierdziłem.

– Graves dał ci pięć minut – przypomniała Floramel, ale już mówiła do moich pleców.

– Wkurzy się, a potem mu przejdzie – rzuciłem przez ramię. – Zawsze mu przechodzi.

Stawiając wielkie kroki, ruszyłem przed siebie tempem, jakie bez truchtania mógł utrzymać tylko człowiek mojej postury. Po paru chwilach zobaczyłem Turov. Skrzywiła się z dezaprobatą.

– Gdzie się podziewałeś, do cholery? Znowu sobie flirtowałeś?

– Mamy problem, Galino.

– Co ty nie powiesz, McGill? Tamten okręt zwalnia i leci tutaj. Dosłownie tutaj.

– Co?!

Chwyciłem ją za ramię i obróciłem w swoją stronę. Popatrzyła na mnie, lekko wystraszona. Nawet się nie wkurzyła. Może to przez poważny wyraz mojej twarzy.

– Obiekt chyba wykrył, skąd teleportowały się nasze bomby – wyjaśniła. – Namierzyli źródło, czyli Centralę. Nie spodobał im się ten atak. Okręt zmienił kurs zaraz po detonacji. Wcześniej leciał w kierunku Oceanu Indyjskiego. Teraz obrał za cel ten budynek.

Rozluźniłem palce, które zaciskałem na jej ręce. Wbiłem wzrok w ekrany.

– Della i Etta... One gdzieś tam są, na ulicach miasta.

– Ach tak. – Galina potarła obolałą rękę. Zaczynała rozumieć moje zachowanie. – Twoja córka wróciła ze Świata Pyłu?

– Jasne. Choć w tym momencie trochę żałuję, że tam nie została.

Rozdział 7

– James? James! – krzyknęła Galina.

– Hm?

Gapilem się w ekrany ukazujące czysty chaos. Na ulicach panowała panika. Gigantyczny okręt zwalniał i miał dotrzeć na Ziemię za jakieś dziesięć godzin. Wiadomość rozchodziła się błyskawicznie, a ludzie wpadali w popłoch.

– Mogę spróbować ci pomóc – zaoferowała Galina.

Dopiero teraz tak naprawdę przykuła moją uwagę. Spojrzałem na nią i odpowiedziałem:

– Nawet nie jestem w stanie się z nimi skontaktować. Blokada sygnału.

– Wiem, to ze względów bezpieczeństwa. Ale ja mogę wysłać wiadomość tekstową pomimo zabezpieczeń. Zobaczę, co da się zrobić dla twoich najbliższych.

Uśmiechnąłem się z ulgą.

– Dzięki, Galino, jestem twoim dłużnikiem.

Machnęła ręką.

– Idź już na spotkanie z Gravesem. Ma dla ciebie... specjalne zadanie.

Poczułem nagłą chęć, żeby ją pocałować. Z jej oczu wyczytałem, że ona również, ale wiedziałem, że to kiepski pomysł w takich okolicznościach. Odwróciłem się i pospiesznie ruszyłem w stronę górnych galerii.

Nad główną halą mieściły się apartamenty, biura i inne pomieszczenia, których nie wyburzono, tworząc gigantyczną komorę. Prowadziły do nich rampy z wielkich płyt pastobetonu. W centrum dowodzenia panował półmrok, rozświetlany, trochę jak sala kinowa, przypadkowymi rozbłyskami ekranów. Przez to miganie ledwo widziałem, gdzie stawiam stopy. Omal nie spadłem z takiej rampy, gdy dotarłem na trzecie piętro i zrobiłem o jeden krok za dużo – a nie było poręczy. Rampa urywała się bez ostrzeżenia, główny parkiet był dziesięć metrów niżej.

– Cholera – mruknąłem, spoglądając w dół. Upadek byłby bolesny. Może nawet skończyłby się wskrzeszeniem.

Obróciłem się o dziewięćdziesiąt stopni i na wpół zobaczyłem, na wpół wymacałem stopą zawieszoną w powietrzu płytę, która łączyła rampę z korytarzem. Dalej nie napotkałem już problemów i po pięćdziesięciu krokach znalazłem odpowiednie drzwi.

Pchnąłem je mocno i odkryłem, że w pomieszczeniu jest pełno znajomych twarzy.

– Sargon? Harris? – Uśmiechnąłem się szeroko.

Skinęli mi ozieble. Siedzieli z ponurymi minami. Był tu też Graves. Stał pośrodku i oglądał jakiegoś rodzaju sprzęt.

– Miło, że do nas dołączyłeś, centurionie McGill – powiedział. – Spóźniłeś się tylko o siedem minut.

– Prawie zginąłem w tym labiryncie, primusie!

Graves skrzywił się z obrzydzeniem.

– Możliwe, że zaraz pożałujesz, że tylko prawie.

Usiadłem na tyłach sali i zacząłem słuchać. Zwykle nudziły mnie odprawy i szybko odpływałem myślami, ale tym razem było inaczej. Stawka była dziś znacznie wyższa. Nie chodziło o wyprawę na jakąś nieprzyjazną planetę. Dziś Legion Varus przygotowywał się do obrony Matki Ziemi.

Harris podniósł rękę. Graves udzielił mu głosu.

– Z całym szacunkiem, primusie – zaczął Harris – to wygląda na robotę dla wieprzy. Przecież jesteśmy na Ziemi. To nawet nie jest dozwolone, żeby...

– Na czas trwającego kryzysu Hegemonia zawiesiła zwyczajne procedury – odpowiedział Graves. – Niezależne legiony mogą legalnie prowadzić działania na Ziemi.

– Szybko poszło – mruknął Harris. – Nie podejrzewałem, że Rada Rządzących jest w stanie cokolwiek zrobić w mniej niż pół roku.

Parę osób gwizdnęło ze zdziwienia albo nerwowo poruszyło nogami. Legion Varus nie walczył na powierzchni Ziemi od czasu ostatniej inwazji. Osobiście nie byłem zdziwiony. Wystarczy kogoś odpowiednio nastraszyć, a wtedy każdy, nawet wieprz, obudzi się i zacznie działać.

– Jeśli nikt nie ma nic do dodania, przejdę z powrotem do odprawy – powiedział Graves. – Aktualnie jesteśmy, rzecz jasna, w fazie

planowania i nawet nie ma pewności, czy nasze usługi okażą się potrzebne. Kto wie, może ci kosmici są przyjaźnie nastawieni i chcą tylko pożyczyć szklanę cukru.

Nikt się nie roześmiał, ale przynajmniej ja zrozumiałem, że to był żart. Graves zawsze żartował ponurym głosem i z kamienną twarzą, więc ludzie rzadko byli rozbawieni.

– Jaki jest plan, primusie? – zapytałem.

W normalnych okolicznościach byłbym spokojny, wręcz znudzony. Jednak okoliczności nie były normalne. W Mieście Centralnym przebywała moja córka i wyglądało na to, że jacyś obcy mają zamiar ją skrzywdzić.

– Okręt leci prosto w kierunku Ziemi. Zwalnia, ale jeszcze nie wiemy, gdzie wyląduje.

Podniosłem rękę. Graves z ciężkim westchnieniem udzielił mi głosu. W dawnych czasach kazały mi się zamknąć, ale obecnie byłem centurionem, dlatego częściej pozwalał mi coś powiedzieć.

– Sir, ma pan nieaktualne informacje. Już wytyczono kurs okrętu. Leci prosto na nas. Do Centrali.

Oficerowie zaczęli szemrać.

– A skąd ty, do chuja, wiesz takie rzeczy? – warknął Harris. – Dopiero przyszedłeś.

– Tamta wielka kula już wykryła, skąd wysłaliśmy T-bomby. A przynajmniej tak uważają mózgowcy przy konsolach, tam na dole.

Harris zmarszczył brwi. Kiedy słyszał złe wieści, często wściekał się na osobę, która je przynosiła. Odwrócił się ode mnie, skrzyżował ręce na piersi i z kwaśną miną popatrzył na Gravesa. Tymczasem primus sprawdził coś na stuku.

– Widzę, że McGill ma rację. Okręt obrał za cel Centralę. Lepiej szybko przejdę do sedna...

Stał przy ekranie i zaczął wydawać komendy za pomocą gestów. Ściana za jego plecami zmieniła się w mapę lokalnej przestrzeni. Ziemia była w lewym dolnym rogu. Pośrodku widzieliśmy Księżyc, a daleko, w lewym górnym rogu znajdował się inny obiekt. Wyglądał na metalowy i sunął po trajektorii przecinającej się z naszą planetą.

– Za jakieś trzy godziny okręt minie Księżyc. Ponieważ nadal zwalnia, powinien uderzyć w nas jutro rano, na krótko przed

świtem.

– Wspaniale, po prostu wspaniale – jęknął Harris.

– Legion Varus spróbuje zapobiec tej katastrofie – dodał Graves.

Wymieniliśmy spojrzenia i uśmiechy. Jednak nasze pozytywne nastawienie wyparowało po kolejnych paru zdaniach. Graves wyświetlił mapę miasta.

– Możliwe, że w ramach odwetu obcy zechcą zrównać metropolię z ziemią. Zdaniem naszych ksenopsychologów ich wzorce behawioralne wskazują na arogancję i stanowczość. Niezależnie od tego, jakie zamiary mają, bez wątpienia nie spodobał im się nasz atak z zaskoczenia.

Teraz już nikt się nie uśmiechał, lecz Graves jeszcze nie skończył.

– Jeśli jednak nie zmiotą nas z powierzchni ziemi, prawdopodobnie zechcą tu wylądować i przynajmniej przyjrzeć się miejscu, z którego wyprowadziliśmy uderzenie. Mam na myśli podziemia Centrali.

Po tych słowach zapadła całkowita cisza. Wszyscy czuli się tak, jakby stali na drodze huraganu piątej kategorii.

– W związku z tym Centrala planuje bronić się najlepiej jak potrafi. Nie mówię tylko o zamknięciu drzwi i aktywacji wieżyczek na dachu. Gdy tylko przeciwnik się zbliży, uderzymy jako pierwsi.

– I niby co im zrobimy? – zapytał głośno Harris. – Teleportowaliśmy głowice do środka kuli i nawet one gówno dały.

– Nie, nie do środka – poprawił go Graves. – Próbowaliśmy, ale nie udało się spenetrować kadłuba. Bomby przedwcześnie wyszły z... no, stąd, w czym podróżują teleportowane obiekty. A potem uderzyły w kadłub. Właśnie dlatego okazały się tak mało skuteczne. Większość rozbiła się i nawet nie zdążyła eksplodować.

– Nadal nie rozumiem, jak...

Graves uciszył go gestem.

– Kiedy nadleci wróg, dostaniemy drugą szansę. Jeśli zechcą wypuścić tutaj swoich żołnierzy, otworzą coś na kształt wrót. Wtedy będziemy mogli wejść do środka.

– Moment... – zacząłem z namysłem. – Teleportujemy żołnierzy do wnętrza obiektu, gdy tylko kula się otworzy?

– Owszem. Jeśli taki padnie rozkaz. Wyślemy na pokład oddział komandosów, aby bezpośrednio uporali się z załogą.

– Zgłaszam się na ochotnika, primusie – oznajmiłem głośno.

– Ja się z tego wypisuję – zaprotestował Harris. – Popełniałem samobójstwo na wiele sposobów, ale tę cholerną kulę ewidentnie chroni jakieś pole siłowe i nie zamierzam rozbić się o metalową ścianę jak tamte bomby.

– Nic z tego, Harris – odpowiedział Graves. – Wszyscy bierzemy w tym udział. Cała moja kohorta.

– Czemu akurat my? – zapytał Harris.

– Bo w tym oddziale są najbardziej doświadczeni skoczkowie teleportacyjni w całych siłach zbrojnych. Ziemia nas potrzebuje, więc będziemy jej służyć najlepiej jak potrafimy. Nikt się nie zgłasza, nikt się nie wypisuje.

– Niech to szlag – mruknął pod nosem Harris.

Wszyscy podzielali jego zdanie. Sytuacja była kiepska i nie zanosilo się na poprawę.

Po odprawie kazano nam iść na górę, pobrać sprzęt i przespać się parę godzin, o ile to możliwe. O świcie trzecia kohorta Legionu Varus miała stać się oddziałem komandosów.

Rozdział 8

Zamiast szukać łóżka albo skafandra teleportacyjnego, ruszyłem prosto do głównego działu centrum dowodzenia. Szczęśliwym trafem znalazłem Galinę i Floramel razem. W pierwszej chwili pomyślałem, że może rozmawiają o tym, jak zabrać moją córkę w bezpieczne miejsce, ale temat okazał się zupełnie inny.

– Nie wierzę – powiedziała ponuro Turov, przeglądając jakieś dane. – Taka sygnatura chemiczna nie jest możliwa. Nie w przypadku sztucznego obiektu.

– Nie wiem, jak powstał ten okręt – odparła Floramel. – Ani nawet czy to na pewno okręt. Musimy rozważyć mniej oczywiste ewentualności. Może obcy znaleźli tę pustą skorupę z materiału o nienaturalnie wysokiej gęstości i zmienili ją w jednostkę kosmiczną?

– Czyli co? Zrobili łódkę z wydrążonej kłody? Nedorzeczne.

Wiedziałem, że nie tak rozmawia się z Floramel. Dziewczyna zawsze wszystko dokładnie przemyślała, zanim otworzyła usta. Zwłaszcza w kwestiach dotyczących technologii.

– A jednak ten obiekt istnieje – odpowiedziała Floramel. – Leci w naszą stronę i ewidentnie posiada napęd. Jak inaczej wytłumaczy pani jego skład chemiczny? Nawet pomiary grawimetryczne wspierają moją teorię. Ten obiekt posiada napęd, a jednocześnie składa się ze skompresowanego pyłu gwiazdowego.

Turov zacisnęła wargi, jakby poczuła smród skunksa.

– Nadal twierdzę, że to niemożliwe. Może to jakaś sztuczka? Iluzja dla odwrócenia uwagi?

– Ta iluzja jest całkiem twarda – wtrąciłem się. – Rozbiły się o nią nasze głowy.

Galina spojrzała na mnie.

– Ach, tu jesteś, McGill. Udało mi się coś załatwić w sprawie twojej córki.

– Co takiego?

– Może od zaraz rozpocząć staż w Centrali. Floramel była tak miła, że zgodziła się zostać jej mentorką. Wysłaliśmy Etcie rozkaz natychmiastowego stawienia się w jej gabinecie.

– Ale rozmawiałaś z nią? Wyjaśniłaś, co się dzieje?

Turov zmarszczyła brwi.

– To jest twoja pierwsza reakcja? Ani dziękuję, ani pocałuj mnie w dupę? Jestem zajęta obroną planety. Nikt tu nie ma czasu na nic więcej.

– Racja, przepraszam. Dziękuję wam obu.

Odwróciłem się, żeby zostawić je w spokoju – niech kłócą się dalej. Ale zanim odszedłem dalej niż na dziesięć metrów, usłyszałem za sobą ciche kroki. Podeszła do mnie Galina.

– O co chodzi, trybunie?

– Ja... Wybacz, James. Byłam nieuprzejma. Jestem zestresowana.

– Nie dziwię się. W porządku, w tej sytuacji wszyscy jesteśmy strzępkiem nerwów. A o czym tak właściwie rozmawiałyście? Że cholera jest z gwiazdowego pyłu?

– Na to wygląda. To bardzo dziwne. Jak oni mogli zbudować coś takiego?

– W tym momencie bardziej interesuje mnie odwrotna kwestia. Jak to zniszczyć.

Pokręciła głową.

– Myślę, że nie jesteśmy w stanie tego zrobić. Skompresowana materia jest niewyobrażalnie wytrzymała. Nawet jeśli kadłub ma grubość tylko stu metrów, a wewnątrz jest puste, obiekt i tak ma podobną masę, co nasz Księżyc.

– A wszystkie odczyty grawimetryczne potwierdzają teorię Floramel, prawda?

– Tak. To bardzo osobliwe. Jeżeli na przykład dysponują technologią umożliwiającą wydrążenie gwiazdy neutronowej... nie wyobrażam sobie, jak mielibyśmy ich pokonać.

– Nie przejmuj się. Biorę udział w akcji, która ma tego dokonać.

Była moim trybunem, więc bez oporów opowiedziałem jej ze szczegółami plan Gravesa. Przysłuchiwała się z niepokojem.

– Graves nie pytał mnie o zgodę. Współpracuje bezpośrednio z Drususem, znów mnie ignorując. A swoją drogą, wydaje mi się, że po prostu rozbijecie się na milion kawałków jak nasze bomby.

– Możliwe.

Dotarliśmy do windy i rozpoczęliśmy długą podróż w górę. Położyła mi rękę na ramieniu i lekko ścisnęła.

– Masz jakieś plany przed waszym planowanym samobójstwem jutro rano? – zapytała.

– Yy...

Zrozumiałem, że to propozycja, w dodatku bardzo kusząca. Westchnąłem smutno.

– Muszę znaleźć Ettę i zabrać ją w bezpieczne miejsce. Niedługo zrobi się bardzo nieprzyjemnie.

– Rozumiem. A jeśli ci pomogę? Zaparkowałam swoje latające auto niedaleko stąd. Razem ją odbierzemy.

– To brzmi świetnie, Galino.

Bez zastanowienia uniosłem ją i pocałowałem. Miałem na to ochotę już od godziny albo dwóch. Przez chwilę odwzajemniła pocałunek, ale potem lekko się odsunęła.

– Wiesz, że tu są kamery, prawda?

– Jasne, ale nasz romans to już żadna tajemnica.

Odsunęła się jeszcze bardziej, a ja ją puściłem. Wjechaliśmy na parter, a potem poszliśmy na parking.

Na zewnątrz trwały protesty. Policyjne barykady powstrzymywały tłum przed wdarciem się na teren wokół Centrali. Ludzie wymachiwali pięściami i rzucali kamieniami. Oczywiście nas to nie ruszało. Kiedy człowiek ma za sobą walkę i śmierć na kilkunastu obcych planetach, zwykle zamieszki wydają się niegroźne jak szkolna potańcówka.

Wsiedliśmy do latającego samochodu i wkrótce unieśliśmy się nad tłum protestujących. Gdy znaleźliśmy się poza budynkiem, do mojej skrzynki odbiorczej zaczęły spływać wiadomości. Wcześniej ich nie otrzymywałem z powodu blokady łączności. Raz w życiu przeglądałem je z zapalem. Napisały do mnie obie, Etta i Della.

– Są w dzielnicy portowej – powiedziałem Galinie, wysyłając adres do autopilota pojazdu.

Turov zatwierdziła miejsce docelowe. Niecałe dziesięć minut później odszukaliśmy Dellę i Ettę przy centrum handlowym. Raczej mało kto był w nastroju na zakupy, ale niektórzy plądrowali sklepy.

Della i Etta wsiadły na tylne siedzenie, ze śmiechem prezentując łupy, głównie ciuchy. Drogie ubrania z inteligentnej tkaniny, bardzo lubianej przez młode kobiety.

– Ukradłyście to wszystko? – zapytała kwaśno Turov.

– Nie – odpowiedziała Della. – Prawdę mówiąc, odpędziłyśmy plądrujących. Ale niestety, kiedy ludzie rzucą towary na środku chodnika, trudno znaleźć prawowitego właściciela, żeby mu je zwrócić.

Etta siedziała cicho. Wiedziała, że sprawa jest poważniejsza, niż mogłoby się wydawać. Chciała pracować w Centrali, więc wpis w kartotece policyjnej byłby jej bardzo nie na rękę.

– Istnieje pewien sposób – odezwała się nagle. – Możemy poszukać nanooznaczeń. Powinny być przypisane do jakiejś firmy.

Galina roześmiała się.

– Faktycznie jesteś bystra – powiedziała. – Na pewno nie jesteś córką Natashy?

– Natashy Elkin? No cóż, ona wychowywała mnie przez kilka lat. Może dlatego...

– Ja jestem jej matką – wtrąciła się Della stanowczym tonem.

Trochę się wkurzyła i nie miałem jej tego za złe. Galina była świetna w łóżku, ale rozmowa z nią potrafiła człowiekowi podnieść ciśnienie.

Chodziło oczywiście o zazdrość. Della była moją eks, a Galina nie zamierzała być miłą dla potencjalnej rywalki. Postanowiłem interweniować. Zarechotałem głośno.

– Zabawne, jak ta zielona sukienka próbuje opleść twoją nogę, Della! Chyba nie wie, czego od niej oczekujesz.

– Tak, faktycznie zabawne – przytaknęła Della. – Później ją przymierzę, jeśli nadal z nami będziesz.

– Yy...

Zerknąłem na Galinę. Ledwo zauważalnie pokręciła głową. Zmusiłem się do uśmiechu.

– Chyba lepiej będzie, jeśli odstawimy was w bezpieczne miejsce gdzieś poza miastem. Może do Bridgeport, jeśli chcecie.

– Nie – powiedziała Galina. – Lecimy do Centrali. Floramel świetnie się spisała z tym stażem. Może nawet zbyt dobrze.

– Jak to?

– Pamiętasz, że chciałeś załatwić Etcie przepustkę do Centrali? Została przyjęta. Od teraz jest własnością rządową, tak samo jak ty i ja. A Della... Ty zostałeś włączona do projektu Gravesa.

Jęknąłem głośno.

– Jakiego projektu? – zapytała Della.

Na ustach Galiny pojawił się wredny uśmiech.

– Nie słyszałaś...? Ach, oczywiście, że nie. Trwa inwazja na Ziemię, a ty byłaś na „zakupach”. Te informacje są tajne, ale od teraz macie uprawnienia, żeby je usłyszeć. James? Oświeć je.

Przekazałem im złe wieści. Della, podobnie jak ja, należała do kohorty Gravesa, choć ostatnio awansowała na specjalistkę i została duchem. Dlatego nie sądziłem, że w ogóle weźmie w tym udział.

Najgorsze, że musiałem poinformować Ettę, iż jej rodzice lecą na niebezpieczną misję – a ona już widziała martwych legionistów. Nie rozplakała się, ale była w lekkim szoku. Zbladła jak ściana i przez dłuższą chwilę bez słowa wyglądała przez okno. Obserwowała miasto pod nami, a od czasu do czasu zadzierała głowę.

– Widzę – powiedziała cicho. – Teraz widać go nawet za dnia.

Nie musieliśmy pytać, o czym mowa. Wszyscy wiedzieliśmy, że na niebie pojawił się nowy księżyc. Z każdą godziną stawał się coraz większy i coraz bardziej złowrogi.

Rozdział 9

Tamtego wieczoru poleciliśmy do Centrali całą czwórką. W budynku było mnóstwo miejsca na kryzysowe kwatery dla żołnierzy. Piramidę zaprojektowano tak, aby przez najbliższych sto lat nie trzeba było jej rozbudowywać.

Zajrzałem do swoich ludzi. Upewniłem się, że dla wszystkich wystarczy uprząży teleportacyjnych, a następnie wymknąłem się pod pretekstem odprawy.

Spotkałem się z Galiną w jej gabinecie. Wyprosiła wszystkich, a potem kochaliśmy się namiętnie na kanapie.

– Chciałabym spędzić z tobą noc – powiedziała – ale wiem, że musisz wracać do swoich żołnierzy.

Przytuliłem ją na pożegnanie i wyszedłem. Padłem na łóżko siedemdziesiąt pięter poniżej jej gabinetu. Zerwałem się po paru godzinach razem ze wszystkimi, gdy weteran Moller zaczęła łomotać w ściany w ramach pobudki.

Przyjrzałem się swoim zaspanym podwładnym. Przyszła pora na odprawę.

– Trzecia kompania! – zacząłem. – W ten piękny poranek wezwano nas do działania. Naszym zadaniem jest obrona Ziemi. Nie mieliśmy okazji przysłużyć się ojczyźnie w taki sposób od czasu inwazji Głowonogów.

– Zaczynam się bać – powiedział Carlos.

– I słusznie – mruknął Harris.

Wszyscy pozostali milczeli, wpatrzeni we mnie.

– Adiunkt Harris ma rację. Idziemy na pierwszy ogień. Kiedy wielki okręt nadleci, dokonamy abordażu. Oto szansa, o jakiej wszyscy marzyliśmy.

Żołnierze byli w szoku. Nawet Carlos nie miał ochoty rzucić dowcipnym komentarzem.

– Legion Varus ma więcej doświadczenia i zasług w boju niż jakakolwiek inna formacja. Dlatego dowództwo obdarzyło nas tak wielkim zaufaniem.

Oczywiście kłamałem w żywe oczy, ale niektórzy uwierzyli. Rzecz jasna nie cwaniaki pokroju Carlosa, Harrisa czy Coopera, ale ludzie tacy jak Moller i Sargon. Oni lubili dobrą gadkę motywacyjną. I bardzo jej potrzebowali, zanim kosmici skopią im tyłki.

– W związku z tym – kontynuowałem – pozwolili mi nagrodzić premią wszystkich dzielnych żołnierzy pod moją komendą. Podwójny żołd dla wszystkich przez miesiąc!

Rozległo się kilka wesołych okrzyków. Niewiele, ale kilka. Carlos wykrzywił usta z pogardą, a Cooper podniósł rękę. Niechętnie udzieliłem mu głosu.

– Sir, to świetna wiadomość, ale tak się zastanawiam... Czy dowództwo daje nam premie, bo spodziewają się masowego pójścia na permy?

Miałem ochotę wyrzucić go przez okno na ulicę, która znajdowała się kilometr pod nami. Bez wątpienia Graves czuł się podobnie, kiedy ja otwierałem usta na odprawie.

– Nic z tych rzeczy – odparłem głośno. Kiedy publicznie kłamię, nie bawię się w subtelności. – To praktycznie niemożliwe. Pozostaniemy w zasięgu przekaźników sygnału umieszczonych w Centrali. Jak w takiej sytuacji ktokolwiek miałby pójść na permy?

– Z tego, co wiem, kadłub składa się z gęsto zbitej materii – odezwała się Natasha. – A jeśli tak, jest równie nieprzenikalny dla promieniowania elektromagnetycznego, co ściana litego ołowiu.

Moje usta nerwowo drgnęły, ale nie przestałem się uśmiechać. Pokręciłem głową.

– To jakieś paranoidalne urojenia! Mam skontaktować się z Gravesem i powiedzieć, że nie możemy iść do akcji, bo zsikaliśmy się do łóżka?

– Nie, sir! – wykrzyknęło kilku co bardziej narwanych żołnierzy.

Jeśli chodzi o oficerów, odezwała się jedynie adiunkt Barton. Coraz bardziej ją lubiłem. W Legionie Varus przydałoby się więcej osób podchodzących do służby z takim entuzjazmem.

Niedługo później zakończyłem odprawę, bo nie miałem do przekazania zbyt wielu szczegółów. Prawdę mówiąc, nawet nie było pewności, czy w ogóle pójdziemy do akcji. Mieliśmy włożyć uprząż teleportacyjną, stanąć na platformie startowej i być gotowi na skok.

Już wiele razy ćwiczyliśmy podobne rzeczy i mieliśmy sporo wprawy.

Zjedliśmy lekki posiłek, a potem przeszliśmy do odpowiedniej sekcji budynku. Pierwszą grupę wyposażylem tak, aby oprócz uprząży teleportacyjnych ludzie nie nosili ciężkiego sprzętu. Mieli skoczyć jako pierwsi i w razie potrzeby oczyścić teren, a potem osłaniać pozostałych, którzy przybędą na miejsce zaraz po nich.

Kiedy legioniści wkładali uprzęże, podszedł do mnie Leeson.

– McGill, mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Słucham, adiunkcie.

– Dlaczego nas wybrali? Znowu wkurwiłeś Gravesa?

– Ale o co ci chodzi? Przecież cała kohorta...

Roześmiał się ponuro.

– No tak, tysiąc żołnierzy skoczy za nami. Ale nie zauważyłeś, że jesteśmy dość wysoko na liście? Albo raczej... że jesteśmy na samym początku?

Popatrzyłem na rozpiskę. Nie dało się ukryć, że miał rację.

– No cóż, to znaczy tyle, że Graves nam ufa. Jesteśmy najbardziej doświadczonymi skoczkami, jakimi dysponuje Ziemia.

– Taa, jasne. A wiesz, skąd mamy tyle doświadczenia? Bo przez ciebie ciągle przydzielają nas do najbardziej pojebanych akcji. A skoro już narzekam, o co chodzi z tymi uprzężami? Czemu nie mamy większej ochrony? Co, jeśli wewnątrz okrętu jest strasznie gorąco albo zimno? Albo jeśli nie ma czym oddychać?

– Każdy będzie miał skafander ciśnieniowy i butlę z powietrzem. A w akumulatorach uprząży zapas energii na skok powrotny.

– Wspaniale. – Pokręcił głową. – Tamci otworzą wrota do ładowni albo coś w tym stylu. Wtedy my wskoczmy do środka i będziemy mieli całe pięć minut na ucieczkę.

– Raczej piętnaście – uściśliłem, choć to faktycznie nie brzmiało najlepiej.

Klepnąłem Leesona w ramię i powiedziałem, że w razie czego widzimy się w piekle.

– Skaczymy plutonami – oznajmiłem po chwili. – Lekkozbrojni adiunkt Barton jako pierwsi. Potem idzie Harris z ciężkozbrojnymi, a na końcu Leeson. Ja dołączę do Harrisa.

Ktoś pomarudził pod nosem, ktoś zmówił modlitwę, paru świeżych rekrutów nawet zwymiotowało z nerwów, ale widziałem, że wszyscy są gotowi. Człowiek nie zajdzie daleko w Legionie Varus, jeśli nie pogodzi się ze swoją rolą w tej formacji. A tą rolą jest bycie mięsem armatnim.

Zestresowani podwładni Barton ustawili się przy platformie startowej, a tymczasem sufit rozświetlił się i zmienił w gigantyczny ekran.

Zadarliśmy głowy. Wyglądało to tak, jakbyśmy przeniknęli wzrokiem setki pięter oraz całą atmosferę. Nad nami rozciągała się czerń kosmosu – tylko na brzegach pola widzenia widniała bladoniebieska poświata. Spoglądaliśmy w przestrzeń z samego skraju ziemskiej atmosfery.

Gigantyczna kula wreszcie nadleciała. Widzieliśmy ją w całej okazałości bez teleskopów i innych wspomagaczy. Przypominała Księżyc. Gładki, biały metal był poznaczony kilkunastoma śladami po eksplozjach – a każda taka plama miała powierzchnię wielkiego miasta. Wybuchy odsłoniły prawdziwe oblicze kadłuba. To była czarna, chropowata powierzchnia ze skompresowanej materii.

– Jest na orbicie, wisi bezpośrednio nad nami – zauważyła ze zdumieniem Natasha.

– Jest jak anioł prosto z piekła – stwierdził poetycko Leeson. – Mamy przesrane.

– Jest o wiele za duży – jęknął Harris. – To nienaturalne.

Wszyscy wpatrywaliśmy się w sufit. Aż do tego momentu nie docierało do mnie, jak olbrzymi jest ten obiekt. Strach ścisnął mi wnętrzności i nic nie mogłem na to poradzić. Nasza misja nagle wydała mi się samobójcza. Skazana na niepowodzenie.

Po chwili doszedłem do siebie i rozejrzałem się po twarzach milczących żołnierzy. Nawet Moller gapiała się w górę z takim przejęciem, jakby Wszechmogący we własnej osobie postanowił zejść z niebios i wpaść na obiad.

Parę razy głośno klasnąłem, aż rozbolały mnie dłonie. Ludzie zamrugali i spojrzeli na mnie.

– To sygnał dla nas, chłopcy i dziewczynki! Pora rozpocząć zabawę! Pierwsza grupa na platformę!

Wahali się przez kilka sekund, ale Barton i Moller szybko otrząsnęły się z odrętwienia i doprowadziły żołnierzy do porządku. Wkrótce cała pierwsza grupa zebrała się na podwyższeniu.

Od czasu pierwszych skoków poczyniono postępy. Zamiast aktywować każdą uprząż z osobna, dało się wysłać wszystkich jednocześnie.

– James – powiedziała mi na ucho Natasha – spływają raporty od innych techników. Okręt jest tak ogromny, że wywołuje własne pływy morskie. Dzielnica portowa jest zalana. Fale wdzierają się na ulice, James!

Wydawała się trochę spanikowana. Przypomniała mi się galeria handlowa, przy której wczoraj znaleźliśmy Dellę i Ettę. Szybko jednak zmusiłem się do skupienia na obecnej sytuacji.

– To nie nasz problem, Natasha. Skoncentruj się na zadaniu. Potrzebuję cię.

– Tak jest, centurionie. Po prostu pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć.

Natasha słynęła z tego, że była najlepszą techniczką w całej kohorcie. Graves w swojej niezmierzonej mądrości postanowił wysłać moją kompanię jako pierwszą i przydzielił mi Natashę do pomocy. Przynajmniej tyle dobrego. Miło z jego strony.

Pozostawało tylko czekanie na sygnał – i nie musieliśmy długo czekać. Wkrótce rozsunał się fragment kadłuba wiszącej nad naszymi głowami ogromnej kuli, tworząc wrota, przez które zmieściłby się supertankowiec. Z ciemnego wnętrza obiektu po krótkiej chwili wyłoniły się smukłe okręty.

– To myśliwce? – zapytał Carlos.

– Raczej lądowniki – stwierdził Sargon. – Są rozmiarów naszych barek.

– Oszalałeś? Są malutkie.

Sargon go wyśmiał.

– Wydają się małe, ale pomieściłyby tysiąc żołnierzy. Chyba nie dotarło do ciebie, jakie to kurewstwo jest wielkie.

– Och, racja. Wielkie jak Księżyc...

W tym momencie nadszedł sygnał, którego się spodziewałem. Dałem znak adiunkt Barton. Na wyświetlaczu na suficie pojawił się zegar odliczający sekundy.

– Dziesięć... dziewięć...

– Przygotować się! – zawołała Barton. – Odbezpieczyć broń! Sprawdzić dopływ tlenu!

– Prawdziwa profesjonalistka – zauważył stojący obok mnie Sargon.

– I w dodatku niezła laska – dodał stojący po drugiej stronie Carlos.

Wszyscy trzej przyglądaliśmy się, jak Barton ustawia w szyku trzydziestu pięciu przerażonych lekkozbrojnych. Niektórzy byli doświadczeni, jak Cooper i Della, ale większość należała do najbardziej zielonych ludzi w kompanii.

Kiedy odliczanie zeszło do czterech, zaczęły być widoczne efekty teleportacji. Zarysy żołnierzy rozmyły się, a oni sami wkrótce zmienili się w plamy białoniebieskiego światła.

A potem nagle zniknęli, wszyscy jednocześnie.

– Już czas! – krzyknął Harris. – Ciężkozbrojni, wasza kolej! Ruchy, ruchy, ruchy! Nie dołączyliście do Varusa, żeby żyć wiecznie!

Żołnierze ruszyli się z czymś, co od biedy można by nazwać zapalem. Ustawili się na platformie startowej w równych odstępach, a ja razem z nimi. Każdy miał na sobie pancerz wspomagany, w którym wyglądał jak bramkarz na meczu hokeja. Sama zbroja ważyła więcej niż człowiek, ale dzięki serwomechanizmom dostosowywała się do ruchów użytkownika i zwiększała jego siłę.

Znów rozpoczęło się odliczanie. Dziesięć sekund później zniknęliśmy z powierzchni Ziemi – być może po raz ostatni.

Rozdział 10

Zniknięcie w jednym miejscu i pojawienie się w kolejnym zawsze wytrąca człowieka z równowagi, ale tym razem było gorzej niż zwykle.

Nie wylądowaliśmy na twardej powierzchni. Chyba nie było czasu, żeby precyzyjnie wycelować. Zamiast tego – wykorzystując krótki moment, gdy wrota obcego okrętu były otwarte – po prostu wrzucono nas do środka. Zawisliśmy w pustej przestrzeni, dryfując bez punktu zaczepienia. A przynajmniej tak mi się w pierwszej chwili wydawało. Szybko odkryłem jednak, że tak naprawdę spadamy. Przyspieszaliśmy powoli w stronę odległej, tonącej w półmroku ściany. Była łagodnie zakrzywiona. To musiała być wewnętrzna strona kadłuba tego gigantycznego obiektu.

– O cholera... – szepnąłem. – Dowódcy plutonów, zgłoście się! Tu McGill, czekam na raport sytuacyjny!

– Mówi Harris. Nasza sytuacja jest taka, że mamy kompletnie przesrane, centurionie.

– Mówi Barton. Jestem zmuszona zgodzić się z Harrisem.

Wszyscy zrozumieliśmy, na czym polega problem. Przełożonym tak bardzo spieszyło się, żeby wysłać nas do wnętrza kuli, że chyba nie do końca przemyśleli sprawę. Rzeczywiście znaleźliśmy się w środku obiektu – ale ta przestrzeń, która służyła mniejszym jednostkom za hangar, była ogromna. Tak gigantyczna, że upadek na „podłogę” pewnie zmieniłby nas w krwawą papkę.

– Natasha? Odezwij się!

Nie odpowiedziała. Dopiero sekundę później dotarło do mnie, że jeszcze się nie teleportowała. Przydzieliłem ją do trzeciego plutonu pod dowództwem Leesona.

Spróbowałem połączyć się z Centralą, ale urwała się łączność. Może okręt emitował za dużo fal radiowych, które zagłuszały nasze transmisje, a może załoga aktywnie blokowała sygnał. Nie wiedziałem i w sumie miałem to gdzieś. Ważne, że byliśmy odcięci od Ziemi.

Właśnie – Ziemi. W tym momencie zauważyłem ją przez gigantyczne wrota. Nad błękitno-brązowo-zieloną powierzchnią sunęły białe chmury. Widziane z orbity, wyglądały jak spienione fale.

– Potrzebny mi plan – oznajmiłem. – Jakież pomysły?

– Spieprzajmy stąd – zaproponował natychmiast Harris. – Nic tu nie zdziałamy, to niedorzeczne. Tak jakby chmara much przyleciała na stadion piłkarski i zastanawiała się, jak go zburzyć.

– Wiesz co? Jak zobaczysz, że zaraz będzie z ciebie mokra plama, możesz teleportować się z powrotem. Uprzęże są cenniejsze od nas. No i zawsze można spróbować później.

– Nie byłabym tego taka pewna, centurionie – wciąła się Barton.

Rozejrzałem się i wtedy zrozumiałem. Ostatnie trzy barki opuściły kulę. Ich silniki świeciły jaskrawobiałym blaskiem, a dzioby były zwrócone w stronę Ziemi. Ilu żołnierzy transportowały te jednostki? Z pewnością więcej, niż my przysłaliśmy tutaj.

Najgorsze nie było wcale to, że barki opuszczały hangar i bombardowały nas promieniowaniem. Chodziło o gigantyczne wrota, które je wypuściły – a dokładniej o fakt, że zaczęły się powoli zamykać.

– Zaraz się zatrzasną! – wrzasnął Harris. – Będziemy uwięzieni!

– Gdzie wy wszyscy jesteście? – odezwał się Leeson, który właśnie się pojawił.

Zadarłem głowę w kierunku miejsca, gdzie sami byliśmy zaraz po skoku. Widziałem ludzi Leesona – z tej odległości wyglądali jak małe, metalowe laleczki. Na oko spadliśmy co najmniej kilometr.

Problem w tym, że o ile w atmosferze osiągnęlibyśmy prędkość graniczną z powodu oporu powietrza, tutaj panowała mniej więcej próżnia. Choć kadłub przyciągał nas z mniejszą siłą niż Ziemia, nie przestawaliśmy przyspieszać. Pędziliśmy w jego kierunku coraz szybciej i szybciej.

– Natasha! – zawołałem. – Jesteś mi potrzebna. Czy przeżyjemy upadek?

– N-nie jestem pewna. Muszę dokonać obliczeń.

– Tylko szybko. Nie zostało dużo czasu.

– Kiedy te wrota się zamkną, nie wiem, czy damy radę się wydostać. Czy upręże teleportacyjne potrafią wykonać skok przez

skompresowany pył gwiazdny?

– Jasne, że tak – powiedziałem z udawanym przekonaniem.

Obróciłem się z trudem i popatrzyłem na wrota. Były zamknięte już w połowie.

– Natasha, masz już coś?

– Yy, ze wstępnych wyliczeń wynika, że uderzymy w kadłub z prędkością około czterdziestu metrów na sekundę.

– Świetnie, a co to oznacza w praktyce? Mokra plama czy zwichnięta kostka?

– Lekkozbrojni nie mają szans. Ci w pancerzach wspomaganych mogą coś sobie złamać, ale powinni przeżyć.

Tyle mi wystarczyło.

– Barton! Pierwszy pluton, wycofać się! Powtarzam, wracajcie na Ziemię!

Nie wahali się ani chwili. Składali się głównie z nerwowych żółtodziobów. Zainicjowali sekwencję i zaczęli znikać w białoniebieskich rozbłyskach.

Plask! Plask, plask, plask!

Na wewnętrzną powierzchnię kadłuba spadł deszcz ciał. Niektórzy chyba nie zdążyli uciec i przed zakończeniem sekwencji skoku zmienili się w krwawe kleksy. Krzywiłem się przy każdym uderzeniu. Niektórzy jeszcze przez chwilę żyli – słyszałem rżący oddech tych pechowców, którzy spadli na nogi – ale większość miała szczęście i zginęła natychmiast.

Koniec końców ewakuowała się mniej więcej połowa plutonu adiunkt Barton. Mogło być lepiej.

– Wszyscy bez pancerza mają pozwolenie na teleportację z powrotem na Ziemię – nadałem na kanale całej kompanii. – Pozostali niech wycelują dysze zbiorników z powietrzem w kierunku podłoża. Wypuście połowę zapasu, żeby spowolnić upadek.

– Ty szalony sukinsynu... – powiedział ktoś. Pewnie Harris, ale nie miałem pewności.

Kilka osób zaraz zniknęło zgodnie z rozkazem. Biosi, w tym Carlos, oraz technicy, w tym Kivi i Natasha – wszyscy uciekli. Pozostali spadali w pancerzach, przygotowując się na zderzenie. Włączyliśmy silniki hamujące i wystrzeliliśmy w dół strumienie

bezcennego powietrza, żeby trochę zwolnić. Do pewnego stopnia zadziałało. Ale podłoże nadal zbliżało się o wiele za szybko.

– Zegnijcie kolana! – zawołali Moller i Sargon. – Zegnijcie, kurwa, kolana, wy żałosne kleksy!

Zrobiliśmy to, co kazali. Wszyscy już mieliśmy za sobą rzuty bojowe. Co oczywiste, bo na ciężki pancierz trzeba sobie zasłużyć.

Tak więc ugiąłem kolana, opróżniłem do połowy butlę z powietrzem, zacisnąłem zęby i zacząłem się modlić. A potem wewnętrzna strona kadłuba uderzyła mnie w podeszwy stóp jak gigantyczny młot.

Rozdział 11

Większość przeżyła i nawet niczego sobie nie złamała ani nie uszkodziła pancerzy. Wyjątek stanowił Leeson i był z tego powodu bardzo niezadowolony.

Jakimś sposobem zaczął wirować tuż przed upadkiem. Pewnie wypuścił za dużo powietrza ze zbiornika, a jednocześnie nie wycelował dyszy pod odpowiednim kątem. Przy uderzeniu rozbił sobie kolano i osłonę twarzy, a potem zaczął koziołkować. Panowało tu ciśnienie podobne do księżycowego, więc jego ciało odbiło się i przeleciało kilkanaście metrów, zanim z powrotem spadło.

Podszedłem do niego na obolałych nogach. Leżał na plecach. Osłonę jego twarzy pokrywała pajęczyna pęknięć – wyglądała jak lustro uderzone młotkiem. Jęknął.

– Już po mnie – wyrzęził i kaszlnął. – Chyba złamałem kręgosłup.

Otworzyłem ekran diagnostyczny jego pancerza. Wystawił sobie poprawną diagnozę. Po paru dziesięcioleciach w Legionie Varus człowiek stawał się ekspertem od urazów własnego ciała.

– Laser czy hełm? – zapytałem, stając nad nim.

– Co? Nie dasz mi nawet umrzeć w spokoju?

– Nie. Muszę wziąć twój zbiornik z powietrzem, zapasowy akumulator, broń i uprząż teleportacyjną. Jesteś padliną.

– Skurwysyn – mruknął, po czym otworzył osłonę twarzy.

Strzeliłem mu prosto w prawy oczodół, żeby się nie męczył.

Kiedy wszyscy wylądowali, policzyliśmy ludzi. Zostało mi trzydziestu dziewięciu zdolnych do walki żołnierzy – mniej więcej jedna trzecia liczby, z którą zacząłem akcję.

– A pozostałe kompanie? Co z nimi? – zapytałem Harrisa, mojego jedyne go ocalałego oficera. – Wiadomo coś?

– Nie – odpowiedział. – Pewnie nie zdążyli skoczyć. Wrota się zamknęły.

– Może dowództwo zobaczyło, jak kiepsko nam poszło, i kazali im się wstrzymać.

– Zresztą niewykluczone, że gdzieś tu są. Okręt jest gigantyczny, a łączność dalekiego zasięgu wysiadła.

Rozglądaliśmy się powoli, próbując ogarnąć wzrokiem otoczenie. Znaleźliśmy się wewnątrz komory większej niż miasto. Nad naszymi głowami wisiały setki przypominających szpony systemów dokowania.

– Jednostki desantowe pewnie zwisały z tych metalowych łap – spekulował Harris. – A potem, po otwarciu wrót, odczepiły się i zaczęły spadać w stronę planety.

– Pewnie tak – zgodziłem się. – Dobra, chodźmy stąd. Niech każdy weźmie butlę z powietrzem i zapasowy magazynek, jeśli je znajdziecie.

Ograbiliśmy zwłoki z wprawą godną hien cmentarnych i ruszyliśmy dalej. Założyłem, że zostaliśmy wykryci. Na pokładzie musieli być jacyś strażnicy, więc chciałem opuścić strefę lądowania przed ich przybyciem.

Minęło dopiero dziesięć minut, od kiedy pierwszy pluton zniknął z Centrali i pojawił się tutaj. Moi ocalali biegli truchtem w kierunku najbliższego charakterystycznego obiektu w zasięgu wzroku, czyli wielkiej, podzielonej na segmenty wieży z ciemnego metalu.

Dotarcie tam wymagało trochę czasu. Gdy byliśmy w połowie drogi, zamykający kolumnę żołnierze wszczęli alarm. Zatrzymaliśmy się, dysząc ciężko, i popatrzyliśmy za siebie. Naszych zabitych znalazł rój obcych maszyn latających. Wydawały się zdumione. Jedne zawisły w powietrzu, inne zataczały kółka, jeszcze inne szturchały ciała.

– Zostawiłem dla nich małą niespodziankę – powiedział Sargon z szerokim uśmiechem.

Wcisnął przycisk detonatora. Latające kształty pochłonęła kula plazmy, a kiedy zniknęła, po trupach i obcych nie został nawet ślad.

Harris rąbnął Sargona w tył hełmu. Weteran odwrócił się z żądzą mordy, ale uspokoił się, gdy zobaczył, kto za nim stoi.

– Pieprzony durniu! – syknął Harris. – Teraz już na pewno wiedzą, że mają komandosów na pokładzie!

– Spokojnie, Harris – powiedziałem. – To było dość oczywiste, kiedy znaleźli cmentarzysko kleksów.

– Mogli pomyśleć, że wszyscy intruzi zginęli. A teraz wiedzą, że tu jesteśmy.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie przejmuj się tak bardzo. Nie przyszliśmy, żeby się zaprzyjaźnić, tylko zrobić rozwałkę.

– Skoro mowa o rozwalaniu... Co teraz, centurionie? – zapytał Sargon, który najwyraźniej miał ochotę coś zabić.

Wskazałem w dal.

– Jedyne obiekty, do którego zdążymy dotrzeć, zanim skończy nam się powietrze, to tamta wieża. Chodźcie, wygląda na ważną.

– Będę pierwszy – mruknął Sargon.

Wykorzystując siłę egzozszkieletu, puścił się biegiem szybciej niż jakikolwiek człowiek bez pancerza wspomaganego. Chciałem go skarcić, żeby zwolnił. W końcu niepotrzebnie zużywał tlen i energię, ale nagle zrozumiałem, że Harris ma rację, a Sargon o tym wiedział. Wróg nas namierzył. Nieważne, co zrobimy – od teraz było jedynie kwestią czasu, zanim nas dopadną. Oczywiście jeśli wcześniej się nie udusimy.

– Sir! – zawołał ktoś za mną. Odwróciłem się. To była Moller. – Proszę o pozwolenie na teleportację, sir!

– W czym problem? – zapytałem, ale zanim odpowiedziała, zobaczyłem, o co chodzi. Miała pękniętą osłonę twarzy. – Kończy się pani powietrze?

– Tak, wystarczy go tylko na minutę. Próbowалаm uszczelnić pęknięcie, ale powietrze wciąż ucieka.

– Mogę pani dać drugą butlę.

– Nie, sir – odparła stanowczo. – Nie warto. Powietrze i tak ucieknie.

– Moller, nie sądzę, żebyśmy mogli stąd uciec. Przecież bomby nie dały rady teleportować się przez kadłub. A wrota już się zamknęły.

– Ja to wszystko wiem, sir. Ale wolę spróbować, niż się udusić.

Po chwili zastanowienia skinąłem głową.

– Zezwalam.

Otoczył ją błękitny blask, a potem zniknęła. Uśmiechnąłem się. Chyba jej się udało. Ale potem przytruchtał Harris z gębą wykrzywioną grymasem obrzydzenia.

– Spierdoliła? Ma za swoje.

Wskazał na coś pod moimi stopami. To była metalowa rękawica Moller. Rozcapierzone palce wyrastały z podłoża na podobieństwo kwiatu. Próbowwała teleportować się przez gęstą materię, ale utknęła na głębokości metra. Była martwa, na zawsze zatopiona w gwiazdnym pyłe.

Z ponurą miną odwróciłem się w stronę wieży, do której pędził Sargon. Ruszyłem pospiesznie w tym samym kierunku. Z wnętrza okrętu nie dało się uciec. Najlepsze, co mogliśmy zrobić, to dokonać przed śmiercią jak największych zniszczeń.

– Dalej, ludzie! Maksymalna prędkość!

Wykorzystując siłę pancerzy wspomaganych, pędziliśmy przed siebie, sadząc ogromne susy w niskiej grawitacji. Z każdym krokiem przebywaliśmy dziesięć metrów. Odległość od wieży szybko malała.

Kątem oka zobaczyłem coś wysoko nad nami, ale zignorowałem to. Gonila nas chmara latających obiektów, jednak to nie miało znaczenia. I tak kończyło nam się powietrze.

Teraz wieża bardziej przypominała gigantyczną, spiralnie zwiniętą rurę albo kabel. Jednak zanim tam dotarliśmy, dogonili nas wrogowie podobni do ptaków. Chyba nigdy nie atakowały mnie dziwniejsze stwory. Ich podobne do płaszczyk, metalicznie lśniące ciała trzepotały jak skrzydła. Wewnątrz okrętu praktycznie nie było atmosfery, więc nie wiem, jakim cudem te cholerstwa latały.

Kiedy wysunęliśmy ostrza siłowe i przecięliśmy pierwszą z istot, dowiedzieliśmy się czegoś na ich temat. Nie były do końca robotami. Składały się częściowo z metalu, a częściowo z ciała. Trzepotały i wiły się jak żywe, a po przecięciu tryskały naokoło ciemną krwią o konsystencji oleju silnikowego.

Najdziwniejsze jednak było to, że wcale nie próbowały nas zabić, tylko wziąć do niewoli. Chwytały za pancerze metalowymi szponami i unosiły nas w powietrze. Zwykle kończyło się to dla nich kiepsko. Cięliśmy je i spadaliśmy z powrotem na kadłub.

Kiedy zginęła setka stworów, pozostałe odleciały, zbijając się w ciemną chmurę. Spoglądając w górę, uświadomiłem sobie, że chmara składa się z tysięcy podobnych, koszmarnych istot.

– Centurionie! – zawołał Harris. – Mamy poważniejsze problemy! Szarżują na nas większe dranie!

Na mapie wyświetlacza hełmu zaroilo się od czerwonych kropek. Odwróciłem się. Harris miał rację. Przez gigantyczny hangar biegło stado dziwacznych istot. Nie byłem pewien, czy to roboty, czy opancerzone zwierzęta. Cokolwiek to było, pędziło na czterech nogach i chyba miało wrogie zamiary. Z tej odległości nie umiałem ocenić rozmiarów, ale na oko stwory wydawały się dwa albo trzy razy wyższe od człowieka.

– Jakieś maszyny kroczące? – zastanowiłem się na głos.

– Nie wiem – odpowiedział Harris. – Mają zaokrąglone kształty i ruszają się tak, jakby posiadały mięśnie. To pewnie metal i tkanki połączone w jedną całość, jak u tamtych latających skurwieli.

Przez moment nie byłem w stanie oderwać od nich wzroku. Biegły na nas z zabójczą determinacją, a każdy stwór poruszał się dokładnie tak, jak pozostałe. W moim mózgu odpalił się jakiś pradawny instynkt. Miałem wrażenie, że szarżuje na nas sfera głodnych drapieżników.

– No dobra, słuchajcie! – zawołałem. – Nie dotrzemy do celu, zanim nas dogonią. Sargon, weź ładunek i pędź sprintem do tamtej spiralnej niby-wieży. Wszyscy pozostali pobiegną w przeciwną stronę.

Sargon był już spory kawałek przed nami, ale usłyszał polecenie.

– Się robi, centurionie! Zniosę futbolówkę do celu albo zginę, próbując!

– Dobra, ludzie, ruchy! – Po tych słowach odbiłem w bok.

Sargon niósł jedną z naszych nielicznych bomb. Nie zostało wiele głowic tego typu, bo wytwarzanie antymaterii jest bardzo trudne i wymaga użycia akceleratorów cząstek. Ma ona jednak jedną bardzo przydatną właściwość – kiedy zetknie się ze zwyczajną materią, zmienia ją oraz siebie w czystą energię.

Przy produkcji takiej bomby najtrudniej jest sprawić, żeby nie wybuchła przed czasem. Tutaj niepotrzebny jest detonator. Wystarczy pozwolić, żeby ładunek z czymś się zetknął. Dla porównania, nawet najbardziej wydajne głowice termojądrowe konwertowały na energię tylko dziesięć procent materii.

Niestety, zużyliśmy większość arsenału podczas ataku T-bombami. Na szczęście Graves powierzył mojej kompanii jedną z nielicznych

ocalałych głowic z antymaterią. Trzymał ją Sargon. Dlatego teraz wszyscy bieглиśmy w przeciwną stronę.

Chmara latających istot zgęstniała i znów na nas spadła. Tym razem były ich tysiące. Cięliśmy i strzelaliśmy, ale ciągle nadlatywały nowe. Próbowaly nas złapać. Czasami im się udawało. Porwani w powietrze żołnierze szarpali się, ale nie mogli się uwolnić.

Jednak większość walczyła i ginęła w bardziej naturalny sposób, czyli ze stopami na podłożu. Zabijaliśmy setki stworów, jednak na ich miejsce nadlatywały kolejne. Odnosiłem wrażenie, że przeciwnik kompletnie nie zwraca uwagi na poniesione straty. Istoty najwyraźniej nie czuły strachu ani bólu. Przecięte na pół, wiły się i czołgały, aż wreszcie zastygały w bezruchu. To było jak walka z ogromnymi owadami.

Minęło już piętnaście minut, odkąd znaleźliśmy się wewnątrz okrętu wroga. Było nas coraz mniej i kończyło nam się powietrze, ale to bez znaczenia. Ten atak był szaleństwem od samego początku. Jak setka ludzi mogła zniszczyć obiekt wielkości Księżyca? Nawet gdybyśmy zdążyli teleportować do środka tysiąc żołnierzy, i tak by to niczego nie zmieniło.

A potem za moimi plecami rozbłysła jaskrawa eksplozja. Pochwyciłem ją kątem prawego oka – i natychmiast na nie oślepiłem. Na szczęście drugie oko wciąż działało.

Sekundę albo dwie później uderzyła w nas fala rozgrzanego gazu. Podmuch oderwał nas od podłoża jak suche liście.

Kiedy leciałem, wirując, znów zobaczyłem niebo. To był piękny widok. Gigantyczne wrota z powrotem się rozsuwały, odsłaniając czerń kosmosu i błękit Matki Ziemi.

Na tym etapie mój mózg nie działał najlepiej. Oberwałem masą promieniowania jonizującego. Byłem chodzącym trupem. Jednak mimo to zrozumiałem, czym była ta spiralnie skrzycona wieża – ogromną sprężyną. A może liną. W każdym razie czymś, co trzymało wrota w pozycji zamkniętej. Sargon musiał tam dotrzeć i odpalić ładunek. W ten sposób popsuł mechanizm. Wrota rozsuwały się jak wielka, ziewająca paszcza.

Co więcej, wewnątrz gigantycznego okrętu istniała szczątkowa atmosfera. A może to były jedynie gazy powstałe w wyniku

eksplozji. W każdym razie coś w rodzaju powietrza wydostało się w przestrzeń kosmiczną. Podmuch uciekających gazów poderwał mnie w górę i posłał w kierunku Ziemi.

Kiedy wyleciałem na zewnątrz i oblało mnie jaskrawe światło naszej gwiazdy, zacząłem nadawać przez radio. Nikt nie odpowiedział. Ani moi żołnierze, ani Centrala, ani nawet kontrola lotów kosmicznych. Nie poddawałem się jednak. Z pancerza uciekało powietrze, a ciało i umysł powoli odmawiały posłuszeństwa, gdy bezsilnie wirowałem w przestrzeni. A jednak wciąż transmitowałem wszystko, co zarejestrował mój stuk. Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Miałem świadomość, że prędzej czy później spadnę z orbity i spłonę w górnych warstwach atmosfery. Ale udusiłem się na długo przed tym.

Rozdział 12

Obudziłem się z jękiem i omal nie spadłem ze stołu. Jeszcze nie byłem w stanie mówić, ale zdołałem się podnieść i usiąść. Tak mniej więcej.

– To było wspaniałe! – odezwał się ktoś chrapliwym głosem. Po sekundzie skojarzyłem, że to Graves. – Oto człowiek, który pali się do walki! – kontynuował z nietypowym dla niego entuzjazmem. – Jakie to uczucie być bohaterem Ziemi, McGill?

– Mmfff? – zapytałem.

Z jakiegoś powodu usta jeszcze mnie nie słuchały. Najwyższym wysiłkiem woli zdołałem rozchylić powieki. Raziło mnie światło.

– Jaki ma wynik? – zapytała kobieta.

Dotknęła mojej twarzy. Pozwoliłem na to.

– Osiem – odpowiedział sanitariusz. – Ale jego system nerwowy chyba jeszcze nie współpracuje z twarzą.

– To znaczy, że jest złym odrostem? – zapytał z rozczarowaniem Graves. – Szlag, co za pech.

– Trudno było wyodrębnić skany – wyjaśniła bioska. – Jego engramy były pełne zakłóceń. Skąd wzięliście ten plik, primusie?

– Z orbity – odpowiedział Graves.

– To wiele wyjaśnia. Odpalę rozdrabniarkę.

Usłyszałem szum wirujących ostrzy. Otworzyłem szeroko oczy i zamrugąłem. Chętnie złapałbym jakąś broń, ale wciąż byłem za słaby i kręciło mi się w głowie.

– Niech pani wyłączy tę cholerną maszynę – warknął Graves. – Dajmy mu szansę. Nie pozwolę zmielić swojego najlepszego żołnierza, dopóki nie ma pewności, że to konieczne.

Bioska skinęła na sanitariusza. Asystent niechętnie wyłączył urządzenie.

– Ludzie często kierują się emocjami w takich przypadkach, primusie – powiedziała kobieta. – Czasem najtrudniejszy wybór jest tym właściwym.

– Nie musi mi pani tego mówić – mruknął Graves.

Nie mogłem uwierzyć, że się za mną wstawił. Prawdę mówiąc, byłem zdumiony, że w ogóle mnie wskrzesili. Kiedy umierałem, dryfując w próżni, w pobliżu gigantycznego okrętu obcych, zakładałem, że to była moja ostatnia akcja. A teraz primus Graves chronił mnie i chwalił? To chyba pierwszy raz.

– Sir... – wymamrotałem z trudem.

– No i proszę! – wykrzyknął Graves. – Słyszała pani? Zaczyna mówić.

– Musi zostać na obserwację, primusie. Gdyby zechciał pan wrócić za godzinę...

– Nie, nie, nie. Zabijecie go i spróbujecie od nowa, pieprzone konowały. Wie pani co? Zabieram go stąd. Jeśli za pół godziny dalej będzie mówił jak po udarze, osobiście go zastrzelę i wrzucę do rozdrabniarki.

– Jak pan woli – westchnęła z rezygnacją bioska. – Proszę przyłożyć kciuk w tym miejscu, sir.

– Co to jest?

– Standardowy formularz wypisu.

Graves łypnął ze złością na tablet i na znudzoną specjalistkę. Miała wyraz twarzy przemęczonej pracowniczki niebieskiego pokładu, która chce mieć po prostu święty spokój.

– Chodzi o to, że w razie czego będzie pani zwolniona z odpowiedzialności, prawda?

– Mniej więcej do tego się to sprowadza, sir.

Graves przyłożył kciuk do płytki, potem pomógł mi wstać i wcisnął się w mundur z inteligentnej tkaniny. A później wyszliśmy z tego miejsca cuchnącego nowym życiem i starą śmiercią.

– Dźźź... – wybełkotałem.

– Dzięki? Jeszcze nie dziękuj. Bohater czy nie, lepiej, żebyś był w stanie mówić za dwadzieścia minut, bo inaczej sam cię załatwię.

– Czemm...?

– Czemu cię załatwię? Bo nie mogę pozwolić, żeby zły odrost gadał z żołnierzami. Albo z dowództwem.

– Nie... Czemu bohater?

Każde słowo wypowiadałem z wielkim wysiłkiem. Nie powinno tak być, ale czasem nowo wyhodowane ciało nie chciało od razu działać jak należy.

– Czemu jesteś bohaterem? Bo dzięki tobie okręt odleciał! Nie wiedziałeś?

– Byłem... martwy...

– Oczywiście, no tak. Oto skrócona wersja. Kiedy obiekt znowu się otworzył, jakimś cudem odebraliśmy transmisję z twojego pancerza. Załodze okrętu chyba nie spodobało się, że rozwalileś wrota i nie dało się ich już zamknąć. Kula obróciła się tyłem do Ziemi, a potem oddaliła się na kilka milionów kilometrów. Pewnie obcy bali się, że władujemy im na pokład T-bomby i rozwalimy cholerstwo od środka.

– Świetny pomysł...

– Pomysł był dobry, ale nie mieliśmy już bomb teleportacyjnych. Zużyliśmy wszystkie przy pierwszym ataku. Na szczęście wrogowie o tym nie wiedzieli i woleli nie ryzykować.

Podczas tej wymiany zdań zacząłem iść bez pomocy. Nie byłem jeszcze w stu procentach sprawny, ale przynajmniej nie czułem się chory. Z każdą sekundą rozjaśniało mi się też w głowie.

– Bardzo dobrze, rozchodź to odrętwienie – powiedział Graves. – Przed misją zjesz z nami kolację. Pretor Drusus zażyczył sobie, żebyś usiadł przy jego stoliku. Będziesz honorowym gościem.

– Przed misją?

– Oczywiście. Chyba nie myślałeś, że już po wojnie, prawda? Trwa inwazja. Zanim uciekł wrogi okręt matka, przyleciało dziewięćdziesiąt jeden jednostek desantowych, a każda transportowała około tysiąca żołnierzy.

Zaskoczył mnie. Przetrawiałem jego słowa, gdy szliśmy przez Centralę. Graves mówił przez całą drogę do biur Legionu Varus. Gdy tam dotarliśmy, wiedziałem już, że w New Jersey zaroilo się od kosmitów. Nie takiego powrotu z akcji oczekiwałem.

Do tego czasu byłem już w stanie normalnie mówić, więc zdałem raport. Graves, Turov i Winslade maglowali mnie przez parę godzin. Opowiedziałem o dziwnych istotach-cyborgach, z którymi walczyliśmy i przegraliśmy. Byli szczególnie zainteresowani sposobem działania gigantycznej niby-sprężyny, będącej częścią mechanizmu otwierającego wrota hangaru.

– Naprawdę mamy uwierzyć, że zwyczajnie popsuliście zawias? – zapytał nieufnie Winslade.

– Primusie Winslade, znamy się od dawna – odparłem. – Od bardzo dawna. Zgodzę się, że moje raporty po akcji bywały nieprecyzyjne albo... powiedzmy, że czasem podkoloryzowane. Ale to wszystko sprawa przeszłości. Dzisiaj w grę wchodzi los Ziemi. Obstawiam przy swojej wersji.

– Zastanawiam się... – zaczął.

– Wystarczy – przerwała mu Turov. – Winslade, możesz wyjść.

– Ściśle rzecz biorąc, jako pracownik Hegemonii odpowiadam przed Drususem, pamiętasz? Jestem tutaj jego przedstawicielem.

– Świetnie. W takim razie przekażę mu, że nie współpracujesz.

Winslade zabrał rękę ze stołu tak gwałtownie, jakby użądliła go pszczoła. Coś mi mówiło, że nie należał do ulubieńców Drususa i wolał, żeby szef nie słyszał skarg na jego temat.

– Zajrzę do kucharzy – powiedział. – Nie chcę znowu dostać zimnego posiłku.

– Tak zrób – mruknęła Galina.

Wyszedł, obrażony. Zostałem z Gravesem i naszą trybun. Bez Winslade'a atmosfera zrobiła się dużo przyjemniejsza, bo ci dwoje byli ze mnie całkiem zadowoleni. Graves był dumny, że żołnierze Varusa przepędzili okręt wroga, nawet jeśli przeciwnicy zdążyli zostawić swoje siły na powierzchni. Z kolei Turov zastanawiała się, jak najlepiej wykorzystać do własnych celów sukces mojej kompanii. Tak czy inaczej, żadne z nich nie miało ochoty słuchać, jak Winslade szuka dziury w całym.

– Niestety, nie zachowały się żadne nagrania – powiedział Graves.

– Mamy tylko to, co zarejestrowali żołnierze, którzy się wycofali. Nie widać tam wrogów, których opisałeś. Twoja ostatnia transmisja zawierała tylko najważniejsze pliki, czyli mentalny engram i dane z biomonitora pokazujące, że umierasz.

– Wielka szkoda – mruknęła z namysłem Galina. – Nagranie z waszego abordażu zrobiłoby wielkie wrażenie, gdybyśmy odtworzyli je na dzisiejszym bankiecie.

Nie miałem takiej pewności. Akcja była chaotyczna i tylko cudem nie zakończyła się całkowitą porażką. Skoczyliśmy do środka, część ludzi zmieniła się w kleksy, część uciekła prawie od razu. Pokiereszowane niedobitki biegały po okręcie jak karaluchy, aż w końcu wysadziły się z desperacji.

Oczywiście nie opisałem przebiegu zdarzeń w ten sposób. W mojej wersji to był bohaterki atak i przeprowadzona niemal wzorowo akcja, podczas której podejmowaliśmy kluczowe decyzje pod ostrzałem. Ktoś mógłby stwierdzić, że ubarwiam wydarzenia w nadziei na awans. Ale to nieprawda. Całkowicie zadowolony mnie stopień centuriona, a zresztą większość przełożonych raczej niechętnie podchodziła do pomysłu zrobienia ze mnie primusa. Nie w tym rzecz. Koloryzowanie i chwalenie się przychodziło mi naturalnie, wręcz odruchowo. Kiedy fakty wymagają lekkiego ubarwienia, warto wezwać Jamesa McGilla.

Wieczorem, zgodnie z obietnicą Gravesa, usiadłem przy stole obok Drususa. Co więcej, na bankiecie pojawiło się wiele wysoko postawionych osób, w tym również inny pretor o nazwisku Wurtenberger. Był grubszym facetem z europejskiego odpowiednika Centrali. Nie widziałem go od paru lat.

Z kolei Graves i Winslade nie przyszli. Prawdę mówiąc, byłem na bankiecie jedynym gościem poniżej stopnia trybuna. Wielu oficerów czułoby się na moim miejscu jak ryby wyjęte z wody, lecz nie ja. Towarzystwo dygnitarzy nie robiło na mnie wrażenia. Większość uwagi skupiałem na drzwiach między salą a kuchnią.

– Kiedy podadzą jedzenie? – zapytałem ponownie.

Drusus uśmiechnął się dobrodusznie.

– Widzę, że nie przybrałeś ani kilograma, McGill. I nie postarzałeś się ani o rok.

– Rzeczywiście, sir. Odświeżyli mi ciało dziś po południu.

Oczywiście „odświeżenie” oznaczało w legionach śmierć za Matkę Ziemię i wydrukowanie nowego ciała w maszynie wskrzeszającej. Nowa kopia często była co najmniej parę lat młodsza od tej, która zginęła. Z kolei zawartość naszych mózgów – wspomnienia, umiejętności i tak dalej – aktualizowano na bieżąco, dzięki czemu pamiętaliśmy swoją przeszłość.

– Oczywiście – odpowiedział Drusus. – Spektakularna operacja. Wróg był ewidentnie zaskoczony i nieprzygotowany na odparcie abordażu.

– Dziękuję, sir. Przenieśliśmy walkę na ich podwórko.

– Nadzwyczajne – odezwał się pretor Wurtenberger. Miał niemiecki akcent i trochę wkurzający głos. – Nasza flota wystrzeliła

w najeźdźców wszystko, co miała. Nawet T-bomby nie zdołały spenetrować pancerza. Jak wam się to udało, centurionie McGill?

Podniosłem wzrok znad menu, do którego śliniłem się, od kiedy usiedliśmy. Daniem dnia była jagnięcina. Uwielbiam dobrze przyrządzoną jagnięcinę.

– Yy, no cóż, sir. O ile wiem, tamci otworzyli wrota. W ten sposób przedostaliśmy się przez kadłub.

– Och tak, oczywiście. Słyszałem tę teorię, że zbity pył gwiazdny nie pozwala na teleportację... ale w to nie wierzę.

– Hm? Nie wierzy pan?

– Nie. Tutaj z pewnością chodzi o coś więcej niż o relatywnie wysoką gęstość materiału, z którego wykonany jest kadłub.

– Jak to?

– Proszę pomyśleć o podróży do innych układów gwiazdnych. Teleportowana osoba często przenika przez całą Ziemię, aby dostać się na inną planetę. Jak mam uwierzyć, że zaledwie kilkaset metrów...

W tym momencie Galina nachyliła się do Wurtenbergera i dotknęła jego uniesionej ręki, posyłając mu słodki uśmiech.

– Proszę wybaczyć, pretorze – powiedziała tonem, który w jej ustach wydał mi się nienaturalnie uprzejmy. Wiedziałem, że jest wkurzona, ale ona zawsze potrafiła doskonale ukrywać swoje prawdziwe emocje. – Nie wszystko wiadomo na temat tego przeciwnika. Jednak mamy nadzieję wkrótce zrozumieć więcej.

Wurtenberger ze zdziwieniem spojrział na jej dłoń. Puściła jego rękę dopiero po chwili. Wiedziałem, że zrobiła to specjalnie – żeby odebrać mu zdolność klarownego myślenia. Galina była szalenie atrakcyjną kobietą i nie miała oporów, żeby wykorzystywać swoje wdzięki do własnych celów.

– Ma pani na myśli wrogie siły naziemne, zgadza się? – zapytał Wurtenberger.

– Naturalnie – odpowiedziała Galina wciąż tym samym spokojnym głosem. Była nieuprzejma tylko wobec ludzi niższych stopniem. – Najeźdźcy zostali już otoczeni przez sześć legionów pozaziemskich. Są uwięzieni w New Jersey.

– Próbuje mi pani powiedzieć, że są odcięci?

– Owszem. Nie przewidujemy...

– Nie, nie przewidujecie. Ale ja muszę to robić. Dlatego zakładam, że ich siły naziemne, podobnie jak okręt matka, mają wyższą skuteczność bojową od naszych oddziałów.

Galina zmarszczyła brwi.

– Czyżby posiadał pan jakieś informacje, którymi nie dysponuję, sir?

Wurtenberger zerknął na Drususa i odchrząknął. Jednak zanim coś powiedział, przyszedł kelner. Wszyscy zamówiliśmy jedzenie. Ja od razu poprosiłem o dodatkową porcję i nikt nie zaprotestował.

Gdy kelner odszedł, Drusus nachylił się do Galiny.

– Trybunie, ponieważ zamierzam wysłać Legion Varus do odparcia tej inwazji, mam poczucie, że powinienem informować panią na bieżąco.

To nie zabrzmiało najlepiej. Z wrażenia prawie przestałem chrupać pałeczki chlebowe.

– Proszę mnie oświecić, pretorze – odpowiedziała Turov.

– Wrogowie wylądowali w formacji w kształcie okręgu – zaczął Drusus. – W ten sposób utworzyli perymetr obronny o powierzchni około dwudziestu kilometrów kwadratowych. Siły przeciwnika ukrywają się tam pod kopułą z pola siłowego emitowanego przez ich okręty.

– Mówimy o tarczy formowanej wspólnie przez dziewięćdziesiąt jednostek? – upewniła się Galina.

– Owszem.

– Co robią pod tą kopułą?

– Tego nie wiemy. Nic się stamtąd nie wydostało. Na tym obszarze znajduje się niewielkie miasto o nazwie Hammonton. Spodziewamy się najgorszego.

– Nie słyszałam o nim. Ale przyznaję, że to niepokojące. Zakładałam, że wylądowali gdzieś na otwartej przestrzeni. Nie podoba mi się sytuacja z cywilami. To komplikuje sprawę.

– Założę się, że mieszkańcy Hammonton też nie skaczą z radości – wtrąciłem się.

Galina spojrzała na mnie przelotnie i znów skupiła wzrok na Drusucie.

– Naprawdę nic stamtąd nie wyszło? – zapytała. – Nawet te latające roboty, o których wspominał McGill?

– Nic. Otoczyliśmy kopułę i cały czas przemieszczamy wojska w te okolice. Jednak nadal nie mamy pojęcia, z czym przyjdzie nam się zmierzyć, kiedy wrogowie w końcu opuszczą tę strefę.

– Powinniśmy tam wejść – stwierdziłem stanowczo. – Wmaszerować pod kopułę i ich wyrznąć. Cokolwiek tam robią, na pewno nam się nie spodoba.

Drusus zrobił zmartwioną minę. Wiedziałem, że myśli o ludności cywilnej. Wyszukałem na stuku Hammonton. Populacja wynosiła około trzydziestu tysięcy. Sporo zakładników. Ogromna odpowiedzialność.

– Uważam, że pański bohater ma rację, Drususie – odezwał się Wurtenberger. – Należy wkroczyć teraz, zanim przeciwnik wykona następny ruch.

Drusus dowodził lokalnymi siłami obronnymi Ziemi. Raz, wiele lat temu, był odpowiedzialny za wszystkie armie podczas inwazji na naszą planetę. Chyba nie przypadła mu do gustu liczba zabitych. I teraz też wolał uniknąć strat w ludności cywilnej.

Po dłuższej chwili namysłu skinął głową do Turov.

– Jutro rano wyśle pani Legion Varus do akcji. Solstice już tam jest. Rozbijają obóz.

– A co z Żelaznymi Orłami albo Germaniką?

– Oba legiony stacjonują na innych planetach.

Galina oczywiście o tym wiedziała. Wspomniała o tych formacjach – mogących przecież poszczycić się chwalebną historią – chyba po to, aby podkreślić fakt, że Ziemia za bardzo rozproszyła swoje siły.

To był poważny problem. Zdobyliśmy nowe planety, ale to oznaczało, że trzeba ich strzec, aby nie stracić. Mieliśmy ograniczoną liczbę doświadczonych legionów. Zaczynało ich brakować.

Do tego czasu opróżniłem pierwszy talerz. Dobrze, że czekała na mnie druga porcja. Dla postronnego obserwatora wyglądało to tak, że jadłem powoli, żeby nie skończyć przed pozostałymi. Prawda oczywiście była inna – położyłem jeden talerz na drugim. Trochę się kołysał, ale ogólnie rozwiązanie sprawdziło się całkiem nieźle.

Rozdział 13

Tej nocy spałem z Galiną. Do naszego seksu wkradła się nerwowość, którą znaleźliśmy aż zbyt dobrze. Kiedy człowiek przeczuwa, że wkrótce zginie, albo kiedy właśnie otarł się o śmierć, kocha się gorączkowo i łapczywie.

Na krótko przed świtem byliśmy trochę zaspani, ale względnie szczęśliwi. Przegadaliśmy dzielące nas różnice i byliśmy zdeterminowani, żeby wykonać misję.

Gdy rano wsiedliśmy do barek mających przetransportować nas na pole walki, przybraliśmy maski niewzruszonych profesjonalistów.

Dopiero z powietrza zobaczyliśmy na własne oczy kopułę wroga. Ustawione w ogromny krąg dziwaczne pojazdy latające w kształcie nietoperza generowały litą ścianę pola siłowego.

– Wygląda na to, że ten bąbel nie jest tak trudny do przebicia – rzuciłem do Harrisa.

– Racja – odpowiedział. – Parę taktycznych głowic rozwaliby te okręty i już po kopule. Nie wiem, po co Drusus nas tu w ogóle przysłał.

– Chyba śnicie – wtrącił się siedzący po mojej lewej Leeson. – Ci na górze nie chcą walnąć atomówką w samym środku New Jersey. Nie chcą stracić wyborców. Prędzej pozwolą, żebyśmy zginęli po dwadzieścia razy, próbując zdobyć miasto.

Leeson pewnie miał rację. Dowództwo uznało, że inwazja nie jest szczególnie poważna, a obszar był przecież gęsto zaludniony. Nikt nie chciał radioaktywnej chmury nad Nowym Jorkiem. Straty w żołnierzach zdawały się znacznie łatwiejsze do przełknięcia – zwłaszcza że my dostaniemy po prostu nowe ciała, gdy będzie po wszystkim.

– Każą nam się tu zgrupować i masowo wbiec do kopuły – powiedziałem z namysłem. – Będzie krwawa jatka. W Hammonton wrogowie mają zakładników.

– Zakładników? Ha! – prychnął lekceważąco Leeson. – Pewnie już ich zjedli czy coś.

Zmarszczyłem brwi i zacząłem zastanawiać się nad szykiem, w jakim trzecia kompania powinna tam wkroczyć, gdy padnie rozkaz.

W końcu barka wylądowała na zielonym pastwisku na południe od lasu Wharton. Wybiegliśmy na zewnątrz. Graves prowadził, trzeba mu to uczciwie przyznać. Ten facet nie był tchórzem.

Pierwsze, co mnie uderzyło po opuszczeniu pokładu barki, to okropny smród. Otaczający mnie żołnierze wzdrygali się, mrużyli oczy i kręcili głowami jak psy, które wciągnęły nosem jakiś drażniący pył.

Na miejscu zastaliśmy wojowników ze Świata Krwi. Maszerowali w kolumnach, które ciągnęły się od głównej drogi aż do szosy prowadzącej przez las Wharton. Zapomniałem, że mieli tam ośrodek szkoleniowy.

Mieszkańcy Świata Krwi byli przeważnie ciężką piechotą – trzymetrowi, przygarbieni mężczyźni ważący tyle co niedźwiedź grizzly i mniej więcej równie silni.

– Nie znoszę smrodu tych jaskiniowców – jęknął Harris.

– Powinieneś polubić ten aromat – odpowiedział Leeson. – Ja tam się cieszę na ich widok. Pomyśl, kogo dowództwo pošle pod kopułę w pierwszej kolejności? Nas czy hordeę wielkich, brzydkich mutantów?

Harris zastanowił się. Im dłużej myślał, tym bardziej nieufny stawał się wyraz jego twarzy.

– Sam nie wiem. Popatrz, kogo przysłali. Varus i Solstice, dwa legiony o chujowej reputacji. Z punktu widzenia dowódców jesteśmy tylko o jedno oczko lepsi niż zoolegiony. Wątpię, czy mają tu faworyta.

Nie odezwałem się. Po pierwsze, nie miałem zielonego pojęcia, kto pójdzie przodem. Po drugie, znudził mnie ten temat.

– Tak czy inaczej, nic nie poradzimy, więc zamknijcie się – rozkazałem, gdy spór zrobił się ożywiony.

– Nie brzmisz jak McGill, którego znam – poskarżył się Harris.

Spojrzałem na niego tak, że zaraz się zamknął.

Wkrótce dotarliśmy do wyznaczonego miejsca. Zjedliśmy racje żywnościowe, sprawdziliśmy sprzęt i policzyliśmy ludzi. Jak to często bywa w wojsku, trzeba było zaczekać. Jeszcze nie każda kompania znalazła się na swoim miejscu.

Poranek zmienił się w popołudnie, a popołudnie w wieczór. Dopiero koło osiemnastej Graves skontaktował się ze mną, żeby potwierdzić gotowość.

– Wszyscy obecni, sir – zameldowałem. – Jesteśmy gotowi jeść stal i srać gwoźdźmi.

– Wspaniale. Poprowadzisz natarcie. Będziemy was obserwować przez drony. Zobaczą was na całym świecie, więc nie naszczaj sobie na buty, McGill.

– Yy, naprawdę? Ja poprowadzę natarcie?

– No, może nie do końca. Będziesz częścią pierwszej fali, która nadejdzie ze wszystkich stron jednocześnie. Pamiętaj tylko, że kamery będą śledzić twój każdy ruch.

– Poważnie? Ale właściwie czemu, primusie?

Zmarszczył brwi.

– Jesteś bohaterem, pamiętasz? Ziemianie najedli się strachu. Chcą czuć, że ktoś ich chroni. Dlatego twoje zeznania trafiły do sieci, pokazywał je każdy kanał informacyjny.

– Ach tak. Rozumiem, sir.

Graves rozłączył się, a ja odwróciłem się do Harrisa i Leesona, wyszczerzony jak głupek.

– Panowie, to nasz szczęśliwy dzień! Dzisiaj wszyscy razem zagramy rolę bohaterów. Uwierzcie mi, jak wrócimy do domu, wszystkie panienki będą wasze!

Wyciągnąłem rękę i zachęciłem ich, żeby położyli dłonie na mojej dłoni. Po chwili ociągania to zrobili.

– Dobra, ruszamy!

Z udawanym entuzjazmem pobiegłem truchtem w kierunku linii wroga. Podwładni podążyli za mną. Czasem właśnie to jest kluczem do skutecznego przywództwa – trzeba dawać przykład.

Niecałą godzinę później zrobiło się ciemno. Podkradaliśmy się w stronę pozycji wroga. Okręty desantowe w kształcie nietoperza wykonano z ciemnego metalu, który zlewał się z nocnym niebem. Jednostki wroga wyglądały równie złowrogo, jak nasze topornie.

– Leeson? – syknąłem.

– Hm?

– Myślisz, że te lądowniki mają broń do walki z piechotą? – zapytałem. – Tak jak nasze?

Spojrzał na mnie z niepokojem.

– Ja pierdzielę, nie pomyślałem o tym. Oczywiście. Nie wierzę, że to ich pierwsza inwazja planetarna. Na pewno mają wszystko zaplanowane. Skoszą nas jak świeżą trawę, gdy tylko wyjdziemy na otwartą przestrzeń!

Wokół Hammonton była wyłącznie otwarta przestrzeń. Nie szło się ukryć.

– Może powinieneś pójść pogadać z Turov – zasugerował Harris. – Może dałbyś radę ją... przekonać, żeby dała nam lżejsze zadanie.

Pokręciłem głową. Nic z tego. Galina uwielbiała spędzać ze mną czas i może nawet trochę mnie kochała, lecz argument, że zginę, nie zrobiłby na niej najmniejszego wrażenia. Wiedziała, że po wyjściu z maszyny wskrzeszającej będę jak nowy.

– Mam lepszy pomysł – rzuciłem, unosząc stuka do twarzy.

Skontaktowałem się z Turov. Zmarszczyła brwi.

– Nie widzisz tych dronów, które roją się nad twoją głową, McGill?

– zapytała ostro. – Myślisz, że akumulatory nigdy im się nie rozładują? Ruszaj się!

– Jasne, ale tak sobie myślę...

– Nie myśl. Spróbuj zamiast tego wykonywać rozkazy.

– Myślałem o tych dronach. O tym, co nagrywają i kto to ogląda.

– Cały świat to ogląda.

– No właśnie. A co, jeśli, przykładowo, te lądowniki są wyposażone w ciężką broń przeciwpiechotną, jak nasze barki? Skoszą nas, zanim jeszcze dotrzemy do pola siłowego. A drony to wszystko pokażą na żywo.

– Hmm...

Galina miała serce z kamienia, gdy chodziło o ból i cierpienie jej żołnierzy, ale na sprawach wizerunkowych znała się całkiem nieźle.

– To byłaby katastrofa... W porządku, zostańcie na pozycjach.

Moi ludzie leżeli nieruchomo na trawie.

– Nieźle to rozegrałeś, centurionie – pochwalił mnie Leeson.

– Jasne, że tak – zgodził się Harris.

Podeszła do nas wysoka kobieta. To była Barton.

– Na ziemię, adiunkcie – rozkazałem.

Szybko położyła się na brzuchu i wbiła uważne spojrzenie w pole siłowe. Byliśmy około kilometra od okręgu jednostek desantowych. Przed nami wznosiła się migocząca kopała.

Po chwili w pobliżu odezwał się czyjś głos.

– Ciągłe nie padł rozkaz wymarszu? – zapytał specjalista Cooper.

Rozejrzałem się, ale mój ulubiony kawałek mięsa armatniego pozostawał niewidoczny. Na pewno miał na sobie skafander maskujący.

– Wysyłamy przodem zwiadowców – powiedziałem mu. – Idź tam, duchu. Rób swoje.

– Czyj to pomysł, żeby posłać zwiadowców przodem?

– Mój.

Zaklął pod nosem, czołgając się.

– Naprawdę pan myśli – zapytał – że kosmici, którzy przelecieli setki lat świetlnych, dadzą się nabrać na sztuczkę ze skafandrem maskującym?

– Módl się, żeby tak było. A teraz ruchy. Kicaj, króliczku.

Pobiegł truchtem, mamrocząc nieprzyjemne słowa. Sprawdziłem wyświetlacz hełmu. Teraz widziałem też innych zwiadowców. Pokazywali się na osłonie jako niebieskie kropki. Każdy specjalista-duch z całej kohorty szedł w stronę pozycji wroga.

I wtedy nagle ktoś kopnął mnie w żebra. Niemile zaskoczony, odwróciłem się na plecy, żeby nawrzeszczyć na napastnika. Ale nikogo nie zobaczyłem.

– Kto to? – zapytałem ostro. – Inny duch?

– Oczywiście. Idziemy tam wszyscy.

Rozpoznałem ten głos. Zacisnął mi się żołądek. To była Della.

Rozdział 14

Della po latach wreszcie awansowała na specjalistkę. Nigdy nie była dostatecznie silna, żeby zostać bombardierką, wystarczająco zrównowazona, żeby być bioską, ani dość odcytana, żeby pracować jako technik. Musiała więc zaczekać, aż powstanie specjalizacja idealnie pasująca do niej. I powstała. Był to duch, czyli podoficer pełniący funkcję zwiadowcy.

Ci specjaliści korzystali z przenośnych systemów maskujących. Niewidoczni gołym okiem, bez problemu zakradali się do wrogów dzięki tkaninie zakrzywiającej światło. Mówiło się żartobliwie, że duch pokazuje się dopiero, gdy przyjdzie pora wyżerki. A i wtedy niekoniecznie.

Gdy spotkałem Dellę po raz pierwszy, służyła w siłach zbrojnych Świata Pyłu jako ktoś w rodzaju zwiadowcy. Jej umiejętności skradania się i tropienia uważano w mojej kompanii za legendarne. A jeśli dodać do tego technologię, która dosłownie czyniła ją niewidzialną, nic dziwnego, że należała do najlepszych duchów w całym legionie.

Poszła w stronę wroga. Tymczasem wszyscy pozostali, w tym ja, leżeli na ziemi, spoglądając na krąg jednostek desantowych i obserwując rozwój sytuacji na wyświetlaczach hełmów. Przez długi czas pozornie nic się nie działo – a potem zobaczyłem coś jakby iskry.

– Albo ktoś strzela z tracha, albo ja jestem karłem – mruknął Harris. – Wygląda na to, że duchy z kimś albo czymś walczą.

– A to znaczy, że wróg ich zauważył – dodałem.

Zrobiłem zbliżenie, ale nadal niewiele widziałem z tego, co działo się w pobliżu okrętów wroga. Blisko ziemi tarcza była najjaśniejsza. Miałem takie uczucie, jakbym patrzył na ruchomy reflektor. Przelewający się blask pola siłowego kojarzył mi się z zorzą polarną.

– Adiunkcie Barton – powiedziałem na kanale dowodzenia – proszę zbliżyć się na odległość skutecznego strzału. Jeśli zauważycie, że duchy się wycofują, osłaniajcie ich.

Kilkadziesiąt osób zerwało się na nogi i przemierzyło trawiastą równinę.

– To może być pułapka, sir – odezwał się Leeson. – Te okręty są teraz jak wieżyczki. Jeśli się odsłonimy, rozwalą nas na drobne kawałeczki.

Oczywiście mógł mieć rację, ale to było bez znaczenia. Przełożeni chcieli, żebyśmy pokonali wroga w ataku naziemnym, dzięki czemu dałoby się zredukować zniszczenia i straty wśród ludności cywilnej. A przy tym mieli gdzieś, co stanie się ze mną i moimi żołnierzami. Mogliśmy wydrukować sobie nowe ciała, co było o wiele lepsze niż krążące po sieci zdjęcia czyjejs posłanej na permy babci. Jasne, rozumiałem to. Jednak mimo wszystko wołałem ograniczyć zgony do minimum. Dlatego skontaktowałem się z Gravesem.

– O co chodzi, McGill?

– Duchy nawiązały kontakt z wrogiem, sir. Na razie nie wiemy nic więcej. Nie możemy się z nimi porozumieć przez zakłócenia.

– Wiem. Fale radiowe nie są w stanie przeniknąć pola siłowego. Jeśli tylko tyle chciałeś mi...

– Proszę o wsparcie artyleryjskie, sir – powiedziałem szybko, zanim zdążył się rozłączyć.

Graves zawahał się.

– Nie mogę się na to zgodzić, McGill – odparł po chwili. – Mamy wyznaczone zasady użycia siły. Są bardzo restrykcyjne, jeśli chodzi o obszary miejskie.

– Doskonale rozumiem, sir. Ale bitwa z nieznanym wrogiem potrafi potoczyć się w nieprzewidywalny sposób. Sugeruję, żebyśmy przygotowali się na najgorsze.

– To znaczy?

– Niech pan każe rozstawić komety i osiemdziesiątki i osiemdziesiątki. Na wszelki wypadek.

– To byłoby bezpośrednio złamanie...

– Drusus dowie się tylko wtedy, jeśli ich pan użyje w razie konieczności – dodałem szybko. – A jeśli do tego dojdzie, ogłosi pana bohaterem.

Graves przez chwilę milczał. Chyba sprawdzał, jakiego rodzaju ciężkie uzbrojenie mamy pod ręką.

– Wezmę pod uwagę twoje rady – zapewnił wreszcie. – Bez odbioru.

Harris podczołgał się bliżej i popatrzył na mnie wyczekująco.

– Tak, adiunkcie?

– No i? Udało się? – zapytał. – Dostaniemy wsparcie czy nie?

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Legion Varus nie pójdzie do walki z jedną ręką związaną za plecami.

Odpowiedział mi uśmiechem. Natychmiast uwierzył w moją półprawdę.

– Dobrze wiedzieć, McGill! Zawsze ściemniasz jak chuj, ale przynajmniej czasem z pożytkiem dla nas.

Postanowiłem potraktować to jako komplement. Skupiłem uwagę na sytuacji taktycznej. Oficerowie mieli na wyświetlaczach hełmów funkcje niedostępne dla zwykłych żołnierzy. Na przykład minimapę pokazującą rozstawienie naszych sił. Lepszy ogląd sytuacji dało się uzyskać tylko w namiocie na tyłach, dzięki obrazom z holostolu.

Legioniści szli z każdej strony, zacieśniając krąg wokół przeciwnika. Niektórzy strzelali, głównie duchy. Najdziwniejsze, że najeźdźcy najwyraźniej nie odpowiadali ogniem. Raz po raz próbowałem skontaktować się z Cooperem i Dellą, ale bez powodzenia.

– Widzicie coś, Barton?

Wychwyciłem jej głos z szumu zakłóceń.

– ...nie jestem pewna... coś się zbliża. Żołnierze idą...

– Niech to cholera – zakląłem.

Rzadko bywałem niezdecydowany, ale tym razem się wahałem. Z każdą sekundą zwłoki przybywało postaci, które wyłaniały się z oślepiającego pola siłowego. Wyglądały jak idąca na nas armia – choć z drugiej strony, przecież wrogowie na pokładzie okrętu wcale nie przypominali ludzi.

– Szlag...

Mogłem po prostu rozkazać, żeby Barton do nich strzeliła – ale co będzie, jeśli się okaże, że to cywile? Co, jeśli część mieszkańców uciekła i właśnie szła w naszą stronę?

Warknąłem z irytacją, zerwałem się na nogi i pobiegłem naprzód jakieś sto metrów, po czym padłem na ziemię obok Barton.

– Co tam się wyprawia, do cholery? – zapytałem. – To ludzie czy kosmici? I co z moimi duchami? Strzelają do tej armii?

– Niech pan spojrzysz, co się dzieje przy tamtym okręcie po lewej – odpowiedziała.

Zrobiłem zbliżenie i zobaczyłem jednego z duchów. To na pewno był jeden z naszych żołnierzy, bo przykucnął i pruł do czegoś długimi seriami. Popatrzyłem w prawo i odszukałem wzrokiem jego cel – humanoidalną postać. Szła wytrwale w jego stronę, stawiając niespieszne kroki. Z jakiegoś powodu ostrzał z tracha jej nie zatrzymywał. Cel szarpał się i dygotał, ale wciąż parł naprzód.

Tyle mi wystarczyło.

– Barton! Niech pani ludzie przestawią broń na tryb snajperski i załatwią te powolne humanoidy.

– Tak jest.

W następnej kolejności skontaktowałem się z Leesonem i Harrisem. Rozkazałem, żeby dołączyli do mnie ze swoimi plutonami. Nie byli zadowoleni, ale zrobili, co kazałem. Potem zameldowałem Gravesowi o sytuacji i zbliżyłem się do pola siłowego razem z całą kompanią.

Lekkozbrojni byli w pierwszej linii. W przykłęku oddawali staranne strzały w stronę dziwnego przeciwnika. Co jakiś czas cel upadał, powalony na ziemię – ale po paru chwilach zwykle wstawał z powrotem.

Rozdział 15

Kiedy szliśmy w stronę pola siłowego, wrócił do nas zasapany Cooper.

– Tam się zrobiło prawdziwe piekło, sir! – wydyszał.

– Melduj, zwiadowco. Oby to były dobre wieści.

Cooper wziął nowy magazynek oraz baterię z drona maszerującego za kompanią, wcisnął je w gniazda tracha i dopiero wtedy kontynuował.

– Skończyła mi się amunicja – wyjaśnił.

To było niepokojące już samo w sobie, bo trachy strzelały pociskami o rozmiarach śrutu do wiatrówki. Metalowe kulki rozpędzały się tak bardzo, że pomimo niewielkiego kalibru zyskiwały sporą energię kinetyczną, porównywalną z tradycyjnym pociskiem dziewięć milimetrów. Najlepsze, że nie potrzebowały łuski, spłonki ani ładunku miotającego. A dzięki temu, że magazynek zawierał tylko pociski, a nie całe naboje, dało się nimi długo strzelać w trybie ognia ciągłego bez przeładowywania.

A więc Cooper wrócił bez amunicji. Specjalista duch zwykle nosił przy sobie zapasową baterię i magazynek, co oznaczało, że w ciągu dziesięciu minut Cooper oddał dwa tysiące strzałów.

– Z początku myśleliśmy, że to uciekający mieszkańcy – powiedział. – Nie strzelaliśmy do nich, nawet wtedy, gdy nie odpowiedzieli na wezwania. Ale potem się zbliżyli. I zrozumieliśmy, że coś jest nie tak.

– Co było nie tak? To w końcu ludzie czy nie?

– Nie. Nie do końca ludzie. To znaczy kiedyś nimi byli... albo przynajmniej niektóre ich fragmenty. Ale już nie.

Przyjrzałem mu się, żeby upewnić się, czy nie żartuje. Był śmiertelnie poważny.

– To nie ludzie – dodał Cooper. – Mają organiczne części. Głównie mięśnie do poruszania kończynami. Czasem widać szyję albo zębra. Ale mają też mnóstwo metalu. Myślę, że to cyborgi.

Z konsternacją zmarszczyłem czoło. Spróbowałem skontaktować się z Natashą, moją najlepszą techniczką, ale łączność radiowa nie działała.

Postanowiłem użyć nóg zamiast stuka. Wziąłem Coopera pod ramię i zaprowadziłem go na tyły, gdzie maszerowali technicy i biosi, wśród nich Natasha. Kazałem mu powtórzyć raport.

– To straszne – stwierdziła, wyraźnie poruszona. – W tym mieście było trzydzieści tysięcy ludzi. W okolicznych wioskach jeszcze parę tysięcy.

– Było? Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem. – Że to już nie są ludzie?

Obejrzała na ekranie kilka ujęć z kamerki na hełmie Coopera. Pokazała mi wybrane przykłady. Istoty chodziły na dwóch nogach. Miały dwie ręce i bulwiastą głowę. Jednak na tym kończyły się podobieństwa z człowiekiem.

Każdy ze stworów był opancerzony płytami z metalu i plastiku. Tu i ówdzie dało się zobaczyć pracujące pod spodem mięśnie, które wprawiały w ruch te koszmarnie hybrydy z mięsa i elektroniki.

– Przecież od razu widać, że to już nie ludzie – powiedział Cooper, zaglądając mi przez ramię. – Nawet po samym chodzie. Nigdzie im się nie spieszy. Oni nie kontaktują, tylko bezmyślnie idą na nas, a jak już kogoś złapią, to po nim.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

Cooper wzruszył ramionami i zacisnął zęby. Nie patrzył mi w oczy.

– Widziałem, jak dorwali kilku z nas. Nasze skafandry maskujące chuja dają. Nie wiem, jakie czujniki mają ci dranie, ale od razu nas wypatrzyli, jakbyśmy stali tam nago.

– Możliwe, że widzą w innym spektrum – zauważyła Natasha.

– W każdym razie – kontynuował Cooper – kiedy się zbliżyli, spanikowałem i władowałem w nich cały magazynek. Potem przykucnąłem i miałem nadzieję, że przejdą obok, ale nie. Cały czas leżli w moją stronę, nawet kiedy się odsunąłem. Wtedy zrozumiałem, że maskowanie na nich nie działa. I znowu zacząłem strzelać.

– Dobrze zrobiłeś – powiedziałem. – Ilu dałeś radę zabić?

Pokręcił głową.

– Są okropnie wytrzymali. Trzeba wpakować w sukinsyna sto kulek z bliska, żeby padł. A nawet wtedy pewnie zaraz wstanie. Oni nie mówią. Nie strzelają. Po prostu idą na człowieka i wyciągają po niego łapy.

– Kogo dorwali? – zapytałem.

– Paru, już mówiłem. Delle też. Otoczyli ją we trzech. Jednego powaliłem kilka razy. Ona skupiła ogień na drugim. Ale oni ciągle wstawali. W końcu trzeci zaszedł ją od tyłu i rozerwał na strzępy.

Zachowałem kamienną twarz.

– Na pewno jest martwa?

Przytaknął.

– Przykro mi, centurionie. Nie ma mowy, żeby to przeżyła.

Wskazałem w stronę tylnych szeregów.

– Idź do obozu. Zgłoś śmierć Delli i innych osób, które załatwili na twoich oczach. Pokaż nagrania, jeśli je masz. A potem wróć tutaj. Możliwe, że niedługo będziemy mieli do zgłoszenia więcej zabitych.

Oddalił się biegiem, a ja odwróciłem się do kopuły i ruszyłem naprzód z ponurą determinacją. Della i ja nie byliśmy już ze sobą, ale i tak wkurzyłem się, że ktoś ją zabił.

– James – odezwała się Natasha – może warto by się wycofać. Nie wiemy, z czym mamy do czynienia.

– Jasne, że wiemy. Widzieliśmy podobne stwory na ich okręcie. Miasto jest stracone, przynajmniej w większości. Im szybciej wejdziemy do Hammonton, tym większe szanse, że znajdziemy ocalałych.

– Ale tu nie działa łączność. Możemy zginąć na zawsze.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie zaciągnąłem się do legionów, żeby żyć wiecznie. To tylko przyjemny dodatek. Ci obcy, czymkolwiek są, lubią tworzyć armie z części maszyn i organicznych tkanek. To chore, więc postanowiłem zabić ich wszystkich.

– Samodzielnie?

– Jeśli będzie trzeba.

Natasha pokręciła głową i odeszła na tył. Znała mnie na tyle, żeby rozumieć, że nie ma sensu się spierać.

– Sargon! – zawołałem.

Podszedł chwilę później.

- Słucham, sir.
- Zostały ci jeszcze tamte strzelby, z których korzystali Rigelianie?
- Mam jedną. Moller też.
- Świetnie. Mogą się przydać.

Opisałem mu istoty, z którymi zetknął się Cooper. Sargon gwizdnął z wrażenia. Zlustrował trawiastą równinę i migoczące pole siłowe przed nami.

– Nie widzę ich – stwierdził. – Może wycofali się daleko za tę ścianę plazmy.

– Możliwe – przytaknąłem. – Może wyczuli naszych zwiadowców i najpierw ich odparli, a potem schowali się w głębi kopuły. Ale to ich nie uratuje.

Sargon zaśmiał się.

– Opowiedz ludziom, jak te istoty wyglądają i jak walczą – poleciłem. – Przez zakłócenia nie mogę nadać transmisji do całej kompanii, więc trzeba to zrobić metodą tradycyjną.

Oddalił się truchtem, a ja wyjąłem z plecaka nową broń. To była jedna z rigeliańskich strzelb. Miała niewielki zasięg, ale potężnego kopa. Ciężkie, rozpędzone pociski potrafiły przebić kadłub promu albo pancerz legionowego smoka. Zostało mi tylko pięć naboí, ale tyle powinno wystarczyć na dobry początek.

Rozdział 16

Napotkaliśmy wrogów, wychodząc z cienia wielkich jednostek desantowych. Z perspektywy czasu sędzę, że powinienem się domyślić, co nas czeka, byłem jednak zbyt wkurzony śmiercią Delli i zbyt zdumiony dziwnym otoczeniem.

Weszliśmy między pozornie martwych, leżących w trawie żołnierzy wroga – a oni nagle wstali. Daliśmy się otoczyć, byli bardzo blisko. Niektórych dosłownie ominęliśmy przed paroma sekundami. Humanoidalne stworzenia – na wpół ludzkie, na wpół mechaniczne – urządziły na nas zasadzkę.

Gdy wrogowie gwałtownie zerwali się na nogi, wszędzie wokół rozległy się przekleństwa i terkot broni. Poszły w ruch trachy, karabiny metamorficzne, ostrza siłowe, a nawet kilka rigeliańskich strzelb. Skierowaliśmy przeciw napastnikom wszystko, co mieliśmy. Paru żołnierzy padło od bratobójczego ognia.

– Patrzcie, gdzie celujecie! – ryknęła Moller. – Jeśli zobaczę, że trafiliście kogoś ze swoich, sami oberwiecie!

Prawda była taka, że choć większość z nas miała spore doświadczenie, te stwory trochę nas wystraszyły. Oczywiście szybko otrząsnęliśmy się z początkowego szoku. Byliśmy twardsi niż przeciętny człowiek. Po czymś takim wieprze pewnie by uciekli, ale nie legioniści z Varusa.

Uporaliśmy się z cyborgami w dwie minuty. Trzeba zaznaczyć, że ci wrogowie niechętnie zostawali na ziemi. Każdego trzeba było powalić kilka razy, zanim wreszcie padł na dobre.

– Tych sukinsynów trzeba praktycznie porąbać na kawałki! – wydyszał Harris.

Przytaknąłem, ważąc w rękach strzelbę.

– Jeden porządny strzał z tego cacka załatwia sprawę, ale ostatnie dwa naboje zostawię. Na razie walczę ostrzami siłowymi.

Strzelby były pozaziemskiego pochodzenia. Zdobyliśmy je po pokonaniu rigeliańskich żołnierzy na Świecie Burz. Na Ziemi nie umieliśmy jeszcze wytworzyć do nich amunicji, choć wiedziałem, że

naukowcy w podziemiach Centrali pracują nad skopiowaniem tej imponującej broni. W praktyce było to działo elektromagnetyczne, które zamiast zwyczajnych pocisków wystrzeliwało śrut ze zubożonego uranu. Zresztą mniejsza o zasadę działania – ważne, że było cholernie skuteczne.

Harris popatrzył, jak zarzucam strzelbę na plecy i zamiast niej chwytam za karabin.

– Oszczędzasz amunicję. A to znaczy, że coś wiesz. Czeka nas coś jeszcze gorszego.

– Nigdy nie zaszkodzi być przygotowanym – odparłem i poszedłem szukać swojego ulubionego ducha.

Cooper wrócił z obozu. Odkąd jego skafander maskujący okazał się bezużyteczny, on sam też był mało przydatny. Postanowiłem wykorzystać go w roli gońca. Miał przekazywać moje meldunki Gravesowi. A skoro straciliśmy w zasadzce kolejną szóstkę ludzi, kazałem mu znowu pobiec do primusa.

Carlos odprowadził go pełnym zadumy wzrokiem.

– Może się okazać, że ludzie, którzy odmeldowali się na początku tego polowania na potwory, to tak naprawdę szczęściarze. Przynajmniej nie pójda na permy.

– Nie pójda. Będą na nas czekać w obozie, kiedy wrócimy. A teraz w drogę!

Do tego momentu cała moja kompania stała w miejscu, opatrując rannych i rejestrując śmierć zabitych. Na razie nikt jeszcze nie postawił stopy w obrębie pola siłowego. Wiedziałem, że ludzie trochę się boją.

Zamiast wydać rozkaz, po prostu zacząłem iść przed siebie. Emanujące światłem łuki plazmy zakłębiły się wokół mojego opancerzonego ciała, gdy wszedłem w dziwną barierę stworzoną przez najeźdźców. Trochę się obawiałem, że padnie elektronika zbroi, ale na szczęście tak się nie stało.

Widząc, jak wchodzę w świecące niby-obłoki, moi żołnierze nabrali otuchy. Po drodze specjalnie kopałem leżące na ziemi martwe cyborgi. Paru ludzi roześmiało się na ten widok.

Jednak słyszałem za plecami, jak marudzą i przeklinają cicho. Wiedziałem, że za mną pójda – że najodważniejsi zawstydzą pozostałych. Nie oglądałem się, żeby zobaczyć, kto ruszył się jako

pierwszy. To bez znaczenia. Ważne, że koniec końców wszyscy podążyli za mną.

Przeszliśmy sto metrów, potem dwieście. Kłębiące się światła zanikły. Znow znalazliśmy się na otwartej przestrzeni. Przed nami rozciągała się dziwna sceneria. Nad polem jakiegoś rolnika zamiast gwiazd wisiała żółtawobiała mgła tworząca kopulaste niebo, które oświetlało trawę i zboże nienaturalnym blaskiem. W oddali zobaczyłem rząd ciemnych domów i parę wyższych budynków. Okazało się, że właśnie w ich stronę idę. Nie chciałem się zatrzymywać, skoro legionisści szli za mną.

Dotarliśmy do drogi pełnej porzuconych aut i ciężarówek. Drzwi pojazdów były pootwierane, ale w środku nikogo nie było. Odniosłem wrażenie, że mieszkańcy miasta próbowali uciec – ale im się nie udało.

W tym miejscu było coś, co napawało człowieka lękiem. Opuszczone samochody, milczący wrogowie, a nawet sam fakt, że znajdujemy się na Ziemi, a nie gdzieś w kosmosie – to wszystko działało na wyobraźnię i powodowało, że cierpła skóra. Powtarzałem sobie, że to nic takiego. Nawet legionista z Varusa może czasem poczuć się nieswojo.

– To światło wygląda jak blask księżyca – zauważył Harris, zrównując się ze mną. – Tyle że złote, a nie srebrzyste.

Powiedział to dziwnym tonem, więc roześmiałem się cicho.

– Przebudził się w tobie poeta, adiunkcie.

Harris spojrzał na mnie ze złością, słusznie podejrzewając, że stroję sobie z niego żarty.

– Boisz się? – zapytałem, klepiąc go po ramieniu.

Odtrącił moją dłoń.

– W życiu! Te dranie przecież zdychają! A ja nie boję się niczego, co można zabić!

– Świetnie. Zadbaj, żeby żołnierze widzieli to w twoich oczach.

Zmierzył mnie wzrokiem, a potem przytaknął i oddalił się. Po chwili usłyszałem, jak opowiada komuś, że ci obcy są łatwi do zabicia, durni, powolni i praktycznie niegroźni. Żołnierze odpowiadali półsłówkami, ale przynajmniej słuchali.

Dopiero na obrzeżach miasta znow napotkaliśmy kłopoty.

Samochody w mieście wyglądały inaczej. Nie były porzucone jak popadnie, tylko stały jeden za drugim. Sznur zaparkowanych aut liczył sobie co najmniej sto pojazdów.

– Hm, szefie? – odezwał się Carlos. – Nie podoba mi się to.

W tym momencie najbliższa z maszyn włączyła silnik. Z ciemnych, porozbijanych okien wysunęły się ręce wyglądające na ludzkie.

Właśnie, ręce. To nie mogło nic innego. Każda była zakończona dłonią zaciśniętą na rękojeści broni. Z niektórych pojazdów wystawało sześć, osiem albo nawet dziewięć rąk. A w ich dłoniach widziałem pistolety, toporki, najróżniejsze zabójcze narzędzia. Kilka ścisnęło w palcach dziwaczne rurki z gładkiego metalu – uznałem, że to jakaś broń obcych.

Przyznam, że stanąłem jak wryty i przez chwilę gapiłem się na to, oszołomiony. Pojazdy zadrżały, gąsienice i koła zachręściły o asfalt. I nie tylko asfalt. Taranowały ogrodzenia, jechały po trawie i po wszystkim innym. Bezmyślnie tratowały to, co znajdowało się między nimi a legionistami.

– Rozproszyc się, pierwsze szeregi padnij, następni niech przyklekną! Strzelać bez rozkazu! – krzyknąłem, gdy otrząsnąłem się z szoku. – Bombardierzy niech stoją. Załatwcie je!

Lekkozbrojni rzucili się na ziemię, a ciężkozbrojni pośrodku uklękli na jedno kolano. Wspólnie otworzyli ogień do nadjeżdżających pojazdów. Jednak nasz ostrzał na niewiele się zdał.

Czyżby obcy naprawdę zdążyli tak szybko opancerzyć pojazdy? Czy właśnie tym zajmowali się pod osłoną kopuły?

Nad naszymi głowami przemknęły wiązki rzygaczy i parę rakiet kierowanych z broni Sargona oraz jego bombardierów, a także rój dronów wysłanych przez Kivi i pozostałych techników. Każda kompania dysponuje sporą siłą ognia, zwłaszcza na małym dystansie. Pojazdy z improwizowanym pancerzem wybuchały jeden po drugim, czasem nawet trzy jednocześnie.

Tylko połowa dotarła do linii lekkozbrojnych. Żołnierze adiunkt Barton odtaczali się i odskakiwali w ostatniej chwili, jednocześnie wrzucając granaty grawitacyjne przez rozbite okna albo pod koła. Kilka pojazdów podskoczyło, gdy eksplozje poderwały je w powietrze, a potem przewaliło się na dach. Jednak nie wszyscy

lekkobrojni zdążyli zrobić unik. Kilku zostało przejechanych. Inni padli po ciosach wystających na zewnątrz rąk.

Te ręce były naprawdę upiorne. Nie widziałem głów, ani tym bardziej oczu – nic, tylko same ręce wystające z pustych okien. Zachowywały się tak, jakby ogarnął je szal. Nie miały niczego, co nazwalibyśmy instynktem samozachowawczym. Kaleczyły się o resztki szyb i odłamki metalu. Robiły wszystko, żeby zadźgać, poharatać i zastrzelić moich żołnierzy.

Część pojazdów przebiła się przez linię lekkiej piechoty. Teraz ciężkobrojni mieli okazję się wykazać. Stali w gotowości, w odpowiednich odstępach, choć w pancerzach byli zbyt powolni, żeby uskoczyć z drogi. Niektórzy zostali przejechani, inni odbili się od błotników.

Jeden z pojazdów jechał prosto na mnie, więc wskoczyłem mu na maskę. Maszyna przestała dodawać gazu. Miałem wrażenie, że oszalała z potwornej chęci zabicia mnie. Upiorne łapska próbowały złapać mnie za stopy i bezskutecznie chlastały nożami po pancerzu. Machnąłem ostrzem siłowym, odcinając kilka dłoni, ale ręce wcale nie znieruchomiały. Nadal młóciły powietrze, ochlapując mnie ciemną krwią.

– Wstrętne dranie! – syknąłem, wsuwając lufę rigeliańskiej strzelby do kabiny.

Bum! Bum! Dwa razy nacisnąłem spust, a wtedy cholerna maszyna i jej łapska wreszcie przestały próbować mnie zabić. Niektóre kończyny jeszcze przez chwilę drżały, ale wydawały się bezrozumne i oślepione.

Samochód się zatrzymał. Zeskoczyłem z maski i odszedłem parę kroków. Okazało się, że bitwa dobiegła końca, trwała tylko parę minut. Ale moi ludzie nie byli już tacy sami. Wstrząsnęło to nimi i trudno się dziwić. Nigdy nie zetknęliśmy się z takim wrogiem. Czymkolwiek były te stwory, najwyraźniej przyjmowały niezliczone formy, złowrogie jak demony z czeluści piekieł.

Rozdział 17

Harris podszedł do mnie jako pierwszy. Pozostali tylko patrzyli.

– Centurionie – odezwał się – to było zwyczajnie okropne.

– Wiem, okropnie im poszło – roześmiałem się. – Co za banda nieudaczników! Kimkolwiek są ci obcy, niech ktoś im powie, że chujowo walczą. Co za gówniana armia próbuje przejechać wyszkolonych żołnierzy cywilnymi pojazdami?

Harris zamrugał ze zdziwienia. Wiedziałem, że nie takiej odpowiedzi się spodziewał – ale na inną nie miał co liczyć.

– Ale, sir, jako najstarszy stażem adiunkt...

– Wcale nie najstarszy! – krzyknął Leeson, który przysłuchiwał się rozmowie z bezpiecznej odległości.

Harris rzucił mu rozzłoszczone spojrzenie.

– Centurionie, żołnierze o niczym innym nie myślą, tylko żeby już stąd pójść. Zrobiliśmy swoje. Nie ma nikogo do uratowania.

W oddali rozległy się wystrzały z karabinu. Jakiś oddział w innej części pola bitwy napotkał Bóg wie co.

– Nasza misja polega na tym, żeby zlikwidować te szkodniki – powiedziałem Harrisowi. – Moim zdaniem to się jeszcze nie stało.

– Ale...

Odwróciłem się i wskazałem na miasto. Staliśmy na jego obrzeżach, niedaleko drogi zakorkowanej porzuconymi autami.

– Mamy stąd niecałe trzy kilometry do centrum Hammonton. Chcesz mi powiedzieć, że mam iść sam? Że cała kompania robi pod siebie ze strachu?

– Nie, sir, wcale nie to staram się...

Podszedłem do niego szybko.

– Myślę, że właśnie to próbujesz powiedzieć. Cuchniecie strachem. Wstyd. Założę się, że jako dzieciaki wszyscy sikaliście w majtki w domu strachów na Halloween!

Parę osób zaśmiało się cicho. Ludzie nerwowo przestępowali z nogi na nogę.

– Posłuchajmy, co Barton ma do powiedzenia. Jeśli ona będzie chciała wracać...

– Przejechał ją i porąbał na kawałki pick-up z kilkunastoma rękami – przypomniał Leeson.

– A, racja. W takim razie zbiórka. Ustawić się w koło!

Zebraliśmy się wśród dymiących i krwawiących pojazdów. Moi ludzie uformowali krąg, unosząc broń i celując w każdym kierunku. Ja tymczasem przeszedłem się wewnątrz okręgu i policzyłem ocalałych. W normalnych warunkach po prostu użyłbym interfejsu dowódcy, ale wewnątrz kopuły łączność nie chciała poprawnie działać. Przez te zakłócenia byliśmy odcięci od sieci.

Okazało się, że straciliśmy sporo ludzi. Barton faktycznie nie żyła, podobnie jak Natasha.

– Wielka szkoda – powiedziałem do Carlosa, gdy o niej wspomniał.

– Na takiej misji naprawdę przydaliby się technicy i bombardierzy.

– Co ty, kurwa, nie powiesz? – burknął.

Wkurzyłem się i przywaliłem mu tak mocno, że aż padł płasko na ziemię. Ja miałem pancierz wspomagany, a on nie. Wstał, splunął krwią i kontynuował meldunek.

– Straciliśmy połowę ludzi, centurionie.

– Jestem gotowy dostarczyć tę informację Gravesowi, sir – odezwał się głos znikąd.

– Cooper? – zapytałem.

Odwróciłem się, ale oczywiście go nie zobaczyłem. W końcu był duchem. W normalnych okolicznościach byłoby to całkiem normalne, ale nie dzisiaj i nie tutaj. Wiedziałem, że wróg jest w stanie zobaczyć go nawet z włączonym maskowaniem i chłopak też miał tego świadomość. A to oznaczało, że nie ukrywał się przed stworami.

Tylko przede mną.

Odgadłem, gdzie mniej więcej stoi, i bez ostrzeżenia spróbowałem go podciąć. Odskoczył, ale ja jestem szybki i mam strasznie długie nogi. Mój pancerny but trafił go w obie kostki i Cooper się przewrócił.

Pochyliłem się nad wgnieceniem w trawie uformowanym przez jego niewidzialny tyłek.

– Nie chowaj się przede mną, specjalisto – ostrzegłem surowo. – Przez takie wybryki ludzie dostają najbardziej niebezpieczny przydział.

Natychmiast się pojawił, zerwał się na nogi, ściągnął skafander i zasalutował.

– Przepraszam, sir. To z przyzwyczajenia. Szkolenie robi swoje.

To było dobre kłamstwo, więc mu odpuściłem.

– W porządku. Straciliśmy mnóstwo ludzi, więc pobiegnij do Gravesa i zdaj mu ten jeden ostatni meldunek.

– Dziękuję, sir! Dziękuję!

Pobiegł ochoczo jak królik w rui. Harris prychnął z pogardą.

– Ten dzieciak jest niemożliwy. Nie wiedziałem, że skunksy potrafią stawać się niewidzialne.

– Zrobił w pojedynkę trzy rundy do obozu i z powrotem. Jakoś nadal żyje i ciągle wraca po więcej. Chcesz go zastąpić?

– Co? Nie! – wydukał zaskoczony Harris.

– W takim razie idziemy naprzód. Sprawdzimy centrum miasta. Dopiero wtedy będzie można z czystym sumieniem powiedzieć, że zbadaliśmy teren.

Normalnie byłbym w ciągłym kontakcie z innymi kompaniami albo przynajmniej z Gravesem. Jednak to nie była zwyczajna operacja.

Weszliśmy do miasta i zaraz ponownie wpadliśmy w kłopoty.

Hammonton wyglądało całkiem przeciętnie, jeśli nie brać pod uwagę tego, że zostało opuszczone. Najdziwniejsze było pewnie oświetlenie przez dziwną łunę pola siłowego, ale gdyby ktoś mi powiedział, że to po prostu żółtawe światło nowych latarni, chyba bym uwierzył.

Jednak sześć przecznic w głąb miasta wszystko poszło źle. Zaczęło się od przeczucia. Panowała upiorna cisza, którą tylko czasami przerywały dobiegające z oddali wystrzały. Nasiliły się gdzieś na wschodzie, osiągnęły swoje apogeum, a potem znów prawie umilkły.

– Trachy i karabiny – zauważył Leeson. – Ktoś tam dostaje wpierdziel.

– Przynajmniej to nie my – mruknął Harris. – Jeszcze.

Z ponurą miną zatrzymałem się przed znakiem stopu, jednym z tych staromodnych, namalowanych na stalowej blasze.

– Chodźmy tędy – powiedziałem.
– Tam skąd słycać strzały? – zapytał z niedowierzaniem Harris.
– Może im pomożemy. Przy odrobinie szczęścia oflankujemy te ohydne dziwadła.

Adiunkci pomarudzili, kręcąc głowami, ale posłusznie poprowadzili żołnierzy w wyznaczonym kierunku. Wysunąłem się na przód, gdzie szli rozproszeni lekkobrojni. Barton nie żyła, więc przejąłem rolę dowódcy jej plutonu.

Wzdłuż ulic rosły szpalery drzew, przez co tutaj noc wydawała się ciemniejsza niż na otwartym terenie, gdzie nic nie przesłaniało dziwacznej łuny.

Po dziesięciu minutach natknęliśmy się na coś.

– Kontakt!

Usłyszeliśmy kolejną wymianę ognia, ale tym razem znacznie bliżej. Zobaczyłem smugi pocisków, gdy nerwowi lekkobrojni Barton posłali kilka krótkich serii w kierunku czegoś na końcu ulicy. Próbowałem przebić wzrokiem ciemność i wypatrzeć to, na czym skupiały się jasne linie.

W pierwszej chwili myślałem, że to ciągnik rolniczy. Jednak potem – gdy pospiesznie przemykałem od drzewa do drzewa – zobaczyłem, że to raczej coś jak wielki ogr na dwóch nogach. Większość jego ciała pokrywał matowy metal. Nie dostrzegałem oczu ani innych wrażliwych punktów.

Istota nie miała rąk ani twarzy, tylko pękate cielsko pokryte pancerzem, utrzymujące się na dwóch bocianich nogach. Ze szczytu tułowia sterczała jakiegoś rodzaju wieżyczka. Lufa była mniej więcej rozmiarów rzygacza, ale w połączeniu z ptasimi kolanami istoty przywodziła na myśl długi dziób bociana albo czapli.

Obracała się raz tu, raz tam, przy każdym zatrzymaniu plując wiązką energii – szeroką, ale zabójczą. Wszystko, czego dotknęła wiązka – żołnierze, drzewa i porzucone auta – natychmiast stawało w płomieniach.

– Strzelajcie w te chude nogi! – zawołałem. – Na glebę sukinsyna!

Ciężkobrajni byli już dostatecznie blisko, żeby wymierzyć w poczwarę. Wspólnie wzięliśmy na celownik jej nogi. Rozległ się syk, jakby coś się smażyło – a potem powietrze wypełnił smród

palonego mięsa. Pod tą dziwną, metalową skorupą w kształcie ptaka ewidentnie kryła się żywa tkanka.

Lekkozbrojni z plutonu Barton byli bezsilni. Od razu stało się jasne, że ich trachy nie są w stanie zranić potwora, a większość granatów zużyli w starciu na obrzeżach miasta. Mogli co najwyżej odwracać uwagę poczwary i tym właśnie się zajęli. Rozbiegli się jak szczury pod nogami metalowego potwora. Maszyna krocząca chętnie za nimi podążyła. Przypominające dziób działko obróciło się w ich stronę, tak jakby istota była żądna krwi. Z lufy wystrzelił strumień energii, przemieniając ludzi w żywe pochodnie.

Ktoś wystrzelił z rzygacza i trafił w lewe kolano stwora. Działko uniosło się w stronę żołnierza, który skrzywdził opancerzoną istotę – a potem wycelowało i jedną precyzyjną wiązką zabiło bombardiera.

Skróciliśmy dystans i szybko załatwiliśmy cholerstwo. Miało tylko jedną sprawną nogę, więc okrążaliśmy je i skakaliśmy wokół jak Pigmeje polujący na kulawego strusia. Poszły w ruch ostrza siłowe oraz rzygacze, które były zabójcze z tak małej odległości. Wkrótce opancerzone mięso stwora zaczęło się smażyć, a on sam upadł na ziemię, dygocząc.

Kiedy znieruchomiał, podszedłem i szturchnąłem czubkiem buta to ogromne coś. Czy to była maszyna? A może żywe zwierzę? Trudno stwierdzić, ale chyba po trosze jedno i drugie.

– Spójrz, centurionie!

To był Harris, który stał obok mnie. Podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem grupę sylwetek biegnących w naszą stronę. Unieśliśmy karabiny – ale zaraz je opuściliśmy. To byli żołnierze z szóstej kompanii. Pędzili w naszą stronę najszybciej jak mogli. Wreszcie podbiegli do nas i zatrzymali się, dysząc ciężko.

– Szósta? A gdzie reszta? – zapytałem.

– To już wszyscy – wysapał mężczyzna w stopniu weterana.

– Nie przeżył nikt z oficerów?

Pokręcił głową, ocierając pot z czoła.

– Nie, sir. Zostało nas... dziewiętnastu. Tylko ciężkozbrojni. Lekka piechota i ci ze wsparcia, no cóż... Tamte wężowe stwory zabiły każdego, kto nie miał pancerza na całym ciele.

– Wężowe stwory, tak? – powtórzyłem.

Wcale nie przypadł mi do gustu opis nowego rodzaju przeciwników. Słyszący te słowa ludzie z plutonu Barton pobledli z niepokoju. W tym momencie zwróciłem uwagę, że większość z nas stoi na środku ulicy, z daleka od osłon.

– Rozproszyc się! – zawołałem. – Zająć pozycje strzeleckie. Oczy szeroko otwarte. To nie jest wieczorek zapoznawczy!

Odwróciłem się do weterana.

– Dobrze was widzieć. Przyłączam was do swojej kompanii, od teraz należycie do plutonu Harrisa. Pan dowodzi swoimi ludźmi.

– Świetnie, sir – odparł tamten z ulgą. – Którędy się stąd wydostaniemy?

Popatrzyłem na niego, zdziwiony.

– Jeszcze nie wychodzimy. Najpierw przedrzemy się do centrum miasta.

Wyraz ulgi błyskawicznie zniknął z jego twarzy. Trudno go winić, ale nie dałem po sobie poznać współczucia. To byłoby niedobre dla morale.

Rozdział 18

Mając teraz pod komendą około siedemdziesięciu osób, ruszyłem dalej w stronę centrum miasta. Hammonton z pewnością nie należało do metropolii. Babcia powiedziałaby „dwie ulice na krzyż”, choć to oczywiście byłaby przesada.

Nawet na głównej ulicy nie było wysokiej zabudowy, tylko szereg ceglanych budynków, co najwyżej trzypiętrowych. Najstarsze drzewa wyraźnie je przerastały.

W okolicy było upiornie cicho. W oddali dawały się słyszeć odgłosy walki, ale tylko od czasu do czasu. Podejrzewałem, że jedna ze stron w dużej mierze odniosła już zwycięstwo – ale nie miałem pojęcia która.

Minęliśmy dwie szkoły i park. W centrum, gdzie według mapy powinien mieścić się ratusz, napotkaliśmy coś niespodziewanego.

– Dobry Boże – jęknął Leeson. – Co to, kurwa, jest?

– To nie w porządku – oznajmił Harris. – To zwyczajnie nie powinno istnieć!

– Czyżby to byli... ludzie? – zapytał Sargon. – Czy ta dygocząca masa to jakiś rodzaj mięsa?

– Tak mi się wydaje – mruknąłem, mrużąc oczy.

Przy rynku funkcjonowało coś w rodzaju szpitala albo przychodni. A przynajmniej tak sugerowała mapa na stuku, bo na żywo widzieliśmy coś zupełnie innego. Zamiast centrum medycznego była wielka góra mięsa. Budynek pokrywała potworna narośl, jakby żywcem wyjęta z koszmaru. Tu i ówdzie – w miejscu, gdzie powinien być parter – spod ohydnej tkanki wyłaniały się drzwi. Mniejsze, humanoidalne stworzenia wchodziły i wychodziły stamtąd, niosąc jakieś rzeczy, przywodząc na myśl mrówki kręcące się przy kopcu.

– To zbrodnia przeciwko naturze – oznajmił z przekonaniem Leeson. – Musimy cholerstwo wysadzić, McGill.

– Jesteś gotowy za to umrzeć? – zapytał go Harris.

Leeson zastanawiał się tylko przez moment.

– Tak. Jestem.

– Może nie będziesz musiał – powiedziałem. – Spalmy to.

Niedaleko była stacja benzynowa, gdzie mogliśmy napełnić paliwem wiadra i kosze na śmieci. Trochę to potrwało, ale co ciekawe, obcy „robotnicy” nas ignorowali. Chyba nie traktowali nas jak zagrożenie. Albo po prostu zabicie nas nie należało do ich zadań.

Zaczęliśmy polewać drżącą masę, podając sobie wiadra z rąk do rąk.

– Nie spodobało jej się! – roześmiał się Leeson. – Lejcie więcej na te pękate przyssawki na górze!

Pracowaliśmy dalej, czujnie się rozglądając. I rzeczywiście, zanim skończyliśmy, przeciwnik zareagował. Nie wiem, w jaki sposób to dziwne niby-gniazdo wezwało pomoc, ale nie da się zaprzeczyć, że ktoś przybył mu z odsieczą. Na ulicy zjawily się dziesiątki kroczących stworów z wieżyczkami zamiast głowy i lufami jak długie dzioby.

– Zbić się w gromadę! – krzyknąłem. – Stańcie blisko tej sterty mięsa! Tak blisko, że jeśli chybią, trafią w gniazdo!

W pośpiechu rzuciliśmy ostatnie wiadra na obrośniętą tkanką budynek, a potem ustawiliśmy się plecami do niego.

Obcy najwyraźniej mieli świadomość, czym grozi otwarcie ognia. To dobrze, bo pewnie wybiliby nas wszystkich. Zatrzymali się jakieś sto metrów dalej, obracając wieżyczki tak, jakby się rozglądali. Próbowali nas otoczyć, ale zadbaliśmy o to, żeby nie mogli oddać strzału, nie ryzykując trafienia w mięsną narośl.

– McGill, i co teraz? – zapytał Harris. – Jeśli podpalimy gniazdo, na pewno nas zabiją.

– Nie uważasz, że i tak będzie warto?

– Co?! Jasne, że nie. Kurwa, musi istnieć lepszy sposób!

– Harris pieprzy głupoty! – krzyknął Leeson. – Podpalaj, McGill!

Szeregowi i specjaliści wyglądali na wystraszonych, zwłaszcza ci z szóstej kompanii. Nie znali mnie za dobrze, więc byli zaskoczeni moim podejściem do rozwiązywania problemów.

Już zamierzałem puścić cholerstwo z dymem, gdy pokazali się kolejni wrogowie. Oni też chodzili na dwóch nogach, ale wyglądali względnie normalnie. Byli zdecydowanie humanoidalni. Paru moich żołnierzy wydało nawet wesołe okrzyki, bo wzięli ich za legionistów, lecz radość szybko się ulotniła, gdy stało się jasne, że to nie nasi.

Zdradził ich dziwaczny, chwiejny krok. Kiedyś byli ludźmi, tego byłem pewny. Co więcej, wielu nosiło mundury Varusa. Niektórzy nawet wciąż mieli trachy. Wołaliśmy do nich, ale nie odpowiadali. Nawet nie pisnęli. Zażądaliśmy, żeby się zidentyfikowali, ale oni tylko parli naprzód i byli coraz bliżej. Poruszali się prawie bezszelestnie – przy każdym ich kroku wydobywał się tylko cichy jęk serwomechanizmów sterujących kończynami.

– Załatwić ich! – zawołałem.

Otworzyliśmy ogień. Strzelaliśmy, a oni szli dalej. Często upadali, ale zwykle wstawali z powrotem. To był niepokojący widok. Skosiliśmy pierwszy szereg, potem drugi i trzeci – ale potem większość wrogów wstała. Nadal się zbliżali, powłócząc nogami.

Pierwszy dotarł do linii moich żołnierzy i chwycił zaskoczoną lekkozbrojną. Wyrwał jej tracha z rąk i podniósł go jak maczugę, ale zanim zdążył rozbić jej czaszkę, ona wypatroszyła go nożem bojowym, a zaraz potem odcięła mu głowę.

Podobne sceny rozgrywały się wszędzie. Wrogowie siłowali się z nami, próbowali bić nas pięściami albo udusić żołnierzy długimi, metalowymi palcami. Za każdą falą był kolejny szereg. Kolejna setka. Kolejny tysiąc.

Wiedziałem, że to odpowiedni moment.

– Spalić to kurewstwo! – krzyknąłem.

Krótką chwilę później – gdy sam byłem zajęty zapasami z opancerzoną stertą mięsa – Sargon użył rzygacza. Szeroka wiązka sprawiła, że gniazdo natychmiast się zapaliło. Oblaliśmy je taką ilością benzyny, że płomienie wystrzeliły pod niebo. Poczułem na plecach żar.

Stworzenie, z którym się siłowałem, zareagowało na to. Teraz walczyło z jeszcze większym zacięciem, wręcz z desperacją. Jego mięśnie napięły się do granic możliwości. Nic sobie nie robiło ze złamanej kostki, która wydawała ohydne chrupnięcia przy każdym ruchu. Dla stwora liczyło się tylko jedno – powalić mnie na ziemię.

Udało mi się wykorzystać jego siłę i rzucić go na bok, na płonąca górę mięsa. Płomienie strzeliły jeszcze wyżej.

Wyglądało na to, że wygrywamy. Wrogowie używali tylko pazurzastych łap i choć byli silni oraz liczni, my mieliśmy lepszą

broń i znacznie lepszy refleks. Ośmieliłem się myśleć, że zabijemy ich wszystkich.

Ale wtedy znów pojawiły się istoty na ptasich nogach. Teraz gdy ich gniazdo płonęło, nie miały powodu, żeby się hamować. Zaczęły strzelać z niby-dziobów, zalewając nas wiązkami gorącego promieniowania i bez wahania paląc wszystko, co popadnie – zarówno ludzi, jak i istoty, które już ludźmi nie były. Stało się jasne, że stwory atakują, nie patrząc na nic. Z każdą sekundą traciliśmy kolejnych żołnierzy.

– Odwrót! – zawołałem.

– Dokąd? – odkrzyknął Harris.

– Do budynku!

– Cholera, wiedziałem, że to powiesz.

Wycofali się wszyscy, którzy byli w stanie. Taranowaliśmy wrogów swoimi opancerzonymi barkami i przepychaliśmy się między nimi. Istoty o ptasich niby-dziobach atakowały zażarcie, paląc wiązkami choćby tuzin swoich pobratymców, aby tylko zabić jednego człowieka.

Padł Sargon. Carlos musiał zginąć jakiś czas temu, bo nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go widziałem.

Harris i ja dotarliśmy do wejścia – jednego z otworów w płonącej masie konających tkanek. Za nami przeciskało się jeszcze kilkunastu legionistów. Wśród nich był weteran z szóstej kompanii. Przemknęło mi przez myśl, że facet ma szczęście, ale sądząc po wyrazie twarzy, on był innego zdania.

Wnętrze budynku tonęło w półmroku, ale może to i dobrze, bo wyglądało paskudnie. Włączyliśmy latarki na pancerzach i zagłębiliśmy się w coś, co niepokojąco przypominało układ pokarmowy. Ściany pokrywały mięsiste narośle. Były ohydne. A najgorsze, że nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to coś nadal żyło i dygotało z bólu.

Tkanki na ścianach zaczęły wydzielać jakąś maź, która sączyła się na podłogę. Powietrze wypełnił gryzący dym, zmuszając nas do zamknięcia hełmów.

W sercu budynku znaleźliśmy spore pomieszczenie – chyba coś jakby oddział szpitala. Kiedyś pewnie stały tu łóżka dla chorych, ale obecnie zastaliśmy zupełnie inną technologię. To dla odmiany nie

było mięso, tylko metal i kryształ. Grube kable łączyły aparaturę ze stojącym pośrodku urządzeniem, które wyglądało znajomo. Wewnątrz metalowej klatki wirowało jaskrawe światło. Widziałem coś takiego kilka lat temu – zasilalo stocznice na orbicie Świata Ciemności.

Rozdział 19

Zebraliśmy się wokół kuli światła i zastrzeliliśmy robotników, którzy kręcili się po korytarzach budynku. Przez parę sekund w zadumie spoglądaliśmy na dziwną maszynę.

– To na pewno jakiś reaktor – stwierdził Harris. – Musi zasilać coś dużego.

Pokiwałem głową.

– Tak, wytwarza energię. Już kiedyś widziałem podobny generator. Na orbicie Świata Ciemności, na tamtej stacji, którą próbowaliśmy zdobyć.

– Tam gdzie walczyliśmy z Vulbitami?

– Tak. Ale myślę, że nie zbudowali go Vulbici. To pewnie technologia Rigelian, bo cała stocznia kosmiczna należała do nich. Podejrzewam, że właśnie oni przysłali na Ziemię te dziwadła.

– I co z nim zrobimy, centurionie? Wielkie bociany tu nie wejdą, ale jestem pewien, że niedługo wcisną się do środka inne stwory. Albo to, albo budynek spłonie i zawali nam się na głowy.

Oczywiście miał rację. Jeśli chcieliśmy coś zrobić, należało działać natychmiast.

– Wyłączymy go – zdecydowałem. – Żołnierze to nie rzodkiew, nie rosną sami. Obcy umieszczają w zwłokach metalowe części, a one potrzebują energii. No i przede wszystkim coś musi zasilać pole siłowe. Chyba właśnie to coś znaleźliśmy.

– Na pewno – przytaknął Harris, okrążając urządzenie. – Brawo, McGill, udało ci się dotrzeć do serca bazy wroga. A jak zniszczyłeś tamten generator na Świecie Ciemności?

– Yy...

Prawdę mówiąc, użyłem własnego hełmu. Po prostu rozgiąłem kraty i wcisnąłem głowę do środka, co wywołało spięcie i w rezultacie zniszczyło całą stację. Stwierdziłem jednak, że ta informacja jest w tym momencie niezbyt przydatna.

– No cóż, rozejrzyjcie się – odpowiedziałem wymijająco. – Musi tu być jakiś przełącznik albo coś w tym stylu.

Oderwali wzrok od wirującej kuli światła i rozpoczęli poszukiwania. Ja tymczasem przygotowałem się na najgorsze. Gdyby do budynku wpadła kolejna fala wrogów, byłem zdecydowany znów wywołać zwarcie.

– Hej, coś znalazłem! – zawołał ktoś.

Odwróciłem się. Weteran z szóstej kompanii pochylał się nad przewodem leżącym na podłodze.

– Ostrożnie! – krzyknąłem, ale było już za późno.

Przewody obcych nie miały izolacji tak jak ludzkie. Przeskoczyła ogromna iskra, która na ułamek sekundy połączyła mężczyznę, przewód i klatkę generatora.

– Jasna cholera! Facet się usmażył! – zawołał Harris.

Martwy, dymiący weteran upadł. Był całkiem zwęglony.

– Niech nikt więcej nie dotyka kabli – zasugerowałem, choć niepotrzebnie. Wszyscy rozbiegli się jak wystraszone psy.

– Przynajmniej miał szybką śmierć – mruknął Harris, krzywiąc się.

– Mhm – przytaknąłem w zamyśleniu, spoglądając na klatkę i wirującą w środku kulę.

Zauważyłem, że światło trochę przygasło, gdy weteran popełnił ten feralny błąd. To podsunęło mi pewien pomysł.

– Cooper! Pokaż się natychmiast! – zawołałem.

Przez kilka sekund panowała cisza. Wszyscy rozglądali się z konsternacją. Nie widzieliśmy Coopera, odkąd wysłałem go z powrotem do Gravesa, czyli od godziny. Każdy rozsądny oficer założyłby, że zwiadowca albo się zgubił, albo zginął po drodze. Tym bardziej że dziś skafander maskujący nie zapewniał żadnej przewagi.

Jednak ja nigdy nie byłem rozsądnym człowiekiem. W dodatku świetnie znałem Coopera. Przypominał bardziej skrytą wersję mnie samego z młodości.

– Chodź tu, szybko! – huknąłem.

Usłyszałem kroki, a potem nagle się zmaterializował z szerokim uśmiechem.

– Tak jest! Co mogę dla pana zrobić, centurionie? Jeśli trzeba wykonać rekonesans...

– Nie potrzeba mi teraz zwiadowcy, tylko ochotnika.

– Właśnie zostałeś zgłoszony na ochotnika, chłopcze! – zawołał z uciechą Harris.

Cooper rzucił mu poirytowane spojrzenie, a potem z rezygnacją popatrzył na mnie.

– Czy to dlatego, że miałem włączone maskowanie, od kiedy...?

– Lepiej mi o tym teraz nie przypominaj. Ale nie, chodzi o coś innego. Jesteś jedynym lekko uzbrojonym i nieopancerzonym żołnierzem, jaki mi pozostał. Normalnie byłbyś nieprzydatny. Ale mam dla ciebie specjalną misję.

– Jakiego rodzaju...?

Wskazałem na generator, a potem na nieizolowany przewód pod wysokim napięciem. Obok leżał zwęglony trup człowieka, który próbował go dotknąć.

– Poważnie? – zapytał zrozpaczony Cooper.

– Tak. Weź jakiś długi, metalowy przedmiot, wsuń go do klatki i dotknij przewodu. I po misji.

Zrobił ponurą minę, co było zrozumiałe. Otworzył usta. Spodziewałem się litanii wymówek. Ale zanim zdążył coś powiedzieć, z prowadzących do pomieszczenia korytarzy dobiegł jakiś dźwięk. Mokre plaśnięcia licznych stóp.

– Coś nas znalazło – powiedział Harris.

– Na ucho cała masa cosiów – dodałem.

– Co z tego będę miał? – zapytał niespodziewanie Cooper.

Tymczasem reszta żołnierzy zajęła pozycje obronne przy wszystkich wejściach. Harris rzucił przez ramię odpowiedź:

– Będiesz miał świadomość, że przysłużyłeś się swojemu legionowi, chłopcze. Oddasz za niego życie. I chwała ci za to, Cooper!

Harris był draniem. Gdy patrzyłem na sadystyczną radość w jego oczach, najchętniej kazałbym mu się poświęcić zamiast Coopera. Jednak chłopak faktycznie był teraz bezużyteczny. A Harris to może i chuj, ale w tej chwili na pewno bardziej przydatny.

– Hej, znalazłem metalowy wspornik! – Harris przytruchtał bliżej, chlapiąc wokoło wydzieliną. – Ja pierdzielę, gniazdo chyba już zdechło. Podłoga lepi się od tego gówna.

Miał rację. Życie najwyraźniej uleciało z tkanki, która obrosła szpitał. Żyłki i ściany przestały pulsować. Wciąż jednak działał generator. Kula światła wirowała wściekle.

– Masz. – Wziąłem wspornik od Harrisa i wręczyłem go Cooperowi. – Jeśli wymyślisz, jak to zrobić i przeżyć, proszę bardzo. Mam to gdzieś, ważne, żeby było spięcie. Poza tym nie proszę o nic, czego sam nie zrobiłem.

Cooper z powątpiewaniem popatrzył na metalowy element. Przyłożył go do klatki i chyba zastanawiał się, w jaki sposób upuścić wspornik na przewód.

– To nie zadziała! – zawołał Harris.

Podszedł do chłopaka i wepchnął głębiej między pręty kawał metalu, który natychmiast rozżarzył się do czerwoności i zaczął roztapiać. To dziwne, bo wirująca kula światła wydawała się chłodna na zewnątrz. Ale dotyk wspornika najwyraźniej zaburzył pole zabezpieczające.

– Ach! – wykrzyknął Harris, szybko zabierając ręce i cofając się o krok. – Dobra, króliczku, teraz musisz tylko połączyć te dwa elementy. Prędko.

– Czy to rozkaz?

– Jasne, że tak! Rusz swoje...!

Cooper był szybki, zwinny i wredny. Właśnie dlatego został zwiadowcą. Szybkim kopniakiem podciął Harrisa i jednocześnie popchnął go do tyłu. Od razu zrozumiałem, co wymyślił. Stwierdził, że potrzeba sporego ciężaru do wygięcia wspornika tak, aby dotknął leżącego na podłodze przewodu.

A ciężar upadającego człowieka w pancerzu nadałby się do tego w sam raz.

Jednak Harrisa niełatwo przewrócić. Dało się go przechytrzyć, ale człowiek zwykle płacił za to wysoką cenę. Adiunkt błyskawicznie chwycił Coopera i pociągnął go za sobą na ziemię. Razem upadli na wspornik, który wygiął się bez problemu.

Przez chwilę dygotali, a potem zaczęli się palić. Cooper miał zdziwioną minę. A Harris... On wydawał się zdeterminowany. Upadając, objął mocno zwiadowcę i ani myślał puścić. Musieli zginąć obaj.

W tym momencie spięcie zrobiło swoje. Zgasły światła. Moi ludzie rozproszyli się.

– Obcy, ci humanoidalni, nagle się zatrzymali – zameldował ktoś.

– Jak to zatrzymali? – zapytałem.

Specjalista wzruszył ramionami.

– Po prostu przewrócili się i znieruchomieli, sir. Nie wiem, czy naprawdę zdechli, czy może znowu udają martwych. W każdym razie nie narzekam.

– No dobra, wracaj na stanowisko.

– McGill, udało ci się! – zawołał po chwili Leeson.

– Prawdę mówiąc, to zasługa Harrisa.

Oczywiście ani jego, ani Coopera nie było już wśród żywych. Ich ciała nadal się tliły.

– Nie, nie, chodziło mi o to, że odzyskaliśmy łączność z siecią!

Spojrzałem na stuka i przekonałem się, że Leeson ma rację. Natychmiast skontaktowałem się z Gravesem.

– McGill, to naprawdę ty? – zapytał primus. – Oznaczyłem cię jako martwego już parę godzin temu.

– Niepotrzebnie. Trudniej mnie zabić niż bagiennego szczura.

– Świetnie. Właśnie dostałem potwierdzenie, że pole siłowe zniknęło. Jak ci się to udało?

– Natrafiliśmy na taki sam świecący generator jak na Świecie Ciemności. Uszkodziliśmy go, a wtedy padły emiterzy pola.

– Wyślesz mi nagrania? I dołącz do transmisji engramy ocalałych, tak na wszelki wypadek.

Spochmurniałem, ale wykonałem polecenie.

– O co chodzi z tym ostatnim, sir? Jak wyglądają sprawy z szerszej perspektywy? Byliśmy odcięci od świata tak długo, że...

– Nie ma na to czasu, McGill. Dowiesz się wszystkiego w Centrali. Zasłużyłeś sobie. Dobra robota.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale się rozłączył.

– I co mówić? – zapytał Leeson. – Wyślą barkę po nasz oddział bohaterów?

Podniosłem wzrok i spojrzałem na niego. Z moich oczu wyczytał odpowiedź – ponure podejrzenie, od którego nie potrafiłem się opędzić.

– Poważnie? Po tym wszystkim? – jęknął.

– Chodźmy na zewnątrz i utnijmy sobie pogawędkę ze stworami.

– Czyli odejdziemy w ogniu chwały? Czemu nie? Słowo daję, powinienem odejść z Varusa i zostać wieprzem.

– Jak możesz tak mówić?

Opuściliśmy budynek z bronią w gotowości. Podążyła za nami resztką ocalałych. Wszyscy byliśmy czujni... ale na zewnątrz nie zobaczyliśmy wrogów.

– Hm, myślisz, że uciekli? – zapytał Leeson.

– Może dostali rozkaz, żeby pójść gdzie indziej i bronić innego celu.

– No, w końcu to maszyny. Biologiczne istoty pewnie by zostały, żeby się zemścić.

W każdym razie teraz rynek miejski wyglądał inaczej. Było dość jasno, bo świt rozświetlił niebo różową luną.

Kolejne wydarzenia pamiętam jak przez mgłę. Na pewno patrzyłem w niebo, a pozostali, którzy przetrwali tak długo, wydawali radosne okrzyki. Zresztą czemu nie mieliby się cieszyć? Wrogowie odeszli, a do tego wstało słońce. I, co nie mniej ważne, mogliśmy je zobaczyć, bo zniknęła kopia pola siłowego, która przez noc odcinała nas od całego świata.

Ale potem usłyszeliśmy coś jeszcze. Jakiś ryk. Jeśli to był samolot, musiał lecieć tak wysoko, że pozostawał niewidoczny z powierzchni. Tak mi się wydawało, ale – jak już mówiłem – moje wspomnienia z tych chwil są niewyraźne.

Co stało się później? Nie jestem pewien. Wiem tyle, że przestałem istnieć, podobnie jak wszyscy na terenie miasta Hammonton.

Zrzucili na nas atomówkę.

Rozdział 20

Przy następnym wskrzeszeniu byłem trochę wkurzony. I rozczarowany, bo Graves nie zjawił się, żeby mnie powitać. Poprzednim razem był przeszczęśliwy, bo rozwalilem wrota okrętu najeźdźców. Może dzisiaj miał gorszy humor.

– Wynik?

– Siedem i pół. Zaokrąglimy do ośmiu, bo dochodzi do siebie.

Faktycznie – mój umysł i zmysły nie były już tak przytępione, jak przed chwilą.

– Może być osiem. Niech pan zejdzie ze stołu, McGill – powiedział bios, którego głosu nie kojarzyłem.

– Gdzie ja jestem? – szepnąłem. – Czy to Centrala?

– Nie ma tak dobrze, centurionie. Jest pan na pokładzie „Legata”. Proszę iść na złoty pokład. Czekają na pana.

Sala wskrzeszeń cuchnęła szczykami, krwią i rozgrzаныmi chemikaliami. Wstałem ze stołu, mrugając, trąc swędzące oczy i próbując nie oddychać zbyt głęboko. Wykonałem parę prostych ćwiczeń rozciągających, a tymczasem moje palce i oczy odzyskały sprawność – przynajmniej na tyle, żebym się ubrał.

Trochę niezdarnie włożyłem mundur, a potem chwiejnym krokiem opuściłem salę. Biosi nie zwracali na mnie uwagi. Już zajmowali się kolejnym wskrzeszeniem. Miałem wrażenie, że są na nogach od wielu godzin, przykuci do maszyny jak niewolnicy. To była pierwsza oznaka, że coś jest nie tak. Może sprawy nie szły tragicznie, ale z pewnością nie takiego powitania się spodziewałem.

Uznałem, że na razie nie ma sensu się przejmować. Wyprostowałem się trochę i poszedłem dalej, z każdym krokiem coraz sprawniej. Gdy dotarłem na złoty pokład, kręgosłup miałem całkiem prosty i znów mierzyłem dwa metry. Nawet moje włosy w kolorze piasku zaczęły schnąć.

Bez pukania wkroczyłem do sali konferencyjnej. Nikt mnie nie zatrzymał.

W środku sześć osób podniosło wzrok znad mapy gwiazdnej wyświetlonej na holostole. Wśród nich byli Turov, Graves i Winslade. W sumie nic dziwnego, bo to ewidentnie było spotkanie oficerów Varusa. Tylko co robił tu Winslade? Już otwierałem usta, żeby o to zapytać, ale powstrzymałem się i usiadłem tam, gdzie niecierpliwym gestem wskazał Graves.

– Dołącz do nas, centurionie – powiedział. – Liczyliśmy na to, że nas oświecisz. Co dokładnie znaleźliście pod kopułą?

– Nie dotarły nagrania? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Nie wszystkie. Tylko kilka ostatnich. To, co na nich zobaczyliśmy, wprowadziło nas w konsternację... Chodzące maszyny z nogami, które poruszają się dzięki pracy mięśni? To w końcu roboty czy nie?

– Nie do końca. To cyborgi. W połowie z metalu i elektroniki, w połowie z mięsa i nerwów.

Galina wzdrygnęła się lekko, ale zauważalnie.

– Co ze źródłem zasilania? – zapytał Winslade. – Jesteś pewien, że to był ten sam rodzaj generatora co na Świecie Ciemności?

– Jasne. Zresztą przecież mogłeś otworzyć stare raporty i je sobie porównać.

– Niezupełnie – powiedział Winslade. – Jesteśmy teraz daleko od Ziemi. Nie wszystko przetrwało.

– A więc lecimy. Za obcymi?

– Tak, ścigamy ich.

Próbowałem jak najszybciej połapać się w sytuacji. Nie podejrzewałem, że po śmierci na powierzchni planety obudzę się na pokładzie okrętu goniącego najeźdźców przez kosmos.

– Zaraz, wspomniałeś coś o przetrwaniu? – zapytałem, a po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. – Co dokładnie miało nie przetrwać?

Oficerowie zawahali się. W końcu odpowiedziała Galina.

– Kiedy przeszkodziliśmy im w desancie, obcy zareagowali bardzo agresywnie. Ich atak rakietowy zniszczył dużą część Miasta Centralnego.

– Głowice nuklearne? – upewniłem się, czując falę mdłości.

Skinęła głową. Natychmiast pomyślałem o Etcie i Delli.

– Co z samą Centralą? Została zniszczona?

– Nie – odpowiedziała. – W porę aktywowaliśmy tarczę i zestrzeliliśmy część pocisków. Ale miasto wokół niej...

– Rozumiem.

W pierwszej chwili ogarnęła mnie ulga – a potem naszły mnie wyrzuty sumienia, że w obliczu takiej tragedii odczuwam pozytywne emocje.

– Co stało się później?

– Okręt zawrócił i odleciał – powiedział Graves. – Opuścił Układ Słoneczny. Zdaje się, że wrogowie nie potrafili naprawić wrót, które uszkodziłeś.

– Na miejscu może nie, ale gdzieś w kosmosie pewnie to zrobią – zauważyłem z niepokojem. – A potem mogą wrócić i zniszczyć całą planetę.

Galina pokiwała głową.

– Więc teraz rozumiesz, czemu „Legat” leci za okrętem wroga. Nasza misja jest pilna i niezwykle ważna.

Przez chwilę układałem to sobie w głowie.

– W porządku.

Graves uśmiechnął się lekko. Lubił momenty, gdy byłem w nastroju na zabijanie. Nie wiem, czy dlatego, że byłem w tym dobry, czy po prostu popierał zabijanie kosmitów. Podejrzewam, że jedno i drugie.

Spojrzałem na Winslade’a.

– Co na pokładzie robi wieprz?

Winslade zmierzył mnie wzrokiem i delikatnie cofnął głowę. Skojarzył mi się z kotem, który nagle wyczuł zapach psa.

– Jestem tu na prośbę pretora – wyjaśnił sztywno.

– Drusus cię przysłał? – zapytałem, a potem wyszczerzyłem się szeroko. – Niech zgadnę, powiedział, że to wielki zaszczyt. Że należysz do jego najlepszych ludzi i w dodatku służyłeś w Varusie, więc jesteś stworzony do tego zadania.

Winslade zmrużył oczy.

– Coś w tym stylu.

Wybuchnąłem śmiechem.

– On się ciebie pozbył, Winslade! Zapakował w kolorowy papier, zawiązał kokardkę na górze i wręczył najbliższemu frajerowi.

– James, jesteś nieuprzejmy – skarciła mnie Turov.

– Przepraszam.

– Jak już mówiłam, „Legat” ściga okręt wroga – kontynuowała trybun. – W bitwie o Hammonton zginęło sześćdziesiąt procent naszych ludzi. W związku z tym wskrzeszamy ich w locie. W pobliżu leci drugi transportowiec przewożący Legion Solstice. Oczywiście na pokładzie każdego z okrętów znajduje się wspomagający legion pozaziemski. Eskortuje nas blisko setka jednostek floty.

Winslade prychnął.

– Nie żeby flota mogła wiele zdziałać przeciwko kuli śmierci, którą ścigamy.

Pomimo cynicznej uwagi Winslade’a poczułem przypływ nadziei. Solstice i Varus może nie były najbardziej prestiżowymi formacjami, ale dwa doświadczone legiony to zawsze lepiej niż jeden. Wszystkie sławniejsze legiony stacjonowały na różnych innych planetach jako garnizon. Ucieszyłem się też, że mamy wsparcie wojowników ze Świata Krwi – albo zoolegionów, jak nazywali je nieprzychylni. W sumie mogliśmy posłać do walki około pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy piechoty.

– Naprawdę namierzylimy okręt wroga? – zapytałem. – Czy po prostu lecimy na ślepo?

Galina potrząsnęła głową.

– Obecnie dysponujemy lepszą technologią. Jesteśmy w stanie ich śledzić nawet w błęku nadświatlnym.

To była dla mnie nowość. Otworzyłem szeroko oczy i z podziwem pokiwałem głową.

– Opłacała się harówka mózgowców z podziemi Centrali, mam rację?

– Właśnie tak.

– Dobra, świetnie. Piszę się na tę walkę, ale... czemu w ogóle zostałem zaproszony na to spotkanie?

– Doskonałe pytanie – mruknął arogancko Winslade.

– Z powodu czegoś, co primus Graves zawarł w swoim raporcie – wyjaśniła Galina, po czym przeszyła mnie wzrokiem. – Wiem, że masz tendencję do koloryzowania i naginania faktów w bardzo kreatywny sposób...

– To jest bardzo nieuczciwe przedstawienie sprawy! – zaprotestowałem.

– Rzeczywiście – zgodził się Winslade. – Blżej prawdy byłoby stwierdzenie, że jesteś patologicznym kłamcą.

Popatrzyłem na niego, wkurzony, a on odwzajemnił rozzłoszczone spojrzenie.

– Panowie, to wasze drugie ostrzeżenie – wtrąciła się Galina. – Przestańcie się sprzeczać. Nie jestem w nastroju, żeby tego słuchać. Ziemia dostała kopniaka prosto w zęby, a my mamy zadbać, żeby to się nie powtórzyło.

Odwróciłem się i powiedziałem do niej:

– Proszę wybaczyć.

– W porządku. A teraz, James, czy mógłbyś potwierdzić, że generator, który widziałeś wewnątrz gniazda obcych, pochodził z Rigela?

– Które dokładnie nagrania z ekspedycji do Hammonton widzieliście?

– Te, które zarejestrowaliście, będąc jeszcze na rynku miejskim – powiedział Graves. – Widzieliśmy przez chwilę tę... hm, fabrykę mięsa. Ale tylko z zewnątrz.

– Pospieszycie się z tymi atomówkami, prawda, Graves? – zapytał Winslade. – Nie żebym was winił. McGill każdego potrafi doprowadzić do morderczego szału.

Graves zignorował przytyk.

– W każdym razie nie zobaczyliśmy budynku od wewnątrz – kontynuował.

– No cóż, mogę powiedzieć tylko tyle, że to był ten sam typ generatora co w układzie Świata Ciemności – powiedziałem. – Czy to oznacza, że wyprodukowali go Rigelianie?

Oficerowie pokiwali głowami.

– Najprawdopodobniej – stwierdził Graves.

– Tyle nam wystarczy – dodała Turov. – Możesz odejść, centurionie.

Wstałem i wyszedłem. Podejrzewałem, że najwyżsi stopniem oficerowie będą naradzać się cały dzień. Nie po raz pierwszy dziękowałem losowi za to, żeby byłem jedynie centurionem. Nie znosiłem długich spotkań, a im wyżej człowiek awansował, tym częściej w nich uczestniczył.

Minąłem się w drzwiach z jakimś primusem. Zdziwił się na mój widok i zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Pewnie jego zdaniem to nie było miejsce dla mnie. Co gorsza, zauważyłem, że wciąż ma wilgotne włosy. Świeżo z maszyny. Świadomość, że centurion znalazł się przed nim w kolejce do wskrzeszenia, była mu wyraźnie nie w smak.

Zasalutowałem z uśmiechem. Zmarszczył ponuro brwi i odprowadził mnie wzrokiem pełnym odrazy.

Rozdział 21

Lot trwał kilka tygodni, co moim zdaniem wyszło nam na dobre. Po pierwsze, dzięki temu był czas, żeby wszystkich wskrzesić. Byłoby smutno, gdybyśmy dogonili obcych i poszli do walki z garstką żołnierzy.

– To zabawa w kotka i myszkę – powiedział Carlos. – Widziałem to w przeszłości i zobaczę znowu. O ile tym razem nie pójdę na permy.

– O czym ty mówisz? – zapytałem.

Właśnie była pora lunchu, a ja, zamiast jeść w mesie oficerskiej, siedziałem ze swoją kompanią. Zwykle tak robiłem, gdy lecieliśmy na jakąś paskudną planetę.

– Wcale nie próbujemy dogonić tych kosmitów – oznajmił Carlos – a jednocześnie nie pozwalamy, żeby nam uciekli. No bo jakie są szanse, że oba okręty, nasz transportowiec i ich wielka kula, mają akurat taką samą prędkość maksymalną?

Zamyśliłem się, zaskoczony.

– Hmm. To wydaje się mało prawdopodobne.

– Praktycznie niemożliwe.

– No tak. Gdyby obcy byli szybsi, po prostu by uciekli. Identyczna prędkość to zbyt duży zbieg okoliczności. A więc lecimy wolniej, niż jesteśmy w stanie, i po prostu zachowujemy ciągle tę samą odległość?

– To jedyny logiczny wniosek. Dowództwo pewnie miało nadzieję, że tamci nie zorientują się, że ich śledzimy. A potem nagle zaatakujemy z zaskoczenia.

Pokiwałem głową.

– A ja przez te wszystkie lata miałem cię za debila.

Carlos prychnął z udawaną złością, ale wydawał się zadowolony. W Legionie Varus komplementy stanowiły towar deficytowy. Nawet takie z pozoru złośliwe były zawsze mile widziane.

Zerwałem się od stołu i wyszedłem z modułu trzeciej kompanii. Chciałem pogadać z dowództwem.

Obecnie już nie czułem się na złotym pokładzie jak kompletny wyrzutek. Jasne, na stałe rezydowali tam tylko oficerowie od stopnia primusa w górę, mający własne gabinety – oraz ich asystenci. To był prosty sposób na przyspieszenie swojej kariery, dlatego wielu centurionów, a nawet adiunktów robiło, co się dało, żeby jak najbardziej zbliżyć się do przełożonych. W ten sposób awansował na przykład Winslade.

Mnie taka ścieżka w ogóle nie interesowała. Gdybym chciał całymi dniami wypełniać tabelki i umawiać spotkania, zostałbym księgowym.

Postanowiłem nie wkurzać Gravesa, więc na początek zastukałem do jego drzwi. W tym momencie za moimi plecami pojawił się adiunkt.

– Mogę w czymś pomóc, centurionie?

Odwróciłem się i popatrzyłem na natręta.

– A pan to kto?

– Jestem asystentem primusa Gravesa. Mam przyjemność z Jamesem McGillem, prawda?

Zdziwiłem się, że Graves wziął sobie asystenta. Zawsze był nastawiony bardzo sceptycznie do tego pomysłu.

– Prawda – odpowiedziałem. – Kiedy mogę zobaczyć się z Gravesem?

– Istnieje coś takiego jak harmonogram spotkań. Niech sprawdzę... W następny czwartek primus jest wolny od dziewiątej piętnaście do dziewiątej trzydzieści.

– Poważnie? A teraz czym jest zajęty?

Adiunkt zmarszczył brwi.

– Jest na zielonym pokładzie, jak sędzę.

Za dnia zielony pokład pełnił rolę przestrzeni do ćwiczeń, a wieczorami zmieniał się w park. Pełno tam było częściowo sztucznych drzew i całkowicie sztucznych kamieni oraz wodospadów.

– Co on tam robi? – zapytałem.

– O ile wiem, planuje manewry. Proszę posłuchać, centurionie. Otrzymałem wyraźne wytyczne w razie pańskiego nieplanowanego przyścia. Gdyby zechciał pan...

– Tak, tak. – Odwróciłem się i poszedłem sobie.

Zielony pokład mieścił się parę pięter niżej. Udałem się tam, ale nie wszedłem głównym wejściem, za którym zobaczyłbym coś w rodzaju rezerwatu przyrody z krętymi ścieżkami i bujną roślinnością. Zamiast tego wsiadłem do windy zarezerwowanej dla oficerów, a potem zawieszoną pod sufitem kładką dotarłem do głównej kabiny obserwacyjnej, z której rozciągał się widok na cały obszar ćwiczeń. Byłem centurionem, więc komputer posłusznie otworzył przede mną drzwi.

– McGill? – prychnął szyderczo Winslade. – Co ty tu robisz? Oskarżyłbym cię o lizusostwo, ale przecież wiem, że ta koncepcja jest ci zupełnie obca.

Oprócz Winslade’a w kabinie był Graves i kilku innych primusów. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłem też trybuna Armela. Skupiłem się na nim i podszedłem, wyszczerzony od ucha do ucha.

– Cześć, Maurice! – odezwałem się głośno, podając mu rękę. – Miło cię widzieć. Jak udało ci się wyrwać ze Świata Burz?

Armel niechętnie wstał i uściśnął mi dłoń. Na Świecie Burz byliśmy zmuszeni ze sobą współpracować. Nie powiedziałbym, że zapalailiśmy do siebie sympatią, ale nauczyliśmy się wzajemnie tolerować.

– Zostałem... przeniesiony – odpowiedział ze swoim snobistycznym, francuskim akcentem.

– A teraz planujesz ćwiczenia w postaci krwawej bitwy między ludźmi a żołnierzami pozaziemskimi?

– Wręcz przeciwnie, McGill – odezwał się po raz pierwszy Graves. – Rozmawiamy właśnie o tym, jak uniknąć podobnej rzezi.

– Świetny zamysł, sir – zgodziłem się. – Trzymajcie naszych chłopaków w ryzach, bo nigdy nie wiadomo, co im strzeli do głowy.

– Czy ty nie brałeś udziału w ubiegłorocznych manewrach, które zakończyły się kompletną katastrofą? – zapytał pozornie niewinnym tonem Armel. – I podczas której posłano na permy masę naszych braci ze Świata Krwi?

– Przyznaję, że brałem. Wówczas nie wiedzieliśmy, że żołnierze pozaziemscy nie będą wskrzeszani tak jak ludzie. Z tego powodu, no cóż, powiedzmy, że ćwiczenia trochę wymknęły się spod kontroli.

– O ile pamiętam, straty sięgnęły prawie pięciuset permanentnych zgonów – zauważył Winslade.

– Jak już mówiłem, ćwiczenia trochę wymknęły się spod kontroli.

Wszyscy spojrzeli na mnie tak, jakbym okropnie cuchnął. Nic sobie z tego nie robiąc, zapytałem z uśmiechem:

– Jest coś, o czym powinienem wiedzieć? Chętnie znów obejrzę treningową bitwę do ostatniego żołnierza. Jak za starych czasów.

– Nie powtórzymy tego więcej, McGill – odpowiedział Graves.

– Wielka szkoda. A z innej beczki... Kiedy wreszcie dodamy gazu, dogonimy wrogów i damy im popalić?

Zamrugali z konsternacji, gdy niespodziewanie zmieniłem temat. Z mojej twarzy ani na chwilę nie zszedł niewinny uśmiech. Wreszcie skierowałem rozmowę na temat, który mnie interesował. Z takimi rzeczami nie wolno wyskoczyć od razu, bo ludzie natychmiast się jeżą.

Armel pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia.

– Skąd pomyśl, że jesteśmy w stanie ich dogonić?

Szybko streściłem to, co powiedział mi Carlos, choć nie wspomniałem o nim z nazwiska. Gdyby wiedzieli, że wpadł na to specjalista, tylko by prychnęli lekceważąco. W końcu większość oficerów uważała się za inny typ człowieka niż zwykli żołnierze.

– Hmm, poruszyłeś drażliwą kwestię. Sam zastanawiałem się nad tym od jakiegoś czasu.

Pewnie kłamał, żeby wyjść na bystrzaka. Ale nie powiedziałem tego, bo jego słowa zwiększały prawdopodobieństwo, że dostanę odpowiedź od pozostałych.

Po chwili namysłu odezwał się Graves:

– To prawda, nie próbujemy ich dogonić. Eskortujące nas jednostki nie miałyby szans z tą wielką kulą. Nie mamy nawet pewności, czy wrota nadal są otwarte. Zresztą podczas podróży w bąblu nadświetlnym atak z użyciem skoczków teleportacyjnych i tak odpada. Z tego powodu zapadła decyzja, że najlepiej będzie podążać za wrogiem, aż wyjdzie z nadświetlnej, a wtedy wyprowadzimy ofensywę.

– Spada na mnie kolejne upokorzenie – poskarżył się czerwony na twarzy Armel. – Pan o tym wiedział, primusie, a ja nie miałem pojęcia, choć jestem trybunem? To jakiś absurd.

Graves popatrzył na niego beznamiętnie.

– Może zechciałby pan porozmawiać o tym z pretorem. Leci drugim transportowcem, razem z Legionem Solstice.

Armel natychmiast odpuścił. Nie miał najmniejszej ochoty sprzeczać się z pretorem Drususem, który zesłał go na wygnanie na Świat Burz – i który mógł to zrobić ponownie.

– Nie ma takiej potrzeby. Proszę kontynuować.

Graves odwrócił się do mapy taktycznej.

– Im dłużej lecimy, tym bardziej zawęża się lista potencjalnych miejsc docelowych. Obecnie mamy już pewność, że cel znajduje się gdzieś w przestrzeni należącej do Pegazów.

Z zaskoczenia wciągnąłem z sykiem powietrze. Spojrzeli na mnie wszyscy. Graves wydawał się poirytowany.

– Masz coś do dodania, McGill?

– Tylko dwa słowa: sztuczna inteligencja. Stamtąd pochodzą wszystkie zaawansowane SI!

– Rzeczywiście, choć te fakty niekoniecznie są powiązane.

– W którym układzie jest planeta Pegazów? – zapytałem.

– 51 Pegasi, tutaj. – Wskazał jeden z punkcików na wyświetlaczu. – To żółta gwiazda ciągu głównego, podobna do naszego Słońca. Oddalona od Ziemi o pięćdziesiąt lat świetlnych.

Wszyscy wbiliśmy wzrok w mapę. Większość oficerów miała zatroskane miny.

– To nie ma sensu – mruknął Armel. – Pegazy słyną z tworzenia doskonałych systemów SI, ale przecież należą do Imperium. Nie są poddanymi Rigelian. Co więcej, ten układ nie jest nawet na obszarach przygranicznych. Nie wierzę w twoją teorię, McGill.

Graves przez jakiś czas wpatrywał się w mapę.

– Na razie mamy dwa punkty odniesienia. Sprawa ze sztuczną inteligencją i kierunek podróży okrętu wroga. Nie jestem przekonany, ale przyznam, że to niewykluczone. Wspomnę o tej możliwości w raporcie dla pretora. Zresztą nasze rozkazy nie obejmują rozwikłania tej zagadki. Jesteśmy tylko pomocniczą grupą dowódczą.

– Pomocniczą? – powtórzyłem. – Więc jakie mamy zadanie?

– Mamy opracować sposób na pokonanie obrony okrętu wroga.

Wstałem i dwa razy głośno klasnąłem w ręce. Mniejsi mężczyźni w pomieszczeniu skrzywili się.

– W takim razie jestem odpowiednią osobą, sir! Już raz przedostałem się do środka. Potrafię to powtórzyć.

– Oni drugi raz nie nabiorą się na tę samą tanią sztuczkę – zapewnił Armel.

Usiadłem z powrotem.

– Rozumiem, że na pewno macie własny, niezawodny plan. Opowiesz mi o nim, trybunie?

Armel wydawał się poirytowany. Chyba jeszcze nic nie wymyślili.

– W ogóle nie powinno cię tu być. Nic ci nie powiem.

Graves spojrzał na mnie.

– McGill, wysłałem cię do biura pretora na transportowcu Solstice. Wspomnij mu o teorii z Pegazami. Zobaczymy, co na to powie.

– Yy, a jak się tam dostanę, sir? – zapytałem. – Mam nadzieję, że nie poprzez śmierć i wskrzeszenie.

– Nie, nie zamierzamy tak marnotrawić zasobów. Wciąż nie odzyskaliśmy wszystkich legionistów, którzy zginęli w New Jersey. Przejdziesz przez bramę teleportacyjną, która łączy „Legata” z drugim okrętem. Jest w dziale inżynieryjnym. Powiedz obsłudze, że ja cię przysłałem.

– Hm. W porządku.

Wstałem i wyszedłem z kabiny obserwacyjnej. Nie byłem do końca zadowolony z otrzymanych rozkazów, ale za to sporo się dowiedziałem. Miałem już pewne pojęcie, w którą stronę lecimy i dokąd ostatecznie możemy trafić.

Niestety, sytuacja wciąż nie była jasna. Nie mieliśmy pewności, kim są wrogowie. Jeśli to Pegazy wysłały monstrualny okręt, żeby zaatakować Ziemię... No cóż, to nie wróżyło nic dobrego. Z drugiej strony, jeśli kula przyleciała z Rigela, przynajmniej tego przeciwnika już znaleźliśmy.

Rozdział 22

Po chwili protestów ludzie z działu inżynieryjnego pozwolili mi przejść między słupkami bramy teleportacyjnej i wyłonić się na „Aeternum”, bliźniaczym okręcie „Legata”. Strażnicy z Legionu Solstice wyglądali na znudzonych. Było ich dwóch i chyba grali w karty na stukach.

Kiedy się pojawiłem, zerwali się na równe nogi i wycelowali mi z trachów w twarz. Ci z Solstice to były twarde chłopaki – prawie tak twarde jak my z Varusa. Szanowałem ich dużo bardziej niż przykutych do Ziemi wieprzy. Słyszeli z tego, że podczas misji ochoczo szli na śmierć, gotowi w każdej chwili się poświęcić. Na szczęście dziś nie byłem ich celem.

Jeden z weteranów zobaczył emblemat Varusa i od razu się uspokoił. Oni sami nosili emblemat ze wschodzącym słońcem. Mężczyzna, który rozpoznał wilczy łeb, położył rękę na lufie tracha drugiego wartownika i skierował ją w stronę podłogi.

– Varus? Czego pan chce, centurionie? – zapytał.

– Wybaczcie, że was nastraszyłem, panienki – odpowiedziałem. – Mam wiadomość dla pretora.

Przyjęli przytyk z humorem. Legiony Solstice i Varus zawsze dogadywały się całkiem nieźle. Oba były na dole hierarchii formacji zbrojnych. W związku z tym jedni odpuszczali drugim, zachowując całą złość i frustrację dla aroganckich legionów ze szczytu listy faworytów – oraz dla wieprzy.

Pokierowali mnie na złoty pokład. Ruszyłem przez okręt tak pewnym krokiem, jakbym był u siebie. Zresztą „Aeternum” nie było niczym nadzwyczajnym. Prawdę mówiąc, stanowiło kopię „Legata”. Bez problemu trafiłem na miejsce. Zatrzymali mnie jeszcze dwa razy, ale w końcu dotarłem do największego biura na końcu korytarza.

Zapukałem do drzwi, lecz nikt nie otworzył. Zacisnąłem pięść i zacząłem łomotać. Chciałem mieć pewność, że siedzący w środku asystenci mnie usłyszą.

Ku mojemu zaskoczeniu, gdy drzwi wreszcie się otworzyły, zobaczyłem nie jakiegoś wazeliniarza, tylko Drususa we własnej osobie.

– McGill...? – zdziwił się, po czym zerknął na stuka. – Ach, widzę wiadomość od Gravesa. Z jakiego powodu mnie dzisiaj niepokoisz?

– Yy, przepraszam, sir. Przesłano mnie, żebym przedstawił panu pewną teorię naszej grupy dowódczej.

– Czego dotyczy ta teoria?

– Pochodzenia najeźdźców, sir.

Drusus zmrużył oczy. Wolał, gdy wszystko było uporządkowane i zgodne z procedurami – przez co czasem dochodziło między nami do spięć, bo ja zawsze kroczyłem własnymi ścieżkami.

– W porządku, wejdź.

Podążyłem za nim do środka. Spodziewałem się zobaczyć trwające spotkanie, ale gabinet był pusty. Nikogo tu nie było. Ani jednego asystenta. To bardzo dziwne, bo Drusus, jako niezwykle pracowity człowiek, nie znosił marnować czasu.

A potem poczułem jakiś zapach. Czyżby kobiece perfumy? Chyba tak. Co więcej, miałem mgliste wrażenie, że rozpoznaję ten aromat. Na szczęście Galina używała innych. A jednak te pachniały znajomo.

– Gdzie się wszyscy podziali? – zapytałem.

– Wypuściłem ich na późny lunch – odpowiedział. – A teraz chodź do sali konferencyjnej.

Przeszedł przez drzwi i dał mi palcem znak, żebym podążył za nim. Jednak znajomy zapach dobiegał z drugiej strony. Czyżby uchylone drzwi naprzeciwko prowadziły do apartamentu Drususa?

W tym momencie ktoś je zatrasnął od środka. Wzruszyłem ramionami i poszedłem za pretorem. Usiedliśmy we dwóch w sali konferencyjnej i opowiedziałem, co myślę o 51 Pegasi – o sztucznej inteligencji i tak dalej. Drusus słuchał uprzejmie.

– Wróć na pokład „Legata” i podziękuj w moim imieniu tamtejszym oficerom – poprosił. – Jednak zapewniam, że nie macie się czym przejmować.

– Jasne, tak zrobię, ale... co pan powie o tej teorii?

– Że to Pegazy stoją za atakiem? Nie mam wiele do powiedzenia. Rozważyliśmy tę opcję i prawie natychmiast odrzuciliśmy. Wszystko wskazuje na to, że są lojalnymi poddanymi Imperium.

- Ale tworzą najlepszą sztuczną inteligencję w prowincji, prawda?
- Nie da się zaprzeczyć.
- I lecimy prosto w ich stronę, zgadza się?

Pretor zaczął tracić cierpliwość.

- Centurionie, sprawdziliśmy ten trop...

– Weźmy na przykład tamten pański samochód latający. Pegazy go zaprogramowały.

Skrzywił się, a do mnie dotarło, że może lepiej byłoby nie wspominać o jego luksusowym aucie i o tym, co z nim zrobiłem. Możliwe, że Drusus jeszcze nie do końca mi wybaczył.

– To oni zaprogramowali autopilota – powiedział. – Ale dotarłyby do nas jakieś informacje, gdyby planowali bunt. Pomyśl trochę, James. Oni nawet nie mają floty bojowej. Ani jednego okrętu. Jak więc mogliby nagle zbudować okręt wielkości księżycy o kadłubie ze skompresowanego pyłu gwiazdznego?

- Hm, no nie wiem.

– Właśnie. Nam też wydało się to bez sensu. A teraz, skoro już opowiedziałeś o swoich obawach, najwyższa pora, żebyś sobie poszedł.

Odniosłem wrażenie, że strasznie mu się spieszy, żeby mnie spławić. Zacząłem podejrzewać, że chciał być sam. Czyżby w przylegającym do gabinetu apartamencie czekała na niego kobieta? To nie było w stylu Drususa. Prawdę mówiąc, przez wszystkie lata naszej znajomości wszedł w intymną relację z tylko jedną osobą.

Nagle uświadomiłem sobie, skąd znam te perfumy.

- Golden China! – wykrzyknąłem.

Zamrugnął, zdziwiony.

- Co takiego?

– Tak się nazywał ten zapach! Golden China. Trybun Deech go używała!

Drusus westchnął.

– Dziękuję za twoje wnikliwe uwagi, McGill, a teraz wynoś się z mojego okrętu, zanim odeślę cię w trumnie.

- Yy, w porządku. Przepraszam za najście, sir!

Wyszedłem pospiesznie, ale przemierzając pusty przedsionek gabinetu, nie mogłem się powstrzymać od zerknięcia na drzwi

prowadzące do apartamentu. Czy kryła się za nimi Deech? Miałem wrażenie, że tak.

Jeżeli Drusus i Deech naprawdę znów byli ze sobą, no cóż, to nie wróżyło nic dobrego. Byli w związku parę lat temu, a wtedy pretor – zwykle słynący z rozsądku – zaczął podejmować same głupie decyzje.

Ostatecznie Deech utknęła na Świecie Maszyn jako dowódczyni garnizonu. Myślałem, że na tym zakończyła się ta historia. Ale najwyraźniej nie. Może jakimś sposobem uwolniła się z tego czyścica, podobnie jak Armel wywinął się od pilnowania zoolegionu na Świecie Burz.

Szkoda, że najbardziej irytujący ludzie wracają do mojego życia jak bumerang.

Teleportowałem się na „Legata” i poinformowałem primusa Gravesa, jak potoczyło się spotkanie. On też wcale się nie ucieszył, słysząc o Deech.

– Jesteś pewien, że to była Deech? – zapytał.

– No cóż, nie widziałem jej w negliżu, nic z tych rzeczy. Ale wszędzie rozpoznałbym jej perfumy. Ten zapach zawsze unosił się w jej gabinecie, kiedy dowodziła Varusem.

– Hmm. Wiedziałem, że wróciła, ale miałem nadzieję, że będzie trzymała się z daleka od pretora Drususa.

– Sir, jak to się w ogóle stało, że wróciła ze Świata Maszyn?

– Nikt nie chce siedzieć w garnizonie. Ambitni oficerowie zwykle po paru latach znajdują sposób, żeby się wyrwać. W jej przypadku było tak, że zgodziła się objąć dowodzenie nad legionem pozaziemskim.

– O rany. Ona i zoo? To jeszcze gorsze niż Teutoburg.

– Może i tak. Ale przynajmniej nie odmraża sobie tyłka na planecie, gdzie metan zamarza i pada z nieba jak śnieg.

Świat Maszyn był dziwny. Zamieszkiwały go duże, sztuczne formy życia. Żywiły się metalem, a ludzie zaczęli wykorzystywać wydrążone przez nie tunele jako kopalnie. Szczególnie obfite – i jednocześnie cenne – były rudy tytanu. Ten metal stanowił główny towar eksportowy Świata Maszyn.

– Zamierza pan coś zrobić w związku z tą... sytuacją? – zapytałem.

Graves rzucił mi ostre spojrzenie.

– To pytanie jest nie na miejscu, McGill. Nie mamy prawa ingerować w decyzje przełożonych. A tym bardziej w ich życie osobiste.

Zawsze kurczowo trzymał się zasad, podczas gdy ja o wiele chętniej je łamałem. Postanowiłem więc pokiwać głową i uśmiechnąć się uspokajająco.

– Niepotrzebnie to mówiłem, sir. Po prostu przemknęła mi przez głowę taka niestosowna myśl.

– Niech więcej tej głowy nie opuszcza – burknął, wstając zza biurka. – Możesz odejść, McGill. Nie zapomnij o jutrzejszych zawodach.

Zdziwiłem się.

– Jakich zawodach, primusie?

– Och, racja, wyszedłeś przed końcem spotkania. Uznaliśmy, że trzeba coś zrobić inaczej. W ostatnich manewrach zginęło zbyt wielu żołnierzy ze Świata Krwi, których nie dało się wskrzesić. Tym razem w ćwiczeniach wezmą udział wyłącznie oficerowie.

– Poważnie? – ożywiłem się.

Graves zaśmiał się.

– Ty naprawdę jesteś żądny krwi, prawda, McGill?

– Im dłużej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się ten pomysł – powiedziałem. – Przecież nowi rekruci nigdy nie mieli okazji zobaczyć takich walk, a my nie zawsze bierzemy udział w ćwiczeniach. W ten sposób każdy zdobędzie nowe doświadczenie.

– Najważniejsze, że wszyscy uczestnicy będą ludźmi – dodał Graves. – Dzięki temu każdy zabity zostanie wskrzeszony. Nie możemy sobie pozwolić na permanentną utratę żołnierzy. Coś mi mówi, że kiedy w końcu dogonimy przeciwnika, przyda się każda para rąk zdolna utrzymać karabin.

– To prawda.

Opuściłem jego gabinet i poszedłem się umyć.

Pod prysznicami powitała mnie znajoma twarz. To była Kivi.

– Hej, mała. Ostatnio widzieliśmy się na Ziemi, zanim zrzucili na nas atomówkę.

Mówiąc te słowa, z podziwem przemykałem wzrokiem po jej ciele. Kivi miała kuszące, kobiece kształty i wcale nie wstydziła się ich pokazywać.

– Nawet mi nie przypominaj – jęknęła. – Byłam martwa przez tydzień. Nie wiem, jak oni ustalają kolejkę wskrzeszeń, ale na pewno nie w uczciwy sposób.

Porozmawialiśmy przez chwilę. Streściłem jej ostatnie wydarzenia. Opowiedziałem o tym, z jakimi potworami się mierzymy i że lecimy w okolice układu Pegazów, i jeszcze parę rzeczy.

Zaświeciły jej się oczy dopiero, gdy wspomniałem o Drusucie i Deech. Zawsze była niepoprawną plotkarą.

– Jesteś pewien? – zapytała. – Na pokładzie obu okrętów jest mnóstwo kobiet, które z radością przespałyby się z głównodowodzącym.

– Nie wątpię – mruknąłem, podejrzewając, że Kivi też się do nich zaliczała. – Ale zdaje się, że Deech zaklepała go sobie raz na zawsze.

– Dziwne. To taka mało pociągająca kobieta.

– No, może bez przesady.

Z obrzydzeniem skrzywiła wargi.

– Ty byś poleciał na każdą.

– Nieprawda. Mam wysokie standardy. Podobnie jak, na przykład, ty.

Kivi zawahała się. Nie odpowiedziała na moje zawołane zaproszenie, ale widziałem, że rozważa tę opcję.

– Hej, a wiesz, że jutro oficerowie mają ze sobą walczyć? – dodałem. – Z tego, co wiem, wygrywa ostatni, kto nie da się zabić.

– Albo ostatnia.

– Albo ostatnia.

Kivi popatrzyła na mnie spod przymkniętych powiek.

– Więc tym razem to nie my będziemy ginąć w jakiejś durnej bitwie na zielonym pokładzie, tylko wy, oficerowie?

– Zgadza się.

Teraz na jej ustach wreszcie pojawił się uśmiech.

– Podoba mi się ten pomysł. Godzinę temu mnie wskrzesili. Wkurzyłabym się, gdyby jutro znowu ktoś mnie zabił w ramach „ćwiczenia”.

– Nie grozi ci to.

Pokazała zęby w radosnym uśmiechu i z błyskiem w oku zapytała:

– Czy ten egzemplarz McGilla jest nadal prawiczkim?

– Jasne, że tak.

Zalotnie przesunęła opuszką palca po moim mokrym ramieniu.

– Umyłeś się już?

– Czystszy nie będę.

Prawda była taka, że już prawie się pomarszczyłem od wody. Miałem wychodzić spod prysznica, kiedy ją zobaczyłem.

– W porządku – powiedziała. – Znam odpowiednie miejsce. Chodź.

Podążyłem za nią. Miała rację – miejsce było odpowiednie. Kivi najlepiej ze wszystkich kobiet na pokładzie umiała znaleźć ustronne miejsce na parę chwil miłosnych uniesień. Jako techniczka dysponowała wielką przewagą. Mogła podłączyć się do systemu monitoringu i zadbać, żeby danego zakątka pokładu nie obserwowały kamery.

Ukryliśmy się w schowku na narzędzia. W pomieszczeniu było gorąco i głośno, bo mieściło się bezpośrednio pod zautomatyzowaną pralnią, ale nam to nie przeszkadzało. Moje nowe ciało potrzebowało swojej pierwszej kobiety, a Kivi była idealną kandydatką.

Rozdział 23

Następny ranek nadszedł zbyt szybko. Czekwały nas zawody. Ochoczo wstałem i włożyłem sprzęt. Mieliśmy paru nowych rekrutów, a Moller zadbała o to, żeby się nie ociągali. Bez ostrzeżenia wpadłem przez drzwi do tak zwanego „akademika żółtodziobów”. Moller już tam była. Dosłownie wywlekała opieszalców z łóżek.

– Oficer na pokładzie! – krzyknęła na mój widok.

Na wpół ubrani rekruci zerwali się w panice, przez moment próbowali włożyć mundury, a potem zorientowali się, że nie zdążą, i po prostu stanęli w dwuszeregu.

Przeszedłem się środkiem pomieszczenia, mając na sobie pancerz wspomagany. Przy każdym moim kroku rozlegał się metaliczny dźwięk ciężkich butów magnetycznych.

– Najbardziej żałosna namiastka legionistów, jaką w życiu widziałem – skwitowałem.

– Rzeczywiście, centurionie – przytaknęła Moller, po czym wytrąciła z ręki jednego z żołnierzy zwitek inteligentnej tkaniny, której nie zdążył włożyć.

W drzwiach za moimi plecami pojawiła się Barton. Ktoś ją ostrzegł, że przeprowadzam niezapowiedzianą inspekcję. Odwróciłem się i zobaczyłem, że jest zdyszana, choć próbowała nie dać tego po sobie poznać.

– To pani ludzie, Barton? – zapytałem, choć znałem odpowiedź.

– Tak, sir. Z góry za nich przepraszam, centurionie.

– Cóż, moim zdaniem przydałaby im się porządna śmierć – stwierdziłem. – Lepiej, żeby zginęli dzisiaj niż potem z ręki najgorszego wroga, z jakim kiedykolwiek zetknęła się Ziemia.

– Jasne, że tak – powiedziała Moller.

Rekruci zrobili takie miny, jakby mieli zaraz ze strachu puścić pawia. Była piąta rano. Wielu zginęło w Hammonton. Niektórzy od tamtej pory mieli tylko parę godzin, żeby dojechać do siebie. W normalnych warunkach dałbym im odpocząć – ale nie dziś.

– Słuchajcie, ludzie – powiedziałem. – Niektórzy z was są zieloni jak trawa. Bardzo chciałbym przeprosić za wszystko, co was jak dotąd spotkało w służbie Ziemi i Legionu Varus... ale ja nigdy nie przepraszam. W tych mrocznych czasach to luksus. Dołączyliście do elitarnego legionu, aby służyć Ziemi. A w tej godzinie planeta was potrzebuje.

Przechadzając się przed dwuszeregiem, z zadowoleniem zauważyłem, że nikt nie patrzy na mnie. Wszyscy spoglądali prosto przed siebie i siedzieli cicho. Spodziewałem się kilku parsknięć, gdy nazwałem Varusa elitą, ale nic takiego nie miało miejsca.

Czyżby nasza reputacja się polepszała? Czy to możliwe, że nasze osiągnięcia wreszcie zatarły podłą przeszłość? Odnosiłem wrażenie, że Varusa obecnie szanowano bardziej, niż kiedy zaczynałem karierę. I, co równie ważne, moi podwładni doskonale wiedzieli, że Ziemia została zaatakowana i że ledwo odparliśmy zagrożenie – na razie. Stawka była wysoka. Ludzie mieli tego świadomość.

Pokiwałem głową, myśląc o tym wszystkim.

– W normalnych warunkach urządzilibyśmy na waszą cześć tradycyjną uroczystość – dodałem.

Parę osób ze zdziwieniem zmarszczyło brwi, ale nikt nie odważył się spojrzeć mi w oczy.

– Oczywiście mówiąc „uroczystość”, mam na myśli rzeź – uściśliłem. – W Legionie Varus przyjęło się, że wszyscy rekruci giną co najmniej raz w ciągu szkolenia. W ten sposób zaprawiamy w boju nowych żołnierzy, żeby przywykli do walki i umierania. Żeby pozbyli się uczuć, jakie śmierć wywołuje w słabych umysłach.

Teraz część osób wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Paru żółtodziobów rzuciło mi ukradkowe spojrzenia.

– Dziś jednak macie szczęście. Prawie zmieniłem zdanie, gdy zobaczyłem, w jak opłakanym stanie są wasze koszary, ale nie. Trzymam się planu. Dziś, zamiast brać udział w walce na śmierć i życie, będziecie ją oglądać.

Ich ulga była prawie namacalna. Miałem wrażenie, że dwóch najchudszych rekrutów zaraz zemdleje, ale utrzymali się na nogach.

– Zgadza się – kontynuowałem. – Wszyscy mieliście już zaszczyt zginąć na prawdziwym polu walki. Nieważne, jak niedoświadczeni byliście przedtem, bo w moich oczach to jak wyróżnienie, jak medal.

Zwykle nowi rekruci przechodzą co najmniej miesiąc intensywnego treningu, zanim spotkają w walce pierwszych kosmitów. Jednak ta grupa została staranowana przez pojazdy z rękami sterczącymi z okien albo spalona przez stwory podobne do bocianów. Dlatego proponuję wam nowe doświadczenie. Zobaczycie na własne oczy ćwiczenia, podczas których oficerowie będą walczyć ze sobą na śmierć i życie.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, dałoby się usłyszeć najłżejszy szelest. Na znak, że już skończyłem i oczekuję reakcji, z szerokim uśmiechem uniosłem wysoko pięść.

– Krew i honor, ludzie! Wasz centurion i jego adiunkci reprezentują dziś trzecią kompanię!

Moller i Barton zaczęły klaskać, a wtedy żołnierze dołączyli do aplauzu – z początku niepewnie, a potem z coraz większym entuzjazmem. Rozległy się radosne okrzyki. Niektórym pociekła po policzku łza ulgi, ale udałem, że tego nie widzę. W końcu byli żółtodziobami, a wielu bardzo niedawno doświadczyło swojej pierwszej śmierci i wskrzeszenia.

Wyszedłem z koszar jak bohater, a podążyła za mną gromada przeszczęśliwych rekrutów. Ubrali się najszybciej jak potrafili, pomagając sobie nawzajem z paskami i uprzążami na sprzęt. Poprowadziłem ich na pokład stołówki, gdzie zastaliśmy setki innych legionistów. Jedli śniadanie i obrzucali nas docinkami. Byli hałaśliwi, ale w dobrych humorach – bo kto nie cieszyłby się, że tego dnia uniknął śmierci?

– Dobry dzień, żeby zginąć, McGill – powiedział Leeson, gdy zostawiłem rekrutów, a sam poszedłem do mesy oficerskiej.

– Jasne, że tak – zgodziłem się.

Siedzieliśmy z ludźmi z naszej kohorty. Wokół były setki oficerów, od adiunktów do primusów. Jedli trochę lepsze żarcie niż to, które serwowano zwykłym żołnierzom.

Tutaj panowały bardziej stonowane nastroje. Powiedziałbym nawet, że większość miała skwaszone miny. Ja próbowałem być wyjątkiem, więc zażartowałem, że Winslade pewnie wymyślił sobie całą listę chorób, na które rzekomo zapadł, żeby wywinąć się od walki.

– No przecież sami wiecie, że zaraz przyjdzie z niebieskiego pokładu ze zwolnieniem lekarskim – zakończyłem.

Oficerów z mojej kohorty bardzo to śmieszyło – z kilku powodów. Po pierwsze, nikt tak naprawdę nie lubił Winslade’a. W ciągu swojej długiej kariery zrobił mnóstwo szemranych rzeczy, a poza tym swoje awanse zawdzięczał raczej znajomościom niż odwadze czy kompetencjom.

Choć trzeba zaznaczyć, że nie był kompletnie pozbawiony honoru. Zdarzało nam się skutecznie współpracować. Ale kiedy został wieprzem, aby zachować stopień primusa, zraził do siebie wszystkich legionistów z Varusa. My gardziliśmy wymoczkami z Hegemonii.

– Co cię tak bawi, centurionie? – zapytał zza moich pleców znajomy, szyderczy głos.

Odwróciłem się i uśmiechnąłem szeroko.

– O, tu jesteś, Winslade! – Klepnąłem w plecy siedzącego obok mnie Harrisa. – Harris właśnie opowiadał wesołą historię o tym, jak smażyłeś bekon.

Z twarzy Harrisa ulotniła się cała wesołość.

– Mnie w to nie mieszaj, McGill.

– Co za bezczelność – stwierdził surowo Winslade, z dezaprobatą krzyżując ręce i kręcąc głową. – Zastanawiam się, którego z was zabiję dzisiaj z większą przyjemnością.

Omam nie zachłysnąłem się mlekiem.

– A skąd pomysł, że ci się uda, primusie?

Winslade uśmiechnął się. To był wredny uśmieszek, który na pewno zwiastował jakiś podstęp. Winslade zawsze coś knuł.

– Nie słyszałeś dobrej nowiny? – zapytał. – Nie, widzę, że nie słyszałeś. Kiedy ty odwiedzałeś Drususa, ja pomogłem wymyślić zasady dzisiejszych zawodów.

Wszyscy przy stoliku przestali się śmiać. Zapanowała konsternacja. Właśnie takich zagrywek się po nim spodziewaliśmy – i dlatego go nie lubiliśmy.

– Jakie zasady? – zapytał Leeson.

Winslade uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Naprawdę nikt z was nie wie? Graves nie wytłumaczył wam zasad?

– Po prostu powiedz, jak bardzo mamy przesrane – burknął Harris.

– W porządku, choć nie lubię psuć niespodzianek. Przeciwno sobie staną wyżsi stopniem oraz niżsi. Primusi i trybuni kontra centurioni i adiunkci.

Pokiwaliśmy głowami. Spodziewaliśmy się takiego podziału.

– Jednak ten układ sił jest problematyczny – dodał Winslade.

– W jakim sensie? – zapytałem.

– W prostych słowach, jest nieuczciwy. Oficerowie wyższego szczebla są często starsi pod względem fizycznym, a przede wszystkim jest nas znacznie mniej.

Nie podobało mi się, do czego zmierza. Tym bardziej że teraz szczerzył się od ucha do ucha, odsłaniając szarawe zęby.

– No i co wymyśliliście? – nie wytrzymał Harris.

– Pojawiła się sugestia, aby wyrównać szanse, udostępniając lepszy sprzęt oficerom wyższego szczebla.

– Pojawiła się sugestia? – prychnął Leeson. – Ciekawe czyja. Twoja?

– Możliwe, że miałem swój wkład w ustalanie szczegółów – przyznał Winslade. – Jednak decyzję podjęło całe grono. Tak czy inaczej, nie mogę się doczekać. Do zobaczenia na zielonym pokładzie.

Kiedy odchodził, odprowadziło go szemranie moich ludzi. Nawet Barton była poirytowana, a ona zawsze traktowała przełożonych z szacunkiem. Winslade był mistrzem we wkurzaniu innych.

– Zamierza oszukiwać – skwitował Harris. – Przyjdzie w pancerzu wspomaganym, a nam każą walczyć patykami. Zobaczycie.

Nikt się z nim nie sprzeczał. Wszyscy spodziewali się najgorszego.

Rozdział 24

Na zielonym pokładzie wreszcie poznaliśmy zasady dzisiejszych zawodów. Twarz trybuna Armela wyświetliła się na każdej ze ścian pomieszczenia, w którym czekaliśmy przed wejściem do głównej sali.

– Oficerowie Varusa – zaczął ze swoim francuskim akcentem – ponieważ wszyscy oficerowie z waszego legionu biorą dziś udział w walce, to właśnie mnie przypadł zaszczyt sędziowania.

Armel wydawał się bardzo zadowolony z tej roli. Nad górną wargą miał cienki wąsik, a w dłoni szklanekę czegoś, co wyglądało jak mrożona herbata – choć znając jego nawyki, podejrzewałem, że to coś mocniejszego.

– W dzisiejszym starciu staną przeciwko sobie oficerowie niższego i wyższego szczebla. Krótko mówiąc, drużyna adiunktów i centurionów walczy z trybunami i primusami.

Z pozoru brzmiało to całkiem nieźle. W końcu nas było znacznie więcej. Z ust kilku oficerów padły prychnięcia i lekceważące uwagi – ale wszyscy z mojej kompanii siedzieli cicho, z ponurymi minami. Po pogawędce z Winslade'em chcieliśmy wiedzieć, w jaki sposób „wyrównano szanse”.

– Oczywiście oficerów niższego szczebla jest nieporównywalnie więcej, dlatego zawody w takiej formie byłyby nieuczciwe. Aby temu zapobiec, mniej liczna drużyna otrzymała lepszy sprzęt. – Upił łyk trunku i uśmiechnął się. – A teraz przybliżę zasady. Są banalnie proste: wygrywa drużyna, która zabije wszystkich przeciwników. I tyle. Aha, jeszcze jedna uwaga. Postarajcie się. Niech to będzie dobre widowisko, bo wasze zmagania będą śledzić wszyscy podoficerowie i zwykli żołnierze.

Osuszył szklanekę z głośnym siorbnięciem i wcisnął przycisk na swoim biurku. Jego twarz zniknęła z wyświetlaczy, a w tym samym momencie otworzyły się drzwi prowadzące do głównej sali. Jednocześnie wyłączyły się nasze stuki. Parę osób zakląło. Najwyraźniej urządzenia zostały zdezaktywowane, żeby nikt

z zewnątrz nam nie podpowiadał i żebyśmy nie mieli między sobą łączności radiowej.

Każdej kohorcie przydzielono wrota o innym kolorze. W każdej grupie było około czterdziestu oficerów. Moja składała się z członków trzeciej kohorty.

Wbiegliśmy do środka. Nie widzieliśmy pozostałych grup, bo każda wkroczyła innym wejściem, a te były od siebie oddalone o co najmniej kilkadziesiąt metrów.

Pojawiliśmy się na zielonym pokładzie bez żadnej broni. Oczywiście to był element ćwiczenia, ale na początku człowiek zawsze czuł się prawie nagi, narażony na ataki. Dlatego gdy tylko zobaczyliśmy stojaki z uzbrojeniem, rzuciliśmy się w ich stronę. Niestety, było bardzo ubogo.

– Co to ma być? – oburzył się Harris. – Mam walczyć samym nożem i nawet nie dostanę pancerza? To jakiś żart?

– Jeśli tak, to kiepski – skwitowała Barton.

Spojrzałem na nią. Z wyrazem rozgoryczenia podniosła nóż bojowy i sprawdziła, jak leży w dłoni. Zdziwiło mnie jej nastawienie, bo normalnie nie miała w zwyczaju narzekać. Może Winslade'owi udało się wywołać poczucie niesprawiedliwości nawet u adiunkt Barton. On potrafił zaleźć człowiekowi za skórę.

Na drugim stojaku, przeznaczonym dla centurionów, znalazłem niewiele lepszy sprzęt.

– Czy oni sobie jaja robią? – jęknął Manfred. – To jakaś kpina, McGill.

– Fakt. Ale jeszcze nie rób pod siebie. Wygramy.

Prychnął z niedowierzaniem. Włożyliśmy napierśniki i wzięliśmy trachy. Tylko tyle. Nie dostaliśmy nawet noży.

– Bez granatów? – poskarżył się Harris. – Nawet bez włóczni? Do dupy z takim ćwiczeniem. Przecież to śmiech na sali. Wam prawie nic nie dali, a nam, adiunktom, to już w ogóle. Może lepiej zrobię, jak sam sobie utnę jaja tym nożem rzeźnickim.

Nic dziwnego, że był oburzony. Ja miałem napierśnik i tracha. To mało – ale i tak o wiele więcej od noża i cienkiej tkaniny na ciele.

– Dobra, jak zdecydujemy, kto prowadzi? – zapytałem.

Centurionów było dziesięciu. Natychmiast odezwała się jedna kobieta.

– Działajmy jako osobne oddziały – zaproponowała. – Każdy centurion prowadzi swoich adiunktów.

Pozostali centurioni pokiwali głowami.

– Chujowy pomysł – stwierdziłem. – Głosujmy na jednego dowódcę.

– Popieram – powiedział Manfred. – Głosuję na McGilla.

– Zgoda, wszyscy niech... – zaczął Harris.

– Przykro mi, ale adiunkci nie mają prawa głosu – przerwała mu kobieta. – Jesteśmy w wojsku, a nie w parlamencie.

Popatrzyłem na plakietkę z nazwiskiem. Venner. Nie znałem jej zbyt dobrze, ale nie miałem powodu, żeby jej nie lubić.

– Proszę posłuchać, centurionie Venner – zacząłem. – Sugeruje pani, że tylko centurioni powinni głosować?

– Trzeba ruszać – powiedział zniecierpliwiony Manfred. – Nie wiemy, co tam czeka.

Venner prychnęła lekceważąco.

– Na pokładzie jest tylko dwudziestu primusów. Nieważne, jaką broń dostali. Nie zabiją nas wszystkich tak od razu.

I właśnie w tej chwili rozległy się eksplozje. Wszyscy padli na ziemię i poczołgali się w stronę osłon. Po paru chwilach dał się słyszeć odległy terkot trachów.

– Barton, na zwiad – rozkazałem. – Venner, zagłosuję na ciebie, jeśli ty wolisz dowodzić, ale potrzebujemy jednego dowódcy.

Zastanowiła się przez chwilę, ale zaraz pokręciła głową.

– Co jest nie tak z działaniem jako współpracujące drużyny? Może gdy zobaczymy, z czym mamy do czynienia...

– Na wschodzie! – zameldowała Barton, która już przedzierała się przez zarośla na naszej prawej flance. – Widzę wymianę ognia. Idziemy zapewnić wsparcie?

– Ja odmawiam – powiedziała Venner. – To szósta kohorta. Niech oni przyjmą za nas pierwsze uderzenie.

Harris, Leeson i ja wymieniliśmy spojrzenia. Moi adiunkci byli niezadowoleni, ale przecież nie mogłem jej nic rozkazać. Oboje byliśmy centurionami.

– Ja idę pomóc szóstej – oznajmiłem. – Winslade na pewno dopilnował, żeby czterdziestu ludzi z nożami nie miało szans

z dwudziestką primusów! Jeśli pozwolimy, żeby eliminowali nas po kolei, to już po walce.

Manfred mnie poparł – był jednym z moich nielicznych przyjaciół wśród oficerów.

– Idę z McGillem.

Ruszyliśmy w stronę odgłosów, nie oglądając się na pozostałych. Było nas niewielu, a tamci mieli pewnie mocarny sprzęt – jednak nie zamierzałem siedzieć z założonymi rękami, gdy ktoś rozrywa na strzępy czterdziestu naszych towarzyszy broni.

Zbliżyliśmy się, przemykając od osłony do osłony. Ci z trachami zatrzymywali się, żeby osłaniać tych z nożami. Ku swojemu zaskoczeniu zauważyłem, że dołączają do nas kolejni ludzie – centurion Venner i reszta oficerów z trzeciej kohorty.

– Nie potrafiłeś usiedzieć w miejscu, prawda, McGill? – syknęła Venner.

Chowała się za tym samym drzewem co ja. Przemknęło mi przez głowę kilka ripost, ale odpuściłem. Przecież w końcu zmieniła zdanie i przyłączyła się do mnie.

– Takie mam podejście do życia – odpowiedziałem szczerze. – Może jestem naiwny, ale myślę, że w razie kłopotów szóstka też by poszła nas ratować.

Venner prychnęła z rozbawienia i potruchtała do następnego drzewa. Chwilę później zrobiłem to samo.

Gdy dotarliśmy pod zamknięte wrota, którymi wcześniej wkroczyli do sali oficerowie z szóstej kohorty, zastaliśmy tylko ciała. Centurioni z trachami i adiunkci z nożami – wszyscy leżeli martwi.

– Jasna cholera, to była rzeź! – sapnął Harris.

– Ile czasu minęło, góra pięć minut? – zapytałem.

– Mniej więcej tyle – przytaknął Leeson. – Od pierwszych strzałów.

Zielony pokład był wielki, choć nie aż tak ogromny, jak mogło się wydawać. Zajmował około kilometra kwadratowego, ale sprawiał wrażenie bardziej rozległego, bo porastała go bujna roślinność, a holograficzne wyświetlacze na ścianach pokazywały nieistniejący krajobraz, który rozciągał się znacznie dalej.

Dokonałem w pamięci obliczeń i wcale nie spodobał mi się wynik. Wychodziło na to, że przeciwnicy uporali się z naszymi kolegami

naprawdę szybko. A to znaczyło, że mają wielką przewagę siły ognia.

Oczywiście ani przez sekundę nie łudziłem się, że walka będzie uczciwa. Choćby dlatego, że Winslade maczał swoje kościste palce w ustalaniu zasad.

– Mają granaty grawitacyjne? – próbowała zgadnąć Venner. – Albo przynajmniej ciężkie pancerze i karabiny metamorficzne.

Pokiwałem głową. Harris z obrzydzeniem rzucił swój nóż na ziemię. Myślałem, że odmawia dalszego udziału w zawodach, więc już chciałem go zastrzelić, ale wtedy podniósł tracha i napierśnik zabitego centuriona. Na koniec z powrotem przypiął sobie do paska nóż i uśmiechnął się. Po biodrze ściekała mu krew nieszczęśnika, którego zwłoki właśnie ograbił.

Wyszczrzyłem zęby.

– Teraz jesteś lepiej wyposażony niż ja.

Venner rozkazała swoim adiunktom też podnieść lepszy sprzęt. Każdy coś dostał, choćby tylko drugi nóż.

Po chwili ruszyliśmy na zachód.

Gdy tylko wypatrzyliśmy inną grupę, znów padliśmy wszyscy na ziemię. Po kilku pełnych napięcia chwilach okazało się, że to oficerowie z dziewiątej kohorty. Przywitaliśmy się jak starzy przyjaciele.

Była nas teraz osiemdziesiątka, więc postanowiliśmy iść w stronę środka pomieszczenia. To wymagało sporej odwagi, ale właśnie stamtąd dobiegały strzały. Gdy my przemierzaliśmy las, nasi przełożeni dorwali kolejną kohortę.

– Nie ma czasu do stracenia – oznajmiłem. – Musimy zaatakować ich wszyscy razem, szybko i mocno. Bo inaczej po nas.

Nikt nie zaprotestował, nawet Venner, bo z takim rozumowaniem trudno było się sprzeczać. Wybiegliśmy truchtem na środek poligonu – gdzie powitał nas dziwny widok.

Zwykle w centrum zielonego pokładu mieściła się jakaś pospiesznie wzniesiona fortyfikacja. Dziś było podobnie. Szeregi postawionych na sztorc stalowych płyt – na tyle wysokich, aby zapewnić osłonę podczas prowadzenia ognia – układały się w dwa koncentryczne pierścienie, które okalały pustą przestrzeń pośrodku,

tworząc coś w rodzaju prymitywnego fortu. Nie sposób tego nazwać imponującą twierdzą, ale lepsze to niż nic.

Wewnątrz tych umocnień były co najmniej trzy nasze kohorty, czyli ponad setka oficerów. Celowali w każdym kierunku, rozglądając się nerwowo.

– Nie możemy tam wejść – szepnęła Venner, która przycupnęła obok mnie. – Zajęli już każdą dobrą pozycję strzelecką.

– Zgadzam się. Zostańmy wśród drzew. W razie czego zapewnimy im wsparcie.

Nie musieliśmy długo czekać. Parę minut później jeden z oficerów wyższego szczebla wyłonił się spomiędzy drzew. Był w pancerzu, tak jak podejrzewałem. Ale nie w zwyczajnym, tylko w pełnym pancerzu wspomaganym – najcięższej zbroi, zarezerwowanej dla bombardierów. Kiedyś sam podobną nosiłem. W czymś takim mógłby przeżyć nawet trafienie małokalibrowym pociskiem artyleryjskim.

– Jasna cholera – wysapał Harris. – To całkiem nieuczciwe.

– Wydaje mi się, że to Graves – powiedziałem, mrużąc oczy. – I właśnie wzięli go na celownik.

Żołnierze pośrodku pola walki zaczęli krzyżeć i zasypali Gravesa nawałnicą pocisków z trachów. Wycofał się między drzewa, ścigany długimi seriami.

– Takimi kulkami w życiu nie przebiją pancerza – stwierdził Harris.

– Może im się poszczęści, jeśli trafią w osłonę twarzy – powiedział Leeson.

– Na pewno nie wtedy, gdy jest odwrócony tyłkiem do nich.

Spojrzałem na przeciwległy skraj polany. Barton, która już wcześniej patrzyła w tę stronę, wskazała coś palcem. Z lasu wyłoniła się główna grupa napastników. Dziesięciu oficerów w stopniu primusa, wszyscy w najcięższych pancerzach. A za nimi szło coś jeszcze. To był smok. Trzymetrowa maszyna bojowa – a w niej znajoma twarz. Metalowym potworem sterowała trybun Galina Turov.

Rozdział 25

Dawno temu, gdy pierwszy raz zetknąłem się ze smokiem, również kierowała nim Galina. Zdobyła go na Świecie Postępu, a potem trzymała na pokładzie „Corvusa” na wszelki wypadek. Tamtego dnia bardzo się na mnie wściekła. Carlosa zabiła jako pierwszego, a mnie w następnej kolejności.

Teraz zadrzałem, znów widząc ją w kokpicie smoka. Tym bardziej że szczyrzyła zęby jak opętana.

Nasi sprzymierzeńcy wewnątrz prymitywnego fortu też już zobaczyli przeciwników. Odwrócili się, dopadli do stalowych osłon i zaczęli ostrzeliwać niewielką grupę opancerzonych oficerów.

Galina uniosła wyrzutnię na ramieniu maszyny i wystrzeliła w ich stronę kilka inteligentnych granatów. Wzbiły się w powietrze po paraboli, a potem wpadły między ludzi i eksplodowały z ogłuszającym hukiem. Ich ładunki grawitacyjne przyciągnęły wszystkie odłamki, kamyki, a nawet lecące pociski, by następnie rozrzucić je w każdą stronę, kalecząc i rozrywając na strzępy oficerów kryjących się za umocnieniami.

– Te pozycje obronne to śmiertelna pułapka! – wykrzyknął Harris.
– Wystarczy, że tamci będą trzymać się z daleka i obrzucać ich granatami!

Ale Galina nie taki miała plan. Gdy zgasły cztery kule niebieskiego światła, rozkazała primusom wdrzeć się do środka i dokończyć robotę.

– Nie strzelają – zauważyła Venner. – Czemu?

– Nie mają karabinów – wyjaśnił Leeson. – Graves i jego ekipa nie grają całkiem nieuczciwie. Będą walczyć wręcz, samymi ostrzami siłowymi.

To miało sens. Nie mogli dać nam badziewia, gdy sami dysponowali nieskończoną amunicją. Galina pewnie miała dość ograniczoną liczbę granatów. Pozostali byli opancerzeni, ale nie mieli z czego strzelać.

Co oczywiście nie znaczyło, że walka była uczciwa, ale nie byliśmy z góry skazani na porażkę. Wciąż pozostawał cień nadziei.

– Okrążmy ich i wjedźmy im w dupę, dalej! – rzuciłem.

Manfred natychmiast za mną podążył. Venner zacisnęła zęby, ale też pobiegła za nami, klnąc pod nosem.

Nie jest łatwo atakować, gdy człowiek wie, że najprawdopodobniej zginie. Nawet świadomość istnienia maszyn wskrzeszających nie za bardzo pomaga. Kto nie wierzy, niech spróbuje świadomie skaleczyć się nożem, powtarzając sobie, że przecież się zagoi.

My jednak nie mieliśmy wyboru. Duża część naszych ludzi była już związana walką. Wiedziałem, że jeśli nie wygramy tu i teraz, pozostałe grupy zostaną odszukane i zaszlachtowane jedna po drugiej.

Galina parła naprzód swoim smokiem, a tymczasem my okrążaliśmy fort. Graves też się pokazał. Prowadził do szturm pozostałych zakutych w zbroje primusów i razem szybko dotarli do ściany ze stalowych płyt. Ludzie wewnątrz umocnień nie mieli dokąd uciekać.

Trachy terkotały, kulki łomotały o osłony twarzy, ale trzeba było kilkudziesięciu trafień, żeby ją przebić. Widzieliśmy, jak dwóch wyższych stopniem oficerów zachwiało się i upadło, gdy pociski wreszcie pokonały pancerne szkło.

Obrońcy fortu wydali urywany okrzyk radości – choć zabrzmiało to raczej jak przesycony buntem ryk. Stracili już nadzieję na zwycięstwo. Zginęła połowa z nich, a zabili dopiero dwóch napastników. A jednak byli gotowi walczyć do samego końca.

Wciąż ukryci za linią drzew, pospiesznie przekradliśmy się za plecy kierującej smokiem Galiny i dopiero wtedy zaatakowaliśmy.

Trybun zauważyła nas w ostatnim momencie. Krzyknęła z zaskoczenia i próbowała odskoczyć – ale było już za późno. Wystrzeliła kolejne dwa granaty. Leeson oberwał pierwszym, a Venner drugim. Eksplozje zabiły jeszcze kilkunastu szarżujących z nożami adiunktów.

Podczas kampanii na Świecie Maszyn praktycznie zamieszkałem w jednym ze smoków, dlatego coś tam o nich wiedziałem. Na przykład to, że ich ogony wcale nie były na pokaz. Te podzielone na

segmenty wypustki poruszały się w pełni autonomicznie i pomagały w utrzymaniu równowagi.

Dlatego gdy wskoczyłem na ogon, maszyna zachwiała się i nie wiedziała, co zrobić. Zaczęła nim wymachiwać, ale ja trzymałem się kurczowo. Galina nie miała pojęcia, co się dzieje. Cofnęła się, to był odruch. I, jak się okazało, błąd.

Wykorzystując moment, w którym maszyna desperacko próbowała odzyskać równowagę, nagle zeskoczyłem z ogona i natychmiast go popchnąłem. Smok – który do tej pory kompensował dodatkowy ciężar, przechylając się w przód – nie zdążył zareagować na gwałtowną zmianę środka ciężkości i upadł „pyskiem” na ziemię.

Może to tylko moja wyobraźnia, ale wydawało mi się, że Galina pisnęła ze strachu. Wcale nie chciałem jej zabić. Przyznam, że naprawdę ją polubiłem. Od lat łączył nas burzliwy i urywany romans. Ktoś nazwałby to zabójczym przyciąganiem. Ktoś inny – niestosowną relacją w miejscu pracy. Obaj mieliby rację.

Tak czy inaczej, uważam – i będę się tego trzymać do swojej permanentnej śmierci – że to nie ja ją zabiłem tamtego paskudnego dnia. Bóg mi świadkiem, że spanikowała i wystrzeliła dwa granaty.

W normalnych warunkach nie stanowiłoby to problemu. Mogło ją nawet ocalić. W końcu nasi ludzie byli już blisko. Dźgali nożami każdy kabel i każdy staw maszyny, a do tego pruli z przyłożenia w szybę jej kokpitu. W takiej sytuacji choćby jeden ładunek zdetonowany w odpowiednim miejscu mógł załatwić większość z nas.

Jednak nasza ukochana trybun pechowo wystrzeliła akurat w momencie, gdy wyrzutnia zaryła w błoto. Granaty eksplodowały bezpośrednio pod maszyną. Smok podskoczył i zaczął dymić. Zmienił się we wrak, równie martwy, co siedząca w kokpicie Galina Turov.

– To było wspaniałe! – pochwaliła mnie Barton, gdy podeszła, kulejąc.

Pokiwałem głową. Dyszałem ciężko, pokaleczony w momencie eksplozji przez parę zabłąkanych odłamków metalu.

– Proszę, niech pani nie mówi Turov, kto ją załatwił, w porządku?

Barton zamrugała ze zdziwienia, ale zaraz przytaknęła z lekkim rozbawieniem.

Po chwili podszedł Harris i pomógł mi wstać.

– Manfred zginął. Ta wiedźma, Turov, ucięła mu głowę. Yy, bez obrazy.

– Nie obraziłem się. Pomóżmy pozostałym.

Zbliżyliśmy się do stalowych barykad. Do tej pory zginęła połowa primusów w ciężkich pancerzach, ale naszych też już zostało niewielu. Ku swojemu niezadowoleniu odkryliśmy, że Graves nadal żyje.

– Ja pierdziele, patrz na sukinsyna! – wydyszał Harris. – Jak on się rusza! Czysta poezja!

Harris nie przesadzał. Walczyłem z Gravesem tylko parę razy, ale tyle wystarczyło – wiedziałem, że facet się nie patyczkuje.

Stał pośrodku wewnętrznego kręgu stalowych płyt, gdzie z każdej strony szarżowało na niego kilku ludzi z nożami. Jego postawa świadczyła o wielkiej wprawie. Wydawało się, że bez wysiłku odpiesa wszelkie ataki i że tamci nic mu nie zrobią, choćby nie wiem jak się starali. Jego ostrza siłowe pozostawały w ciągłym ruchu. Cięży tkanki, przebijały wnętrzości, przechodziły przez klatki piersiowe jak przez masło – i jakimś sposobem blokowały drogę każdemu napastnikowi.

Każdy centymetr kwadratowy pancernej szyby pokrywała siateczka pęknięć. Ledwo było widać twarz primusa. Była pokaleczona i zakrwawiona, bo hełm najwyraźniej nie zatrzymał wszystkich pocisków. A jednak Graves wciąż walczył.

– Pańska dowódczyni nie żyje! – krzyknąłem przez tubę ułożoną z dłoni. – Niech pan się podda!

Albo mnie nie słyszał, albo nie zamierzał składać broni. Podejrzywałem, że tak będzie.

– Marnujesz tylko czas – powiedział Harris. – Służę z Gravesem od dawna. Nie podda się, dopóki jeszcze dycha.

Harris przykręcił przedłużenie lufy do zdobycznego tracha, zmieniając go w karabin snajperski. Wycelował starannie i machnął ręką, mówiąc:

– Zrób coś, żeby popatrzył w tę stronę!

Potruchtałem w kierunku primusa, wykrzykując jego nazwisko. Spojrzał na mnie, a wtedy uniosłem ręce i pokazałem, że w każdej dłoni trzymam nóż. Odsłoniłem zęby w dzikim grymasie.

– Dwa ostrza kontra dwa ostrza! – rzuciłem wyzwanie.

Skinął głową. Nie był już w stanie mówić. Jego żuchwa zwisała luźno, a całe wnętrze hełmu było schlapane krwią.

Ruszyłem biegiem w jego stronę, ale zanim skróciłem dystans, rozległ się wystrzał. Graves upadł na plecy, martwy jak kamień.

– Trochę szkoda... To byłaby piękna walka – mruknąłem.

Otoczająca nas grupa oficerów zaczęła gwizdać i wykrzykiwać niepochlebne komentarze. Nie spodobało im się, że załatwiliśmy Gravesa podstępem.

– Zamknąć mordy! – warknął Harris, nie patrząc na stopnie. – McGill zrobił, co było trzeba. Graves nie żyje. Za coś takiego każdy rekrut dostałby medal.

Przez chwilę dalej szemrali między sobą. Okazało się, że Graves był ostatnim przeciwnikiem. Wygraliśmy. Rozległy się radosne okrzyki, choć ochryple i nieliczne. Większość z nas była ranna albo przynajmniej wyczerpana.

– Trzeba się stąd wynosić – stwierdził Harris. – Wrota są nadal zamknięte?

– Na to wygląda.

– Do jasnej cholery – jęknął, rozczarowany. – Armel pewnie zachlał mordę w kabinie obserwacyjnej i zapomniał otworzyć. Facet jest bezużyteczny jak kutas papieża.

Kilka osób zaśmiało się i pokiwało głowami. Podeszła do mnie Barton. Przez chwilę myślałem, że ona też zbeszta mnie za to, jak załatwiliśmy Gravesa, ale nie, chodziło o coś innego.

– Widzi pan tamtą stertę ciał? – zapytała.

Popatrzyłem we wskazanym kierunku.

– No tak, a co?

– Winslade pobiegł w jej stronę, ale nie widziałam, żeby ktoś go zabił.

Barton i ja wymieniliśmy spojrzenia i uśmiechnęliśmy się szeroko.

– Jest nasz. Cały nasz – powiedziałem.

– Zgadza się. Jak to zrobimy? – szepnęła.

W parę minut nasi ludzie podzielili się na grupy poszukiwawcze i zagłębili się w las na wypadek, gdyby wśród drzew ukrywał się jeszcze jeden primus. To było jak poszukiwanie ostatniego jajka wielkanocnego z dziesięciokredytową monetą w środku. Tymczasem ja i Barton wzięliśmy noże bojowe i zajęliśmy się płytami na brzuchu smoka. Były pogięte, ale w końcu udało się jedną podważyć. Sięgnąłem do środka i zdołałem wyciągnąć ostatni granat.

Poszliśmy w miejsce, gdzie Winslade chował się pod stertą trupów.

– Zdaje się, że to już wszyscy – odezwałem się głośno. – Dziwne, że jeszcze nas nie wypuścili.

– Racja – odpowiedziała Barton równie głośno. – A co z tym ofertą Winslade’em? Chyba zginął w pierwszych trzydziestu sekundach.

– Jasne, że tak. Sam go zabiłem.

– Nieprawda, sir! Ja go zabiłam. Dał się załatwić na początku jak wieprz!

W tym momencie sterta ciał poruszyła się. Spod trupów wyłoniło się coś czerwonego i metalowego. Przez wymazaną krwią szybę zobaczyliśmy twarz Winslade’a. Wykrzywił ją szyderczy grymas triumfu.

– Oboje kłamiecie! – wykrzyknął, brnąc w naszą stronę.

Z jego przedramion wyłoniły się ostrza siłowe. To był umówiony sygnał. Barton i ja padliśmy na ziemię. Staliśmy za barykadą, a grube, stalowe płyty oddzielały nas od niebieskawej eksplozji, która zaraz rozświetliła okolicę.

Pancerz nie uchronił Winslade’a przed śmiercią. Niestety, okazało się, że Harris – który nie był wtajemniczony w naszą zasadzkę – właśnie zachodził primusa od tyłu i wyleciał w powietrze razem z nim.

Kiedy dym się przerzedził, Barton i ja wymieniliśmy szerokie uśmiechy.

– Zrobiła pani ze mnie uczciwego człowieka, Barton. Teraz mogę szczerze powiedzieć, że przyłożyłem rękę do zabicia Winslade’a.

– Nie ma za co, centurionie.

Chwilę później po zielonym pokładzie przetoczył się grzmiący głos. Dopiero po chwili poznałem, że to Armel. Głośniki tak wzmacniały jego słowa, że aż uszy bolały.

– Ostatni z lepszych padł. Tego smutnego dnia zwyciężyli niżsi stopniem. Gratulacje, kmiotki. Obaliliście swoich panów. Zawody dobiegły końca.

Dopiero teraz otworzyły się ogromne wrota zielonego pokładu, wypuszczając ocalałych.

Rozdział 26

To była zacięta walka. Powiedziałbym, że wręcz rzeź. Koniec końców zginęło trzy czwarte uczestników. Jednak podoficerowie i żołnierze byli w doskonałych nastrojach.

– Wysłanie Winslade’a to było najlepsze, co w życiu zrobiłeś, McGill. – Carlos klepnął mnie w plecy. – Wszyscy patrzyliśmy. A kiedy Graves poprowadził tę szarżę na fort... Myślałem, że już po was. Że hołota z nożami nie ma szans.

– Było blisko – przyznałem. – Poszłoby lepiej, gdyby wszystkie kohorty postanowiły dołączyć do walki.

– No tak... Nie wiem, jak ci z drugiej i piątej spojrzę sobie w oczy w lustrze po takiej kompromitacji.

– Narobili w gacie i schowali się w lesie – powiedziałem głośno, spoglądając z pogardą na paru centurionów w zasięgu słuchu i wzroku.

Pokazali mi środkowe palce i pochyłili się nad sprzętem. Ale ja nie dałem się oszukać. Było im wstyd.

W tym momencie na pokład wszedł Graves. Wszyscy wydali radosny okrzyk, a on odpowiedział salutem.

– Przyszedłem w imieniu waszych przełożonych – powiedział. – Pragnę wam pogratulować. Dobra robota. Nikt nie ma do was żalu. Zapraszamy wszystkich centurionów na bankiet, który odbędzie się jutro wieczorem na złotym pokładzie. Do tego czasu powinny się opróżnić kolejki wskrzeszeń.

Nadeszła kolejna fala wesołych okrzyków. Primus wyszedł.

– Uprzejmie z jego strony – powiedział Carlos. – Graves ma klasę.

– Byłoby jeszcze uprzejmiej, gdyby zaprosił adiunktów – burknął Harris.

– Za mało miejsca – zauważył Carlos.

– Co tam mamrocześ, Ortiz?

– To, co słyszałeś. W sali bankietowej nie zmieszczą się setki ludzi.

– Pozwól, że coś ci powiem, Ortiz... Jesteś idiotą – rzucił Harris.

Carlos roześmiał się, ale Harris wciąż spoglądał na niego ze złością, nawet wtedy, gdy nabierał jedzenie na widelec. Zginął podczas manewrów i z jakiegoś powodu winił za to mnie. Z mojej perspektywy niepotrzebnie się czepiał. Zresztą Harris zawsze był w podłym nastroju zaraz po wskrzeszeniu.

Tego wieczoru szukałem Kivi, ale była zajęta. Tak to już z nią było. Nie wolno się przywiązywać, bo zaraz znajdzie sobie innego. Pomyślałem, że można by pójść na złoty pokład i spróbować szczęścia z Galiną, ale odrzuciłem ten pomysł. Rzadko ze sobą sypialiśmy w trakcie misji. Stres związany z kampanią wojskową źle wpływał na naszą relację. Poza tym przecież dzisiaj zginęła, gdy zaatakowałem ją od tyłu z dwudziestką innych oficerów. Podejrzywałem, że może nie być w nastroju na seks.

Wróciłem więc do swojej kwatery. Z zaskoczeniem odkryłem, że ktoś tam na mnie czeka. Tym kimś była adiunkt Erin Barton.

Powiedzmy coś sobie jasno. Z Barton nigdy nie pozwalałem sobie na nic niestosownego, nawet na aluzje. W końcu była moją bezpośrednią podwładną.

Dołączyła do Varusa po odejściu z Victrix w dość tajemniczych okolicznościach. Ramiona miała szerokie, a rysy ostre. Nie była bynajmniej brzydka. Po prostu sprawiała wrażenie raczej twardej babki niż słodkiej dziewczyny.

Jednak dziś wyglądała inaczej. Wydawała się bardziej kobieca i ujmująca. To chyba przez jej uśmiech i oczy. Widziałem w nich blask – tak jakby ucieszyła się na mój widok.

O rany.

Wiele dzisiaj przeszła i z jakiegoś powodu zapałała sympatią do mnie. Pomyślałem, że muszę być ostrożny.

– Dobry wieczór, adiunkcie – powitałem ją. – Świetnie się pani dzisiaj spisała.

– Mogłabym powiedzieć panu to samo, sir. Szczególnie spodobało mi się to, jak pan załatwił Winslade’a na samym końcu. Czy to niewłaściwe, gdy człowiek czuje mściwą satysfakcję?

Zamrugłem zdziwiony, zanim zorientowałem się, że Barton żartuje. Roześmiałem się i otworzyłem drzwi.

– Nie ma w tym nic złego. Nie w jego przypadku. Winslade jest jak wąż przyczajony pod huśtawką w ogrodzie.

Wszedłem do swojej kabiny i spodziewałem się, że ona powie „dobranoc” i pójdzie, ale tak się nie stało. Została na korytarzu, obierając biodro o framugę.

– Yy, chce pani wpaść na chwilę? Na przykład na drinka.

To było niewłaściwe. Poczulem to, gdy tylko te słowa wyszły z moich ust, jednak nie dało się ich już cofnąć. Weszła, zamknęła za sobą drzwi i usiadła na moim łóżku. Nalałem nam alkoholu do jednorazowych kubków. Napiliśmy się.

– Wie pan co? Chyba wreszcie poczułam się tu jak w domu – powiedziała. – To znaczy w Varusie. To głównie pańska zasługa, sir.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Każdy normalny centurion od samego początku dopytywałby, jak osoba taka jak ja wyleciała z Victrix, została zdegradowana do adiunkta, a potem trafiła do Varusa. Ale pan nie drążył tematu.

Jej wypowiedź można by zinterpretować jako obelgę, ale ja nie zwróciłem na to uwagi. Facet, który łatwo się obraża, rzadko idzie z kobietą do łóżka. Nie żebym do tego właśnie dążył. Po prostu odruchowo się pilnuję, kiedy kobieta wygłasza swoje zdanie.

Dolałem alkoholu i napiliśmy się znowu. Barton westchnęła ciężko. Rzadko widywałem ją podchmieloną. Odkąd ją poznałem, zawsze była spięta.

– Przyznam się, że z początku myślałam o pójściu do Varusa jak o losie gorszym od permanentnej śmierci. Krąży o nim tyle opowieści... Tyle żartów...

– A co pani myśli teraz?

– Obecnie patrzę na wszystko inaczej. Na Świecie Burz, i ogólnie podczas swojego pierwszego roku służby w Varusie, próbowałam być przykładnym oficerem.

– Z powodzeniem.

– Dziękuję. Ale to nie zadziałało. Nie wybaczyli mi. Nic nie dały próśby o przeniesienie z powrotem do Victrix.

Zaskoczyła mnie. Nie miałem pojęcia, że składała wniosek o transfer. Zwykle taki dokument przechodził przez ręce bezpośredniego przełożonego. Zaraz jednak zrozumiałem, że ona nie składała formalnych wniosków. Po prostu badała grunt,

odzywała się do starych znajomych i tak dalej. Jednak Legion Victrix najwyraźniej się od niej odwrócił.

– Ich strata. Tym lepiej dla nas – powiedziałem stanowczo.

Wskazała na swój pusty kubek. Zawahałem się przez moment, ale dolałem jej jeszcze.

– No cóż, sir. Już sobie pójdę, jeśli pan woli.

Powiedziała to, nie podnosząc wzroku. To dla niej nietypowe. Zwykle patrzyła ludziom w oczy, gdy do nich mówiła. Z jakiegoś powodu nagle ogarnęła mnie chęć bardziej intymnego kontaktu z nią. Wyraźnie dała znak, że jest zainteresowana – ale też, że wszystko zależy ode mnie.

Cholera.

Zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem. Nie byłem już tym samym młodym dzikusiem, co trzydzieści lat temu. A jednak wciąż odczuwałem dawne emocje i żądze. Moje ciało było co najmniej trzydzieści lat młodsze od umysłu. Wpływały na mnie te same hormony co na młodego i zdrowego mężczyznę.

Dotknąłem jej przedramienia. Ten gest był łagodny, wręcz niewinny, ale wywołał pożądaną reakcję. Barton dosłownie rzuciła się na mnie. Chciała mnie tu i teraz. Ten jeden dotyk wystarczył, aby pokazać, że też jestem zainteresowany. Jednak nie oczekiwałem, że ona okaże się tak zachłanna w swojej namiętności – choć dosłownie przed chwilą udawała wstydliwą. W ciągu dziesięciu sekund kompletnie straciła nad sobą kontrolę.

Uprawialiśmy seks łapczywie jak zwierzęta. Była gorąca i wyuzdana. Nie żałowała paznokci.

Czasem bywa tak, że z pozoru skryta kobieta tłumi w sobie napięcie, a kiedy tama wreszcie pęknie... No cóż, to chyba był jeden z tych przypadków.

Kiedy skończyliśmy, zeskoczyła ze mnie i zaczęła się ubierać. Oparłem się na łokciach.

– Yy, spieszysz się gdzieś, Erin?

Chyba po raz pierwszy odezwałem się do niej po imieniu. Zatrzymała się i odpowiedziała cicho:

– Ja... chyba popełniłam błąd. Przepraszam.

– Oj, daj spokój. Chyba nie było ci aż tak źle, prawda?

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Po prostu to niestosowne.

– Chodzi o ten moment, kiedy niespodziewanie rzuciłaś się na swojego centuriona? Rzeczywiście, niestosowne – przytaknąłem. – Ale to się zdarza. Nie świruj. Jesteśmy w Varusie, a nie w Victrix.

Erin skinęła głową i odetchnęła głęboko. Znalazła plastikowy kubek i pomachała mi nim przed nosem. Dolałem jej alkoholu. Przez chwilę się całowaliśmy.

– Naprawdę powinnam już iść – powiedziała. – Nie mogę zostać na noc. Żołnierze się dowiedzą.

Nie miałem serca jej mówić, że pewnie ktoś nagrał wszystko brzęczykiem i że filmik już krąży po koszarach. W Varusie nie tylko oficerowie nagminnie łamali przepisy.

– W porządku – powiedziałem. – Ale wpadaj czasem.

Zatrzymała się przy drzwiach. Opuściła wzrok, znów stała się cicha i zawstydzona. Jej nastroje były zmienne jak pogoda.

– Chcesz wiedzieć, czemu wyrzucono mnie z Victrix?

– Yy, no jasne, jeśli masz ochotę o tym mówić.

– Przespałam się z primusem. Trybun się dowiedział i było po wszystkim. Zdegradowali mnie i wyrzucili z legionu.

Roześmiałem się.

– Bez obaw, tutaj nic podobnego się nie powtórzy. Zresztą gdyby wykopali cię z Varusa, gdzie mieliby cię odesłać? Nawet zostanie wieprzem w Centrali byłoby jak awans. Stąd możesz tylko piąć się w górę.

Uśmiechnęła się i wyszła. Tymczasem ja wygodnie rozłożyłem się na łóżku i zasnąłem jak dziecko.

Rozdział 27

Następnego wieczoru poszedłem na bankiet zorganizowany na złotym pokładzie. W pomieszczeniu było pełno oficerów, ale nie zwracałem na to uwagi, bo żarcie było przednie. Miałem przed sobą dwa talerze. Na pierwszym lżejsze rzeczy – sałatka ziemniaczana, kurczak, czarne oliwki i krewetki. Na drugim coś bardziej konkretnego – trzy steki, a każdy gruby jak mój kciuk.

Ciekła mi ślinka na widok tych frykasów i kompletnie nie mogłem się skupić na przemówieniach. Czemu, do cholery, ludzie zawsze chcą tyle gadać, zanim zaczną jeść? Według mnie zaczynali od dupy strony. Najpierw się je, a potem mówi. Ja nie potrafiłem nawet myśleć, gdy czekała na mnie taka wyżerka.

– 51 Pegasi to dom dziwnego, ale przyjaznego gatunku znanego ze swoich systemów sztucznej inteligencji – mówił niespiesznie Drusus.
– Chciałbym dziś państwu opowiedzieć więcej o tym układzie, ponieważ wkrótce do niego dotrzemy.

Galina podeszła do mnie i zmierzyła mnie spojrzeniem, które bardzo delikatnie nazwałbym lodowatym.

– Nie garb się, McGill – syknęła. – Pokaż tym ludziom, że jesteś oficerem i dżentelmenem, a nie kimś, kto zarabia na życie, udając goryla.

Pokiwałem głową, przykleiłem uśmiech na usta i próbowałem patrzeć na Drususa, a nie na jedzenie. Galina zostawiła mnie i usiadła u szczytu stołu, gdzie zajęli już miejsce Armel, Deech oraz Francisco, dowódca Legionu Solstice. Drusus stał nad nimi i wygłaszał niekończącą się przemowę.

Kątem oka widziałem, jak inni ludzie stają przy bufecie, nakładają sobie potrawy na talerze i rozmawiają cicho. Wkrótce mieli wszyscy pójść do stolików i w milczeniu czekać na znak, aż będzie wolno jeść.

Tę zasadę wprowadziła Deech, choć podejrzewałem, że Drususowi i Turov też się podobała. W Legionie Varus nie modliliśmy się przed posiłkiem, ale czekaliśmy, aż wszyscy będą mieli pełne talerze,

żebyśmy mogli zjeść wszyscy razem. To było bez sensu i doprowadzało mnie do szału.

– O ile rozumiem, Pegazy wbrew pozorom wcale nie są latającymi końmi – zażartował Drusus.

Parę osób roześmiało się z grzeczności. Drusus był lepszym pretorem niż komikiem.

– W rzeczywistości te przedsiębiorcze istoty przypominają sześcionogie koty. Potrafią biegać na wszystkich sześciu kończynach, ale mogą też podnieść tułów i wykonywać czynności przednią parą.

Wyświetlił kilka zdjęć. Niektórzy zareagowali na nie zaskoczeniem. Dla mnie Pegazy wyglądały jak dziwadła. Miały krótką sierść i głowę jak u rysia. Dodatkowa para przednich kończyn była zakończona cudacznymi, czarnymi dłońmi.

Nie spodobali mi się.

– Wyglądają uroczo – stwierdziła Galina.

– Uroczo? – powtórzył Drusus. – Nie powiedziałbym. Są drapieżnikami szczytowymi, ważą przeciętnie około ośmiuset kilogramów. Na ich planecie panuje nieco niższe ciśnienie niż na Ziemi.

Teraz pokazały się zdjęcia układu 51 Pegasi. Mój żołądek wydał głośny pomruk z tęsknoty za jedzeniem.

– Pierwsze egzoplanety potencjalnie zdatne do życia odkryto już w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Później udało się potwierdzić, że rodzima planeta Pegazów jest całkowicie przyjazna ziemskim organizmom. Nawet ich gwiazda bardzo przypomina nasze Słońce.

Do tego momentu Drusus mówił dość pogodnym tonem. Teraz jednak zmarszczył brwi i dodał poważnym głosem:

– Próbowaliśmy się z nimi skontaktować. Bez skutku. Albo nie chcą, albo nie są w stanie odpowiedzieć. – Zrobił pauzę dla efektu. – Ten fakt oraz to, że wrogi okręt leci w stronę wspomnianego układu, może oznaczać, że na planecie Pegazów doszło do katastrofy.

– Jakiego rodzaju katastrofy? – Armel wciął się w monolog Drususa. – Postanowili się zbuntować? Stworzyć potwory i zaatakować lokalnych egzekutorów prawa galaktycznego?

– To mało prawdopodobne. – Drusus pokręcił głową. – Tak naprawdę nie wiemy, co tam się wydarzyło. Dolecimy na miejsce

i wtedy otrzymamy odpowiedź.

Armelowi zrzęła mina. Zakręcił szklaneczką z brązowym płynem, aż zagrzechotały kostki lodu, a potem osuszył ją jednym haustem.

– Obawiamy się, że sytuacja jest poważniejsza niż zwyczajny bunt – kontynuował Drusus.

Teraz przykuł moją uwagę na tyle, że zapomniałem na chwilę o jedzeniu. Wszyscy zamilkli. Każdy chciał wiedzieć, co tam się wyprawia.

– Bierzemy pod uwagę ewentualność, że tamtejsi projektanci sztucznych inteligencji posunęli się o krok za daleko. Możliwe, że stworzyli coś sprytniejszego od nich samych. Coś, co uzyskało samoświadomość i postanowiło zawładnąć całą planetą.

Przez najbliższych kilka sekund dało się usłyszeć nawet najcichszy szelest. Osobiście nigdy nie lubiłem niezręcznej ciszy, więc zagwizdałem – nisko i przeciągle.

Drusus spojrział na mnie przelotnie, a potem z powrotem skupił wzrok na mapie gwiazd wyświetlonej za jego plecami.

– Ten scenariusz pasuje tylko do niektórych faktów. Wyjaśnia na przykład, czemu napastnicy byli cyborgami, oraz to, dlaczego załoga po uszkodzeniu okrętu postanowiła wrócić do układu Pegazów. Ta teoria nie wyjaśnia jednak, w jaki sposób te istoty tak szybko zbudowały na tyle zaawansowaną jednostkę.

Podniosłem rękę i zamachałem palcami. Drusus niechętnie udzielił mi głosu.

– Moim zdaniem sytuacja jest oczywista, sir. Pegazy nie żyją, może już od pewnego czasu. Sztuczna inteligencja wiedziała, że nie pokona wszystkich gatunków naraz, więc dbała o zachowanie pozorów. Na przykład nadal sprzedawała gadżety, z którymi słynie ten układ. A teraz gdy przeciwnik poczuł, że jest gotowy, zaatakował Ziemię. Jediną planetę, która ma własną flotę i jest w stanie mu się przeciwstawić.

Drusus zmierzył mnie spojrzeniem, mrużąc oczy. W końcu pokiwał głową.

– Rozważyliśmy taki scenariusz. I mamy nadzieję, że nie jest prawdziwy.

W tym momencie wydarzyło się coś wspaniałego. Ostatnia osoba – tak się złożyło, że była to akurat centurion Venner – wreszcie usiadła przy stole z talerzem. Nie czekając na oficjalny sygnał, zacząłem pochłaniać posiłek. Jedzenie smakowało równie dobrze, jak wyglądało. Prawdę mówiąc, niedługo później poszedłem jako pierwszy po dokładkę.

Dla mnie jedzenie to poważna sprawa – podobnie jak chyba dla każdego, kto ma dwa metry wzrostu i waży sto dwadzieścia kilo, głównie tkanki mięśniowej i kostnej. Mój wilczy apetyt sprawił, że nie słyszałem reszty przemówienia. Chyba wiele mnie nie ominęło, bo tak naprawdę nikt nie wiedział, co nas czeka w układzie 51 Pegasi. Przełożeni zwyczajnie bili pianę, żeby wszyscy poczuli się lepiej. Jasne, mieli swoje teorie i koncepcje, ale to wszystko nic niewarte. Każdy miał świadomość, że realny plan powstanie wtedy, gdy po raz pierwszy staniemy oko w oko z wrogiem.

A jeśli nie uda się go zniszczyć? No cóż, to nie byłby pierwszy raz, kiedy gatunek biologiczny został wytępiony przez maszyny.

Zdecydowanie nie pierwszy.

Rozdział 28

51 Pegasi była całkiem przyjemną dla oka gwiazdą. Gdy dotarliśmy do układu, praktycznie nie dało się jej odróżnić od naszego Słońca. Jednak cała swojskość ulotniła się, gdy ryknęły syreny ostrzegawcze, a z głośników rozległ się komunikat:

– Wykryto jednostkę wroga. Wszyscy na stanowiska bojowe. Prosimy podążać za strzałkami.

– Szlag – syknąłem.

Właśnie kończyłem sikać w ciasnej toalecie dla oficerów w module mojej kompanii. Tak naprawdę żołnierze piechoty na razie na niewiele mogli się przydać. Dopóki wróg nie przeprowadzał abordażu, byliśmy bezużyteczni.

Właśnie zapinałem rozporok, gdy ktoś załomotał do drzwi.

– Zaraz wychodzę! – zawołałem. – Niech żołnierze wezmą sprzęt!

– Tak jest! – odpowiedział mi przytłumiony głos Moller.

Pokręciłem głową. To zawsze była Moller. Babka była twarda i skupiona na pracy.

Statek zadygotał, gdy wychodziłem z ubikacji o rozmiarach schowka na szczotki. Wykonywaliśmy jakiś manewr. Przytrzymałem się framugi, żeby nie upaść – i wtedy zauważyłem strzałki na podłodze. Czerwone strzałki wyznaczały kierunek, w którym mają udać się żołnierze piechoty. Prowadziły na główny korytarz.

– Szlag – wymamrotałem.

Do tej pory łudziłem się, że przeczekamy to w swoich modułach. Nic z tego. Kazali nam zająć pozycje obronne. Czyżby wrogowie naprawdę szykowali się do abordażu na jednostkę transportującą dwa legiony? Jeśli tak, to odpowiedniki jaj musieli mieć wielkie jak balony.

Dwie minuty później biegłem truchtem na czele kolumny żołnierzy. Większość ludzi wciąż dopinała pancerze i pasy taktyczne.

Włączyłem kanał dowodzenia i zacząłem słuchać. W eterze panował chaos.

– Wrogi okręt po lewej burcie, trochę przed nami. Na razie nie jesteśmy na kursie kolizyjnym.

– Powinniśmy zostawić go w spokoju – zasugerowała kobieta, chyba Galina.

– Zestrzelmy go – zaproponował Armel.

– Trybun Armel ma rację – zdecydował Drusus. – Burtowe działa w gotowości. Otworzyć ogień, gdy tylko jednostka znajdzie się w zasięgu.

Sytuacja wydała mi się niepokojąca. Dowództwo legionów zwykle pozostawiało takie decyzje kapitanowi „Legata”, jednak obecny na pokładzie pretor był w stanie podważyć każdy jego rozkaz. Był odpowiednikiem czterogwiazdkowego generała z dawnych czasów.

Podążaliśmy za czerwonymi strzałkami, aż dotarliśmy do okręgu, który oznaczał koniec trasy. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że mamy czekać w głównym holu z windami. Mijało nas mnóstwo ludzi. Owca

– No dobra, przynajmniej nie tkwimy między kadłubami – mruknął Harris.

Miał na myśli kampanię na Świecie Śmierci. Wtedy kazano nam wcisnąć się do pozbawionej powietrza przestrzeni między zewnętrznym a wewnętrznym kadłubem. Tamtego dnia mieliśmy jako obrońcy ręce pełne roboty.

– Leeson, ty dowodzisz – rzuciłem. – Ja pojedę na złoty pokład i zobaczę, co jest grane.

Adiunkci popatrzyli na mnie z mieszanką zaskoczenia i zaniepokojenia.

– Czy to na pewno dobry pomysł, centurionie? – odważyła się zapytać adiunkt Barton.

Od razu pożałowałem tego, że się z nią przespałem. To był wielki błąd, ale nie sądziłem, że zemści się tak szybko. Harris i Leeson przyglądali się z zaciekawieniem, jak na to zareaguję.

– Yy... – Przez moment zastanawiałem się, jak do tego podejść. Postanowiłem obrócić sprawę w żart. – Większość moich pomysłów jest kiepska, więc, no cóż, miejmy nadzieję, że tym razem będzie inaczej! – odpowiedziałem z uśmiechem.

Wszedłem do windy.

– Nie będzie mnie co najwyżej dziesięć minut – oznajmiłem swoim oficerom. – Gdyby ktoś mnie szukał albo jeśli coś się wydarzy, macie natychmiast mnie o tym poinformować.

Erin zrobiła krok w moją stronę, ale zatrzymała się i nie powiedziała nic więcej. Może zauważyła, że przyglądają jej się uważnie pozostali adiunkci. Stojący za jej plecami Leeson ułożył dłonie w kształt serca, przyłożył do piersi, a potem rozłączył je z udawanym smutkiem.

Szlag. Oni już coś wiedzieli.

Ignorując ich wszystkich, pojechałem windą na złoty pokład. Na miejscu panował chaos. Starłem się nie wchodzić nikomu w drogę, ale wypatrzył mnie Graves.

– Centurionie! – zawołał. – Co się stało?

– Yy, nic nadzwyczajnego, sir. Po prostu zastanawiałem się...

Twarz Gravesa zmieniła wyraz z zaniepokojonego na rozzłoszczony.

– Niech zgadnę, zastanawiałeś się, czemu centurioni zostają zdegradowani? Na przykład dlatego, że opuszczają wyznaczony posterunek.

– Przepraszam, sir. Już wracam do holu z windami, ale... widzi pan, martwiłem się, że tu na górze dzieje się coś złego.

Graves jeszcze bardziej zmrużył oczy z mieszanką nieufności, zaciekawienia i konsternacji. Podobne emocje widywałem na twarzach przełożonych niezliczone razy. Niestety, często bywałem niezrozumiany. Wskutek mojego radosnego usposobienia i wrodzonej skłonności do niesienia pomocy inni oficerowie wciągali mnie w różne nieregularne eskapady. Ta kolorowa przeszłość sprawiła, że ludzie nie ufali mi, gdy zjawiałem się w zaskakujących momentach.

– Ty coś wiesz, prawda? – zapytał Graves, dając przykład dokładnie takiej paranoicznej podejrzliwości, z jaką musiałem borykać się od wielu lat.

– Hm?

– Wiesz, czemu lecą na nas okręty Pegazów, o to chodzi?

Odruchowo zamrugałem i otworzyłem szeroko usta. Graves nie znosił tego tępego wyrazu, który bezwiednie pojawiał się czasem na

mojej twarzy. Myślał, że robię taką minę, żeby udawać niewiniątko. Jednak tym razem byłem autentycznie osłupiały.

– Sir, nie mam zielonego pojęcia, co to za okręty ani czego chcą. Mówi pan, że należą do Pegazów?

– Tak jakbyś nie wiedział. Nadlatują z ich rodzimej planety. A teraz przyznaj się: to jakaś intryga, którą uknuliście razem z Claverem, prawda?

Claver – nie słyszałem tego nazwiska od dawna. Był najbardziej niesławnym kosmicznym podróżnikiem w Rubieży 921.

– Jeśli znowu go spotkam, zamierzam go zabić, sir – zapewniłem.

Graves mierzył mnie wzrokiem jeszcze przez parę sekund, po czym pokręcił głową i odwrócił się.

– Wynoś się z tego pokładu, McGill. Masz do wyboru siedzieć w wyznaczonym miejscu albo w areszcie.

– Rozumiem, sir.

Wróciłem do swojej kompanii. Nie byłem zadowolony.

– Czego się dowiedziałeś, centurionie? – zapytał Leeson.

– Tylko tyle, że lecą tu okręty z planety Pegazów.

Zamrugnął, nie rozumiejąc.

– Jasna cholera, to już przecież wiemy – jęknął Leeson. – Czy tamci nadali jakąś transmisję? Albo...

– Nie wiem – przerwałem mu. – Jeśli chcesz więcej informacji, sam idź powęszyć na złotym pokładzie.

– Chwileczkę – wtrąciła się Erin Barton, kładąc mi dłoń na bicepsie. Przez moment nie zabierała ręki i spoglądała mi w oczy. – To by znaczyło, że planeta została zdobyta.

Oczywiście miała rację, ale po prostu ten fakt jeszcze do mnie w pełni nie dotarł.

Erin w końcu zabrała rękę, ale było za późno. Ludzie zobaczyli, że między nami coś się zmieniło. Żaden inny adiunkt ani weteran nie dotknąłby mnie w taki sposób i wszyscy o tym wiedzieli.

To był świetny moment na odwrócenie uwagi.

– Natasha! – zawołałem.

Techniczka przybiegła w podskokach.

– Tak, centurionie?

– Potrzebuję widoku z zewnętrznych kamer.

Popatrzyła po twarzach adiunktów. Wszyscy byli zaciekawieni.

– Daj mi chwilę. – Skinęła głową i poszła hakować. Bardzo pożądanym zasobem każdego szanującego się oficera Legionu Varus był technik, który potrafił włamać się, gdzie trzeba. Dzięki temu wiedzieliśmy o wszystkim, a nie tylko tyle, ile postanowili przekazać nam przełożeni.

Barton popatrzyła na mnie i potrząsnęła głową.

– Tu jest całkiem inaczej niż w Victrix.

– Potrzebowałaś dwóch lat, żeby to odkryć? – roześmiał się Harris.

Barton odwzajemniła uśmiech. Ucieszyło mnie to. Coraz bardziej tu pasowała i coraz lepiej czuła się wśród legionistów z Varusa. Podczas poprzedniej kampanii tak naprawdę nie była jedną z nas. Przypominała raczej zadzierającą nosa studentkę z wymiany.

Zostawiłem adiunktów, żeby ustalili między sobą strategię obronne, a sam poszedłem do Natashy. Podpięła komputer w plecaku do źródła zasilania i właśnie go włączyła.

– Algorytm deszyfrujący – wyjaśniła. – Pójdzie szybko, bo mam już wszystkie klucze. Teraz muszę tylko znaleźć właściwy.

Przytaknąłem i pozwoliłem jej pracować, co nie potrwało długo.

– Coś mam – oznajmiła minutę później. – Widok z kamery drona naprawczego. Wszedł na kadłub, żeby coś zespawać, a potem przeszedł w stan uśpienia. Teraz go obudzę... i zmienię kąt ustawienia kamery...

Chwilę później wysłała mi na stuka strumień danych. Zobaczyłem w pobliżu księżyc oraz planetę, która z tej odległości wydawała się od niego sporo mniejsza. Ale zaraz. To nie był księżyc. To musiał być okręt obcych.

– Nie widać tych mniejszych jednostek, które lecą w naszą stronę? – zapytałem.

– Nie. Dron spawający nie ma lidarów dalekiego zasięgu ani niczego w tym stylu.

– Czemu nie polecisz na planetę Pegazów, żeby się naprawić albo ją zniszczyć, czy co tam sobie zaplanował?

Natasha nerwowo oblizwała wargi.

– Nie wiem, ale mam kilka pomysłów. Okręt był uszkodzony. Przez długi czas leciał w błęku nadświetlnym z otwartymi wrotami.

– Jesteś w stanie potwierdzić, że nie mógł ich zamknąć?

Natasha pokiwała głową.

– Na to wygląda. Znalazłam wzmianki na ten temat w innych raportach.

Zajrzałam jej przez ramię i uśmiechnąłem się. Właśnie czytała maila w skrzynce odbiorczej Galiny.

– Hmm, już rozumiem – powiedziałem. – Przez to, że wrota były otwarte, na pokładzie mogło dojść do uszkodzeń. Taka ilość promieniowania raczej nie jest dobra dla tkanki organicznej.

– Nie, raczej nie jest.

Wykonała serię obliczeń.

– Już wiem. Okręty, które opuściły orbitę planety, wcale nie lecą w kierunku „Legata”. Teraz to oczywiste. One lecą w stronę kuli, którą ścigamy.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy.

– James, jestem przekonana, że one chcą naprawić tę gigantyczną jednostkę – oznajmiła. – Teraz wszystko do siebie pasuje. To statki remontowe, a nie okręty wojenne.

– Co z tym zrobimy?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie jestem admirałem ani pretorem. Ich zapytaj.

– Wiesz co? Chyba właśnie tak zrobię.

Rozdział 29

Grupa mniejszych jednostek zebrała się wokół ogromnego, kulistego najeźdźcy, którego ścigaliśmy tutaj aż z Układu Słonecznego. Gdy tylko przełożeni na pokładach obu naszych transportowców doszli do wniosku, że nie zamierzają nas zaatakować, zwolnili nas z obowiązku „pilnowania korytarza”, jak to określił Leeson.

Właśnie się zbieraliśmy, gdy z windy wyszła grupka primusów, a wśród nich był Winslade.

– A oto i najbardziej nieustraszona zgraja łajdaków w całym legionie! – powiedział. – Miałeś dzisiaj ręce pełne roboty, prawda, McGill?

Odruchowo zerknąłem na Natashę, zastanawiając się, czy Winslade odkrył, gdzie się włamywaliśmy. Zrobiła wystraszoną minę, ale nie odezwała się ani słowem.

– Zgadza się – odpowiedziałem. – Jesteśmy gotowi na atak Pegazów, niezależnie od tego, ile rąk i nóg będą miały ich scyborgizowane ciała.

Winslade zmrużył oczy. Ludzie ciągle tak na mnie patrzyli. Zwykle roili sobie, że za moimi słowami kryje się jakiś inny, bardziej złowrogi sens.

Pomachał mi przed twarzą swoim chudym jak patyk palcem.

– Coś mi tu śmierdzi – stwierdził. – Najpierw załatwiłeś sobie przydział do tego kluczowego węzła komunikacyjnego. A potem poszedłeś na złoty pokład bez zaproszenia i bez zapowiedzi. Zgłoszę to pretorowi.

– Proszę bardzo. Trzecia kompania trzeciej kohorty zawsze chętnie przyjmie zasłużoną pochwałę od przełożonego.

Winslade prychnął z pogardą i przez chwilę robił coś na stuku. Chyba wysyłał wiadomość. Przyglądałem się temu z neutralną miną wioskowego głupka. Wreszcie opuścił rękę i uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

– Załatwione. Powodzenia, McGill!

Odprowadziłem go ponurym wzrokiem do windy. Wsiadł i na szczęście zniknął mi z oczu. Wtedy podszedł do mnie Harris.

– Wygląda na to, że do twojego fanklubu dołączył jeden przerośnięty gryzoń.

– Rzeczywiście.

Popatrzył na mnie z ukosa.

– Chyba nie spodobało mu się, jak przechytryłeś go wczoraj na zielonym pokładzie.

Wzruszyłem ramionami, bo miałem to gdzieś.

– Gdzie tam. Winslade taki nie jest. Ani małostkowy, ani mściwy. Nie obchodzi go, z czyjej ręki zginął na polu chwały.

Harris roześmiał się i poprowadził swój pluton w stronę modułu. Miałem zrobić to samo, gdy nagle zawibrował mój stuk. Z westchnieniem przyjąłem połączenie.

– McGill? – To była Galina Turov. Wydawała się niezadowolona.

– Tak, słucham! McGill na stanowisku, zgłasza się na rozkaz!

– Biegnij w podskokach na złoty pokład. Chcę z tobą coś przedyskutować.

W tym momencie zauważyłem, że uważnie obserwują mnie Erin Barton, Natasha i Kivi. Próbowaly być dyskretne, ale ja umiem rozpoznać kobiecy monitoring. Odwracają głowę i obserwują faceta kątem oka – albo, tak jak Natasha, udają, że patrzą na coś zupełnie innego. Metody są różne, ale cel jeden. I w tej chwili cała trójka śledziła każdy mój ruch.

Oczywiście to mógł być zbieg okoliczności. Albo przemawiała przeze mnie megalomania. Myślę jednak, że nie. Z dwiema z nich wchodziłem w intymne relacje w ciągu ostatnich kilku nocy, a jeśli chodzi o Natashę... No cóż, ona czuła coś do mnie od bardzo dawna i nigdy jej do końca nie przeszło.

– Yy, no jasne, trybunie – odpowiedziałem. – Zaraz tam będę.

Poszedłem do windy, unikając wzroku zaintrygowanych kobiet. Wsiadłem do kabiny i wcisnąłem odpowiedni przycisk. W ostatnim momencie zatrzymałem zamykające się drzwi.

– Adiunkcie Barton! – zawołałem do Erin, udając, że dopiero teraz sobie o niej przypomniałem.

– Tak, sir?

– Proszę zabrać wszystkich do naszego modułu i tam czekać na dalsze rozkazy. Nadal musimy być w gotowości.

– Tak jest, centurionie.

W końcu zamknęły się drzwi, osłaniając mnie przed ciekawskimi spojrzzeniami.

Na złotym pokładzie nigdy nie panowało większe zamieszanie. Po korytarzach biegało mnóstwo ludzi, a nawet parę kalmarów z pozaziemskiego legionu trybuna Armela. Podszedł do mnie jeden z tych mackowatych oficerów wspomagających. Nie rozpoznałem go, bo dla mnie wszystkie Głownogi wyglądają podobnie. Jednak nazwisko na plakietce brzmiało znajomo.

– Bąbel! – wykrzyknąłem radośnie.

Centurion wspomagający Bąbel miał nieprzyjemny charakter nawet jak na kalmara. Popatrzył na mnie z konsternacją.

– Jest jakiś powód, dla którego zwraca się pan do mnie, centurionie McGill?

– Jasne, że tak. Myślałem, że zginąłeś na Świecie Burz, a jednak tu jesteś, cały i zdrowy.

– Ja naprawdę zginąłem. Nawet dwa razy. Jednak za każdym razem trybun Armel dostrzegał moją wartość i poświęcał cenne zasoby na wskrzeszenie mnie.

– Wspaniałe uczucie, prawda? Choć prawdę mówiąc, nie sądziłem, że postanowi wskrzesić kogoś mniej użytecznego od giganta.

– Pańskie słowa są zarówno nieprawdziwe, jak i trochę obraźliwe.

– Nie powinieneś rozpowiadać na prawo i lewo, że twój trybun, który przecież uznał cię za wartościowego podwładnego, podejmuje niewłaściwe decyzje. Z takim nastawieniem nigdy nie awansujesz.

– Wcale nie sugerowałem, że trybun...

– Hej! – krzyknąłem nagle, z pełną agresji mową ciała robiąc krok w jego stronę.

Wielki kalmar poruszył nerwowo mackami, ale przynajmniej nie cofnął się ani nie siknął atramentem.

U Głownogów najbardziej dziwiło mnie to, że dało się je łatwo zastraszyć, jeśli człowiek zachowywał się wystarczająco groźnie. Fakt, że ta góra kalmarzego mięsa była w stanie powyrywać mi kończyny jak płatki z główki kwiatu, nie miał znaczenia. Liczyło się to, że w głębi duszy Bąbel był wielkim, mackowatym tchórzem.

– Hej, może powiedz mi, co planują ci dranie z planety Pegazów? Na pewno wiesz, co jest grane.

Bąbel poruszył wypustkami w sposób, który wyrażał konsternację.

– Nie rozumiem pańskiej prośby, centurionie.

– Są w zмовie z tamtym wielkim okrętem czy nie?

– Ma pan na myśli tymczasowy sojusz? Nie, centurionie, nie jestem „w zмовie” z kimkolwiek na pokładzie naszego transportowca.

Zmarszczyłem brwi. Czyżby translator dostał chwilowej czkawki? Przecież pytałem o tamte statki, a nie o samego Bąbla. Mniejsza z tym. Postanowiłem inaczej sformułować pytanie.

– Więc nie masz pojęcia, kim są napastnicy ani czego mogą chcieć?

– Zgadza się.

– Hmm... – Zacząłem się zastanawiać, czy mu wierzyć. Kalmarom nie można ufać, chyba że przystawi im się lufę do każdego oka. A one miały mnóstwo oczu. – Więc co te statki Pegazów tam robią?

– McGill! – krzyknęła trybun Turov.

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak stoi z pięściami opartymi o swoje kształtne biodra. Wydawała się wkurzona.

– O, tu jesteś – powiedziałem. – Szukałem cię wszędzie.

– Nie ruszyłam się z gabinetu, odkąd cię wezwałam. Chodź tu natychmiast.

– Już idę. Jeszcze tylko...

W tym momencie obejrzałem się i odkryłem, że Bąbel zniknął. Uciekł najbliższą odnogą korytarza. Dziwne zachowanie, nawet jak na niego.

Odwróciłem się z powrotem do Galiny.

– Prowadź, będę tuż za tobą.

Wykrzywiła wargi i ruszyła przodem.

Miałem nadzieję, że spotka się ze mną sam na sam. To mogło nawet przerodzić się w chwilę intymności, ale niestety, nie było nam to pisane. W gabinecie przy małym stoliku siedział Winslade, a obok niego Armel. Zaskoczony, stanąłem na baczność i przybrałem minę człowieka, który nie ma o niczym pojęcia.

– McGill melduje się na rozkaz!

– Strasznie długo zajęło ci przyjście tutaj – mruknął niezadowolony Armel.

– Przepraszam, sir. Natknąłem się na starego przyjaciela, z którym po prostu musiałem zamienić parę słów.

– Chodzi o centuriona wspomagającego Bąbla? – zapytał. – Nie miałem pojęcia, że jesteście ze sobą tak zżyci.

Wbiłem wzrok w ścianę.

– Yy, Bąbel i ja znamy się od bardzo dawna, sir.

– Nie wątpię. W każdym razie pojawiła się skarga na ciebie.

– Naprawdę? A o co konkretnie chodzi, sir?

Armel nachylił się w moją stronę.

– Oskarżono cię o oszustwo podczas wczorajszych manewrów na zielonym pokładzie, centurionie. Biorąc pod uwagę twoją reputację oraz mało prawdopodobny wynik bitwy, przychyliam się do wersji oskarżycieli.

Teraz zrozumiałem. Winslade poskarżył się Armelowi, który był sędzią podczas zawodów. Galina dołączyła się do oskarżeń, bo jej duma ucierpiała, gdy uczepiłem się ogona jej smoka. Żałowałem, że ludzie nie potrafią po prostu pogodzić się z faktem, że zginęli. Ta grupa ewidentnie wybrała inne rozwiązanie. Postanowili mnie osądzić.

– Teraz gdy obecni są wszyscy, to znaczy oskarżony i poszkodowane strony, możemy kontynuować – powiedział Armel. – Primusie Winslade, słuchamy.

– Wczoraj podczas ćwiczeń – zaczął Winslade oficjalnym tonem – miał miejsce niespodziewany incydent. Oficerowie wyższego szczebla mieli wygrać, a jednak przegrali.

– Zaraz... Oni mieli wygrać? – zapytałem gwałtownie. – Nie odniosłem takiego wrażenia.

– Być może nie zostało to powiedziane wprost – powiedział Armel.

– Nonsens! – sprzeciwił się Winslade. – Sytuacja była jasna od samego początku. Dlatego wyżsi stopniem otrzymali znacznie lepszy sprzęt.

– No tak, ale my mieliśmy przewagę liczebną dwadzieścia do jednego – zauważyłem. – Nie lepiej byłoby po prostu przyjąć do wiadomości fakt, że skopaliśmy wam tyłki? Dalibyście lepszy przykład żołnierzom.

– Nieprawda. Zostałem oszukany. Nikt nie mógł się spodziewać, że tak to się skończy.

– A ja się spodziewałem! – zaproponowałem.

Armel uśmiechnął się lekko. Turov zmarszczyła brwi. A Winslade... On był wściekły.

– W porządku – powiedziała Galina. – Winslade, to ty wzywałeś do linczu. Co proponujesz?

– Zabił również panią, trybunie. Proszę o tym nie zapominać.

– Zapewniam, że mam doskonałą pamięć – warknęła Galina, rzucając mu groźne spojrzenie.

Przez lata Winslade dopuścił się wielu karygodnych czynów. Jego przestępstwa były bardzo różnorodne. Od niedopełnienia obowiązków, przez zabójstwa, aż do zdrady stanu.

Primus spojrzał na mnie.

– Masz ostatnią szansę się przyznać, zanim ujawnię twoje znacznie poważniejsze przewinienia, McGill.

Trochę się zaniepokoiłem, bo przecież nie byłem święty.

– No cóż, trudno przyznać się do czegoś, czego nie zrobiłem. Przykro mi.

– Jak sobie chcesz.

Winslade uniósł jakiś przyrząd o wyglądzie rysika do tabletu. Pomachał nim nad stołem, a wtedy wbudowany w blat ekran zaczął odtwarzać dziwne nagranie. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, na co patrzę, ale zaraz się w tym połapałem. Na pierwszym planie byliśmy ja i Natasha, przygarbieni nad jej komputerem. W pewnym momencie punkt widzenia obniżył się gwałtownie.

– Śledziłeś mnie dronem? – zapytałem.

Winslade wzruszył ramionami.

– Absurdalne wymysły paranoika. Ja po prostu regularnie sprawdzam zabezpieczenia na złotym pokładzie. To należy do moich obowiązków.

Patrzyliśmy jeszcze przez kilka chwil. Szybko stało się jasne, że na nagraniu włamujemy się do stuków paru oficerów oraz do rdzenia danych „Legata”.

Wszyscy patrzyli teraz na mnie.

– Hm, no cóż, nudziliśmy się – powiedziałem na swoją obronę. – Chcieliśmy tylko wiedzieć, co tam się dzieje w przestrzeni kosmicznej.

Winslade popatrzył na mnie jak szykujący się do skoku kociak.

– Mamy uwierzyć, że nie uzyskałeś w podobny sposób żadnej wiedzy na temat strategii i sprzętu swoich przeciwników podczas bitwy na zielonym pokładzie?

– Proszę o spokój, primusie – powiedział nagle Armel.

Zaskoczony Winslade cofnął się i usiadł, choć z warg nadal nie schodził mu arogancki uśmieszek. Tymczasem Armel zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem.

– James McGill znowu pokazuje, na co go stać. Niesubordynacja, rozpowszechnianie wrażliwych informacji... Lista przewinień zdaje się nie mieć końca.

– Chciałbym, aby zmieniono wynik bitwy – wtrącił się Winslade. – McGill wcale nie wygrał. Oszukiwał, a więc...

– Cisza, primusie Winslade – powiedział Armel. – Ośmiesza się pan. Sprawa jest znacznie poważniejsza niż jakieś ćwiczenia. Zgłoszę to Drususowi. McGill powinien zostać zabity i w stosownym czasie wskrzeszony dopiero na Ziemi, aby stanąć przed sądem wojskowym z prawdziwego zdarzenia. No, chyba że wolelibyśmy oszczędzić sobie kłopotu. Wtedy można by go po prostu zostawić martwego na zawsze.

Teraz Galina i Winslade wydawali się niezadowoleni. Na pewno jeśli nie Galina, to przynajmniej Winslade chciał się na mnie zemścić, a ona wyraźnie miała ochotę dać mi nauczkę. Ale permanentna śmierć? Chyba oboje uznali, że to przesada.

Oficerowie przez parę chwil kłócili się, co ze mną zrobić, a ja stałem bezradnie jak manekin.

– W porządku – powiedziała w końcu Turov. – To ja jestem przełożoną McGilla, więc za niego odpowiadam. W stosownym czasie przedstawię sprawę Drususowi.

Armel wykrzywił wargi.

– Stosownym, tak? Ciekawe, że wybrała pani akurat to słowo.

To oczywiście była aluzja do naszej relacji, która wykraczała poza ramy czysto zawodowe. Galina łypnęła na niego ze złością.

Niedługo później spotkanie dobiegło końca. Nikt nie był usatysfakcjonowany, a ja najmniej. Gdy Winslade i Armel wyszli, zostałem w nadziei, że na osobności ocieplą się stosunki między mną a Galiną.

Gorzko się rozczarowałem.

– Wiesz, McGill, znowu postawiłeś mnie w trudnej sytuacji – powiedziała. – Kazałam ci pilnować drogi na złoty pokład. To najłatwiejszy i najbezpieczniejszy przydział, jaki można sobie wyobrazić. A ty co? Znalazłeś sposób, żeby to spieprzyć.

– Zaraz, to była twoja decyzja?

– A kto dowodzi Legionem Varus?

– Ty.

– Więc jak myślisz, kto wyznaczył trzecią kompanię do pilnowania tamtego holu z windami?

– Hm, pewnie ty.

– No właśnie. Myśl trochę, McGill. Teraz nie mam wyjścia, muszę wyznaczyć ci niebezpieczne zadanie. Tylko wtedy ci dwaj dadzą mi spokój.

– Tobie? A nie mnie?

Przewróciła oczami. Kobiety często tak robiły.

– Nie słyszałeś tych przytyków Armela? Aluzji do naszego romansu? Chciał mnie skłonić, żebym cię uratowała. Próbuje mnie upokorzyć. Ale mu się nie uda.

– Hm, no to może buziak na drogę przed niebezpieczną misją?

– Nawet nie zaczynaj – powiedziała, niweczając moje nadzieje.

Gdy wyprosiła mnie ze swojego gabinetu, poszedłem do modułu swojej kompanii. Najbliższa przyszłość skrywała wiele tajemnic, ale ja nie pozwoliłem, żeby mnie to ruszyło. Biorąc życie jak leci, spróbowałem szczęścia u adiunkt Barton, Kivi i Natashy, w tej kolejności.

Trzy razy klapa. Niestety, wszystkie dostrzegły siebie nawzajem – to, z jakim zainteresowaniem pozostałe kobiety spoglądały na mnie wtedy przy windach. I wiedziały, co to oznacza.

Nie po raz pierwszy spędziłem noc samotnie.

Rozdział 30

Następnego ranka wezwano nas na apel, podczas którego puszczone transmisję z odprawy. Najciekawsza część dotyczyła zebranych jak dotąd informacji.

– 51 Pegasi to spokojny układ – mówił Drusus. – Albo przynajmniej był taki do tej pory. Nigdy nie przylecieliśmy tutaj ani jako najemnicy, ani jako egzekutorzy prawa Galaktyków.

Machnął ręką, a mapa gwiazdna za jego plecami zareagowała, robiąc zbliżenie na układ Pegazów. Nasze dwa transportowce znajdowały się jeszcze daleko od centralnej gwiazdy i jedynej zamieszkaney planety. Trzymaliśmy się w pobliżu wielkiego jak księżyc okrętu, który zagroził Ziemi.

– Jak dotąd – kontynuował Drusus – wrogowie ignorowali naszą obecność, zbyt zajęci naprawą uszkodzeń, jakich dokonaliśmy na ich jednostce. Choć spodziewaliśmy się sporego ruchu wewnątrzukładowego, nie latają tu praktycznie żadne statki. Nie wykryliśmy również prawie żadnych transmisji radiowych.

Pretor zrobił pauzę dla efektu. Carlos wybrał ten moment, żeby przysunąć się do mnie.

– Gdzie Turov? – szepnął. – Wolę, kiedy ona prowadzi odprawę.

– Ja też. A teraz się zamknij.

– Nie wiemy, co dzieje się na planecie Pegazów – ciągnął Drusus. – Możliwe, że wszyscy zginęli. Nie natrafiliśmy jednakże na żadne ślady masowych zniszczeń ani toksyn w atmosferze. Wykryliśmy niewielkie ilości promieniowania, ale to by nie wystarczyło, żeby zabić całą populację. Wiodąca teoria jest taka, że planeta stała się celem zmasowanego ataku impulsami elektromagnetycznymi, które dosłownie usmażyły całą nieekranowaną elektronikę.

Wykonał kolejny gest, a kamera zrobiła zbliżenie na powierzchnię.

– Wyślemy jeden z oddziałów tutaj, do największego skupiska ludności. Będzie miał za zadanie przeprowadzić zwiad, zebrać

dowody na użycie impulsów elektromagnetycznych oraz odnaleźć ewentualnych ocalałych. Trybunie Turov? Proszę kontynuować.

Turov weszła wreszcie na podwyższenie.

– Najwyższa pora – mruknął Carlos.

Powiniennem go kopnąć, ale nie potrafiłem się na niego złościć, bo myślałem to samo. Galina znów włożyła mundur o rozmiar za mały tylko po to, żeby się ze mną droczyć? A może raczej chciała, żeby patrzył na nią z pożądaniem cały tłum mężczyzn? Tak czy inaczej, osiągnęła swój cel. Każdemu facetowi na sali zrobiło się gorąco, a wszystkie kobiety komentowały jej wygląd.

– Hej, McGill – szepnął Carlos. – Czy mi się wydaje, czy widać jej...

Więcej nie zdążył powiedzieć. Moller już wcześniej zauważyła, że się do mnie nachyla. Stała za jego plecami i czekała na kolejny wybryk. Mnie jako dowódcy kompanii nie wypadało już stawiać do pionu zwykłych żołnierzy, choć nadal czasem sobie na to pozwalałem. Na szczęście jednak miałem weteranów, którzy świetnie nadawali się do tej roboty.

W każdym razie Moller kopnęła Carlosa w tyłek tak mocno, że aż przyklęknął. Zaklął i powoli się podniósł.

– Wzrok do przodu i gęba na kłódkę, specjalisto – powiedziała cicho nietypowo słodkim głosem i oddaliła się.

Carlos burknął coś pod nosem i wreszcie się zamknął.

– A zatem, jak widzicie – kontynuowała Galina – niewielki oddział w centrum łączności, o tutaj, powinien być w stanie ustalić, co właściwie dzieje się na powierzchni. Wśród wszystkich moich ukochanych oddziałów jest jedna kohorta, która brała na siebie podobne misje częściej niż wszystkie pozostałe razem wzięte. Mówię oczywiście o trzeciej kohorcie pod dowództwem niezastąpionego primusa Gravesa.

Kilka osób jęknęło z niezadowolenia. Doświadczeni żołnierze wiedzieli, że każdy imponujący wyczyn prowadzi do kolejnych trudnych zadań. Tak było zawsze, przez całą historię wojskowości – dlatego legioniści z Varusa nigdy się nie popisywali, chyba że przez przypadek. Na nasze nieszczęście moi ludzie zwrócili na siebie uwagę dowództwa dzięki sukcesom jako skoczkowie teleportacyjni.

– W ciągu ostatnich dwóch dekad – mówiła dalej Galina – Ziemia rozwinęła technologię teleportacji, która obecnie jest czymś więcej

niż tylko ciekawostką. Stanowi kluczowy element naszego uzbrojenia. Posiadamy także technologię bram, które pełnią inną, choć równie istotną funkcję. Dzięki teleportacji jesteśmy w stanie przemieścić ludzi lub na przykład głowice w konkretne miejsce. Akumulator skafandra albo uprząży pozwala na wykonanie jednego lub dwóch skoków, co dodatkowo zwiększa zastosowania tego sprzętu. Później jednak musi zostać naładowany.

Niektórzy wokół mnie nerwowo przestąpili z nogi na nogę. Już to wszystko wiedzieli i podejrzewali, że przemówienie Turov zmierza w kierunku, który nie przypadnie nam do gustu. Wszyscy czekali, aż trybun przejdzie do sedna, ale znając tę kobietę, pewnie musieliśmy trochę poczekać. Uwielbiała brzmienie własnego głosu jeszcze bardziej niż większość wysokich stopniem oficerów.

– Technologia bram jest wprawdzie mniej elastyczna, bo umożliwia przemieszczanie się tylko między dwoma ustalonymi punktami, ale za to łączy je w bardziej długotrwały sposób. Przy odpowiedniej ilości czasu i energii jesteśmy w stanie przemieścić przez bramę całą armię. Podczas dzisiejszej misji zamierzamy wykorzystać oba warianty technologii teleportacyjnej. A teraz oddaję głos primusowi Gravesowi, który ma dla was specjalne ogłoszenie.

– Dziękuję, trybunie – powiedział Graves, wychodząc na środek podwyższenia. – Moją kohortę spotkał ogromny zaszczyt. Już tłumaczę. Otóż od teraz jesteśmy pierwszą oficjalną kohortą skoczków teleportacyjnych w historii ziemskich sił zbrojnych. Prędzej czy później każdy legion będzie posiadał taki oddział, ale wszystko zaczyna się od nas.

Obraz na ekranie przesunął się i zrobił kolejne zbliżenie. Zobaczyliśmy kulisty okręt, który od kilku dni wisiał na wysokiej orbicie planety Pegazów. Widzieliśmy też gigantyczne wrota, które wcześniej uszkodziłem. Przywodziły na myśl otwarte usta uśpionego olbrzyma.

Miasta na powierzchni obcego świata były dziwnie ciche. Prawie nie wykrywaliśmy transmisji radiowych ani ruchu jednostek latających.

– To nie tak, że wszyscy nie żyją – oznajmiła Turov. – Zauważyliśmy oznaki życia, ale ocalali najwyraźniej się ze sobą nie

komunikują. Możliwe, że transmisje radiowe przyciągają uwagę najeźdźców. Może wszyscy rodzimi mieszkańcy układu się ukrywają. A może większość ich nadajników została uszkodzona. Nie wiemy.

Na wyświetlaczu pokazały się widziane z wysoka opustoszałe drogi oraz budynki o dziwnych kształtach. Obrazy pewnie pochodziły z dronów szpiegowskich.

– Ponieważ wróg nas ignoruje – kontynuowała – postanowiliśmy nie prowokować go, dopóki to nie będzie konieczne. Wyślemy na powierzchnię oddział. W ten sposób nasi ludzie znajdą się w linii prostej od otwartych wrót okrętu. Obecnie otwór wejściowy jest odwrócony od nas. Podejrzewamy, że celowo.

Obraz na ekranie zmienił się z cichych miast na wiszący nad nimi nowy księżyc na niebie oraz jego bezzębna, otwartą paszczę.

– Plan jest taki, żeby najpierw wysłać oddział na planetę Pegazów – powiedziała. – Jeśli to okaże się możliwe, znów skoczmy, tym razem przez otwarte wrota.

Kilka osób nerwowo nabrało tchu. Wokół mnie rozległ się szmer przyciszonych rozmów. Moller i Sargon musieli zainterweniować, ale ja nie zwracałem na to większej uwagi. Wciąż wbijałem wzrok w ekran. Naprawdę zamierzali znowu nas tam wysłać? Ostatnim razem ledwo uniknęliśmy permanentnej śmierci.

– Szturm przy użyciu skafandrów jest możliwy jedynie z miejsca, w którym widać wnętrze kuli, ponieważ kadłub blokuje możliwość teleportacji tą metodą – kontynuowała Turov. – Przeciwnicy w końcu naprawią wrota i co wtedy?

Odprawa trwała jeszcze przez jakiś czas. Wyjaśniono, w jaki sposób przeprowadzimy rekonesans w kilkunastu miejscach na planecie. Chodziło głównie o ośrodki łączności i bazy wojskowe. Miałem to gdzieś, podobnie jak reszta kompanii. Dość się już nasłuchaliśmy.

– Zrobimy to wszystko jednocześnie – powiedział Graves, gdy ponownie stanął pośrodku, aby podsumować informacje. – Przeprowadzimy skoordynowane ataki przy wykorzystaniu niewielkich grup w skafandrach teleportacyjnych. Przy odrobinie szczęścia oddziały zwiadowcze wylądują, wybadają sytuację

i wrócą, zanim wróg zorientuje się, co się dzieje. Potem wrócą przez bramy teleportacyjne, rozstawione na terenie obiektu.

Niektórzy z moich ludzi zwiesili głowy. Wiedzieli, że trzecia kompania najprawdopodobniej zostanie wybrana do tego „specjalnego zadania”. W końcu byliśmy ulubionym chłopcem do bicia całego dowództwa.

Odprawa wciąż trwała. Ja jednak przestałem słuchać i już układałem w głowie plan działania. Gdy dobiegła końca, Graves oczywiście napisał, że dostaliśmy ten przydział. Byłem w pełni gotowy wziąć jaja w garść i przysłużyć się Legionowi Varus oraz całej Ziemi. Jednak moi ludzie byli w szoku. Marudzili i skarżyli się każdemu, kto chciał słuchać.

– McGill, musisz coś zrobić, stary – błagał mnie Carlos. – Tym razem naprawdę pójdziemy na permy. Przecież przez ten kadłub nie da się teleportować. Skąd pomysł, że bramy będą działać, jeśli skafandry się nie przebiją? To jakiś obłąd.

Może i miał trochę racji, ale nie byłem ekspertem od takich spraw.

– Turov przed chwilą powiedziała, że to inna technologia – odpowiedziałem.

– Nie wierzę w to. Obie pochodzą ze Świata Buntowników. Obie przemieszczają ludzi na dużą odległość. Jak mogą nie być ze sobą powiązane?

– Nie wiem – przyznałem – ale ty też nie wiesz. Tak czy inaczej, trzeba trochę zaufać naukowcom, żeby włożyć jeden z tych zwariowanych skafandrów.

Oddalił się, smutno kręcąc głową.

W tym momencie na ekranie znów pojawił się Drusus i zaczął coś mówić, więc szybko wszystkich uciszyłem.

– Jest jeszcze coś – oznajmił. – Właśnie odkryliśmy, że biomasa wykorzystana do stworzenia cyborgów, z którymi walczyliśmy na Ziemi, nie pochodziła wyłącznie od ludzi. – Zrobił pauzę dla efektu. – Prawdę mówiąc, część... Z braku lepszego słowa powiem: część „mięsa” w ogóle nie pochodziła z Ziemi. Sprawdziliśmy próbki i w galaktycznej bazie danych znaleźliśmy sekwencje pasujące do tutejszej biosfery. Podejrzewamy, że wykorzystano tkanki Pegazów.

Carlos znowu się odezwał.

– Czy on właśnie powiedział, że walczymy z potworami, które ktoś pozszywał z tego, co było pod ręką?

Moller już chciała znowu go skarcić, ale dałem znak, żeby tego nie robiła. Carlos wydawał się naprawdę przerażony.

– Niektóre z istot, z którymi walczyliśmy, naprawdę w ogóle nie przypominały ludzi, prawda? – zapytałem.

Pokręcił głową i wzdrygnął się z obrzydzenia. Ponownie skupiliśmy uwagę na ekranie.

– Ci obcy są czymś zupełnie nowym – kontynuował Drusus. – Nie stanowią jednolitego gatunku. Bardziej przypominają chorobę. Plagę, która pochłania wszystko, co znajdzie, a potem wykorzystuje to do rozbudowy swojej armii. Podejrzewamy, że ten wróg pochodzi spoza Rubieży 921...

– Co ty nie powiesz? – szepnął Harris.

– ...a okręt najeźdźców najpierw pojawił się w układzie 51 Pegasi. Ten świat był idealny do realizacji jego celów, ponieważ zamieszkiwał go gatunek słynący z zaawansowanych systemów sztucznej inteligencji. Przeciwnik urządził tu sobie ucztę i stworzył armię, która następnie najechała Ziemię.

– A my ją pokonaliśmy! – wykrzyknąłem dla podbudowy morale, bo moi ludzie mieli bardzo ponure miny.

Parę osób odpowiedziało bojowym okrzykiem, ale bez szczególnego entuzjazmu.

– Gdy odparliśmy ten atak – ciągnął Drusus – wróg powrócił tutaj. Domyślamy się, że zamierza odbudować armię i spróbować ponownie. Nie wolno do tego dopuścić. Żołnierze, dajcie z siebie sto dziesięć procent. Można się rozejść.

Ekrany pociemniały, a mnie czekało teraz ciężkie zadanie. Wszyscy wyglądali jak struci, nawet Moller, Sargon i Harris. Klasnąłem głośno i z szerokim uśmiechem zacząłem chodzić między nimi, udając, że wszystko gra.

– Wykończymy ich tutaj – oznajmiłem z przekonaniem. – Na Ziemi skopaliśmy im tyłki. Uciekli tu, żeby wylizać rany, ale my nie damy im chwili wytchnienia. Dokończymy to, co zaczęliśmy.

Część osób uśmiechnęła się i pokiwała głowami, niektórzy nawet przybili sobie piątkę, ale większość ludzi nadal wyglądała tak, jakby było im niedobrze.

Rozdział 31

Po pierwszych kilkunastu zgonach żaden żołnierz godny miana legionisty nie jest przerażony tym, że znów zginie. To element naszej pracy, nieprzyjemny, ale konieczny od czasu do czasu.

Jednak powrót do wnętrza kuli z zagęszczonej materii, nieprzenikalnej dla skafandrów teleportacyjnych – to coś zupełnie innego. Okręt najeźdźców blokował wszelkie sygnały, a więc nie dało się z niego uciec, ani nawet zgłosić śmierci. To najprostsza droga pójścia na permy i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Co gorsza, my w trzeciej kompanii trzeciej kohorty mieliśmy największe doświadczenie, jeśli chodzi o ataki przy użyciu teleportacji. A to oznaczało, że pójdziemy na pierwszy ogień.

– To będzie główniany przydział, który zakończy wszystkie główniane przydziały – stwierdził ponuro Harris po odprawie, na spotkaniu dla oficerów. – Zapamiętajcie moje słowa.

– Trudno się nie zgodzić, Harris – przytaknął Leeson. – Już po nas. To się nie może dobrze skończyć. Jeśli nawalimy, pójdziemy na permy. Jeśli damy radę, będą nas wysyłać przodem, aż w końcu pójdziemy na permy.

– Potraficie myśleć tylko o tym, żeby wymigać się od obowiązku? – zapytała z niedowierzaniem Barton.

– No kurwa, jasne, że tak! – odpowiedział Harris. – Gdybym wpadł na pomysł, jak się z tego wywinąć, nie wahałbym się ani chwili. Obstawiam, że już stamtąd nie wrócimy. Ciebie to cieszy, Barton?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała. – Ale jesteśmy ostatnią nadzieją ludzkości.

Obrzucili ją chłodnymi spojrzeniami.

– Grzeczna harcerczka do samego końca? – zakpił Leeson. – Tacy nie żyją długo.

Odwróciła się od nich ze złością i skrzyżowała ręce na piersi.

– Ci dwaj będą mieli fatalny wpływ na morale żołnierzy, sir – powiedziała do mnie.

– No, niekoniecznie – odparłem. – W Legionie Varus nie lubimy się okłamywać. Niech Leeson i Harris wyrzucą z siebie wszystko, co im leży na wątrobie, a potem wezmą się w garść i zrobią, co do nich należy.

Dwaj adiunkci dalej marudzili. Robot-ekspres jeździł po salce i dolewał wszystkim kawy, a my ponownie oglądaliśmy odprawę fragment po fragmencie. Godzinę później Harris i Leeson wreszcie ruszyli tyłki.

Oczywiście wciąż nie byli zachwyceni. Bynajmniej. Ale i tak byli gotowi iść do walki, a ja nie prosiłem o więcej. Tym bardziej że ten przydział naprawdę cuchnął na kilometr.

Początkowo myśleliśmy, że dostaniemy dzień na przygotowanie, ale nic z tego. Zaraz po lunchu zapowiedziano atak, a niżej podpisany miał go poprowadzić.

– McGill, twoja kompania idzie przodem – oznajmił Graves. – Pamiętaj, obowiązuje cisza radiowa. Skaczecie na powierzchnię, rozglądacie się i wracacie. I tyle. Szczegóły zostawiam tobie, ale pamiętaj, że musicie się spieszyć. Nie wolno ryzykować, że wróg odkryje, co planujemy, bo wtedy podejmie odpowiednie kroki.

– Przyjąłem, sir. Będziemy na szarym pokładzie za pół godziny.

– Macie dwadzieścia minut. Do zobaczenia na miejscu.

Primus przerwał połączenie, a ja zabrałem się do roboty. Na wpół żartowałem z tą gotowością za pół godziny, ale Graves nie znał się na żartach.

Dwadzieścia pięć minut później byliśmy już wszyscy na szarym pokładzie, jak zaczęto nazywać obszar w sektorze laboratoriów, skąd przeprowadzano ataki skoczków teleportacyjnych. Kręciła się tutaj masa techników. Przewyższali liczebnie całą moją kompanię. Nie znałem wszystkich, ale niektórych kojarzyłem. A jedną drobną adiunktkę rozpoznałem od razu.

– Lisa?! – zawołałem. – To naprawdę ty? Kiedy zaciągnęłaś się do Varusa?

Adiunkt-technik Lisa Smith podeszła do mnie niemal nieśmiało. Parę osób od razu rzuciło jej nieprzychylnie spojrzenia, bo na przestrzeni lat wszedłem w intymną relację z wieloma kobietami z Legionu Varus. Większość z nich za sobą nie przepadała.

Lisa podeszła do mnie i odgarnęła mi z twarzy kosmyk włosów. Na moment spojrzała mi w oczy, a potem spuściła wzrok i zarumieniła się.

– Jestem zaskoczona, że mnie pamiętasz, centurionie – powiedziała. – Minęło kilka lat.

– Jasne, że cię pamiętam! – zawołałem. – Razem broniliśmy Ziemi. To my zaczęliśmy tę całą hecę z teleportacją!

– Chyba nie wszyscy obecni się z tego cieszą – mruknęła. – A odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie, nie należę do Varusa. Nadal pracuję dla Hegemonii, ale wysłali mnie z wami jako ekspertkę od skafandrów.

– I faktycznie jesteś ekspertką – zgodziłem się.

Łączyła nas wspólna przeszłość. Kiedy teleportacja wciąż była czymś nowym, podczas testów zabiliśmy dziesiątki, czy raczej setki pechowych wieprzy. Większość nie skoczyła nawet o metr, tylko usmażyła się w podobnym do kolczugi skafandrze.

Na szczęście pojawiłem się z kluczem Galaktyków. Ten niewielki i bardzo nielegalny gadżet pozwalał obejść zabezpieczenia niemal dowolnego urządzenia produkcji imperialnej. Wieprze smażyły się właśnie przez wbudowane w skafandry zabezpieczenia, a złamaliśmy je we dwójkę, Lisa i ja.

– Znowu to zrobimy – powiedziałem cicho.

Uniosła wzrok. Od naszego ostatniego spotkania postarzała się o jakieś dziesięć lat, ale wciąż była bez dwóch zdań najśliczniejszą osobką w pomieszczeniu. A przecież ja jestem koneserem kobiecej urody.

– Co zrobimy? – zdziwiła się.

– Zmienimy bieg historii, pozabijamy kosmitów, uratujemy Ziemię. Takie tam.

Uśmiechnęła się – choć jednocześnie wydawała się odrobinę rozczarowana.

– Ach, to.

Stanęliśmy na okrągłych podwyższeniach, ubrani w skafandry. Podpięte do ich akumulatorów kable ładujące miały odpaść tuż przed skokiem. To był nowy model. Skafandry były lżejsze i bardziej energooszczędne, choć wciąż niezdolne do dłuższych podróży. Skok

do innego układu gwiazdowego odpadał, jednak do tej misji nadawały się idealnie.

Lisa podeszła, żeby sprawdzić mój sprzęt przed skokiem. To nie mógł być przypadek. Poprawiła mi kołnierz jak za dawnych czasów. Wtedy wykorzystywała ten moment, żeby za pomocą klucza Galaktyków dezaktywować zabezpieczenia. Dzisiejsze skafandry oczywiście tego nie wymagały, ale sam gest był miły i bardzo nostalgiczny.

– Pamiętasz? – zapytała.

– Jasne!

Uniosłem ją w powietrze i pocałowałem. Wszyscy byli w szoku – i to dosłownie wszyscy. Obserwowała nas chyba większość obecnych.

– No dalej, ludzie! – zawołałem, odstawiając ją na podłogę. – Pierwsza grupa, teleportować się! Druga niech czeka na sygnał.

Starannie zaplanowaliśmy atak. Pierwszy oddział miał skoczyć na wyznaczone miejsce, przeprowadzić szybki zwiad, a potem dać znać, czy wszystko w porządku. Od tego zależało, czy przerwiemy operację.

Jak miałem w zwyczaju, dołączyłem do pierwszej grupy. W dawnych czasach uznano by to za lekkomyślne posunięcie. Przecież gdyby dowódca zginął na samym początku, wzrosłoby ryzyko porażki całej operacji. Ja jednak rozumowałem inaczej. Jasne, za parę sekund mogłem być martwy – ale równie dobrze mogłem uzyskać cenne informacje. Żaden raport ani nagranie nie zastąpi zobaczenia sytuacji na własne oczy.

A jeśli nawet zginę, to co? Za godzinę wydrukują nowego McGilla i spróbujemy ponownie. Tak wyglądało życie – i śmierć – w legionach.

Powietrze rozmazało się i zafalowało. Po chwili zniknąłem wraz z kilkunastoma innymi osobami. Gdy ponownie otworzyłem oczy, byłem już w innym miejscu.

Teleportacja na krótki dystans była znacznie mniej obciążająca dla umysłu i ciała. Długie podróże, na przykład między układami, trwały kilka minut subiektywnego czasu. To było wstrząsające uczucie. Człowiek miał wrażenie, że umiera, a jego ciało rozpada się

i rozpuszcza – zmienia się w tysiąc smużek dymu, a potem z powrotem łączy w jedną całość.

Na szczęście tym razem niczego podobnego nie odczułem. Przenieśliśmy się z pokładu „Legata” na powierzchnię planety w mgnieniu oka. Przed nami rozciągała się panorama świata Pegazów. Oczywiście w pierwszej chwili byłem nieco zdezorientowany. Po skoku każdy się trochę zachwieje, choćby z powodu innej siły ciężenia. Nawet ciśnienie powietrza było inne. Strzeliło mi w uszach.

Miałem na sobie pancerz bojowy i uprząż teleportacyjną, ale skoczyłem z podniesioną osłoną twarzy, bo przecież tutejsza atmosfera nadawała się do oddychania.

Była noc. Wiatr dmuchnął mi w nozdrza ciepłym, wilgotnym powietrzem. Wzdrygnąłem się.

– Ale dziwny zapach! Czujesz to, Carlos?

– Nie, bo nie jestem debilem i mam zamknięty hełm, centurionie. Zgodnie z procedurami.

Rzuciłem mu groźne spojrzenie. Już od naszego pierwszego spotkania wiele lat temu Carlos nieustannie prosił się o lanie. Niektórzy nigdy się nie zmieniają.

Zapach nie był nieprzyjemny, tylko dziwnie... znajomy. Przywodząca na myśl pola uprawne urocza mieszanka roślinności, kwitnących kwiatów i obornika, a to wszystko doprawione nutą świeżej papryki.

– Pachnie jak dom – oznajmiłem, idąc przez wysoką trawę.

Znaleźliśmy się na szczycie pagórka, kawałek od sporego miasta. Woleliśmy nie skakać bezpośrednio między zabudowania na wypadek, gdyby – podobnie jak na Ziemi – powstała tam fabryka cyborgów.

Na ulicach i w budynkach paliły się nieliczne światła. Z galaktycznej bazy danych dowiedzieliśmy się, że Pegazy świetnie widzą w ciemnościach i lubią półmrok. Mimo wszystko widok skąpo oświetlonego miasta nie napawał optymizmem.

– Drużyna, rozproszyć się i zbadać teren. Na razie trzymajcie się w promieniu stu metrów. Może natrafimy na coś, czego jeszcze nie zobaczyliśmy z kosmosu.

Na tę misję wziąłem ze sobą Moller. Ruszyła przed siebie, wydając rozkazy. Ludzie posłusznie rozproszyli się z bronią w gotowości. To byli sami ciężkozbrojni, z wyjątkiem paru specjalistów, takich jak Carlos.

– Kivi, co widać na brzęczkach? – zapytałem.

– Nic – odpowiedziała. – Najbliższa okolica jest prawie niezamieszкана.

Popatrzyłem w górę. Nasze jednostki na orbicie były za daleko, żebym je dostrzegł, ale zauważyłem na niebie coś innego. Coś wielkiego. Światło gwiazdy 51 Pegasi odbijało się od kulistego kadłuba, malując na nim kształt półksiężyca.

– Jeśli jeszcze żyją jakieś Pegazy, to musi być dla nich przerażające – skomentował Carlos. – Planeta ma tylko dwa małe księżyce, podobnie jak Mars. A tu nagle na niebie pojawił się taki wielki skurwiel. Tutejsi pewnie robią pod siebie za każdym razem, gdy go widzą.

– Wcale bym się nie zdziwił – mruknąłem, regulując przyrządy optyczne hełmu.

Musiałem opuścić osłonę twarzy, żeby skorzystać ze wzmacniania obrazu. Zrobiłem zbliżenie, poprawiłem ostrość – i zdziwiłem się.

– Yy, czy ten okręt nie powinien mieć otwartych wrót od strony planety?

Kivi stanęła obok mnie i popatrzyła przez lornetkę.

– Są otwarte.

Odetchnąłem z ulgą.

– To dobrze. Zaraz wyślę meldunek. Wygląda na to...

Położyła mi rękę na ramieniu i mocno ścisnęła, nie odrywając wzroku od okrętu o rozmiarach księżyca.

– Szybko kontaktuj się z „Legatem”, McGill. Wrota się zamykają! Widzę to. Musieli je naprawić. Cholera, są już w połowie zamknięte.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Spojrzałem na słupki bramy, które właśnie rozstawili dwaj technicy. Urządzenia pulsowały dziwną, elektryczną poświatą.

– One już są sprawne? – zapytałem.

– Tak, centurionie, trzeba jeszcze tylko skalibrować...

Bez ostrzeżenia ruszyłem w ich stronę. Technicy cofnęli się w popłochu – a ja wszedłem do portalu i zniknąłem.

Pojawiłem się trochę oszołomiony z powrotem na szarym pokładzie. Możliwe, że technicy próbowali powiedzieć mi coś ważnego, ale miałem to gdzieś. Musiałem pogadać z Gravesem.

– Sir! Primusie!

Graves obrócił się na pięcie i podszedł do mnie szybkim krokiem.

– McGill? Co ty tu robisz? Co się stało, zaatakowano was?

– Musimy...

Straciłem równowagę i przewróciłem się. Wyciągnąłem rękę, żeby zamortyzować upadek, ale nie do końca się udało.

– Medyka! – krzyknął Graves.

Poczułem na sobie jego niezbyt delikatne ręce. Liczyłem na to, że primus pomoże mi wstać, ale on obrócił mnie na plecy.

– Nie widzę żadnych obrażeń. Oddychałeś tamtejszym powietrzem?

– Tak...

– Więc się zatrueś. Gdzie miał głowę wasz bios?

Złapałem go za ramię i przyciągnąłem bliżej swojej twarzy.

– Sir... Chodzi o okręt. Widziałem go. Obcy... naprawili wrota. Zamykają się. W tym momencie.

Był wyraźnie zaskoczony.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie, sir. Widziałem na własne oczy.

– A potem, żeby nie przerywać ciszy radiowej, przyszedłeś złożyć raport osobiście. Rozumiem. Ale nie wiem, co na to poradzimy.

– Można by natychmiast wysłać kolejny oddział skoczków wyposażonych w głowicę. Może drugi raz też się uda.

– Nie sądzisz, że będą przygotowani na ten sam numer?

– Może tak, może nie. Musimy spróbować...

– A w ogóle co ci się stało, McGill? Zbladłeś i ledwo da się ciebie zrozumieć.

Wreszcie zjawiała się bioska. Przyklęknęła i zaczęła mnie badać.

– Utrata krwi. Nie widać obrażeń, więc pewnie krwotok wewnętrzny. Hm, wykrywam uszkodzenie organów wewnętrznych. Spadł pan z budynku, centurionie?

– Ostatnio nie – zaprzeczyłem. – To pewnie przez to, że brama nie była jeszcze skalibrowana.

Bioska wyjęła strzykawkę i przyszykowała się do zrobienia zastrzyku.

– Co to? – zapytałem.

– Lek na wszystkie choroby – odpowiedziała z chytrym uśmieszkiem.

Nie urodziłem się wczoraj – od razu zrozumiałem, co ona knuje. Była leniwa jak większość biosów. Bo przecież łatwiej człowieka zutylizować i wskrzesić, niż namęczyć się przy leczeniu go.

– Graves! Sir!

– O co chodzi? Próbuję zebrać myśli.

– Ona chce mnie zabić, primusie. Stwierdziłem, że wolałby pan o tym wiedzieć.

Graves podszedł do nas. Popatrzył chmurnie najpierw na mnie, a potem na bioskę.

– W takim stanie na nic się nie przyda – stwierdził chłodno. – Proszę go zabić.

Nie stawiałem oporu – głównie dlatego, że nie miałem siły. Ledwo dawałem radę nabrać tchu. Poczulem ukłucie. Moje serce zabiło jeszcze siedem razy, a potem umarłem.

Rozdział 32

Obudziłem się z warknięciem i odepchnąłem sanitariuszy, choć ręce miałem jak z waty. Cofnęli się, mówiąc coś uspokajającego. Nie słuchałem ich. Wstałem z wózka i prawie upadłem na twarz. Prawie. Przecież to nie było moje pierwsze wskrzeszenie.

– Centurionie? Niech pan pozwoli dokończyć badania.

Zmrużyłem oczy, bo ostre światło lamp wwiercało mi się w czaszkę. Pozwoliłem biosce robić swoje, ale tylko do momentu, w którym odzyskałem siły, a wtedy znów ją odepchnąłem. Potem wziąłem prysznic i ubrałem się.

– Jaki mam wynik? – zapytałem.

– Nie wiem – prychnęła z irytacją. – Nie pozwolił pan na wykonanie wszystkich rutynowych badań.

Wydawała się wkurzona, ale miałem to gdzieś. Nie zamierzałem jej podrywać. A przynajmniej nie dzisiaj.

Wyszedłem na korytarz. Z każdym krokiem stałem na nogach coraz pewniej. Wkrótce odzyskałem ostrość widzenia na tyle, żeby korzystać ze stuka. Sprawdziłem godzinę – byłem martwy tylko przez dwadzieścia dziewięć minut. To wywołało uśmiech na mojej twarzy. Powrót do życia w niecałe pół godziny? To chyba mój osobisty rekord. Najwyraźniej w kolejce do wskrzeszenia nie było nikogo innego. Choć znając życie, ten stan pewnie nie utrzyma się długo.

Odszukałem Gravesa na szarym pokładzie.

– Czujesz się lepiej, McGill?

– Jak nowo narodzony, sir. Bo to prawda.

– Tym razem nie masz do mnie żalu?

– O co? O to, że mnie pan zabił pół godziny temu? Jasne, że nie. To było konieczne. Brama nieźle mnie sponiewierała.

Pokiwał głową.

– I to jest właściwe nastawienie. Nie lubię marudzenia. A teraz rusz tyłek i wracaj na powierzchnię, bo zrobiło się gorąco. Twoja kompania walczy bez centuriona.

– Yy, czyżby nastąpiła zmiana planów? – zapytałem, skonsternowany. – Mój oddział zwiadowczy zrobił wszystko, co mógł. Czy nie powinniśmy się wycofać i...

– I co? Siedzieć na pokładzie? W razie gdybyś nie zauważył, McGill, Legion Varus to wojska lądowe. Wróg zamknął wrota, przez co nie możemy skoczyć na pokład. Zamiast tego chcemy odbić planetę.

– W porządku. Czyli zaangażujemy wszystkie siły?

– Jesteśmy już w trakcie. Wykorzystaliśmy wasz przyczółek. Varus, Solstice i dwa legiony wspomagające przemieszczają się na powierzchnię najszybciej jak mogą. Zobaczmy, co wróg rzuci do walki z nami, a my to wszystko zabijemy.

– W pańskich ustach brzmi to tak prosto, sir.

Graves spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Na co ty jeszcze czekasz? Do twoich ludzi zbliżają się jakieś opancerzone pojazdy.

– Opancerzone? No dobra, to do zobaczenia na powierzchni.

Podszedłem do bramy teleportacyjnej i, wykorzystując chwilową przerwę w strumieniu ludzi i sprzętu, przeniosłem się na planetę.

Uczucie było takie, jakbym wszedł do wielkiej lampy owadobójczej. Miałem wrażenie, że coś mnie rozrywa na strzępy i pali na popiół, a potem z powrotem łączy w jedną całość w innym miejscu. Skrzywiłem się, to żaden wstyd.

Po drugiej stronie byłem zaskoczony. Nie spodziewałem się, że w pół godziny pojawi się tylu żołnierzy. Były ich już tysiące. Cztery bramy praktycznie bez przerwy wypływały z siebie kolejnych. W nocnej ciszy co parę sekund słyszałem znajomy, bzyczący dźwięk, a w powietrzu czułem charakterystyczny zapach, który kojarzył się z ozonem i palonymi włosami.

– McGill! – zawołał Manfred, krzepki facet o tułowiu pękatym jak beczka. Podszedł do mnie dziarskim, rozkołysanym krokiem. – Kiedy zobaczyłem, jak gadasz z Gravesem, myślałem, że stchórzyłeś.

– Nic z tego – odpowiedziałem. – Nie zgarniesz wszystkich medali dla siebie.

Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał i wskazał palcem obszar miasta nieco jaśniejszy od reszty.

– Przychodzą z miasta Pegazów. Całymi tysiącami. Są w połowie z metalu, w połowie z mięsa. Armia martwych stworów.

– Kto organizuje obronę? – zapytałem.

Manfred skrzywił się.

– Turov.

Pokiwałem głową ze współczuciem. Niezależnie od tego, co mnie łączyło z Galiną, wiedziałem doskonale, podobnie jak wszyscy, że nie jest najlepszym dowódcą. Delikatnie mówiąc.

– Buduje dla siebie bunkier w tamtym zagajniku. – Manfred wskazał na południe. – My otrzymaliśmy rozkaz, żeby zająć wyższe pozycje i okopać się przy użyciu świń. Wybierz dla swojej kompanii odcinek linii defensywnej i rozstawcie się tam. Do świtu bitwa zacznie się na dobre.

Powietrze było ciepłe, a jedynym „księżycem” w zasięgu wzroku był okręt najeźdźców. Krajobraz składał się z łagodnych wzgórz porośniętych zagajnikami dziwacznych drzew. W każdym zagłębieniu terenu widniała ciemna kępa tych roślin, a wzniesienia były trawiaste i odsłonięte.

– Tam – powiedziałem, wskazując najwyższy z pagórków. – Tam się okopimy.

Manfred roześmiał się.

– Idealnie. Nic was nie ominie. Ja rozstawię się na zachód od was, gdzie nie będę na widoku.

Poszedłem do swoich ludzi, żeby zaprowadzić ich na wzgórze, które wybrałem. Gdy zbieraliśmy sprzęt, podszedł do mnie Harris.

– Yy, sir? Czy nie rozsądniej byłoby zostać pośrodku formacji, w mniej odsłoniętym miejscu?

– Może i byłoby, adiunkcie – odpowiedziałem. – Tyle że ja nie jestem tchórzem. Lubię wyzwania.

Leeson zaśmiał się z Harrisa, a on łypnął na nas obu ze złością.

Niedługo później zajęliśmy pozycje na zachodniej flance legionu. Kawalek dalej była porośnięta drzewami kotlina, gdzie ustawili się ludzie Manfreda.

– Te drzewa przypominają mi o gęsią skórę – powiedziała adiunkt Barton, spoglądając w dół. – Te zwisające z gałęzi kształty to chyba jakieś owoce, sir?

Podążyłem za jej spojrzeniem. Faktycznie, dziwaczne. Wyglądały jak martwe mały.

– To tylko lokalna flora, Barton – powiedziałem.

Podniosłem karabin i strzeliłem w najbliższe drzewo. Trafiłem w dziwny niby-kokon – a ten ku mojemu zaskoczeniu otworzył się, rozpościerając skórzaste skrzydła, zaskrzeczał rozdzierająco i odleciał. Po jakichś stu metrach stwór padł martwy na ziemię.

– Zabił go pan – zauważyła z wyrzutem Barton.

– No tak. Teraz przynajmniej wiemy, że są niegroźne.

Czteronożne maszyny zwane świniami wykopały okopy w ciągu paru minut. Zajęliśmy w nich miejsce, a Kivi rozmieściła w pobliżu drony, automatyczne wieżyczki i wyskakujące spod ziemi bomby. Jeszcze przed świtem całkiem przyzwoicie umocniliśmy swoje pozycje.

Przed sobą i trochę niżej, na zboczu wzniesienia, mieliśmy znacznie bardziej prymitywną linię obrony uformowaną przez kohortę legionu pozaziemskiego. Piechurzy ze Świata Krwi byli za wysocy, żeby w całości schować się w standardowym okopie – ale najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało, nawet samym wielkoludom.

Na koniec rozstawiliśmy osiemdziesiątki na samym szczycie wzgórza. Za naszymi plecami, u podnóży, inna kompania rozmieściła artylerię zwaną kometami.

– Ciężki sprzęt – stwierdził Leeson. – Myślisz, że wrogowie widzieli kiedyś coś w rodzaju naszych komet?

– Jeśli już, to nie tutaj – odpowiedziałem. – Mieszkańcy planety raczej nie utrzymywali dużych sił naziemnych.

– W jednym z raportów, których pewnie nie czytałeś, napisali, że mieli w sumie tylko roboty policyjne.

Spojrzałem na niego, ale uciekł wzrokiem. Nie skomentowałem aluzji, że nie doinformowałem się na temat wroga. Znaliśmy się dość dobrze, a Leeson miał rację.

Niecałą minutę później rozświetliło się niebo. Wszyscy skulili się odruchowo, zanim dotarło do nas, że to komety. Wystrzeliwały kule energii, które leciały zaskakująco powoli, rysując w powietrzu rozmigotane łuki. Ten rodzaj uzbrojenia miał za zadanie przebijać różnego rodzaju pola siłowe, chroniące współczesne armie przed

pociskami raketowymi i w ogóle atakami z powietrza. Świejące sfery sunęły po niebie niczym widziane w zwolnionym tempie meteoryty, najpierw wznosząc się wysoko, a potem spadając na ziemię i niszcząc wszystko, z czym się zetknęły. Daleko na południu, gdzie znajdowało się miasto Pegazów, dostrzegłem pierwsze jaskrawe rozbłyski. Każda eksplozja na moment rozświetlała okolicę jak blask dnia. Wiedziałem z doświadczenia, że w miejscu trafienia ziemia roztopiła się i zmieniła w szkło, a promieniowanie wzrosło do zabójczego poziomu. Wszystko w promieniu stu metrów musiało wyparować.

Bitwa się rozpoczęła.

Rozdział 33

Na planecie Pegazów nie było dróg z prawdziwego zdarzenia. Przez zalesione tereny biegły pasy wykarczowanych drzew, a na rzekach budowano coś na kształt mostów, to wszystko. Choć odpraw słuchałem jednym uchem, zapamiętałem, że Pegazy zwykle korzystały z pojazdów antygrawitacyjnych albo po prostu chodziły pieszo. Dlatego nie potrzebowały jezdní, aby podróżować. W związku z tym nie było łatwo przewidzieć, którędy nadejdzie ofensywa. Przeciwnik sunął na nas szeroką linią, trochę jak stado migrujących zwierząt albo szarżująca kawaleria.

Gdy nad obcym światem wstało słońce, wyglądało całkiem jak nasze, ziemskie. Żółtobiałe światło centralnej gwiazdy układu odbijało się od opancerzonych ciał wrogów. Wyobraziłem sobie, że przed wiekami rzymscy legioniści podobnie spoglądali na szarżę jazdy albo słoni bojowych. Zwłaszcza to ostatnie skojarzenie wydało mi się trafne. Istoty były ogromne. Poruszały się dziwnymi, długimi susami. Dało się wyczuć, że pod płytami metalu kryją się potężne mięśnie.

Opancerzone bestie miały na grzbietach wieżyczki, które obracały się, wodząc za spojrzzeniami organicznych gałek ocznych. Z kolei umieszczone na ich ciałach kamery badały otoczenie i wybierały najdogodniejszą drogę.

Gdy istoty znalazły się bliżej, dostrzegłem szerokie, opancerzone stopy, które łomotały głośno o ziemię. Czułem się tak, jakby pędziła na nas horda zakutych w stal nosorożców.

Za pierwszą falą szły inne istoty. Rozpoznałem je z Hammonton – dwunożne stwory o działkach przypominających dzioby. Zauważyłem, że są akurat na tyle wysokie, żeby mogły strzelać ponad grzbietami niby-nosorożców. To raczej nie był przypadek.

– Proszę o pozwolenie na otwarcie ognia! – zawołał Sargon.

– Czekać! – odkrzyknął Leeson.

Leeson potrafił wyczuć idealny moment na oddanie salwy artyleryjskiej, więc się nie wtrącałem. Odwróciłem się za to do

Harrisa, który rozkazał swoim ludziom przełączyć karabiny metamorficzne na tryb dalekodystansowy.

– Nie, zostańcie w trybie średniego zasięgu – rozkazałem.

Spojrzał na mnie przekrwionymi oczami. Zrozumiałem, że nie spał od wczoraj. Nikt z nas nie spał, jeśli nie liczyć moich dwudziestu dziewięciu minut nieistnienia.

– U podnóża mamy podwójną linię ciężkich piechurów – odpowiedział. – Naprawdę myślisz, że się przez nią przebiją?

– Tak.

Harris w zamyśleniu podrapał się po zuchwie. Na pewno kusił go, żeby się ze mną posprzeczać, ale w końcu krzyknął do swoich ludzi, żeby zrobili, co kazałem. Pospiesznie wykonali polecenie.

Moi lekkobrojni, którzy leżeli na brzuchach kawałek przed linią okopów, prowadzili ostrzał snajperski. Pod komendą adiunkt Barton chodzili jak w zegarku. Kobieta z Victrix zmieniła bandę roztrzepanych rekrutów w zgrany oddział, i to w czasie jednej podróży na pokładzie „Legata”. Kiedyś będę musiał przyjrzeć się jej metodom szkoleniowym.

– Barton! – zawołałem. – Weźcie na cel te ptaszory z tyłu!

– Tak jest, centurionie.

Trzask trachów ucichł na moment, a potem powrócił. Zrobiłem zbliżenie i za pomocą interfejsu zacząłem oznaczać czerwonymi trójkątami cele do odstrzelenia, które wydały mi się szczególnie wrażliwe. Żołnierze skupili na nich ogień. Wkrótce pierwsze stwory padły na ziemię.

Tymczasem komety posyłały łuki migoczącej śmierci ponad linią wrogów. Kule energii nie trafiały jednak ani w nosorożce, ani w bociany, tylko gdzieś dalej, za najbliższymi pagórkami.

– Do czego celują ci ślepi kretyni? – rzucił Harris. – Przecież wróg jest tutaj, pod naszymi nosami!

– Może tam dalej jest coś jeszcze – zasugerowałem. – Skup się na celach. Właśnie wkraczają w skuteczny zasięg.

Leeson w tym momencie wydał rozkaz otwarcia ognia. Jego działa zaśpiewały w duecie pieśń zniszczenia. Strugi promieniowania przeleciały nad naszymi głowami – świecące, trupio zielone i tak rozżarzone, że powietrze zafalowało niczym miraż na pustyni.

Wiązki powoli omiatały teren, pochłaniając wszystko, czego dotknęły. Pierwszy szereg nosorożców stanął w płomieniach, ale to ich nie zatrzymało. Stwory musiały smażyć się żywcem w swoich metalowych pancerzach, ale nadal pędziły w naszą stronę.

Leeson znów wykrzyknął. Głos mu się załamał. Wiązki zmieniły kierunek i drugi raz omiotły te same istoty. Dopiero druga porcja promieniowania sprawiła, że niektórzy z wrogów potknęli się i upadli, a nawet wtedy wciąż jeszcze wymachiwali kończynami i próbowali biec. Widziałem odsłonięte kości stóp i odpadające, na wpół zwęglone płaty skóry.

Po chwili pierwsze dwa szeregi zostały zniszczone, ale reszta dotarła do linii obronnej wojsk pozaziemskich. Wojownicy ze Świata Krwi nie cofnęli się ani o krok. Podziwiałem ich odwagę. Jasne, kto inny nazwałby ich kretynami albo wypaczonymi mutantami, ale ja nazywałem ich braćmi. Sto lat temu, gdy Głównogi rozpoczęły program hodowli, ich przodkowie pochodzili z Ziemi, tak jak moi.

Ciężcy piechurzy unieśli swoją wielką jak armaty broń palną i oddali salwę w kierunku wroga. Rezultat był zaskakujący. Zadali przeciwnikowi prawie takie same straty jak osiemdziesiątkósemki. Wybuchowe pociski, które wystrzelili, rozerwały na strzępy organy wewnętrzne szarżujących stworów, a może ich obwody elektroniczne. Kto wie? W każdym razie padły setki. Jednak na każdego zabitego przypadał kolejny, który zręcznie przeskakiwał nad trupem i pędził dalej w stronę okopów.

W tym momencie napastnicy znaleźli się na tyle blisko, że bym ich rozpoznał. Te istoty... To były zmodyfikowane ciała Pegazów. Przeciwnik zmienił cywilów w swoich żołnierzy. Przypomniały mi się zdjęcia kotowatych mieszkańców tego świata – ręce z przodu i muskularne ciała z tyłu. Nie miałem wątpliwości. To wcale nie były nosorożce, tylko cybernetyczne abominacje, połączenie maszyny i mięsa. Ciało i krew stworzeń rozłożonych na elementy i złożonych na nowo z elektronicznymi mózgami, podłączonymi do układu nerwowego.

Wykrzywiłem wargi. Te potworne istoty należało zniszczyć – wszystkie co do jednej.

Szarżujące stworzenia straciły połowę stanu, gdy dotarły do ciężkich piechurów w okopach. Zacząłem mieć nadzieję, że jednak

nie przedrą się dalej.

Tysiące sylwetek starły się ze sobą w walce. Żołnierze ze Świata Krwi odrzucili muszkiety i sięgnęli po pałasze o grubych i ciężkich klingach. Nie bawili się w szermierkę, po prostu machali nimi jak obłąkany rzeźnik tasakiem. Brak finezji nadrabiali siłą mięśni.

Nasi żołnierze byli mniejsi i słabiej opancerzeni od przeciwnika, ale za to wiele nosorożców było rannych. W powietrze uniosła się chmura kurzu i dymu, która szybko zasłoniła tę zaciętą walkę przed naszymi oczami. Nabrałem tchu, wstałem i wykrzyknąłem:

– Pluton ciężkozbrojnych, naprzód!

Nie czekając na reakcję, wyskoczyłem z bezpiecznego okopu i ruszyłem w dół zbocza, bo nie chciałem strzelać na oślep. Zaskoczony Harris pobiegł za mną.

– Całkiem ci odjechało, McGill! – krzyczał Harris. – Przecież to szaleństwo!

Parę sekund później usłyszałem w słuchawce głos Gravesa. Czyżby Harris mu się poskarżył? Miałem nadzieję, że nie, choć to by było w jego stylu.

– McGill, czemu nie jesteś na pozycji? Nikt ci jeszcze nie rozkazał zginąć bohaterską śmiercią.

– Rozumiem, sir – odpowiedziałem – ale nie jesteśmy w stanie zapewnić wsparcia ogniowego ze szczytu wzgórza. Próbujemy rzucić na wroga wszystkie siły, żeby powstrzymać szarżę.

Graves milczał przez krótką chwilę. Pewnie przyglądał się temu odcinkowi linii obronnej za pośrednictwem kamer i map bitewnych.

– Kontynuuj – powiedział w końcu i się rozłączył.

Dałem znak Harrisowi. Podbiegł do mnie, spocony i zdyszany.

– Wycofujemy się? – zapytał.

Wskazałem na legionistów na naszych flankach. Setki ciężkozbrojnych z innych kompanii dołączyły do ataku, biegnąc w dół zbocza i wychodząc wrogom naprzeciw.

– Nie. Kontynuować natarcie.

Zrezygnowany, skinął głową i odwrócił się, wziął głęboki wdech, a potem ruszył naprzód, prowadząc swój pluton.

Rozdział 34

Gdy dotarliśmy do linii okopów, walczący w nich żołnierze ze Świata Krwi mieli spore kłopoty. W powietrzu wisiały kłęby sinobiałego dymu, rozświetlane tu i ówdzie pomarańczowymi językami ognia. Część pokonanych wrogów jeszcze płonęła, a z ich trupów unosił się gęsty, czarny dym. To była chyba najdziwniejsza rzecz, jaką do tej pory widziałem na tym świecie pełnym opancerzonych istot. Obce konstrukty czasem stawały w płomieniach jak rozbite pojazdy, a tkanki wewnątrz tych odrażających maszyn piekły się z sykiem i zwęglały, przywodząc na myśl grilla pozostawionego za długo bez nadzoru.

Harris zatrzymał się przy okopach i podniósł osłonę twarzy, żeby otrzeć pot z czoła – ale to był błąd. Wystarczyło, że raz nabrał w płuca smrodu palonego mięsa, aby zgiął się wpół w odruchu wymiotnym.

– Weź się w garść, adiunkcie! – zawołałem.

Położyłem mu rękę na ramieniu i potrząsnąłem. Pokiwał głową z grymasem obrzydzenia i z powrotem uszczelnił hełm. A potem zagłębiliśmy się w kłęby dymu.

Stąd widzieliśmy już sylwetki walczących. Większość była poważnie ranna. Ciężcy piechurzy wymachiwali pałaszami i strzelali z przyłożenia do krwawiących, dymiących stworów, które usiłowały rozerwać ich na strzępy. Przeciwnicy ewidentnie nie byli przeszkoleni. Można by ich porównać do powołanych pod broń cywilów – tyle że byli znacznie więksi od ludzi. Przeciętny Pegaz to osiemset kilo żywej wagi, nie licząc elektroniki i pancerza.

Mój pluton ciężkozbrojnych włączył się do walki. Czasem trudno było wycelować, bo pomiot siłował się z potworem w walce wręcz. W takich przypadkach wysuwaliśmy ostrza siłowe i zabijaliśmy przeciwnika, dźgając w szczeliny pancerza, a potem rozcinając mięśnie, elektronikę i organy wewnętrzne.

– Centurionie! – zawołał Harris.

Złapał mnie za ramię i obrócił gwałtownie. Niewiele zabrakło, żebym go odruchowo uderzył ostrzem, ale w porę się powstrzymałem.

– McGill! Nadchodzi coś jeszcze!

Dostrzegłem w jego oczach odrobinę strachu, co wydało mi się niecodzienne. Harris widywał już dużo bardziej makabryczne rzeczy niż cybernetyczne dziwadła. Jednak zanim zobaczyłem, o czym mówił, najpierw to usłyszałem. Ziemia zadygotała od basowego dudnienia.

– Myślisz, że to te niby-ptaki? – zapytał Harris. – Myślisz, że nacierają z za tego dymu?

Aby lepiej widzieć, przeczołgałem się kawałek w górę stoku, z wysiłkiem brnąc przez krwawe błoto. Otarłem osłonę twarzy i rozejrzałem się.

– Nie widzę ich – odpowiedziałem. – Prawie nic się tam nie rusza, tylko te drzewa... Coś je przewraca. O tam!

Dym trochę się przerzedził. Dało się słyszeć parę radosnych okrzyków, gdy moi ludzie odbili okopy z łap wroga. Fala niby-nosorożców została pokonana. Ocalali żołnierze ze Świata Krwi dołączyli do nas na linii obronnej. Ciągnęli za sobą towarzyszy, którzy byli zbyt ciężko ranni, żeby iść, ale nie oferowali im żadnej innej pomocy. W ich kulturze, jeśli ktoś nie był w stanie wydobrzeć o własnych siłach, zasługiwał na śmierć.

Popatrzyli na nas ze zdziwieniem, tak jakby chcieli zapytać: „Co wy robicie w naszych okopach?”. Ale oczywiście tego nie zrobili. Oni prawie nigdy nie zadawali pytań.

Tymczasem dudnienie przybrało na sile. Kałuża gęstej cieczy na dnie okopu zadrżała jak galareta. Zacząłem się martwić. Próbowałem połączyć się z Kivi i zapytać, czy jej drony coś wypatrzyły. Niestety, zero odpowiedzi. Jej nazwisko mrugało na czerwono. Musiała oberwać zabłąkanym pociskiem.

W następnej kolejności odezwałem się do Gravesa. Był moim bezpośrednim przełożonym i pewnie miał pełniejszy ogląd sytuacji. Zgłosił się po paru próbach połączenia.

– McGill? Już do was dotarły?

– Yy, ale co konkretnie, sir?

– Te gigantyczne czołgi. Suną przez las jak kosiarka przez trawnik. Już za późno, żeby uciekać. Schowajcie się w okopach i pozwólcie, żeby przejechały nad wami. Za nimi idą te bociany, one będą odpowiedniejszym przeciwnikiem dla piechoty.

Poważnie zaniepokojony, przekazałem tę wiadomość podwładnym. Żołnierze ze Świata Krwi nie odpowiedzieli, a nigdzie nie widziałem dowodzącego nimi kalmara, więc podniosłem osłonę twarzy i wykrzyknąłem, ignorując dławiący dym:

– Na ziemię! Niech wszyscy położą się płasko w okopach!

Niektórzy posłuchali, choć nie wiem, czy większość. Moi ludzie od razu wykonali polecenie. Dopiero wtedy pozostali ciężcy piechurzy zrobili to samo. Ich miny zdradzały całkowitą konsternację.

I właśnie wtedy pojawiły się czołgi. Nie strzelały, tylko po prostu przejechały szerokimi gąsienicami przez naszą linię obronną. Były większe od ciężarówki i dwa razy od niej szersze, a w dodatku wyposażone w coś na kształt żurawia. Nad każdym z czołgów kołysała się ogromna, stalowa łapa. Poruszała się niezależnie od niego, łapiąc żołnierzy i prowadząc metodyczną rzeź.

Chwytały często po prostu odrywały ludziom kończyny i głowy. Kiedy indziej unosiły ofiarę w powietrze, wystawiając ją na ostrzał kroczących za czołgami bocianów. Nieszczęśnika przebijało kilkanaście wiązek.

Nade mną przejechała ogromna maszyna. Po mojej lewej został zmiażdżony żołnierz ze Świata Krwi. Był za duży i położył się w złym miejscu. Pod ciężarem ciężkich, metalowych gąsienic jego żebra chrupnęły, a czaszka pękła jak przejrzały owoc.

Harris po mojej prawej nie radził sobie ani trochę lepiej. Próbował się odczołgać i przebył nawet kilkanaście metrów, ale wtedy dorwało go jedno z tych długich, podzielonych na segmenty ramion, zakończonych trójpalczastym chwytakiem. Zaraz znalazł się w powietrzu, a wtedy spaliły go żądne krwi bociany.

Zostałem sam, leżąc na plecach, na wpół zatopiony w błocie i otoczony trupami wgniecionymi w ziemię. Nie mogłem wiele zrobić. Pomyślałem, że nie ma mowy, żebym wyszedł z tego cało, więc wysunąłem ostrza. Uwolniłem jedną rękę. Nad sobą miałem podbrzusze czołgu. Tu i ówdzie sterczała z niego sierść, ale składało się głównie z metalu.

Wcisnąłem ostrze głęboko we wroga i poczułem dziką satysfakcję, gdy z otworu bryznęła mi na hełm struga... czegoś. Czy to były szczyny? Krew? Może coś jeszcze gorszego? Nie miałem pojęcia, ale w każdym razie z rozciętych trzewi czołgu płynęła żółtawa, gęsta jak olej ciecz.

Więcej nie zauważyłem, bo czołg odjechał. Odniosłem wrażenie, że wyczuł uszkodzenie podwozia i dlatego przyspieszył. Znow zobaczyłem nad sobą niebo, tylko częściowo zasłonięte kłębam dymu. Z trudem podniosłem się do pozycji siedzącej, a w tym czasie otoczyły mnie maszyny w kształcie ptaków.

Wcześniej nie miałem okazji przyjrzeć im się z tak bliska. Dziwadła zachowywały się jak zaciekawione zwierzęta. Chodziły wokół, obserwując mnie oczami kamer i wodząc za mną miotaczami plazmy podobnymi do ogromnych dziobów.

Nie wystrzeliły od razu – i to był ich błąd. Może liczyły na to, że zerwę się do ucieczki. Może pomyślały, że wtedy byłoby zabawniej. Tyle że ja nie miałem zamiaru uciekać.

Standardowym elementem wyposażenia każdego legionisty z Varusa jest granat grawitacyjny. Uzbroiłem go i rzuciłem bezpośrednio w górę. Bociany obserwowały przedmiot z zainteresowaniem, zadzierając dzioby. Wystrzeliły w jego stronę kilka wiązek, ale chybiły.

A wtedy granat eksplodował. Upadłem znow na plecy. Mocno oberwałem. Jako człowiek, który od lat jest na ty z aniołem śmierci, wiedziałem, że już po mnie. Ale szóstka bocianów, które chciały mnie dorwać, też nie była w najlepszym stanie. Chodziły chwiejnym krokiem, wpadając na siebie. Wybuch chyba je oślepił.

Nietypowe zjawisko przyciągnęło pozostałe stwory. Te się nie ociągały. Może wolały nie sprawdzać, co zrobiłem ich braciom. Strzeliły do mnie od razu. Dostałem najpierw trzema wiązkami, potem jeszcze sześcioma. Zacząłem smażyć się żywcem w pancerzu i ulżyło mi, gdy wreszcie było po wszystkim.

Rozdział 35

– Wynik? – zapytał piskliwie mężczyzna ze snobistycznym akcentem.

– Siedem i pół.

– Zaokrąglimy do ośmiu. Zabrać go ze stołu.

Poczułem na sobie niezbyt delikatne ręce. Czasem po przebudzeniu czułem się rześki i pełen życia, lecz to nie był jeden z tych dni. Jęknąłem i spróbowałem wstać. Omal nie upadłem. Przytrzymałem się kogoś, bo nogi się pode mną uginały.

– Co jest, do cholery? – wychrypiałem. – Wydrukowaliście mi ciało z popsutego mięsa?

– Komórki z odzysku są równie dobre, co te świeże – odpowiedział bios, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem. – Niech pan z łaski swojej nie zabija się tylko dlatego, że coś pana strzyka w krzyżu, centurionie. Dzisiaj na nic lepszego nie można liczyć. Mamy spore zaległości.

Przypomniałem sobie o bitwie.

– Co tam się stało? Wszyscy zginęliśmy?

– Nie wszyscy. Barki zgarnęły połowę legionu.

– Połowę Varusa?

– Przecież mówię.

– A co z legionem pozaziemskim?

Bios spojrział na mnie krzywo.

– Nie wiem, co stało się z małpoludami. Proszę zapytać trybuna Armela.

Odparłem wkurzony, że tak właśnie zrobię, a potem ubrałem się i chwiejnym krokiem opuściłem niebieski pokład. Sanitariusze na chwilę przerwali rozmowę, żeby odprowadzić mnie wzrokiem. Ich zadanie polegało na tym, żeby upewnić się, że opuszczę ich królestwo, nie sprawiając kłopotów. Przeszło mi przez myśl, że można by zrobić im na złość, ale doszedłem do wniosku, że nadęty bios miał rację – nie dostanę lepszych komórek, jeśli się zabiję. Kiedy zapasy są na wyczerpaniu, marudzenie niczego nie zmieni.

Przy windach stanąłem przed wyborem. Mogłem pojechać na dół, do modułów mieszkalnych, i sprawdzić, jak się miewają moi żołnierze, jednak wiedziałem, że większość wciąż jest martwa.

Drugą możliwość stanowiła mała wycieczka na złoty pokład. Skusiłem się na tę opcję. Pojechałem w górę.

– Centurionie, ma pan tutaj sprawę do załatwienia? – zapytał dociekliwy strażnik, gdy wysiadłem z windy.

– Jasne. Przyszedłem na spotkanie z trybunem Armelem.

Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, po czym sprawdził coś na stuku.

– Jego gabinet jest na końcu korytarza, sir.

Poszedłem we wskazanym kierunku, lekko zaskoczony. Strażnik nie zapytał nawet, na czyj rozkaz przyszedłem. Może dlatego, że nie chciałem spotkać się z Gravesem ani Turov. Legioniści przychodzący ze złymi zamiarami zwykle szukali kogoś na szczycie łańcucha dowodzenia. Poza tym teraz byłem przecież centurionem. Miałem prawie wszędzie dostęp. Wystarczyłoby jeszcze jeden awans, żebym jako primus dostał własny gabinet na złotym pokładzie.

Ominięcie ostatniej przeszkody w postaci sekretarki Armela nie było szczególnie trudne. Była nią centurion Leeza, od wielu lat zaufana współpracownica Armela. Nie przepadała za mną, ale znaliśmy się od dawna, bo od czasów kampanii na Świecie Postępu.

– Ani trochę się pani nie zestarzała, centurionie! – odezwałem się z uśmiechem.

Skrzywiła wargi.

– Zginęłam dziś rano – wyjaśniła kwaśno. – Czego pan chce, McGill?

– Wystarczy mi, że znów widzę pani uroczą twarz!

Leeza nie była głupia. Przeszyła mnie spojrzeniem.

– Proszę wejść, trybun pana przyjmie. Ale jeśli dojdzie do rękoczynów, osobiście pana zabiję.

– Trzymam za słowo.

Skorzystałem z zaproszenia i wszedłem do gabinetu Armela. Zastałem go rozebranego od pasa w górę. Właśnie wycierał się ręcznikiem.

– Yy, dzień dobry, trybunie.

– Ach, McGill! Wiesz, czemu kazałem cię wpuścić?

– Nie wiem.

– Bo minęły już wieki, od kiedy ostatnio spotkaliśmy się i zaplanowaliśmy operację wojskową, która okazała się katastrofą. Nie mogłem się powstrzymać, po prostu musiałem wysłuchać, jaką bajeczkę opowiesz tym razem, żeby mnie wkurzyć.

– Mnie też jest miło. A jeśli chodzi o bitwę... Przegraliśmy, prawda?

– Ech, co za kretyn... Naprawdę przyszedłeś, żeby o to zapytać? A jeśli tak, to czemu nie wolałeś ponaprzykrzać się Gravesowi? Czy on cię obwinia o to, co się stało? Prawdę mówiąc, wcale bym się nie zdziwił.

– Nie o to mi chodziło. Po prostu chciałem wiedzieć, co stało się z żołnierzami ze Świata Krwi. Czyli z twoim legionem.

Zamrugął, zdziwiony.

– A co się miało stać? Zrobili, co do nich należało, czyli zginęli w błocie okopów.

– Naprawdę? Żaden nie ocalał?

Wzruszył ramionami.

– Możliwe, że jakaś kohorta niedobitków znalazła dla siebie miejsce na pokładzie barki. Nie przejmuj się. Kolejni są już w drodze. Z bramy nawet w tym momencie wychodzą tysiące nowych małpoludów. Nawet armia biosów obsługujących maszyny wskrzeszające przez całą dobę nie odbudowałyby ludzkiego legionu w takim tempie.

– To niezbyt zachęcające. Oni tam ciężko walczyli. Zasługują przynajmniej na pochówek.

Armel prychnął z rozbawieniem.

– Ceremonia dla umarłych? W którym ty wieku żyjesz, McGill?

– W tym, w którym żołnierze ze Świata Krwi idą na permy, i to jest na porządku dziennym. Naprawdę myślisz, że możemy posyłać ich na rzeź, a sami ciągle wracać do życia?

Armel roześmiał się i otworzył barek. Wyjął kryształową karafkę i dwa kieliszki.

– Chodź, McGill, musisz się ze mną napić.

– Z jakiej okazji?

– Bardzo mnie dzisiaj uszczęśliwiłeś. Nie sądziłem, że spotkam głupca, którego śmierć moich żołnierzy zmartwi bardziej niż mnie samego.

Moim zdaniem to był kiepski toast, ale przyjąłem kieliszek drogiej brandy i opróżniłem go jednym haustem. Armel tymczasem sączył trunek, przyglądając mi się znad krawędzi kieliszka.

– Zginąłeś tam, prawda? – zapytał.

– No, zabiła mnie zgraja tych bocianopodobnych stworów.

– Ach tak. Czyli nie spotkałeś prawdziwego wroga, tylko podwładnych wysłanych na pierwszy ogień.

Opadła mi szczeka. Nie znosiłem u siebie tego odruchu.

– Prawdziwego wroga? Więc te nosorożce i bociany z miotaczami zamiast dziobów nie były najgorsze?

Armel zarechotał.

– Gdzie tam. One były zaledwie przystawką. Dopiero po tej fali pojawili się prawdziwi wrogowie. Batalion gigantycznych czołgów. Pojazdów tak ogromnych i zabójczych, że bez problemu wgniotły w ziemię nasze legiony.

Odwrócił wzrok, tak jakby stanęły mu przed oczami potworne sceny.

– Właściwie widziałem kilka z nich. Przejechały przez linię okopów. Rozciąłem jednemu brzuch.

– Coś takiego! Dobra robota.

Z zaciekawieniem podszedłem do jego biurka. Na blacie pełniącym rolę wyświetlacza miał otwarty raport pobitewny. Dotknąłem ekranu i odpaliłem nagranie.

– A niech mnie... – mruknąłem, oglądając materiał z przerażeniem i fascynacją.

Nagranie pochodziło z kamery drona. Bitwa oglądana z lotu ptaka wyglądała całkiem inaczej, niż ją zapamiętałem. Tym bardziej że zginąłem na początku.

Po wzgórzach sunęła kolumna ogromnych pojazdów. Czołgi były tak wielkie, że pod ich gąsienicami drzewa pękały jak zapalki. Gdy dotarły do linii okopów, całkowicie zdominowały pole bitwy. Z równą obojętnością miażdżyły ludzi, pomioty i Pegazy. Spychały nas w górę zbocza, nic sobie nie robiąc ze strzelających ze szczytu wzniesienia osiemdziesiątekósemek. Niszczyło je dopiero bezpośrednie trafienie kometą.

Każdy czołg miał na dachu wyrzutnię, z której co jakiś czas strzelał do naszej artylerii oraz większych skupisk żołnierzy.

Wieżyczki obracały się i nieustającym ogniem zmuszały nas do odwrotu. Na końcu nagrania czołgi zdobyły nasze pozycje, a barki zaczęły odlatywać z niedobitkami na pokładzie.

– Widzisz? – zapytał Armel. – Kompletna porażka. Niepotrzebnie zawracali sobie głowę, wysyłając przodem słabsze jednostki. Może chcieli nas wybadać. Albo woleli nie wysłać czołgów, dopóki nie okaże się, że w ogóle są potrzebne. Teraz to już bez znaczenia. Pogonili nas i upokorzyli.

– Nie mieliśmy szans – stwierdziłem, po czym wyłączyłem nagranie i nalałem sobie więcej brandy.

Trybun pokiwał głową i odstawił szklanę na blat.

– Doszedłem do tego samego wniosku. Często tak się to kończy, gdy piechota staje do walki z siłami pancernymi. Potrzebujemy cięższej broni zdolnej z daleka przebić pancerze tych pojazdów.

– Nie można ich po prostu rozwalić minami? Albo kometami?

Armel uniósł palec wskazujący.

– Jak być może zauważyłeś, strzelaliśmy kometami. Jednak artyleria ma problem z trafieniem w szybko poruszający się cel.

– A miasto? Nie możemy zrównać go z ziemią?

Armel lekceważąco machnął ręką.

– Otoczyli je kopułą. Produkują w nim te abominacje. Doprawdy, dziwaczne istoty.

– Istoty? – powtórzyłem. – Chyba raczej maszyny?

Opowiedziałem mu o teorii, którą wymyślili moi technicy – że stwory są sterowane przez sztuczne umysły, choć poruszają się dzięki organicznym mięśniom.

– To jeszcze dziwniejsze – stwierdził. – Ale gdzie są ich przywódcy? To właśnie chciałbym wiedzieć. Miałem do czynienia z różnymi maszynami, McGill. Zawsze kieruje nimi jakaś inteligentna istota.

– Może one wymordowały gatunek, który je stworzył? – zasugerowałem.

Armel zamyslił się.

– To pewnie prawda. Czy to nie dziwne, że obcy, którzy okazali się wystarczająco sprytni, żeby stworzyć inteligentne maszyny, byli jednocześnie zbyt głupi, żeby utrzymać je w ryzach? W każdym razie musi istnieć istota, która wyprodukowała tę zbieraninę

poczwar rodem z koszmaru. Niemożliwe, żeby nagle powstały same z siebie i od razu zaczęły siać spustoszenie.

Po chwili zastanowienia musiałem przyznać mu rację. Coś musiało stworzyć te potworne cyborgi. Coś inteligentniejszego od nich.

– Kto mógłby je tutaj wysłać? – zapytałem.

Armel ospale podrapał się po podbródku.

– Nie wiem... ale ktokolwiek je stworzył, najprawdopodobniej rozkazał im przylecieć do nas.

– A więc ktoś z wrogów Ziemi? – upewniłem się.

– Albo przynajmniej ktoś z wrogów Mogwa.

Zastanowiłem się nad tym. Lista potencjalnych kandydatów była strasznie długa.

– No cóż, jeśli czegoś się dowiem, przekażę te informacje dalej. Bo zakładam, że jutro znowu atakujemy?

– W pewnym sensie tak. Mamy nowy plan. Wszystkiego dowiesz się jutro, a na razie się wyśpij.

Nie wiedziałem, co to oznacza, ale najwyraźniej nie był skłonny mi powiedzieć. Wzruszyłem ramionami. Doszedłem do wniosku, że rano i tak wszystko stanie się jasne.

Rozdział 36

Następnego dnia nikt nie zadał sobie trudu, żeby poinformować mnie, jak ma wyglądać nasza następna operacja. To było dość dziwne.

Tyle dobrego, że przynajmniej moi żołnierze nie mieli wiele czasu, żeby się przejmować. Punkt szósta wygoniono nas ze stołówki na czerwony pokład, z którego startowały barki i skąd wystrzeliwano kapsuły desantowe.

Zjawiłem się na czerwonym pokładzie w pełnej zbroi. Turov i Armel już na nas czekali, a Graves zjawił się dosłownie chwilę później. Widząc moją kompanię, Turov dała znak, żebyśmy się zatrzymali. Z niezadowoleniem popatrzyła na Gravesa.

– Czy nikt im nie powiedział, co mają zabrać? Wyraźnie mówiłam: żadnego pancerza.

– No cóż, zapewne doszło do niedopatrzenia – stwierdził. – Ale to nic, wkrótce wszystkiego się dowiedzą. Bądź co bądź, mają do odegrania niewielką i raczej prostą rolę...

– Dobra, nieważne – ucięła Turov. – McGill, każ swoim ludziom zdjąć ten drogi sprzęt. Wszyscy lecą tylko w stroju lekkiej piechoty.

– Co? To chyba jakiś dowcip? A dostaniemy przynajmniej trachy?

Moje pytanie było żartem, ale ona naprawdę zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Tak, chyba tak będzie najlepiej. Zdejmijcie pancerze, weźcie trachy i wsiadajcie na barkę.

Po tych słowach odeszła, a Armel razem z nią. Byłem tak oszołomiony, że aż zapomniałem popatrzeć na jej tyłek, gdy się odwróciła. Przez chwilę miałem ochotę pobiec za nią i poprosić o wyjaśnienie, ale to by nie uszło uwadze innych oficerów. Podczas kampanii wojskowych oficjalnie nic nas nie łączyło.

Przekazałem rozkaz swoim zdumionym żołnierzom, a także pozostałym kompaniom, które właśnie się zjawily. Wszyscy byli skonsternowani i wkurzeni.

– Do dupy z taką robotą – skwitował Leeson. – Zapamiętajcie moje słowa, maczał w tym paluchy pieprzony żabojad.

Gdy już się przebrałem, Graves chciał zamienić ze mną parę słów. Bez pancerza czułem się nagi. Skafander lekkozbrojnego był szczelny, ale oprócz tego nie chronił przed niczym poważniejszym niż użądlenie pszczoły.

– Co możemy zdziałać, sir? – zapytałem. – Ci obcy to twarde skurczybyki. To nie jest dobry moment, żeby oszczędzać na sprzęcie.

– Rozumiem wasze oburzenie, McGill. Nie ja wymyśliłem ten absurdalny plan, ale... choć niechętnie to mówię, on się może udać.

Zamrugąłem ze zdziwienia.

– Może się udać? Ale co konkretnie? Bo nawet nie wiem, co mamy zrobić!

– Wybiec z lądownika, rozproszyć się i ukryć między drzewami. Jeśli wróg się do was zbliży, zwiążcie go walką. Poradzicie sobie.

Patrzyłem, jak oddział za oddziałem znika na pokładzie barki. Co ciekawe, każda kompania była z innej kohorty. To dziwne, bo zwykle podróżowaliśmy razem jako jedna zgrana siła bojowa. Barki zaprojektowano tak, aby bez problemu transportowały całą kohortę jednocześnie.

– Jak mamy skoordynować swoje...? – zacząłem, ale Graves mi przerwał.

– Wsiadacie, leciecie, lądujecie, walczyście – powtórzył szybko. – Poradzicie sobie.

Graves nie należał do dowódców, którzy lubili wysłuchiwać skarg. Westchnąłem więc i wziąłem tracha. Świnie już zabrały sprzęt, który musieliśmy zostawić.

Wsiadłem na pokład barki i usiadłem obok centuriona z dziewiątej kohorty. Kobieta była całkiem ładna. Przez chwilę przyglądała mi się z nutą zaciekawienia, ale potem zauważyła plakietkę z nazwiskiem.

– Chwila. Centurion McGill? W takim razie dziękuję.

– Co?

– To pan, zgadza się?

– No tak.

– W takim razie nie jestem zainteresowana.

– Hm? Och nie, ja pani wcale nie podrywam. Chciałem tylko zapytać, czy może pani wie, czemu, do ciężkiej cholery, lecimy na akcję w samej bieliźnie.

Wzruszyła ramionami.

– Pojęcia nie mam. Miasto wroga jest chronione tarczą. Może nie da się przez nią przejść z ciężkim sprzętem.

Pokiwałem głową. To wyjaśnienie na pierwszy rzut oka wydawało się logiczne, ale wiedziałem, że nie w tym rzecz. Wcześniej na Ziemi wchodziłem pod kopułę ochronną wroga i ciężki sprzęt w niczym nie przeszkadzał.

Właśnie otwierałem usta, żeby to powiedzieć, gdy barką szarpnęło. Zaczęliśmy schodzić tak ostro, że żołądek podszedł mi do gardła. Przygotowałem się na trudne osiem minut. Gdy barka wchodzi w atmosferę wrogiej planety, pilot leci z maksymalną szybkością. Nikt nie ma ochoty przebywać w powietrzu dłużej, niż to absolutnie konieczne, narażając się na ostrzał obrony naziemnej. Kabinę wypełnił ogłuszający hałas, a powietrze zaczęło się nagrzewać. Pozostawało uszczelnić skafander i poczekać, aż będzie po wszystkim.

Znowu szarpnęło, gdy pilot włączył ciąg wsteczny, aby zahamować – a potem poculiśmy uderzenie o ziemię. Lądowanie nie należało do łagodnych, ale na szczęście barki były cholernie wytrzymałe.

– Nikt do nas nie strzelał – zauważyła z ulgą siedząca obok centurion.

Zacząła wykrzykiwać rozkazy do swoich żołnierzy. Zrobiłem to samo.

– Hej, wiesz co? – powiedziałem, przemykając wzrokiem po jej ciele. – Widuję cię od jakiegoś czasu. Załóżmy, że oboje przeżyjemy. Masz plany na dzisiejszy wieczór?

Pokręciła głową i szybko zakryła dłonią swoją plakietkę z nazwiskiem.

– Jak się nazywam? – zapytała.

– Yy... – Wyteżyłem mózg. – Centurion Mills! – wykrzyknąłem. Czasem moja pamięć płata takie figle i odtwarza to, czego nie powinienem właściwie zauważyć. Na przykład nazwisko ładnej kobiety na naszywce jej munduru...

Przytaknęła z aprobatą.

– Nieźle. A na imię?

– No...

Nie miałem bladego pojęcia – ale oczywiście to za mało, żeby powstrzymać faceta takiego jak ja. Zmrużyłem oczy, próbując sobie przypomnieć.

– Szybciej. – Wskazała kciukiem za siebie. – Już opuszczają rampę. Mamy schodzić za półtorej minuty.

Zauważyłem, że kilkoro jej oraz moich podwładnych przysłuchuje się naszej rozmowie. Szturchali jeden drugiego i chyba obstawiali, czy zgadnę. Miałem to gdzieś.

– Jennie?

– Och, było tak blisko. Sheryl.

– Szlag!

Odwróciła się i pobiegła truchtem, popędzając swoich ludzi. Po chwili wybiegli na zewnątrz. Moja kompania podążyła za nimi.

Leeson dogonił mnie, gdy zbiegliśmy z rampy i zaczęliśmy się rozpraszać.

– Nie gadaj, że podrywałeś Mills! – rzucił.

Zignorowałem go.

– Biegnijcie w stronę lasu! – zawołałem.

Planeta wyglądała prawie jak Ziemia, jeśli nie liczyć tych dziwacznych skrzydlatych istot, które zwieszały się z gałęzi drzew niczym martwe małpy. Było ich naprawdę mnóstwo.

Leeson dyszał jak lokomotywa, ale dotrzymał mi kroku, kiedy biegłem na swoich długich nogach. Przeszło mi przez myśl, że mógłbym przyspieszyć i zostawić go w tyle, ale to chyba byłoby złe dla morale.

– Centurion Jennie Mills – roześmiał się Leeson. – Aż dziwne, że dopiero teraz wzięłaś ją na celownik. Każdy facet w legionie musi położyć sobie hełm w strategicznym miejscu, kiedy o niej myśli. Jest nowa i...

Odwróciłem się gwałtownie i złapałem go za bety. Spojrzał na mnie z komicznym przerażeniem w oczach. Pewnie myślał, że zaraz oberwie, ale nie o to mi chodziło.

– Mówisz, że ona ma na imię Jennie? – zapytałem.

– No tak.

Puściłem go i wybuchnąłem śmiechem. Nieźle mnie nabrała – choć grała nieczysto.

– Jezu... – mruknął Leeson, poprawiając skafander.

Jako następny podbiegł do mnie Harris, rozglądając się na wszystkie strony.

– Gdzie są bunkry, McGill?

Wskazałem w dół zbocza. W oddali migotała kopuła pola siłowego.

– Tam, w mieście Pegazów. Choć wątpię, żeby wciąż żyli tam jacyś cywile.

– Co? – zdziwił się. – Co to ma być? Przecież tutaj można do nas strzelać jak do kaczek.

W tym momencie dał się słyszeć ryk. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak barka wznosi się na pióropuszu ognia. Wystartowała na pełnym ciągu silników i zaraz zniknęła za horyzontem.

– Leci tuż nad wierzchołkami drzew – zauważył Leeson i gwizdnął przeciągle. – Na południe, jak najdalej od miasta. Myślisz, że pilot wie coś, czego my nie wiemy?

Harris był wściekły. Zdjął hełm i rzucił nim o ziemię.

– To pojebane! Bez pancerza, bez ciężkiej broni. A jesteśmy jeszcze bliżej miasta niż ostatnim razem. To oczywiste, że te poczwary zaraz przyjadą i nas załatwią. Jak dowództwo mogło tego nie przewidzieć?!

– Ty mu powiesz czy ja mam to zrobić? – zapytał Leeson.

Harris łypnął na nas obu ze złością.

– Co macie mi powiedzieć?

Do tej pory wszyscy żołnierze ukryli się już za pniami drzew. Zanim odpowiedziałem, przekradła się do nas Barton i przykucnęła obok.

– Sir, wszyscy na pozycjach – zameldowała. – Jak długo mamy czekać?

– To zależy od tego, ile czasu potrzeba, żeby wróg nas zauważył i wyprowadził kontratak.

– Ostatnim razem to zajęło jakieś dziesięć godzin – odpowiedziała z ponurą miną. – Ale tak blisko miasta mamy pewnie poniżej sześciu.

– Zgadzam się.

Harris dalej spoglądał z zaniepokojeniem to na mnie, to na Leesona.

– Co mieliście mi powiedzieć?

Zerwałem źdźbło trawy, włożyłem do ust i przygryzłem.

– Uwaga, roślinność może być trująca – ostrzegła mnie Barton.

– To bez znaczenia – odpowiedziałem z uśmiechem.

Leeson ryknął śmiechem – a trzeba dodać, że facet ma wkurzający śmiech. Harris spojrział na niego dziwnie, a potem powoli odwrócił się do mnie.

– O nie – jęknął. – Robisz mnie w chuja, McGill? Powiedz, że robisz mnie w chuja!

– Żałuję, ale nie.

Harris osunął się na plecy i osłonił oczy dłonią.

– Obudźcie mnie, kiedy będzie po wszystkim.

Skonsternowana Barton powiodła wzrokiem po naszych twarzach. Leeson był roześmiany, Harris przybity, a ja miałem stoicką, nawet trochę znudzoną minę.

– O co tu chodzi, sir? – zapytała. – Nie rozumiem sensu tej operacji. Czy dowództwo Legionu Varus oszalało? Przecież nie mamy szans obronić tego wzgórza.

– Zgadza się, nie mamy szans – przytaknąłem. – Ale właśnie na tym polega plan. Tym razem to my jesteśmy króliczkami.

Barton zrobiła zaniepokojoną minę. W legionowym żargonie „króliczek” znaczyło tyle co „przynęta”. Z rezygnacją zamknęła oczy, gdy wreszcie zrozumiała.

– Mamy ich zwabić – powiedziała cicho. – Czekamy, aż te opancerzone istoty wyjadą z kopuły i nas zaatakują. A wtedy co? Nasi zbombardują wzgórze? Zabiją wszystko w okolicy?

Leeson znów wybuchnął swoim irytującym śmiechem.

– Wreszcie załapałaś, dziewczyno! Teraz wiesz, jakie to uczucie, gdy dowództwo leje na ciebie ciepłym moczem!

– Witaj w Varusie – mruknął Harris. – Popierdolone to wszystko...

Barton spojrzała na mnie, szeroko otwierając oczy.

– A więc to prawda? Trybuni zamierzają zabić nas razem z wrogami?

– Wybrali po jednej kompanii z każdej kohorty – przypomniałem.
– Nie pozwolili wziąć porządnej broni ani pancerza... Sama powiedz, na co ci to wygląda.

Wbiła wzrok w otoczone polem siłowym miasto.

– Więc będziemy tu po prostu czekać na śmierć?

Coś mnie poruszyło w jej słowach. Miała rację – wszyscy porzuciliśmy nadzieję. Wstałem i przeciągnąłem się.

– O nie – jęknął Leeson, bo już przeczuwał, co to oznacza.

– Może i nie będziemy czekać na śmierć – odpowiedziałem. – Może i nie...

W moim umyśle formował się jeszcze nie tyle plan, co przynajmniej jego załączek.

Rozdział 37

Gdy wróg przychodzi za wcześnie, to i dobrze, i źle. Z jednej strony, czekanie na pewną śmierć zawsze jest męczące. Z drugiej strony, dzień był całkiem przyjemny – do momentu, gdy zjawiły się potwory i wszystko popsuły.

Tak jak poprzednim razem, najpierw zobaczyliśmy falę opancerzonych niby-zwierząt. One chyba poruszały się szybciej od pozostałych istot i dlatego przybiegły jako pierwsze. Myślę, że było ich koło tysiąca. Niektórzy z naszych ludzi na ich widok od razu otworzyli ogień z trachów. Idioci. Parę istot zginęło, ale reszta skręciła w kierunku, z którego padły strzały. Szarżowały w stronę drzew, rozpędzone jak stado bawołów.

– O cholera! – Leeson zerwał się na nogi. – Wycofać się!

Chciałem zaprotestować, ale stwierdziłem, że adiunkt ma rację. Było nas za mało, żebyśmy mieli z tą hordą jakiegokolwiek szansę, tym bardziej że nie dowodził nami żaden primus. Nie było nikogo, kto powstrzymałby nas przed chaotycznymi działaniami bez cienia koordynacji.

– Wycofać się! – powtórzyłem za Leesonem.

Nasi ludzie zagłębili się w półmrok lasu.

– Czy to nie dezercja, centurionie? – zapytała Barton. – To znaczy rozumiem, czemu chcieliśmy tak zrobić, ale...

– Nic z tych rzeczy, żadna dezercja – zaprzeczyłem. – Mamy rozkaz, żeby skupić na sobie uwagę przeciwnika i związać go walką. A nic z tego nie wyjdzie, jeśli za dziesięć minut wszyscy będziemy martwi.

– Tyle mi wystarczy – mruknął Leeson. – Ludzie, zachować dystans! Na przemian strzelać i uciekać!

Tak zrobiliśmy. Nie czułem się z tym najlepiej, więc żeby uciszyć sumienie, skontaktowałem się z centurion Jennie Mills. Gdy się zgłosiła, usłyszałem w tle odgłosy walki.

– O co chodzi, McGill? Lepiej, żeby to było coś ważnego.

– Wycofujemy się między drzewa, Jennie. Pomyślałem, że wolałabyś wiedzieć. W końcu nie mamy dowódcy.

Przez chwilę nie odpowiadała. Z głośnika płynęły przytłumione wystrzały i krzyki.

– Uciekacie? – zapytała w końcu.

– Nie, przedłużamy walkę. Przecież mamy zająć wrogów najdłużej jak się da. Jeżeli od razu damy się zabić, nie wykonamy rozkazu.

– Hm, masz rację. Bez odbioru.

Niedługo później większość kompanii wycofała się do lasu. Zagłębiliśmy się w gęstwinię, gdzie istoty o rozmiarach słoni nie mogły za nami podążyć, nie przeciskając się między pniami drzew. Przez chwilę schodziliśmy w dół zbocza, potem znów się wspinaliśmy. Gdy drzewa się przerzedzały, zwalnialiśmy i czołgaliśmy się przez zarośla i wysoką trawę.

– Coś za nami lezie! – krzyknął w którymś momencie Harris.

Jego ludzie ukryli się za drzewami. Krzaki za nami poruszyły się i zaszeleściły.

– Wstrzymać ogień! – zawołała Barton.

Okazało się, że idzie za nami centurion Mills ze swoimi niedobitkami. Dowlekli się do nas i padli na ziemię, dysząc ze zmęczenia.

– Ilu was jest? – zapytałem ją.

– Pięćdziesięciu siedmiu...

Czyli połowa zginęła. My straciliśmy tylko dwunastkę. Wbiłem wzrok w las, który trochę różnił się od ziemskich lasów. Był gęstszy, przypominał raczej dżunglę, tyle że w chłodniejszym klimacie. Może to z powodu innego składu atmosfery. Albo dlatego że – jak czytałem – tutejsza gleba była niezwykle żyzna.

Mills usiadła obok mnie.

– Jaki macie plan?

– Plan? Przeżyć następnych kilka godzin i tyle. Chyba że nam się poszczęści.

– Poszczęści?

– No tak. Natasha!

Po dłuższej chwili zjawiała się moja techniczka. Była najlepsza w kompanii, w kohorcie, a może i w całym Varusie. Strzeliła oczami na Jennie, a potem znów spojrzała na mnie.

– Co tym razem, centurionie?

Powinna zwracać się do mnie z większym szacunkiem, zwłaszcza przy innych oficerach, ale machnąłem na to ręką. W tym momencie potrzebowałem jej mózgu, a nie zazdrości i ciętych odzywek. Wiedziałem, że reprimenda przyniesie odwrotny skutek.

Wyjaśniłem, czemu tu jesteśmy, czego się od niej oczekuje i do czego jest mi potrzebna. Usiadła na ściółce i oparła brodę na kolanach.

– Naprawdę zostawili nas tu na pastwę losu? – zapytała. – Tylko po to, żeby móc przywalić we wrogów jakąś głowicą?

– Na to wygląda. Ale posłuchaj, może jest szansa, żeby trochę zmienić sytuację.

Wytłumaczyłem, że po nosorożcach na pewno pojawią się czołgi. Natasha zadrżała ze strachu.

– I co mamy zrobić? – jęknęła.

– Zginać. – Wzruszyłem ramionami. – Ale może uda się zrobić coś więcej. Tak sobie myślałem o tych pojazdach... O tych żywych czołgach...

Przez kilka długich chwil rozmawialiśmy i snuliśmy plany. Wkrótce nadarzyła się okazja, by wprowadzić je w życie.

Najpierw oddaliliśmy się od reszty. Aby nasz pomysł miał szansę zadziałać, musieliśmy odciągnąć wroga od pozostałych legionistów. Przebiegliśmy więc przez otwarty obszar, a potem zniknęliśmy na sąsiednim zalesionym pagórku. Za plecami słyszeliśmy wystrzały i odbijające się echem krzyki.

– Ta sytuacja jest dla mnie coraz trudniejsza, McGill – syknęła adiunkt Barton.

– Co się stało? Jesteś ranna?

– Nie o to chodzi. Mam problem z faktem, że uciekamy. Zostawiamy towarzyszy broni.

Wzruszyłem ramionami.

– I tak mieliśmy tu zginać, Erin. Pogodziłem się z tym, ale zamierzam przeciągnąć sprawę najdłużej jak się da. Wykonuję rozkazy.

Wciąż miała niezadowoloną minę, ale nie dbałem o to. Naprawdę uważałem, że wywiążemy się z zadania lepiej niż pozostali.

Czekaliśmy w nowej kryjówce około dwudziestu minut, zanim zjawiała się trójka niby-bocianów. Ewidentnie rozglądały się za ocalałymi.

– Zaskoczmy je – powiedziałem.

Zaczekaliśmy, aż będą blisko, a potem wyskoczyliśmy z zarośli i zastrzeliliśmy ptaszydła z zasadzki. Nikt z naszych nie zginął. Morale od razu się polepszyło. Tak naprawdę nie było się z czego cieszyć, ale ludzie zawsze woleli walczyć i wygrywać, niż uciekać.

Schowaliśmy się z powrotem w lasku.

– Yy, może warto iść dalej, sir? – zasugerował Leeson. – Zająć inną pozycję. Tutaj zaraz nas namierzą po tym, co zrobiliśmy.

– O to właśnie chodzi. Chcemy ściągnąć większą grupę.

Adiunkci wymienili nerwowe spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Parę minut później zabręczał mi stuk. Dobijał się do mnie Graves. Z kwaśną miną wyciszyłem urządzenie.

Nie minęły nawet dwie minuty, gdy podeszła do mnie centurion Mills.

– Primus chce z panem rozmawiać, McGill.

Stęknąłem z niezadowoleniem i zgłosiłem się.

– Primusie Graves! – powiedziałem głośno. – Chciałbym panu podziękować za tę wakacyjną wycieczkę, którą zorganizował pan dla mnie i moich ludzi. Nie wiem, czemu nie towarzyszy nam nikt w stopniu primusa. Wszyscy świetnie się tu bawimy i... Słucham, co pan powiedział?

– Żebyś się zamknął, McGill. Czemu nie jesteś na pozycji?

– Yy, ja tylko wykonuję pańskie rozkazy, sir. Nadal żyjemy, właśnie zabiliśmy wrogi patrol i...

– McGill, zacznij mnie słuchać, bo po następnym wskrzeszeniu będziesz tylko adiunktem.

Skrzywiłem się. W przeszłości zdarzała mi się degradacja z powodu różnych nieporozumień i niesprawiedliwości. Nie miałem ochoty na powtórkę z rozrywki.

– Jasne, sir. Niech pan mówi, co mam zrobić.

– Masz ruszyć dupę bliżej strefy lądowania. Z miasta właśnie wyjechała formacja największych pojazdów wroga. To one są naszym głównym celem. Chcę je skupić w jednym miejscu, żeby łatwiej się ich pozbyć. Nie możemy zbombardować całego obszaru

bez użycia głowic jądrowych, a wolelibyśmy tego uniknąć ze względu na środowisko.

Miałem podniesioną osłonę twarzy, więc podrapałem się po policzku.

– Czy ja dobrze słyszę, sir? Nie chcecie, żeby zwiędło za dużo kwiatów na łące?

– Zgadza się. Jesteśmy tu tylko gośćmi. W dodatku Ziemianie nigdy wcześniej nie byli na tej planecie. Jeśli wszystko na dzień dobry wysadzimy, raczej nie zrobimy dobrego pierwszego wrażenia.

– No, chyba nie. Dobra, wrócimy do strefy lądowania. Bez odbioru.

Z ponurą miną zakończyłem połączenie. W paru słowach streściłem rozmowę centurion Mills. Pozieleniała na twarzy.

– Czyli każe nam iść prosto na wroga? Do wyznaczonej strefy?

– Tak. Chyba chce ich wszystkich skupić w jednym miejscu. Zgaduję, że zapowiada się nalot dywanowy z użyciem ładunków konwencjonalnych.

– I po tym wszystkim w nagrodę zostaniemy rozerwani na strzępy? To wydaje się takie bezcelowe...

– Wcale nie. Przy odrobinie szczęścia zabijemy od cholery opancerzonych drani. Nie możemy zbombardować miasta z kosmosu, a przynajmniej nie byłoby to proste. A na pewno wolałbym nie prowadzić pod kopułę żołnierzy, dopóki wróg ma czołgi. W ten sposób wywabimy przeciwnika na zewnątrz i zniszczymy jego najcenniejsze jednostki przy minimalnych stratach własnych.

Jennie pokręciła głową i skrzywiła się, moim zdaniem niepotrzebnie. Przecież śmierć w błocie to dla legionistów z Varusa dzień jak co dzień.

Rozdział 38

Wkrótce natknęliśmy się na kolejny patrol wroga. Tym razem składał się z zarówno bocianów, jak i nosorożców. Dysponowaliśmy przyzwoitą siłą ognia, więc nie zdążyły skrócić dystansu, zanim załatwiliśmy je wszystkie

– Jak dotąd trzy nosorożce i pięć bocianów! – zawołałem radośnie.

Moje pozytywne nastawienie udzieliło się żołnierzom. Najlepsze, że nawet nie musiałem udawać. Naprawdę czerpałem mnóstwo satysfakcji z zabijania cybernetycznego ścierwa. Stwory były brzydkie jak noc i zasługiwały na to, żeby je wszystkie ubić, choćby dla zasady.

Jedna z istot pewnie zgłosiła naszą obecność pozostałym. Wiedzieliśmy, że one mają w swoich ciałach radiostacje i że korzystają z nich jak z organów mowy. Popiskiwały między sobą i chyba na nas doniosły, bo krótko po wymianie ognia usłyszeliśmy basowy pomruk, który zmienił się w ryk połączony z grzechotem metalowych gąsienic.

– Szybciej!

Puściliśmy się biegiem. Ludzie jak zwykle podążyli za mną.

Nie wiem, co spodziewał się zobaczyć swoimi kamerami czołg, który wyjechał z za linii drzew, ale na pewno nie było to sto pięćdziesiąt lekko uzbrojonych osób.

Otoczyliśmy go jak stado strusi. Broń przeciwpiechotna po bokach pojazdu zaczęła do nas strzelać. Kilku ludzi po mojej lewej zmieniło się w krwawe strzępy, więc skręciłem w prawo.

– Otoczyć go! – krzyknąłem. – Rzucajcie granatami w gąsienice!

Żołnierze posłuchali. Podwładni Jennie w większości pobiegli w lewo, a moi głównie w prawo. Zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Czołg rozjechał około trzydziestu legionistów, aż w końcu granaty rozsadziły mu gąsienice. Wtedy się zatrzymał.

Pojazd przypominał wielką, skomplikowaną maszynę z mnóstwem części. Początkowo odniosłem wrażenie, że ten rodzaj przeciwnika nie ma zbyt wielu tkanek i składa się głównie z metalu.

Potem jednak dostrzegłem ręce i oczy. Prawdziwe organiczne oczy śledziły nasze ruchy – a mięśnie napinały się z wysiłku, obracając wieżyczki. Jednak byliśmy za blisko i stanowiliśmy zbyt małe cele.

Bum!

Zaskoczony, nagle odkryłem, że koziółkuję w powietrzu. To była fala uderzeniowa, a nie bezpośrednie trafienie. Byłem ranny i oszołomiony, ale wciąż w jednym kawałku. Świat na chwilę zniknął, lecz zaraz wrócił. Byłem prawie pewny, że jeszcze nie zginąłem.

Dzwoniło mi w uszach. Podniosłem się, usiadłem, zacząłem kaszleć. Poczułem ból połamanych żeber i ran po odłamkach.

Zmusiłem się, żeby wstać. Poczułem, jak za biceps chwyta mnie i pomaga czyjaś silna ręka. To był Sargon. Coś do mnie krzychał, ale wciąż byłem zbyt oszołomiony, żeby zrozumieć i odpowiedzieć.

Wskazał na coś. Powiodłem wzrokiem wzdłuż linii nakreślonej przez jego umazany błotem palec wskazujący. Tam daleko ktoś machał. Dwie kobiety. Jedna to Natasha, a druga centurion Jennie Mills.

Sargon na wpół mnie ciągnął, na wpół prowadził, gdy bieглиśmy w stronę kobiet, które przyzywały nas do siebie. Możliwe, że w tym jednym przypadku moje samcze instynkty bardziej pomagały, niż przeszkadzały.

Wcisnęliśmy się wszyscy do ciasnej, zamkniętej przestrzeni. Zamknęły się za nami drzwi z metalu i mięsa. Natasha zdjęła mi hełm.

– James! James, słyszysz mnie? James?

– O co chodzi? – odpowiedziałem, bełkocząc jak pijany. Powoli dochodziłem do siebie, ale nadal nie do końca kontaktowałem.

– Jesteśmy wewnątrz czołgu. One mają w środku takie puste przestrzenie.

– A co z... Co z moją kompanią?

Wymienili spojrzenia.

– Większość zginęła, sir – odpowiedział Sargon. – Nieźle pokieroszowaliśmy ten czołg, jest unieruchomiony. Ale wcześniej rozerwał naszych ludzi na strzępy. Znaleźliśmy te drzwi, kiedy zostało dziesięć procent żołnierzy. Weszliśmy do środka, ale

centurion Mills zauważyła, że pan się rusza, więc postanowiliśmy tu pana przyprowadzić.

Zamrugalem tępo.

– Byłem nieprzytomny?

– Jasne, że tak. Przez trzy minuty myśleliśmy, że pan nie żyje.

– Rozumiem. Jaki jest nasz status?

Popatrzyli po sobie. Myśleli, że w tym stanie nie nadają się, żeby dowodzić. Trochę się wkurzyłem, bo przecież byłem sprawny.

Zaaplikowałem sobie stymulant i pokręciłem głową. To był kiepski pomysł. Zamknąłem oczy i jęknąłem z bólu.

– No dobra, domyślam się, że ocaleliśmy my i paru innych niedobitków – powiedziałem. – Co teraz zrobimy?

Otworzyłem oczy. Chyba nie mieli pojęcia, co dalej.

– Jesteś w kiepskim stanie, McGill – powiedziała centurion Mills. – Ja przejmę dowodzenie. Może i masz większy staż, ale w tym momencie ja lepiej kojarzę fakty.

– Yy, że co? Ach, no dobra, pewnie. Daj z siebie wszystko.

Oparłem się o ścianę i znów zamknąłem oczy, ale nadal słuchałem.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Natasha. – Oni nas znajdą. Nie możemy całymi dniami siedzieć w schowku na amunicję.

– Bez paniki – odpowiedziała z naciskiem Mills. – Poradzimy sobie, jeśli zachowamy spokój.

– Nie na tym polega nasza misja – wtrącił się Sargon.

– Co takiego?

– Mieliśmy skupić na sobie uwagę wroga, zgromadzić jak najwięcej maszyn w jednym miejscu i pozwolić, żeby „Legat” je rozwalił. A siedzenie tutaj i „zachowywanie spokoju” jest wbrew rozkazom.

Otworzyłem oczy.

– Sargon ma rację. Wychodzimy.

Podniosłem się i ruszyłem w stronę dziwnych drzwi. Były porośnięte kępkami sierści. Obrzydlistwo. Chwyciłem kościaną dźwignię zwalniającą zamek, ale wtedy Mills położyła dłoń na mojej dłoni.

– McGill – odezwała się łagodnie – rakiety już spadły. Widzieliśmy w oddali rozbłyski. Między innymi dlatego się tutaj schowaliśmy. Na

zewnątrz jest chmura radioaktywnego pyłu i diabli wiedzą, co jeszcze.

Opadła mi szczęka. Spojrzałem na nią z niedowierzaniem, ale jej mina mnie przekonała.

Czyli jednak zrzucili atomówki? Graves mówił, że postarają się tego uniknąć. A co gorsza, nasza grupka oddaliła się tak bardzo, że i tak w nas nie trafili.

– Teraz rozumiem – powiedziała Mills. – Dlatego Graves kazał nam wracać tam, gdzie było najbardziej niebezpiecznie, czyli do strefy lądowania. Chciał pozbyć się wszystkich za jednym zamachem.

– Tak mi powiedział – przytaknąłem.

– Kutas.

Nie sprzeczałem się. Popatrzyłem na pozostałych. Na ich twarzach malowała się udręka. Najbardziej było mi żal Natashy. Dawno temu przypadkiem powstał duplikat jej osoby. Nie mogła wrócić na Ziemię z obawy przed egzekucją, więc parę dekad spędziła na Świecie Pyłu.

Teraz my znaleźliśmy się w podobnej sytuacji. Jeśli zostaniemy wskrzeszeni na „Legacie”, będą istniały dwa egzemplarze każdego z nas. Wszyscy będziemy bliźniakami. Z kolei jeśli nikt nie potwierdzi naszej śmierci, dowództwo zostawi nas tutaj na pastwę losu.

Miałem świadomość, że jeśli teraz zginiemy, możemy już nigdy nie wrócić do życia.

– Chujowa sytuacja – powiedział Sargon.

Podzielałem jego zdanie.

Rozdział 39

Po niedługim czasie podjąłem kluczową decyzję. W normalnych warunkach centurion Mills pewnie przejęłaby dowodzenie, bo ja mocno oberwałem falą uderzeniową, miałem jednak nad nią przewagę dekad doświadczenia.

Ignorując ból, podniosłem się i wyszedłem na zewnątrz. Pozostali wołali, żebym tego nie robił. Woleli siedzieć w tej ciemnej, ohydnej dziurze i czekać na ratunek.

Istota w kształcie czołgu zdychała. Pogodziła się z faktem, że ma zniszczone gąsienice, i przestała próbować odjechać. Gałki oczne oraz kontrolujące wieżyczki mięśnie nadal były sprawne. Lufy obróciły się w moją stronę, gdy wyszedłem z „maszyny”, ale nie mogły wycelować pod ostrym kątem. Podejrzywałem, że w normalnych warunkach czołg cofnąłby się o kilka metrów i rozwalił mnie na kawałki.

Uruchomiłem stuka i wysłałem wiadomość do Gravesa. Bardzo krótką – podałem tylko naszą pozycję i krótki opis sytuacji. Później znów odwróciłem się w stronę czołgu. Ze środka popatrzyli na mnie pozostali. Mieli zmartwione miny.

– Zobaczają cię – syknęła Natasha. – Wracaj tu, McGill.

– Jemu jest wszystko jedno, czy go zobaczą – mruknął Sargon i sam wyszedł na zewnątrz.

Otworzył hełm, ale gdy tylko poczuł smród maszyny, z powrotem zatrzasnął osłonę twarzy i rozkaszłał się na chwilę.

– Ale cuchnie – jęknął.

– To prawda.

– Coś mi przyszło na stuka – powiedziała Natasha.

– Mnie też – dodał Sargon.

– Napisali: „Utrzymać pozycje, pomoc w drodze” – przeczytała.

– Hmm... – mruknąłem podejrzliwie. – Natasha, daj mi swój sprzęt. Potrzebuję więcej mocy, żeby połączyć się z „Legatem”.

Przygryzła wargę, wyszła z czołgu i udostępniła mi komputer technika oraz źródło zasilania, dzięki któremu mój sygnał dotarł aż

na orbitę.

– McGill? – zgłosił się Graves. Jego głos częściowo zagłuszał trzaski.

– Tak jest, chciałbym złożyć raport. Dokonaliśmy ważnego odkrycia. Najlepiej będzie, jeśli...

– Nie ruszajcie się z miejsca. Już wysłaliśmy po was maszynę.

Zawahałem się. Podejrzywałem, że ta „maszyna” może tak naprawdę być pociskiem raketowym. Oficerowie często dochodzili do wniosku, że łatwiej zabić zagubionego żołnierza, niż poświęcić zasoby na misję ratunkową.

– Myślę, że to nie najlepszy pomysł, sir. Niech pan spojrzy na to.

Za pomocą wbudowanej w stuka kamerki pokazałem mu czołg.

– Czy to jeden opancerzonych pojazdów wroga? – zapytał Graves.

– Zgadza się, sir. Unieszkodliwiony, ale nadal żywy. Można by go zbadać. Warto byłoby wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

– Szlag... Dobra, niech będzie – burknął Graves po chwili namysłu.

– Ale lepiej, żeby to nie była ściema, McGill. Wysłałem po was barcę. Bądźcie gotowi zabrać na pokład swoją zdobycz, a potem zdać mi najlepszy raport w swojej karierze. Bez odbioru.

Gwizdnąłem przeciągle swoimi popękkanymi wargami.

– Dzieciaki, zawdzięczacie mi życie. Załatwiłem nam bilety powrotne pierwszą klasą.

– Barka? – powtórzył z powątpiewaniem Sargon. – Brzmi świetnie, sir, ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Ten czołg może do niej strzelić, kiedy wyląduje.

– O Boże, on ma rację – jęknęła Mills. – Pan jeszcze nie myśli klarownie, centurionie.

– Myśli tak samo jak zawsze – mruknął pod nosem Sargon. – To nie wstrząśnienie mózgu. On po prostu jest głupi.

Centurion Mills spiorunowała go wzrokiem. Wyraźnie nie lubiła, gdy podwładni źle wypowiadali się o swoich oficerach. Jednak w tym przypadku Sargon miał rację. Nie przemyślałem swojego planu. Prawdę mówiąc, słowo „plan” było tu bardzo na wyrost.

– Hmm, a nie dałoby się jakoś uszkodzić mu działa? – Spojrzałem na Natashę. – Ale tak, żeby go nie zabić?

– Nie jestem pewna.

Położyła się na plecach i wsunęła pod gąsienice. Po chwili całkiem zniknęła pod metalowo-organicznym stworem.

– Co ona robi? – zapytała Mills.

– Bez obaw! – odpowiedziałem. – Jeśli popsutą maszynę da się naprawić, Natasha umie to zrobić. Do rana doprowadzi czołg do porządku, włoży mu kaganiec, zaszczepi gnoja i wykastruje.

– Nie mamy czasu do rana – zauważył Sargon. – Zostało może trzydzieści pięć minut.

Było blisko, ale zdążyła. Gdy barka wylądowała, gałki oczne wciąż wodziły za nią wzrokiem, a działa wymierzyły do niej – ale nie wystrzeliły. Natasha przecięła nerwy prowadzące do mechanizmów spustowych.

Wyciągnęliśmy ją spod pojazdu. Wstała i weszła na pokład barki, mijając się z grupą nerwowych techników, którzy podeszli do zdobycznego czołgu i wytrzeszczyli oczy.

– Uważajcie na mojego pupila! – zawołałem. – Jeszcze nie nauczył się korzystać z kuwety, ale dla dowództwa jest bardzo cenny.

Technicy ostrożnie otoczyli potwora i przyczepili do niego podnośniki grawitacyjne, żeby wydobyć go z błota. Już po paru chwilach prowadzili go w stronę rampy.

W tym momencie czołg chyba zrozumiał, że został pojmany. Zaczął kręcić popsutymi gąsienicami i wodzić naokoło wieżyczkami, a gałki oczne tak desperacko próbowały spojrzeć za siebie, że widzieliśmy głównie ich przekrwione białka.

Jednak pomimo tych wysiłków stwór nie mógł nas powstrzymać. Zabraliśmy go na barkę i odlecieliśmy. Zająłem miejsce przy oknie na górnym pokładzie, gdzie zwykle podróżowali najwyżsi stopniem. Westchnąłem z ulgą i rozsiadłem się wygodnie na miękkim fotelu.

Oprócz załogi barki nie leciał z nami żaden oficer – byliśmy tu tylko ja i centurion Jennie Mills. Nie traciłem czasu na flirtowanie.

– Hej, masz ochotę gdzieś się dzisiaj wybrać? – zapytałem.

Zamrugła, nie rozumiejąc.

– Nie. Marzę tylko o ciepłym posiłku i gorącym prysznicu.

Uniosłem brwi i wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

– To bardzo bezpośrednio, ale podoba mi się! Możemy...

– Zaczekaj, McGill – przerwała mi surowo. – To nie było zaproszenie.

– Nie? Och. Myślałem, że umowa to umowa. Bo przy naszym pierwszym spotkaniu zgadłem, jak masz na imię, prawda?

– Noo... tak.

Potulnie spuściła wzrok.

– W takim razie chcę cię zabrać na randkę. Krótka piłka, tak czy nie?

Zastanowiła się chwilę i westchnęła.

– W porządku. Jeśli nie umrę dzisiaj z powodu obrażeń wewnętrznych, możemy pójść na randkę.

– Zawsze zostawiasz sobie furtkę, no nie? Napij się ze mną. Wiem, że w kabinie dla oficerów trzymają alkohol na specjalne okazje.

– Ta szafka jest zamknięta, McGill.

Rozległ się trzask.

– Gotowe – powiedziałem, po czym nalałem nam po szklaneczce sherry. Smakowało tak, jakby stało w szafce od bardzo dawna, ale miałem to gdzieś. Jennie też to chyba nie przeszkadzało. Wypiliśmy po kilka szklanek i gdy barka dotarła do „Legata”, było nam już całkiem wesoło. Kiedy dokowaliśmy, centurion Mills opierała się o mnie i chichotała. Bolały mnie popękane żebra, ale nie dałem nic po sobie poznać. Jęki bólu zrujnowałyby atmosferę.

Nagle otworzyły się drzwi do kabiny. Jennie wyprostowała się gwałtownie, a ja skrzywiłem się z bólu.

Do pomieszczenia wszedł primus Winslade.

– Hej, Winslade, dołączysz? – zaproponowałem. – Świętujemy sobie.

– Co to ma znaczyć? Znowu pijesz na służbie, McGill? – zapytał Winslade.

– Nic z tych rzeczy. Nie jestem na służbie. Pójdę na niebieski pokład, żeby mnie opatrzyli, a potem należy mi się trochę relaksu i wypoczynku.

Winslade zarechotał złośliwie.

– Chyba śnisz, McGill. Mamy kłopoty. Nie widziałeś komunikatów?

– Czytałem wszystkie co do słowa.

– Oczywiście, że nawet nie zajrzałeś do skrzynki. Włącz z powrotem stuka i skup się. Mamy towarzystwo. Do układu przyleciał wielki admirał Sateekas z całą grupą zadaniową. Chce zaatakować ten wielki kulisty okręt.

– Naprawdę? To rzeczywiście poważna sprawa.

Zerwałem się z siedzenia i wybiegłem. Ku mojemu zaskoczeniu centurion Mills wydawała się trochę rozczarowana.

Oto cały Winslade, facet z wrodzonym talentem do psucia ludziom planów łózkowych. Był jak zimny deszcz podczas pikniku.

Rozdział 40

Winslade nie kłamał, Sateekas naprawdę przyleciał do układu Pegazów. Dowodził niezbyt imponującym zgrupowaniem. W porównaniu z potężną Flotą Bojową 921, w przeszłości strzegącą naszej prowincji, ta zbieranina przestarzałych krążowników była niemal żenująca, jednak lepsze to niż nic.

– Tu jesteś, McGill – odezwał się Graves, gdy przyszedłem na złoty pokład. – Jak zwykle zniknąłeś z radaru w chwili, gdy najbardziej cię potrzebujemy.

– Bardzo mi miło, że jestem potrzebny, sir – odpowiedziałem. – W czym problem?

Graves wskazał na centrum dowodzenia. Przełożeni zwykle nie wpuszczali mnie do tego pomieszczenia, ale dziś zrobili wyjątek. Podążyłem za primusem. W środku zastałem wszystkich najwyżej postawionych. W spotkaniu uczestniczyli trybuni Armel i Turov, a nawet pretor Drusus, choć akurat on tylko za pośrednictwem hologramu.

– Ach, wreszcie zjawił się McGill – powiedział Drusus. – Chwileczkę, czy ty jesteś ranny? Możesz chodzić i trzeźwo myśleć?

– Trzeźwiuteńko, sir – odparłem z przekonaniem, próbując się nie chwiać. Na szczęście sherry złagodziło ból głowy i pękniętych żeber.

– Doskonale. W takim razie skontaktujemy się z Sateekasem.

Turov spojrzała na mnie sceptycznie.

– Hm, może lepiej byłoby poczekać, aż McGilla przebadają jakiś bios. Albo chociaż najpierw wyjaśnijmy mu sytuację.

– Nie ma takiej potrzeby. Połączcie nas.

Holograficzny ekran między nami rozświetlił się i ukazał ohydny poczwarek. Był to oczywiście wielki admirał Sateekas. Ściśle rzecz biorąc, jego prawdziwy tytuł brzmiał „gubernator prowincji” albo „nadinspektor”. Wiedzieliśmy o tym wszyscy, ale nie wazyliśmy się wypowiedzieć tych słów. Przeniesienie na stanowisko cywilnego urzędnika stanowiło dla byłego dowódcy floty upokorzenie i nie chciał, aby mu o tym przypominano.

– Wielki admirale! – wykrzyknąłem. – Wspaniale pana widzieć, wasza wysokość!

Sateekas, do tej pory zwrócony tyłem do mnie, odwrócił swoje masywne cielsko i ukazał się od przodu. Z tej strony wcale nie był przyjemniejszy dla oka. Skrzywiłem się. Tak jak wszyscy Mogwa, przypominał pająka o pękatym tułowiu, wąskiej głowie i sześciu odnóżach zakończonych czymś, co mogło pełnić rolę stóp albo dłoni, w zależności od potrzeb. Jednak nie to było najbardziej szokujące. Chodziło o wiek. Sateekas był naprawdę stary. Moim zdaniem ludzie też brzydko się starzeli, ale Mogwa pod tym względem bili nas na głowę. Gubernator miał obwisłe podgardle, białe plamy na skórze tułowia – która normalnie powinna być czarna i lśniąca – oraz kilkanaście innych ohydnych oznak starości.

– Czy to...? – zaczął, przyglądając mi się. – Tak! To istota zwana McGill! Dawno cię nie widziałem. Jesteś moim ulubionym niewolnikiem i bez wątpienia tęskniłeś za mną.

– Oczywiście, admirale. Cała ludzkość niecierpliwie czekała na twój powrót. Pod pańską nieobecność robiliśmy, co w naszej mocy, żeby narzucać wolę Galaktyków mieszkańcom pogranicza.

Sateekas poruszył odnóżami.

– Wygląda na to, że w tym przypadku zawiedliście Imperium. Trzeba pozbyć się tych intruzów.

– Yy...

Spojrzałem na Turov i Armela. Mieli takie miny, jakby nagle zrobiło im się słabo. Dotarło do mnie, że może niepotrzebnie odzywałem się niepytany, lecz było już za późno. Gubernator gapił się prosto na mnie i oczekiwał, że odpowiem coś sensownego.

– To dlatego przyleciał pan ze swoją nową flotą bojową, wielki admirale? Żeby przegnać stąd tych obcych?

Sateekas znów poruszył odnóżami i zmierzył mnie wzrokiem.

– Trudno nazwać to flotą bojową. Okrętów jest zaledwie dwanaście, a nie tysiąc dwieście. Z drugiej strony, przynajmniej to nowe konstrukcje, nie zardzewiały beczki, ale i tak...

– A gdybyśmy połączyli siły? – zaproponowałem.

– McGill! – syknęła Turov. – Zamknij się!

Sateekas wyprostował się i nadął dumnie.

– Imperium potrafi bronić swoich granic bez pomocy amatorów. Sami pozbedziemy się intruzów!

Wszyscy zrobili zdumione miny – zarówno ludzie, jak i oficerowie Mogwa za jego plecami, a nawet widoczni w tle Nairbowie. Kręcili się po mostku i udawali, że wcale nie przysłuchują się rozmowie, ale gdy Sateekas zapowiedział udział w bitwie, odwrócili się i wlepili w niego wzrok.

– I to mi się podoba! – wykrzyknąłem.

– Jakie środki wykorzystaliście przeciwko nim we wcześniejszych bitwach? – zapytał Mogwa.

Turov zaczęła wykonywać gorączkowe gesty, próbując mi coś przekazać. Nie rozumiałem, o co chodzi, więc tylko pomachałem do niej przyjaźnie.

– Widzi pan, wszystko zaczęło się od...

Opowiedziałem mu wszystko – o ataku z użyciem T-bomb, o misji skoczków teleportacyjnych i tak dalej. Niczego nie zataiłem.

Moim zdaniem tak naprawdę to wina Turov. To ona uparła się, żebym przyszedł na złoty pokład bez zatrzymywania się u biosów. A trzeba przyznać, że chyba jeszcze nie do końca doszedłem do siebie po wstrząśnieniu mózgu.

Sateekas słuchał uważnie, a pozostali wierzili się nerwowo.

– Hmm, mam pewne podejrzenie – powiedział wreszcie. – Bardzo nieprzyjemne. Od początku zakładałem, że ten okręt powstał na obrzeżach. Że stworzyły go te przebrzydłe niedźwiedzie z Rigela.

– My doszliśmy do tego samego wniosku, wielki admirale.

– Jednak teraz zaczynam mieć wątpliwości. Technologia, którą opisałeś, jest dość zaawansowana. O ile wiem, żaden gatunek z peryferii nie potrafiłby zbudować takiego okrętu. Kadłub o rozmiarach planetoidy stworzony ze skompresowanej materii? To naprawdę niespotykane poza Układami Centralnymi. Gdyby na obrzeżach Galaktyki powstało takie zagrożenie, wiedzielibyśmy o tym.

– Ale i tak skopiecie im tyłki, prawda? – zapytałem.

– Wielki admirale! – wtrąciła się Turov, nie mogąc tego dłużej znieść. – Niech pan nie słucha McGilla. Jest ranny i pod wpływem... leków. Naszym zdaniem pańska flota nie wystarczy, żeby pokonać tego intruza.

Sateekas popatrzył na mnie, a potem na nią.

– Czasem ktoś musi się poświęcić dla dobra Imperium. Dzisiaj tym kimś jestem ja. Wyślę wiadomość na Trantor, a później przekażę wam do przechowania kopię jako dodatkowe zabezpieczenie. Życzcie nam szczęścia, niewolnicy.

– Powodzenia, wielki admirał – powiedziała zrezygnowana Turov.

– Niech im pan spuści łomot! – zawołałem na pożegnanie.

Sateekas rozłączył się, a wtedy Turov podeszła do mnie szybko. Zwykle nie umiem poznać, w jakim nastroju jest kobieta, ale pewną podpowiedź stanowiły zaciśnięte pięści oparte o biodra, czerwona twarz i ściągnięte rysy.

– Nie krzyw się tak, Galino, bo jeszcze ci zostanie i co wtedy? – odezwałem się.

– Ty dupku! – krzyknęła. – Nie mogłeś trzymać języka za zębami?!

Odwróciła się do Drususa, Gravesa i Armela.

– A wy trzej też byliście bardzo pomocni! Staliście jak kołki, gdy McGill w przyływie głupoty namawiał Sateekasa do samobójczego ataku!

Graves odezwał się jako pierwszy:

– Uznałem, że nie jestem odpowiednią osobą, żeby mieszać się w takie sprawy.

– Tak samo jak McGill, ale jemu to nie przeszkadzało – odwarknęła Turov.

– Galino... – zaczął cicho hologram Drususa – zostaliśmy postawieni w trudnym położeniu. Polityka Ziemi nakazuje, aby to osoby niższe stopniem rozmawiały z Mogwa.

– Tak, tak, wiem – odpowiedziała z odrazą. – Dzięki temu możecie się wszystkiego wyprzeć. W razie kłopotów skażecie McGilla na śmierć i nazwiecie go zbuntowanym oficerem. A gdyby to pan rozmawiał z Sateekasem i go niechcący obraził, on obwiniłby o to cały gatunek. Znam teorię. Ale tym razem stawka była zbyt wysoka.

– A to niby czemu? – zapytał łagodnie Armel. – Proszę wybaczyć, ale podobna histeria nie przystoi trybunowi. Co z tego, że on zginie? Prędzej czy później przyślą nam nowego gubernatora. Ziemia na tym nie ucierpi.

Galina podeszła do niego i potrząsnęła mu palcem tuż przed twarzą.

– Nieprawda, Armel. Zaczniemy od tego, że milczałeś, bo przede wszystkim dbałeś o siebie. Jak to szło? „Niemowa nigdy nie idzie na permy jako pierwszy”?

– Chyba jakoś tak – mruknął.

– Chodzi o to, że Sateekas jest w trakcie rekonstruowania Floty Bojowej 921. Gorąco pragnie znów zostać admirałem. Admirałem floty, która będzie nas chronić. Udało mu się wyżebrać kilkanaście nowiutkich jednostek, ale jakie są szanse, że dostanie więcej funduszy, jeśli zginie i znowu straci wszystkie okręty?

Armel przekrzywił głowę i z szyderczą miną wzruszył ramionami.

– Przyznaję, że z takiego dołka trudno byłoby się wygrzebać.

– No właśnie.

W czasie gdy Galina ochrzaniała pozostałych wysoko postawionych oficerów, ja poczułem się trochę dziwnie. Znalazłem sobie fotel i opadłem na niego ciężko. Dopiero po dłuższej chwili ktoś wezwał biosa, żeby mnie przebadał, ale do tej pory straciłem już przytomność.

Rozdział 41

– Chyba sobie jaja robicie – wychrypiałem, gdy nieokreślony czas później obudziły mnie jaskrawe światła i dziwne odgłosy.

Zutylizowali mnie i wskrzesili ponownie. Znałem to uczucie od podszewki, więc nie miałem żadnych wątpliwości. Jęknąłem, cały obolały, i wstałem ze stołu. Próbowałem się ubrać, ale najpierw zagonili mnie pod prysznic. To był dobry pomysł, bo gdy się umyłem, przejaśniło mi się w głowie i teraz już bez problemu włożyłem mundur.

Mimo lepszego samopoczucia byłem wkurzony. Przecież biosi mogli mnie wyleczyć.

– Hej, czemu mnie zabiliście? – zapytałem specjalistkę, która nadzorowała moje wskrzeszenie. – Nie dało rady załatwić sprawy skórą w sprayu i lekiem na zrastanie kości?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie by się dało, ale trybun wyraźnie poprosiła o świeży odrost. Powiedziała, że przy waszym następnym spotkaniu ma działać każda komórka w pańskim mózgu.

– Tak podejrzewałem. Zrobiła mi na złość, żeby się zemścić. Szlag.

Wyszedłem stamtąd w podłym nastroju. Uniosłem stuka i spróbowałem skontaktować się z Galiną. Ku mojemu zaskoczeniu udało się za pierwszym razem.

– Hej, czy ty...? – zacząłem.

– Wróciłeś do świata żywych, McGill? Dobrze. Natychmiast rusz tyłek na złoty pokład.

Rozłączyła się. Teraz byłem jeszcze bardziej zirytowany. Westchnąłem i chwiejnym truchtem ruszyłem w stronę wind. Gdy tam dotarłem, poruszałem się już całkiem sprawnie.

Przypomniałem sobie, że w głosie Galiny pobrzmiwało przed chwilą coś jakby niepokój, albo nawet strach. Trudno było tego nie zauważyć. Odsunąłem więc na bok złość i postanowiłem odegrać rolę oddanego sprawie centuriona, wspierającego przełożoną.

Gdy dojechałem na złoty pokład, zatrzymało mnie paru strażników, ale pozwolili mi przejść bez problemu. Na mostku roіło się od oficerów. Wszyscy zadzierali głowy, spoglądając na wiszący pośrodku holograficzny obraz. Dzięki niesamowicie wysokiej rozdzielczości wyglądało to tak, jakby ktoś wziął okręty, zmniejszył je i zawiesił pod sufitem.

Centralnym obiektem tej „instalacji artystycznej” była aż nazbyt znajoma, szarawobiała kula, czyli jednostka najeźdźców. Tym razem nie zobaczyłem żadnych śladów uszkodzeń, jeśli nie liczyć paru przyczernionych miejsc. Nawet nie umiałbym powiedzieć, gdzie znajdują się wrota. Obcy całkowicie naprawili okręt. Przecież tym właśnie zajmowali się przez ten czas. Jednostka nawet się nie ruszyła, tylko po prostu dryfowała w przestrzeni i naprawiała się z pomocą zautomatyzowanych statków serwisowych zbudowanych przez Pegazy. W tym czasie zniszczyliśmy mnóstwo cyborgów na powierzchni planety, ale wielki sukinsyn nawet nie zareagował.

To takie dziwaczne. Znałem wiele rodzajów kosmitów, ale ci byli całkiem odmienni. Nie zachowywali się jak żywe stworzenia. Nie mieli odruchu, który kazałby im pomóc sojusznikom w niebezpieczeństwie. Wyglądało to tak, jakby okręt przejmował się wyłącznie sobą, a nie własnymi siłami naziemnymi.

Tymczasem Sateekas obrał wysoki wektor ataku. Właśnie wyłaniał się zza planety Pegazów i leciał pod ostrym kątem w stronę dziwnego okrętu. Z naszego punktu widzenia zdawał się sunąć nad gigantyczną kulą.

W tym momencie zauważyła mnie Turov. Bez problemu precyzyjnie się przez tłum, nie dzięki sile łokci, tylko stopnia.

– Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony – powiedziała. – Zaraz zobaczysz, jak Sateekas zginie w imię honoru.

– Honoru?

– Jasne, że tak. Nie mów, że nie wiesz, co zrobiłeś. Zawstydziłeś go. Zadeklarowałeś swoją gotowość, żeby umrzeć, i dodałeś, że zginąłeś już dwa razy, a potem zapytałeś, czy ma jaja zrobić to samo. Jest wystarczająco próżny, żeby nabrać się na takie brednie.

– Brednie...?

Nie odpowiedziała. Stała obok mnie, ale wzrok wbiła z powrotem w hologram.

Zwykle gdy jedna grupa okrętów atakuje drugą, nadlatuje szybko i uderza mocno – ale nie stary Sateekas. Chyba wiedział niejedno o tym, jak radzić sobie z w pełni zautomatyzowanymi jednostkami wroga. Zbliżał się powoli, utrzymując każdy okręt w dokładnie tej samej odległości od celu. Gdy przeciwnik wreszcie je zauważył i zareagował, dopiero wystrzelił. I ani chwili wcześniej.

– A jeśli oni chcieli zwabić go bliżej? – zastanowiłem się na głos.

Galina uszczypnęła mnie w ramię.

– Hej!

Rzuciła mi rozzłoszczone spojrzenie.

– Pomyśl o tym, gdy na twoich oczach zginą dobre załogi.

Z roztargnieniem rozmasowałem obolałe miejsce. Mama dokładnie tak samo szczypała tatę, gdy się na niego wkurzyła. Ta myśl napełniła mnie niepokojem. Czy naprawdę staliśmy się parą? Chwilami trudno było odpowiedzieć na to pytanie.

Tymczasem wywiązała się wymiana ognia na dystansie około sześćdziesięciu tysięcy kilometrów. Według kosmicznych standardów to całkiem blisko. Z odległości dwóch milionów kilometrów duży okręt nie byłby w stanie nawet zapalić zapaliki – ale sześćdziesiąt tysięcy? To praktycznie strzał z przyłożenia.

Kula nie otworzyła wrót, ale zaczęła się powoli obracać. Albo raczej obracała się bardzo szybko, tyle że była naprawdę ogromna. Sateekas nie czekał, aż wróg będzie gotowy do strzału. Natychmiast otworzył ogień ze wszystkiego, co miał.

Byłem pod wrażeniem. Liczne wiązki przecięły przestrzeń, żłobiąc długie wgłębienia w powierzchni obracającej się kuli. W tym samym momencie z każdego okrętu Mogwa wyleciała chmara pocisków. Wszystkie jednostki były ciężkimi krążownikami, więc i salwy były nie byle jakie.

Przez kilka długich chwil ta agresja pozostawała bez odpowiedzi. Wróg po prostu się odwracał, niczym olbrzym, który wreszcie zauważył rój brzęczących gzów.

A potem wystrzelił. Struga płynnego ognia bez ostrzeżenia trysnęła z kuli, trafiła jeden z krążowników i natychmiast spaliła go na żużel. Gwizdnąłem przeciągle.

– Jasna cholera! Co za strzał!

Galina uderzyła mnie pięścią w ramię, ale prawie tego nie poczułem.

Tymczasem gigantyczny okręt przestał się obracać. Po oddaniu potężnego ciosu najwidoczniej szykował się do następnego. A jednostki Mogwa zaczęły... tańczyć. Tak to wyglądało. Nie widziałem nic podobnego od czasów kampanii na Świecie Buntowników.

– Hej! – wykrzyknąłem. – Wiem, co robią! Używają teleportacji, żeby szybko przeskakiwać z miejsca na miejsce, tak jak okręt pobratymców Floramel.

Gigantyczna kula oddała drugi strzał – i chybiła. Przeskoki co kilka sekund skutecznie utrudniały celowanie. Na mostku rozległy się ciche okrzyki radości.

– Widzisz? – zapytałem Galinę. – Mają dobre załogi i nowoczesne okręty prosto ze stoczni w Układach Centralnych.

– Ale ich przeciwnik też nie lata prymitywnym rzęchem – odpowiedziała.

Zmarszczyłem brwi. Ona coś wiedziała. Znała szczegóły, których nie powinna znać. To mnie trochę zaniepokoiło. Swego czasu Galina lubowała się w intrygach.

Bitwa toczyła się dalej. Gigantyczny okręt oddał jeszcze kilka strzałów, mniej więcej co minutę, a jednostki Mogwa wykonywały uniki i trafiały go swoimi palącymi wiązkami. Nie wyrządzały mu wielkiej krzywdy, ale przynajmniej same nie ulegały zniszczeniu. Do czasu.

– O cholera – mruknął pod nosem Graves.

Wszyscy aż sapnęli z wrażenia, gdy drugi krążownik omiotła potężna struga ognia. Nie oberwał w sam środek kadłuba, ale nawet muśnięcie wystarczyło, żeby zaczął wirować.

– Z krążownika zaczęło uciekać powietrze – zauważył Graves. – Już po nim.

– Jak to możliwe, że tak szybko rozpracowali algorytm? – zapytał Winslade. – Skoki wydają się zupełnie przypadkowe.

– Ale nie są – odpowiedziała sztywno Galina. – Nie do końca. Wylosowane przez komputer liczby zawsze są przewidywalne, jeśli zrozumie się działanie programu.

– Tak szybko? – zapytał Winslade. – Jak mogli...?

Galina wzruszyła ramionami.

– Wróg to nie zwyczajna sztuczna inteligencja. Ona jest bardzo zaawansowana.

Gdy to powiedziała, Graves popatrzył na nią przez kilka sekund, nieufnie mrużąc oczy. On też zaczął coś podejrzewać.

– Rakiety Mogwa dotarły do kadłuba! – zameldował ktoś.

Zdziwiłem się, bo minęło już trochę czasu od ich wystrzelenia, ale zaraz przypomniałem sobie, że rakietka jest przecież dużo wolniejsza od wiązki światła.

Eksplodje głowic były imponujące.

– Antymateria? – zapytałem.

– Nie widzę innej opcji – odpowiedział cicho Winslade.

Wszyscy byliśmy pod ogromnym wrażeniem. Nie chodziło o sam typ głowic – bo my też takimi dysponowaliśmy – ale o ich niewyobrażalną moc. Wśród osłupiałych oficerów zapadła cisza, w której dał się słyszeć szept Gravesa:

– Gigatony. Mnóstwo gigaton.

Jaskrawe rozbłyski pokryły całą półkulę okrętu o rozmiarach księżyca, a siła eksplozji, choć trudno w to uwierzyć, dosłownie odepchnęła giganta od atakujących go jednostek. Ilość uwolnionej energii przechodziła ludzkie pojęcie.

– Jesteśmy daleko w tyle – odezwał się Drusus głuchym głosem. W formie hologramu na tyłach pomieszczenia wyglądał jak duch. I tak samo brzmiał. – Nic w naszej flocie nie wytrzymałoby pięciu minut w starciu z którąkolwiek ze stron.

Nikt nie zaprzeczył. Wszyscy jak zahipnotyzowani wbijali spojrzenia w centralny holowyświetlacz.

– Kiedy pojawili się w Układzie Słonecznym, mogli spalić nas wszystkich w dowolnej chwili – stwierdziłem. – Czemu tego nie zrobili?

– Bo nie po to przylecieli – wyjaśniła Turov.

Wyglądało na to, że gigantyczna opancerzona sfera wreszcie się zaniepokoiła. Potężna salwa rakiet przykuła jej pełną uwagę. Monstrualnych rozmiarów okręt zaczął się obracać – aby zwrócić ku Mogwa nieuszkodzoną półkulę – i jednocześnie oddalać. Nie wycofywał się, ale zamierzał zwiększyć dystans.

– Teraz zrobi się paskudnie – szepnęła Galina.

Mocno zacisnęła palce na moim przedramieniu. Nie spodziewałem się tego. W pierwszym odruchu chciałem zabrać rękę w obawie przed kolejnym uszczypnięciem, ale nie nastąpiło. Zdaje się, że Galina nagle poczuła potrzebę fizycznego kontaktu. Może zareagowała podświadomie. Znów nasza refleksja, że nasza relacja zawsze była cholernie dziwna.

Chwilę później jej czarnowidztwo się sprawdziło. Trzy okręty Mogwa eksplodowały jeden po drugim.

– T-bomby! – wykrzyknął Winslade. – Nie może być inaczej. Wteleportowali im głowice prosto w bebechy pomimo tarcz i uników. Imponujące.

Nagle wszystkie okręty Mogwa zniknęły.

– Dokąd odlecieli? – zapytałem. – Uciekli? Wybuchli?

– Nie... – odpowiedział Winslade i postukał w klawisze konsoli. – Najwyraźniej teleportowali się dalej, niż się spodziewałem. O, tutaj są. Nasze czujniki znów ich wykryły.

Jednostki pojawiły się na wyświetlaczu holograficznym. Otaczały nas z każdej strony.

Galina wydała z siebie skowyt. Nie umiem tego inaczej określić. Zabrzmiała jak mały piesek, któremu ktoś niechcący nadepnął na łapę. Zabrała rękę z mojego przedramienia, zostawiając na skórze półksiężycę wgniecen.

– Drusus! – zawołała. – Wynośmy się stąd! Wycofać się, prędkość maksymalna!

– Atakują nas? – zapytał Winslade.

– Nie, ale przeciwnik jest już w pełni zaangażowany w walkę, a my jesteśmy sojusznikami Mogwa, czyli ich wrogów. Za chwilę nas zniszczą!

Hologram Drususa odwrócił się w jej stronę.

– Pilot, wycofać się zgodnie z procedurami. Okrążymy planetę.

– Nie, to za mało – zaoponowała Galina. – Trzeba natychmiast wejść w nadświetlną!

Półprzezroczysta sylwetka pretora popatrzyła na nią.

– Czegoś mi pani nie mówi, trybunie. Czy zechciałaby pani wyjaśnić, skąd taka głęboka znajomość...

– Nie ma czasu! – wrzasnęła.

I wtedy mostek rozświetlił jaskrawy blask. Pochodził z kosmosu, tego byłem pewien. Docierał do nas przez okna, a może nawet przenikał przez kadłub.

Transportowiec Drususa zniknął z ekranu.

– „Aeternum” został zniszczony – wykrztusił zdumiony Winslade.

– Nie ma go. Przepadł razem z całym Legionem Solstice... i z Drususem. Zostało tylko promieniowanie i...

– Zamknij się! – krzyknęła Turov. – Jako najstarsza stopniem żyjąca oficer rozkazuję wam natychmiast wejść w nadświetlną!

Armel wydawał się równie osłupiały, co wszyscy dookoła. Wprawdzie on też był trybunem, ale miał krótszy staż, a w dodatku dowodził legionem wspomagającym. Pokiwał głową.

– Zgadzam się. Pilot, zabierajmy się stąd.

„Legat” wykonał ostry skręt i rozpoczął ucieczkę, kierując dziób w stronę otwartej przestrzeni i domu.

A parę sekund później – jeszcze zanim zdążyliśmy otoczyć się bąblem nadświetlnym – mostek znów rozświetlił rozbłysk. Oberwaliśmy? To była moja pierwsza myśl – że permanentnie odejdę z wielkim hukiem.

Rozdział 42

Na szczęście, choć oberwaliśmy porządną dawką promieniowania gamma, nadal żyliśmy.

– Sateekas – powiedział cicho Winslade. – Wybuchł jego okręt flagowy.

Wydawał się oszołomiony, co było dla niego nietypowe. Zwykle nie dbał o to, czy ktoś zginął, dopóki sam żył.

– Szybciej z tą nadświetłą! – rozkazała Turov.

Półtorej minuty później „Legat” wytworzył bąbel nadświetlny i znacznie przyspieszył. Po raz pierwszy od kilku dni poczuliśmy się w miarę bezpieczni.

Wszyscy oprócz mnie.

Turov zmrużyła oczy i popatrzyła na mnie przez szczeliny między powiekami. Podeszła gwałtownie i próbowała uderzyć mnie pięścią w twarz. Złapałem ją za rękę i to był błąd, bo za mocno ścisnąłem jej nadgarstek. Skrzywiła się z bólu i teraz naprawdę się wściekła. Sięgnęła po pistolet.

– No weź, daj spokój – powiedziałem. – Dziesięć minut temu opuściłem niebieski pokład.

– I już sobie zasłużyłeś, żeby tam wrócić!

– Trybunie, proszę mi wierzyć, że wiem, co pani czuje – wtrącił się Armel. – Decyzja należy do pani, ale osobiście nie jestem pewien, czy zabicie McGilla to w tym momencie najlepszy pomysł.

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby i jego chciała zastrzelić. Jednak po chwili namysłu warknęła ze złości, odwróciła się na pięcie i schowała pistolet do kabury, a potem wyszła na główny korytarz.

Armel podszedł do mnie. Pod jego cienkim wąsem pojawił się uśmiech.

– Chyba rozminąłeś się ze swoim powołaniem, McGill – powiedział. – Sprawdziłbyś się jako błazen na królewskim dworze. Głupiec żyjący na łasce tych, których wyśmiewa.

– Tak? – Przez chwilę obracałem w głowie jego słowa. Miałem silne poczucie, że mnie obraził, ale nie do końca rozumiałem, w jaki sposób. – W każdym razie dzięki, że się za mną wstawiłeś, Armel.

– To nic takiego. W tym momencie Turov jest wściekła. Zabicie cię w niczym by nie pomogło. A co gorsza, musiałyby znaleźć inną osobę, na której mogłaby się wyżywać.

– Och, czyli zainterweniowałeś, żeby mogła wkurzać się na mnie, a nie na ciebie?

– Tak, choć przyznam, że to było ryzykowne z mojej strony. Ale twoja śmierć naprawdę nic by nie dała. A teraz chodźmy na niebieski pokład.

– Hm, po co?

– Bo niedługo wskrzeszą naszego nowego przywódcę. Zapytaj swoich kontaktów. Wiem, że masz wtyki w każdym liczącym się miejscu.

Zmarszczyłem brwi. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale faktycznie miałem sporo znajomych na pokładzie biosów. Głównie kobiet, które regularnie podrywałem. Z kilkoma nawet się spotykałem.

Wysłałem kilkanaście wiadomości i po chwili odpowiedziała mi uwielbiająca plotki bioska. Często rozpowiadała o nadchodzących wskrzeszeniach, jeśli był to ktoś ważny.

– Kosmita? – przeczytałem na głos.

Armel rzucił mi przez ramię porozumiewawczy uśmiešek. On też musiał mieć swoich ludzi na niebieskim pokładzie – ludzi, których zastraszył albo przekupił. O ile wiedziałem, facet nie miał przyjaciół.

– Myślałem, że chodzi o Drususa – powiedziałem. – Powinien być na szczycie kolejki po wybuchu „Aeternum”.

Armel cmoknął z dezaprobatą i pokręcił głową z taką miną, jakby spotkał wyjątkowo tępego kretyna. Ludzie często mnie tak traktowali.

– Co za brak wyobraźni – powiedział. – Po pierwsze, to powinno być oczywiste, że Drusus nie zostanie wskrzeszony natychmiast. Turov nieźle się wściekła ostatnimi wydarzeniami i dopiero przed chwilą dostała dowodzenie. Chyba rozumiesz, że nie spieszy jej się do oddania władzy.

– Yy, no dobra. Ale jeśli nie Drusus, to kto? Mówiłeś o „naszym nowym przywódcy”. Myślałeś, że o tym zapomnę?

– Oczywiście, że nie. Posłużmy się logiką, w porządku?
– Logiką?
– Tak. Spróbuj, McGill. Postaraj się. Rozbaw mnie albo zadziw.
– Yy, no dobra... Są na Ziemi inni oficerowie, którzy mogliby zostać „nowym przywódcą”. Różni imperatorzy i ekwici. Ale oni nie przyszliby z niebieskiego pokładu, tylko z szarego. Za pośrednictwem bramy.

Armel znowu cmoknął irytująco.

– Porażka. W dodatku nawet niezbyt zabawna. Rozczarowałeś mnie, McGill. Szkoda, że gra skończona, bo już jesteśmy przy wejściu.

Gdy spojrzałem na drzwi prowadzące do królestwa biosów i na ponurych strażników przed wejściem, nagle mnie olśniło. Stałem jak wryty.

– Chyba nie chodzi o... Sateekasa, prawda?

Armel odwrócił się do mnie z uśmiechem od ucha do ucha.

– No proszę, jednak pokazałeś, że nie jesteś skończonym idiotą!

– Ten plik, który wysłał. To był jego skan ciała i engram mentalny, prawda? Ale czy w ogóle jesteśmy w stanie wskrzesić Mogwa? Myślałem, że maszyny mają przygotowane surowce do tworzenia ludzkich tkanek.

Na znak Armela strażnicy rozstąpili się i przepuścili nas. Wiedzieli, że z trybunem lepiej nie zadzierać.

– Gdy sytuacja jest poważna, takie problemiki nie stanowią większej przeszkody – powiedział. – A ostatnie wydarzenia chyba dobitnie pokazały, że mamy nóż na gardle, prawda?

Nie wiedziałem, w co pogrywa Armel, ale zaczynałem być podejrzliwy. Należał do podstępnych oficerów, którym nie wolno ufać. Galina była pod tym względem podobna, ale zawsze miała wzniosłe cele. A motywacje Armela zwykle zaliczały się do... osobistych.

Dyskretnie wyciszyłem stuka, zwiększyłem czułość mikrofonu i wcisnąłem przycisk nagrywania.

– Wyjaśnijmy coś sobie szczerze, ty stary spryciarzu! – powiedziałem głośno.

Zatrzymał się na środku korytarza i popatrzył na mnie z lekką konsternacją. Ja też przystanąłem i wyszczerzyłem zęby w szerokim

uśmiechu.

– Ty to wszystko ukartowałeś, prawda? – zapytałem.

– To niedorzeczne.

– Oj, daj spokój. Po prostu się wstydzisz. Niepotrzebnie, bo jestem pod wrażeniem! Przyprowadziłeś mnie tutaj, żebym był świadkiem twoich mistrzowskich posunięć, zgadłem?

Armel rozluźnił się nieco, mile połechtany. Był łasy na pochwały.

– No cóż, tak. A teraz chodź, musimy się spieszyć. Sateekas zaraz zostanie wskrzeszony.

– Chwilkę. – Ze śmiechem dotknąłem jego ramienia.

Spojrzał na moją dłoń ze skrajną dezaprobatą. Błyskawicznie zabrałem rękę, ale nie przestałem się uśmiechać.

– Czemu to zrobiłeś? – szepnąłem.

Uniosłem ręce w błagalnym geście – choć tak naprawdę chodziło o to, żeby trzymać stuka wysoko i żeby nagrało się każde jego słowo.

– A co, nie chciałbyś znowu zobaczyć naszego władcy żywego? – zapytał Armel. – To nasz gubernator i chyba twój przyjaciel, McGill.

Usłyszałem już dość. Zakończyłem nagrywanie i ukradkiem wysłałem plik prosto do Galiny. Niestety, Armel był spostrzegawczy i miał bystry umysł. Zauważył mój ruch i natychmiast skojarzył, co to oznacza.

– Co jest? Wysłałeś moje zeznanie Turov?

– Jasne. Ona już tu idzie.

– Zdrajca! – syknął wściekle jak nadepnięty wąż. – Niepotrzebnie cię ze sobą wziąłem.

– Chyba faktycznie.

Niespodziewanie rysy Armela złagodniały, a po krótkiej chwili znów się uśmiechał. Zrozumiałem, że jego gniew był udawany.

– Yy, co się dzieje? – zapytałem.

– Bardzo mi pomogłeś – zapewnił. – Myślałem, że zrozumiesz dopiero wtedy, gdy zobaczysz pająkowate odnóża wychodzące z maszyny wskrzeszającej. Ale nie, podążyłeś za wskazówkami i doszedłeś do wniosku, do którego miałeś dojść.

– Co jest, do cholery? Chcesz mi wmówić, że chciałeś, żebym na ciebie naskarżył? Czemu?

– Bo wiedziałem, że jeśli poproszę Turov, żeby tu ze mną przyszła, będzie coś podejrzewała i się zawaha. Ale nie robi tego, gdy ty

służysz jej jako szpieg. Ona ci ufa z jakiegoś dziwnego powodu.

Otworzyłem usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale nie zdążyłem.
Armel ukrywał we wnętrzu dłoni pistolet igłowy.

Zastrzelił mnie bez ostrzeżenia.

Rozdział 43

Wierzę, że w życiu każdego człowieka przychodzi taki moment, kiedy zwyczajnie ma dość. Gdy jakiś czas później obudziłem się z jękiem, poczułem, że ta chwila nadeszła.

Pomogło moje obeznanie z procesem wskrzeszenia. Nadal byłem ślepy, ale słyszałem, jak rozmawiają. Ruchy miałem powolne i nieskoordynowane, za to doskonale znałem otoczenie.

Dzięki niezliczonym powrotom do życia kojarzyłem układ typowej sali wskrzeszeń. Wiedziałem na przykład, że pod stołem znajduje się szuflada ze stali nierdzewnej pełna ciekawych rzeczy. Jedną z nich jest skalpel. Inną ostre jak brzytwa nożyce chirurgiczne. Tych narzędzi używano do wielu celów, choć najczęściej do przecięcia pępowiny łączącej świeży odrost z łonem maszyny.

Moje niezdarne palce odkryły, że szuflada jest lekko uchylona. Domyśliłem się, że biosi już przecięli pępowinę. Wsunąłem dłoń do środka i znalazłem nożyce. Jeszcze nie odzyskałem siły w rękach, ale w tym momencie nie potrzebowałem siły, tylko elementu zaskoczenia.

– Jaki mamy wynik? – zapytała bioska.

– To bez znaczenia – stwierdził z francuskim akcentem znajomy męski głos. – Ten człowiek stanie przed sądem, zostanie uznany za winnego i stracony.

– Przykro mi, sir – odpowiedziała chłodno kobieta. – Niezależnie od pańskich planów musimy po każdych narodzinach wpisać do systemu wynik w skali Apgar.

Francuz westchnął.

– W porządku, dopełnijcie wszystkich formalności.

Armel. Ten głos na pewno należał do niego. Nie rozpoznałem go w pierwszej chwili tylko dlatego, że wciąż byłem trochę zamroczony.

Nagle zaświecili mi w oczy ostrym światłem. Zaboląło.

– Mocne dziewięć. Może nawet dziewięć i pół. Świetny odrost.

Armel cmoknął.

– W takim razie szkoda. Odwaliliście na darmo kawał dobrej roboty.

Chciałem, żeby podszedł bliżej, więc wsunąłem nożyce pod pośladek, a potem znów sięgnąłem do szuflady. Specjalnie poruszyłem nią tak, żeby rozległ się brzęk metalu.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Armel.

Trzy szybkie kroki. Przemierzył pomieszczenie i pochylił się nade mną. Poczulem bijące od niego ciepło na swojej nagiej, lepkiej skórze.

– Sir, czy mogę prosić...

– Nie, nie może pani! On próbował się uzbroić. Co za niekompetencja! Powinienem być panią...

Nigdy nie dowiedziałem się, jakiego zaniedbania żałował Armel, bo nagle wydał śmieszny, zdławiony dźwięk.

– O Boże! – pisnęła bioska.

Potrącone przyrządy zabrzęczały o podłogę, a ona sama uciekła. Słyszałem jej kroki i wołanie o pomoc. Tymczasem ja otworzyłem oczy i usiadłem. Widziałem Armela jak przez mgłę. Klęczał obok stołu, a z jego szyi sterczały nożyce.

– O cholera! – powiedziałem z szerokim uśmiechem. – Bardzo przepraszam, ale nie wolno się tak zakradać do legionisty z Varusa. Zawsze powtarzam: bezpieczeństwo przede wszystkim.

Armel poruszył ręką w taki sposób, jakby próbował ostatkiem siły sięgnąć do kieszeni po ukrytą broń, więc kopnąłem go z całej siły w pierś. Padł na plecy i już się nie podniósł.

Wstałem i przeciągnąłem się, a potem wyjąłem jego rękę z kieszeni. I rzeczywiście, instynkt mnie nie mylił – we wnętrzu dłoni znalazłem pistolet igłowy.

Jakąś minutę później przybiegło ośmiu sanitariuszy. Otoczyli mnie i postawili pod ścianą, ale ponieważ byłem nieuzbrojony i nagi, dali mi chwilę, żebym się wytłumaczył. Wskazałem na pistolet igłowy i podkreśliłem fakt, że Armel niedawno zabił Galinę Turov.

– Przecież dopiero mnie wskrzesili – powiedziałem. – Chyba nie myślicie, że urodziłem się z pistoletem igłowym w dupie?

Zawahali się. Chyba dobrze odgadłem, że Galina zginęła. Zażądałem, żeby sprowadzili Gravesa, bo on na pewno wyjaśni sprawę. Po chwili zgodzili się.

Nawet po przyjsciu Gravesa miałem na nich oko. Biosi bywają podstępni, a przecież nadal nie wiedziałem, kto jest zamieszany w tę konspirację.

– McGill? – odezwał się zmęczonym głosem Graves. – Czemu oderwano mnie od stanowiska, a kiedy przyszedłem, ty znowu stoisz nad trupem starszego stopniem oficera?

– Primusie, to jest łotr! Zabił Turov i próbował mnie znowu zabić, gdy tylko wróciłem do żywych.

Tyle wystarczyło, żeby Graves rozpoczął śledztwo. Zawsze działał zgodnie z zasadami. Oczywiście nie odzyskałem wolności na czas dochodzenia. Zostawili mnie na niebieskim pokładzie w jednej z tych szpitalnych tunik, które są okropnie przewiewne na tyłku.

Gdy Graves wreszcie wrócił, zastał mnie zamkniętego w izolatce dla pacjentów psychiatrycznych. Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby jego zdaniem właśnie tu było moje miejsce.

– I jak, primusie? Miałem rację, prawda?

– Miałeś. Wygląda na to, że gdy tylko „Aeternum” uległ zniszczeniu, Armel postanowił się zbuntować. Nie wiem dlaczego. Od kilkudziesięciu lat jest utalentowanym oficerem.

– Może warto go wskrzesić i wydusić z niego zeznanie.

– Chętnie zrobiłbym to samo z tobą, ale wiem, że to nie zadziała – odparł chłodno. – No chodź!

Wyszedłem za nim z izolatki. Obejrzał się przez ramię i rzucił:

– Ale najpierw się ubierz.

Ochoczo ubrałem się w mundur galowy. Włożyłem nawet beret. Ale pistoletu nie dostałem, bo Graves jeszcze nie rozgryzł tej intrygi i wolał nie ryzykować. Z jakiegoś powodu mi nie ufał. Taki jest problem, gdy człowiek wyrobi sobie określoną reputację. Kontakty z niewłaściwymi ludźmi sprawiają, że inni biorą go za przestępcę. To bardzo nieuczciwe.

Gdy szedłem za Gravesem, zauważyłem, że w pewnym momencie zaczęło podążać za nami czterech żołnierzy.

– Pański brak zaufania do podwładnych jest czymś okropnym, sir – poskarżyłem się.

– Jeszcze cię nie zabiłem, prawda? Więc przestań jęczeć.

Graves nie należał do życzliwych osób. Zwykle był uczciwy, ale nigdy życzliwy. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

Poszliśmy na złoty pokład, gdzie miałem rzadką okazję wziąć udział w rozprawie, na której nie byłem oskarżonym. Tym razem był nim Armel. Siedział zakuty w łańcuchy, prawie całkiem unieruchomiony. Brakowało tylko tego, żeby przybili go gwoździami do krzesła. Zauważyłem nawet opuchliznę w kilku miejscach na jego twarzy. Wiem, że to nieuprzejmie napawać się cudzym cierpieniem, ale nie mogłem się powstrzymać. Z uśmiechem dotknąłem beretu, gdy nawiązaliśmy kontakt wzrokowy.

Zauważyłem, że w sali brakuje Galiny. Deech i Drususa też nie było. To dziwne, bo przecież Armel był starszy stopniem od Gravesa. Stary primus musiał naprawdę wszędzie węszyć spisek, skoro prowadził proces w pojedynkę.

– McGill, wysłuchajmy twojego zeznania – powiedział.

– To jakaś kpina – odezwał się Armel, zanim zdążyłem otworzyć usta. – Na głównego świadka bierzesz człowieka, który mnie nienawidzi? I co to udowodni?

Zignorowałem go i zacząłem mówić. Gadałem przez dłuższy czas. Ze szczegółami opowiadałem, co widziałem i kiedy. Na szczęście moje słowa potwierdzały nagrania z kamer oraz inne dowody. Graves zgromadził ich całkiem sporo.

– Nie podejrzewałem, że kiedyś wkroczymy na tę ścieżkę, Graves – powiedział Armel, gdy wreszcie skończyłem. – Miej choć tyle przyzwoitości, żeby przyznać, że postanowiłeś zdradzić Ziemię.

– Starczy tych bredni, trybunie – odparł Graves. – Mamy dowody. To pan się zbuntował. Kiedy Drusus spojrzy na te dane, przyzna mi rację.

– Ale do tego czasu będę już martwy, prawda? – zaśmiał się Armel, a wtedy spomiędzy jego warg wyleciało parę kropel krwi.

– To zależy jedynie od pańskiego...

– Zeznania? Tego oczekujesz? W porządku. Tak, sprzeciwiłem się dowódcom tej skazanej na niepowodzenie ekspedycji. Powiem to bez strachu przed konsekwencjami, bo wszyscy i tak jesteście martwi. Po prostu jeszcze o tym nie wiecie.

Graves zmierzył go spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– A to dlaczego?

– Bo tamten okręt nie pozwoli nikomu odlecieć. Nikomu. Nie rozumiecie, czym jest? Jaką posiada moc?

– Proszę mnie oświecić.

– Dobrze. Ta kula to okręt Galaktyków. Jednostka należąca do innego gatunku z Układów Centralnych. Zbudowali go najwięksi wrogowie Mogwa, którzy prędzej czy później przejmą naszą prowincję. Już teraz pokonali ich mizerną namiastką floty bojowej. Proponuję, abyśmy wszyscy zadali sobie pytanie, co nam się bardziej opłaca. Wciąż będziemy częścią Imperium i nadal będziemy służyli Galaktykom, tyle że innej frakcji.

Kiedy skończył, długo nie mogłem zebrać szczęki z podłogi.

– Czy to prawda? – zapytałem Gravesa. – Zostaniemy zaanektowani?

Graves przeszył Armela spojrzeniem zmrużonych oczu. Zawsze tak patrzył na ludzi, których nie lubił.

– Możliwe – odpowiedział po chwili.

W tym momencie odezwał się Winslade, który do tej pory siedział z tyłu i nic nie mówił.

– Panowie, myślę, że Armel prawdopodobnie ma rację. Oglądaliśmy nagranie bitwy i słyszeliśmy tajemnicze słowa Sateekasa. Wiemy, że to nie jest normalny okręt i że co najmniej dwa gatunki Galaktyków są rządzone przez sztuczną inteligencję.

– Ale skoro wróg jest tak potężny, jak to możliwe, że przegoniliśmy tę gigantyczną kulę z Układu Słonecznego? – zapytałem.

– Zaskoczyliśmy ich – odpowiedział Armel. – Naturalnym odruchem wielu istot byłoby zniszczenie całej planety, ale nasi nowi władcy wykazali się opanowaniem. Dostrzegli w nas gatunek wojowników, który po aneksji mógłby okazać się przydatny. Z tego powodu wycofali się, aby dokonać napraw i spróbować ponownie. To roboty, wyjątkowo metodyczne i cierpliwe. Ostatecznie będą nami rządzić, choćby miało to potrwać sto lat.

– Czy Mogwa oddadzą prowincję bez walki? – zapytałem.

Armel lekceważąco machnął ręką. Zadzwończyła łańcuchy.

– Oczywiście, że nie. Ale już wszyscy widzieliśmy, jak to się skończy. Totalną katastrofą. Wysłali do bitwy wszystko, czym dysponowali w tej prowincji... i padli jak muchy. Mało prawdopodobne, że zechcą wysłać i potencjalnie stracić więcej jednostek, aby bronić tak odległego i mało wartego obszaru.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przerażony.

– Sprawą musi zająć się ktoś wyżej postawiony – powiedział Graves. – Osoba, która na pewno rzuci nieco światła na tę sytuację.

Armel znów się roześmiał.

– Drusus? To genialny strateg, ale jest słaby. On nigdy...

– Nie miałem na myśli Drususa – odparł Graves. – A teraz powiedz, Armel, czemu to zrobiłeś? Czemu zignorowałeś łańcuch dowodzenia?

Armel wskazał na mnie ze złością.

– Śmiesz mnie oskarżać, gdy u twojego boku siedzi seryjny buntownik?

– McGill jest nieposłuszny, ale nigdy nie próbował nikogo obalić. Zabił cię, bo to ty się zbuntowałeś.

Armel cierpliwie pokręcił głową jak nauczyciel przemawiający do tępego ucznia.

– Nic nie rozumiesz. Mogwa podbili nas sto lat temu. Wkrótce znów zostaniemy podbici, tym razem przez ich wrogów. Ja się nie buntuję. Ja po prostu jestem przewidujący.

Graves prychnął z pogardą.

– Raczej rozgoryczony. Kiedyś dowodziłeś Germaniką, ale zabrali ci elitarny legion, w zamian dali zgraję pomiotów ze Świata Krwi, a na koniec zostawili cię na Świecie Burz, żebyś tam zgnił jako dowódca garnizonu. Urazili twoją dumę.

– A czemu miałbym nie być rozgoryczony? – zapytał Armel. – Decyzja Hegemonii była szaleństwem, ale to nie zmienia faktów, przed jakimi dzisiaj stajemy. Sam widziałeś, Graves, jak jeden za drugim wybuchają okręty Mogwa. Przejrzyj na oczy! Znowu nas podbito.

Graves zrobił zmartwioną minę, ale w tym momencie zapiszczał jego stuk. Przeczytał wiadomość, po czym spojrział na nas.

– Już tu jest. Otworzyć drzwi.

Drzwi rozsunęły się szeroko, a do pomieszczenia wszedł bardzo dziwny osobnik. Mogwa w sile wieku. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak nadinspektor Xlur, ale potem zobaczyłem oznaczenia. Kojarzyłem używane przez Mogwa insygnia i zwykle potrafiłem je rozpoznać.

– Wielki admirał Sateekas? – zapytałem z niedowierzaniem. – Ale... pan wygląda tak młodo!

Rzeczywiście. Mogwa, który podszedł do nas, w charakterystyczny sposób przebijając sześcioma odnóżami, nie był starcem. Zniknęły plamy przebarwień i pląty luźnej skóry. Ciało miał gładkie, czarne i błyszczące.

Sateekas wreszcie został wskrzeszony i postanowił znów się odmłodzić.

Rozdział 44

– Ach, przecież to mój ulubiony niewolnik – powiedział ciepło Sateekas. – Dobrze znów zobaczyć cię wyraźnie, istota zwana McGill. Ktoś taki jak ja umie zignorować zwierzęcy wygląd przedstawicieli twojego gatunku, dlatego dziś nawet nie mam ochoty zwymiotować na twój widok.

Taki „nie do końca komplement” był typowy dla Mogwa.

– Dziękuję za pańskie łaskawe słowa! – odpowiedziałem.

Armel przewrócił oczami i prychnął z obrzydzeniem.

– Żałosne. Może jeszcze wyliziesz mu genitalia, McGill?

Mogwa podszedł do niego.

– Ach, więc to jest ten zdrajca, zgadza się?

– Owszem – przytaknął Graves. – Przesłuchujemy go, ale bez większych sukcesów.

– Doprawdy? Może ja zdołam pomóc...

Sateekas okrążył Armela, spoglądając na niego surowo. Trybun po raz pierwszy, od kiedy go schwytaliśmy, wydawał się zaniepokojony.

– Obawiam się, że nie mam nic więcej do powiedzenia – rzucił. – Uważam, że wasza część Imperium chyli się ku upadkowi, Sateekas. Jedyne głupiec by tego nie zauważył. Ale to tylko moje zdanie.

– To zwierzę należy poskromić – rzucił Sateekas, po czym jeszcze raz okrążył Armela.

Trybun z obawą zmarszczył brwi. Zrozumiałem, że może właśnie wychodzi na jaw ciemniejsza strona Sateekasa. Jego rysy stały się drapieżne. Nie był już starym admirałem, który najlepsze dni miał za sobą. Dziś przemienił się w młodszą wersję siebie. Był bystry, opanowany i zdeterminowany, a nie – jak wcześniej – kapryśny i skłonny do bezcelowych wybuchów gniewu.

Gdy znajdował się za plecami więźnia, jego kończyna wystrzeliła gwałtownie i uderzyła człowieka w zgięcie kolan. Armel jęknął, ale zaraz zamilkł.

– Jestem zaintrygowany – oznajmił głośno Sateekas. – Przyjmujemy to wyzwanie. Wszystko z niego wyciągniemy.

– My? – zapytał Graves.

– Tak. Wysłałem rozkaz, aby wszystkie wasze maszyny wskrzeszające przestawiły się na rekonstrukcję Mogwa. Właśnie wracają do życia moi podwładni. Będziemy potrzebowali niewielkiej przestrzeni, nie więcej niż sto metrów kwadratowych. Czy da się to załatwić?

– Hm, myślę, że tak – odpowiedział mój przełożony.

– Graves! – wykrzyknął Armel. – Co ty gadasz, człowieku? Zabijcie mnie szybko, bo jestem z kimś umówiony.

Graves rozważył swoje opcje.

– Nie mam uprawnień, aby pozwolić panu na torturowanie więźnia, choć bardzo na to zasłużył, admirale Sateekas. Po prostu nie ma do tego podstaw prawnych. To byłoby złe dla morale.

Sateekas przez chwilę mierzył Gravesa wzrokiem.

– Niska elastyczność myślenia, ale godne pochwały posłuszeństwo wobec zasad. Nie obrażę się. Zamiast tego proponuję kompromis: umieścicie nas w module poza okrętem. Nikt nie będzie musiał widzieć, co robimy.

Graves zastanowił się, w zamyśleniu stukając palcem w podbródek.

– Graves! – wykrzyknął nie na żarty już wystraszony Armel.

– Zgoda – odparł w końcu Graves – choć muszę dodać, że nie przystałbym na to, gdyby stawka nie była tak wysoka. – Lekceważąco machnął ręką. – Zabrać go.

– Graves, ty Judaszu! – wrzasnął Armel. – Zdrajco własnego gatunku! Żałosny...

Strażnicy zabrali go pospiesznie i zatrzasnęli drzwi. Sateekas wyszedł za nimi, a wtedy ja też podszedłem do drzwi i położyłem rękę na przycisku otwierającym.

– A ty dokąd, McGill? – zapytał ostro Graves.

– Och, pomyślałem, że może warto by było posłuchać, o czym rozmawiają...

Graves przez chwilę mierzył mnie wzrokiem. Znał mnie całkiem nieźle i pewnie wiedział, co mi chodzi po głowie. W końcu westchnął i skinął głową.

– W porządku. Ale nie wtrącaj się, chyba że zaczną robić z Armelem naprawdę paskudne rzeczy. W porządku?

– Obiecuję – powiedziałem i wyszedłem.

Gdy dogoniłem całą procesję, Armel szedł jak na ścięcie – i w sumie słusznie. Wzrok miał spuszczone, choć jednocześnie strzelał oczami na boki w poszukiwaniu ucieczki. A w tym przypadku ucieczkę stanowiła szybka śmierć.

Jako zaradny człowiek szybko znalazł to, czego szukał.

Przeszedł do działania, gdy dotarliśmy do sali tortur – czy raczej „prywatnego modułu”, jak określił to Graves. Na miejscu czekało więcej Mogwa. To był kluczowy moment, bo ludzcy strażnicy odwrócili się, żeby wrócić na złoty pokład. Zakładali, że szóstka Mogwa oraz Sateekas poradzą sobie sami z jednym człowiekiem, w dodatku ze skutymi rękami.

Powiedziałbym im, że to błąd, ale nikt nie pytał mnie o zdanie.

– Kluczem są genitalia – powiedział konwersacyjnym tonem Sateekas. – Z moich doświadczeń wynika, że organy rozrodcze są nadzwyczaj wrażliwe u większości gatunków zamieszkujących kosmos. Czemu? Mogę się jedynie domyślać, bo nie jestem ani ksenologiem, ani biologiem ewolucyjnym.

Tymczasem Armel skupił wzrok na kluczu francuskim zawieszonym na grodzi przy wejściu do modułu. Narzędzie nie było duże, co najwyżej długości przedramienia i grube może na dwa palce – ale było wystarczająco masywne.

Strażnicy Mogwa otoczyli Armela i z podekscytowaniem popchnęli go w stronę modułu. Bez wątplenia mieli poważne plany wobec człowieka, który tak otwarcie się im odszczekiwał. Z kolei Sateekas nadal opowiadał trybunowi o czekających go męczarniach. Nie miał pojęcia o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża.

– Podczas odrywania skóry i mięśni trzeba ostrożnie odcinać dopływ krwi do naczyń krwionośnych. To niezwykle ważne, jeśli chce się utrzymać obiekt przy życiu i odsłonić białe włókienka, które nazywacie nerwami. Wówczas dalsze uszkodzenia ciała stają się niepotrzebne. Najłżejszy kontakt z tymi włóknami jest dojmującym przeżyciem.

Gdy grupa wchodziła do modułu, popełniłem błąd – nie doceniłem Armela.

Lekkim ruchem sięgnął i zerwał klucz francuski ze ściany. Mogwa tego nie zauważyli. Popędzili go do środka i zamknęli drzwi.

Podbiegłem do nich i zastukałem, ale nikt nie otworzył.

– Graves! – krzyknąłem do stuka. – Niech pan otworzy wejście do modułu!

– McGill, przecież wiem, czemu za nimi poszedłeś. Nie pozwalaj, żeby emocje tak szybko przejęły nad tobą kontrolę. Czy Armel zdążył już chociaż krzyknąć?

– Nie, sir! Pan nie rozumie, Armel zabije ich wszystkich!

Graves zawahał się. Mogę z dumą stwierdzić, że jestem jedną z niewielu osób, które potrafią wywołać podobną reakcję u tak zdeteminowanego człowieka. W innych okolicznościach ta myśl wywołałaby uśmiech na mojej twarzy.

– Dobra, McGill, ale lepiej, żeby tym razem to nie była ściema – burknął. – Bo jeśli mnie oszukasz, zostaniesz zdegradowany. Albo jeszcze lepiej, będziesz osobistym służącym Winslade’a.

Mając w perspektywie tak potworny los, omal się nie rozmyśliłem. Ale nie mogłem pozwolić, żeby Armel pozabijał tych Mogwa. Trybun już udowodnił, że jest zdrajcą. Prędzej zginę, niż pozwolę, żeby wylatując z legionów, dobrze się bawił.

– Primusie! Proszę mnie tam wpuścić, sir!

Drzwi otworzyły się, a ja wszedłem do środka.

W pomieszczeniu zastałem makabryczną scenę. Czterech z siedmiu Mogwa leżało martwych. Ich cienkie czaszki zostały roztrzaskane ociekającym krwią narzędziem w dłoni Armela. Pozostali dwaj chyba uciekli i ukryli się w kwaterach mieszkalnych. Ale biedny Sateekas nadal żył i był tutaj. Kiepsko wyglądał. Armel rozwalił mu wszystkie sześć kolan. Mogwa pełzał w kółko po podłodze i z nienawiścią spoglądał w górę na Armela.

– Jesteś słaby – rzucił pod jego adresem Armel. – Nadęty i arogancki, dopóki masz po swojej stronie technologię.

Podrzucił klucz i zręcznie go złapał, nawet nie patrząc. Wiedziałem, że jako wprawny szermierz jest bardzo zwinny i ma świetną koordynację.

– Nieopisana będzie męczarnia... – wyrzęził słabo Sateekas.

– Wygląda na to, że już jest! – roześmiał się Armel.

Szybkim ruchem nadgarstka uderzył kluczem w pajęczy odpowiednik goleni. Rozległo się chrupnięcie. Sateekas syknął z bólu.

Tyle mi wystarczyło. Podeszedłem do nich, wyciągając pistolet. Armel uniósł rękę na znak, żebym się zatrzymał. Posłuchałem, ale wymierzyłem w niego ostrożnie.

– Teraz możesz zadać pytania, które kłębią ci się w głowie – powiedział trybun do leżącego na podłodze Mogwa. – Jestem w znacznie lepszym nastroju. McGill też tu jest. Nie wątpię, że on również chętnie usłyszy moje odpowiedzi.

Instynkt nakazywał mi zastrzelić Armela, ale wtedy nie usłyszałbym tego, co miał do powiedzenia. A jeśli zdąży zabić Sateekasa, wtedy, no cóż, wydrukujemy sobie nowego. Ten egzemplarz i tak był już nieźle sponiewierany.

– Chcę wiedzieć, co obiecali ci w zamian – wychrypiał Sateekas.

– Naprawdę? Nie ciekawi cię, kto to był? Z kim stanąłeś do walki i przegrałeś?

– Wiem, że to Skayowie – powiedział Sateekas. – Ci Galaktycy są gatunkiem hybrydowym. Po części maszyny, po części organizmy biologiczne. Ale to nieistotne. Liczy się umowa, którą zawarliście.

– Hmm. – Armel w zamyśleniu postukał się w policzek kluczem francuskim pokrytym niebieskofioletową krwią. – W porządku. Zapłata był koniec reżimu Mogwa.

Nawet Sateekasa zdziwiła ta niespodziewana odpowiedź.

– Niemożliwe. Zostałeś oszukany.

– Wcale nie. Mówi się, że na każdą truciznę istnieje antidotum. Dostaliśmy je. A wy jesteście trucizną.

– Nawet jeśli to prawda, wymienicie tylko jednych władców na innych. Sądzisz, że my jesteśmy bezduszni? Zastanów się jeszcze raz. Nie ma nic bardziej bezdusznego od maszyny.

Armel zmarszczył brwi. Zdaje się, że przez moment wątpił w słuszność swojej decyzji, ale zaraz uniósł klucz do kończącego ciosu.

– Nie ruszaj się! – wykrzyknąłem, celując z pistoletu i robiąc dwa kroki naprzód.

Armel odwrócił się w moją stronę, nie opuszczając ręki.

– Nie bądź głupcem, McGill. Na Świecie Krwi złożył mi propozycję Squanto, ale ja się oparłem. Ponowił ją na Świecie Ciemności, ale wtedy też odmówiłem. Dopiero gdy Hegemonia wypięła się na mnie

i przydzieliła mi dowodzenie nad armią cuchnących prymitywów, przyjąłem jego ofertę.

– Mów dalej – popędziłem go. – Co ci zaproponował?

Armel roześmiał się.

– Przecież właśnie powiedziałem! Ulgę dla całej ludzkości! Usunięcie tych przebrzydłych władców. Wiesz o zarodnikach, o tej broni biologicznej. Wiesz, że Mogwa są słabi, widziałeś nawet ich rodzinną planetę. Są tak narażeni na atak...

Armel miał na myśli fakt, że zdecydowana większość Mogwa żyła na planecie Trantor pokrytej jednym gigantycznym miastem. Gdyby ktoś zatruł ten jeden świat, zginęliby wszyscy.

Sateekas wytrzeszczył oczy. Wodził wzrokiem między mną, Armelem i zakrwawionym kluczem.

– Dzięki za szczerość – powiedziałem do Armela.

A potem go zastrzeliłem.

Rozdział 45

Sateekas, nawet jeśli czuł wdzięczność, był zbyt dumny, aby ją okazać.

– Nie mieliśmy broni – poskarżył się i rozkaszał. – Nasz okręt uległ zniszczeniu zaledwie godzinę temu. Czemu się tu dziwić? Nie znam się na obsłudze tak prostego oręża jak na przykład trach. Sama myśl o tym jest odstręczająca. To uzbrojenie dla niewolników.

Wiedziałem, że Mogwa dysponują poręczną, ale zaawansowaną bronią. Kiedyś pewien Mogwa o imieniu Xlur próbował zdeintegrować mnie czymś w rodzaju pistoletu. Kiepsko się to dla niego skończyło, ale przyznam, że sama technologia była imponująca.

– Musicie bardziej uważać, kiedy istota pochodzi świata o większym ciężeniu – doradziłem. – W końcu ludzie to urodzeni zabójcy. Dlatego zostaliśmy egzekutorami prawa.

Sateekas łypał na mnie z bólem i pretensją. Już chwilę temu wezwałem biosów, ale na niebieskim pokładzie mieli dziś ręce pełne roboty.

– Tak, zabójcy. Mniej wyrozumiały władca kazałby was wszystkich wytępić.

W tym momencie wrócił jeden z dwóch Mogwa, którzy stchórzyli. Poszturchał odnóżami ciała zabitych pobratymców i przyjrzał się Sateekasowi.

– Pańskie obrażenia są bardzo poważne – zawyrokował.

– Oczywiście, że tak. Planuję kolejne wskrzeszenie. Wielka szkoda. Tchórzliwy Mogwa obrócił łeb w moją stronę.

– Ten człowiek nie kiwnął palcem.

– Nieprawda. Zabił buntownika.

Drugi zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem.

– Ale najpierw odbył z nim rozmowę jak ze znajomym. Myślę, że warto go zniszczyć.

Skrzyżowałem ręce na piersi. Zirytował mnie. Przecież dosłownie przed chwilą ocaliłem ich błyszczące odwłoki. Ale tak to już było

z Mogwa – nie umieli przyznać się do błędu. Cokolwiek poszło nie tak, ktoś inny musiał zginąć za karę.

– Proszę posłuchać, panie Mogwa – odezwałem się.

– Jestem kapitan Akuma – odparł surowo obcy. – Wszyscy jesteśmy kapitanami. A twój ton jest nieuprzejmy, człowieku.

– Doprawdy? No cóż, witam na naszym okręcie. Może zechce mi pan wyjaśnić, kapitanie, czemu uciekliście, gdy Armel zaczął wymachiwać ciężkim narzędziem?

Kapitan Akuma zadreptał w miejscu i obrócił w moją stronę swoje pajęczę cielsko.

– On jest bezczelny!

– Rzeczywiście – przytaknął Sateekas pomiędzy kasznięciami. – Ale jest też mistrzem sztuki zabijania. W porównaniu z nim ten ochłap mięsa na podłodze to pospolity amator.

Kapitan Akuma rzucił okiem na martwego Armela, a potem na pistolet w mojej dłoni i cofnął się bez słowa. Czyżby Sateekas naprawdę zasugerował kapitanowi, żeby ochłonął i był uprzejmy choćby przez chwilę? Jeśli tak, to po raz pierwszy zaobserwowałem takie zachowanie u Mogwa.

– McGill – wychrypiał Sateekas – umieram z powodu ran, ale nie przejmuj się tym. Powrócę. Chcę tylko, żebyś coś mi wyjaśnił.

– Co takiego, panie admirale?

– Chodzi o rozmowę, którą odbyłeś ze zdrajcą. Czy dobrze rozumiem, że wiesz, o czym on mówił? Trucizna? Trantor?

– Yy, no tak! Słyszałem plotki na ten temat. Oczywiście to nonsens. Nikt nie umiałby stworzyć trucizny genetycznie przystosowanej do zabijania Mogwa. A nawet gdyby taka broń biologiczna powstała, jak ktoś miałby ją dostarczyć na waszą planetę?

– Istotnie, jak?

Kapitan Akuma wyłonił się z cienia i z powrotem przydreptał bliżej.

– A ja chcę wiedzieć, jakim sposobem odwiedziłeś Mogwa Prime – powiedział. – To bardzo nietypowe.

– No cóż, mam na to odpowiedź. Mianowicie nigdy tam nie byłem. Armel tak mówił, ale to gówno prawda.

– Zgodne z faktami stwierdzenie będące odchodami? Chyba szwankuje mi translator.

– Chodzi o to, że Armel was okłamuje, żeby wpakować mnie w kłopoty. Bo widzicie, on mnie nienawidzi. Wiele razy próbował przypisać mi swoje przestępstwa.

Akuma popatrzył na nieruchome ciało trybuna, a potem znów spojrzął na mnie.

– Skoro jest tak niegodny zaufania, czemu był twoim przełożonym?

– Nie był. On dowodził legionem wojowników ze Świata Krwi. To formacja o niższym statusie, złożona ze zmodyfikowanych genetycznie ludzi. Właśnie dlatego się wkurzył. Trochę mu odbiło z tej złości. Był niczym Mogwa na zawsze wygnany z rodzinnej planety.

Obaj przytaknęli na znak, że rozumieją. Wszyscy gubernatorzy Rubieży 921 ubolewali nad faktem, że wysłano ich tak daleko od domu. Dla nich taki przydział stanowił hańbiącą karę. Nietrudno się domyślić, że każdy był pariasem – w tym czy innym sensie. Może dlatego zawsze byli w podłym nastroju.

W tym momencie pojawiła się ekipa ratownicza. Do środka wpadli uzbrojeni strażnicy i aresztowali mnie. Skuli też Armela, choć leżał martwy jak głaz. Byli bardzo skrupulatni.

Za nimi wszedł Graves. Oparł na biodrach dłonie zaciśnięte w pięści i zmierzył mnie skrajnie nieufnym spojrzeniem.

– Miło cię widzieć, McGill. W pomieszczeniu pełnym zabitych i umierających.

– To tylko zbieg okoliczności, primusie – odpowiedziałem z przekonaniem. – Ale tym razem przynajmniej szczęśliwy zbieg okoliczności. Zdążyłem w porę zareagować i powstrzymać tego szaleńca Armela przed dalszym skalaniem dobrego imienia Ziemi.

Graves omiół wzrokiem scenę zdarzenia i chyba dopiero teraz rozpoznał Sateekasa. Można mu to wybaczyć, bo Mogwa był w opłakanym stanie.

– Dobry Boże... Wielki admirał Sateekas? Co się stało?

Graves rzucił mi mordercze spojrzenie, ale na szczęście Sateekas w porę wyjaśnił sprawę.

– Istota zwana McGill odczytała zamiary renegata. Myśleliśmy, że poradzimy sobie z jednym nieuzbrojonym człowiekiem.

Dowiedzieliśmy się jednak, że ten osobnik jest mistrzem walki bronią białą.

Graves spojrział na mnie ostro, a ja skinąłem do niego nagle.

– Zgadza się – przytaknął niechętnie. Nie lubił kłamać, ale rozumiał, że Ziemia nie może ponieść winy za coś takiego. Polało się za dużo krwi. – Mielście dużą przewagę liczebną, dlatego sądziliśmy... No cóż, proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny.

Sateekas nie odpowiedział, tylko wykonał kilka chrapliwych wdechów i wydechów, a potem ucichł. Myślałem, że zdechł, ale nie, w końcu się odezwał.

– W porządku. A teraz, jeśli można, chciałbym pozwolić sobie na śmierć. Dokończymy rozmowę, gdy zostanę wskrzeszony.

– Tak jest. Dziękuję, proszę pana.

Sateekas rozluźnił się, a jego spojrzenie w jednej chwili stało się szkliste i martwe.

– O rany, a to dziwne! – wykrzyknąłem. – Widział pan? Wykończył się samą siłą woli!

Kapitan Akuma zbliżył się do nas chwiejnym, pajęczym krokiem. Nabral odwagi, bo byłem skuty kajdankami.

– Ja pozostaję sceptyczny – oznajmił surowo.

– W jakiej sprawie, kapitanie? – zapytałem.

– W sprawie twojego udziału, ziemski istoto. Nawet twój przełożony cię obwinia, a ja wątpię w to, by się mylił. Nie myśl, że zapomniałem o twojej rozmowie z renegatem na temat broni biologicznej i wizyty na naszej planecie. Zapamiętaj moje słowa: będzie śledztwo.

– I bardzo dobrze! – powiedziałem głośno i z naciskiem. – Odkryjcie prawdę. Nie pozwólcie, żeby ten kryminalista spoczywał w pokoju! Jeśli chcecie, możemy go wskrzesić w bardziej kontrolowanych warunkach. Najpierw trochę tortur, a potem pošlemy go na permy.

Kapitan Akuma nie spuszczał ze mnie wzroku. Trudno stwierdzić, czy uwierzył w choć jedno moje słowo, ale Graves na pewno nie. Primus kazał mnie wyprowadzić – nadal skutego kajdankami. Zabrano też ciało Armela. Strażnicy powlekli trupa jak worek zboża.

Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, poza zasięgiem słuchu kosmitów, Graves zwrócił się do mnie:

– Jak mogłeś?

– Yy, ale co, primusie?

– Jak mogłeś pozwolić, żeby Mogwa dowiedzieli się o broni biologicznej i o tym, że odwiedziłeś Trantor? To ściśle tajna informacja, McGill!

– Przecież wiem, sir. Ale to Armel im powiedział. Przysięgam.

Na potwierdzenie swoich słów odtworzyłem nagranie na stuku. Specjalnie włączyłem rejestrowanie, bo podejrzewałem, że plik może później okazać się kluczowy. Graves często robił tak samo. Kamerki to świetna sprawa, gdy człowiek chce oczyścić się z zarzutów albo kogoś zrobić.

W tym przypadku miałem dowód, więc Graves mi uwierzył.

– Rozkujcie go – warknął na strażników, a potem poszedł w stronę złotego pokładu.

Podążyłem za nim. Bez trudu go dogoniłem dzięki długim nogom.

– Co teraz zrobimy, sir? – zapytałem. – Wracamy na Ziemię?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie, zdziwiony.

– Skąd ten pomysł?

– No cóż, primusie... – Zacząłem wyliczać argumenty na palcach: – Straciliśmy jeden z dwóch transportowców. Nie mamy szans pokonać Skayów, a poza tym straciliśmy już dwa i pół legionu.

Graves nie sprzeczał się, tylko zrobił niezadowoloną minę.

– Wskrzeszę Drususa – oznajmił. – On zdecyduje, co trzeba zrobić. Jeśli ci się poszczęści, może nie każe cię zabić.

– Mam rozumieć, że będzie pan zeznawał w mojej obronie? Jeśli tak, to bardzo miłe z pańskiej strony!

Ale on już szedł dalej. Mówiłem do jego pleców.

Rozdział 46

Drusus zapoznał się ze wszystkimi informacjami. Przesłuchania trwały trzy godziny. Potwornie się nudziłem. Wszystko słyszałem już po dwa razy.

– A więc podsumujmy – powiedział pretor. – Armel i Turov byli zamieszani w jakiegoś rodzaju spisek?

– To nie zostało potwierdzone – odparł Graves. – Armel publicznie się do tego przyznał. Na razie nic więcej nie wiemy.

– A jednak nie uznał pan za stosowne, aby podczas tego kryzysu wskrzesić starszego stopniem oficera?

Graves zmieszał się. Nic dziwnego, bo Drusus zadał bardzo trudne pytanie. Przy podejmowaniu najważniejszych decyzji to naturalne, że należy wskrzesić kogoś z najwyższego dowództwa, aby on się tym zajął. Jednak Graves postąpił inaczej.

– Pojawił się kryzys dowodzenia – powiedział primus. – Ponieważ właśnie uciekliśmy przed bezpośrednim zagrożeniem, a ja nie wiedziałem, kto jest zamieszany w intrygę, postanowiłem zbadać sprawę samodzielnie.

– Z tego wynika, że na pańskiej liście podejrzanych znalazłem się również ja, prawda? – zapytał Drusus.

– Wiedziałem tylko jedno: że sam nie jestem zamieszany w żaden spisek. Postanowiłem nie zmieniać struktury dowodzenia, dopóki nie upewnię się, że to bezpieczne.

Drusus przez długą chwilę rozważał jego słowa. Na pewno irytował go fakt, że nawet on nie znalazł się poza kręgiem podejrzanych, ale taki już był Graves. Nie interesowały go układy, sympatie i lojalność wobec konkretnych osób. Postępował słusznie nawet wtedy, gdy mógł sobie w ten sposób zaszkodzić.

W końcu Drusus pogodził się z faktami i wolno pokiwał głową.

– W porządku. Przyjmuję pańskie wyjaśnienia. Sytuacja była bardzo poważna, więc jestem w stanie zrozumieć, czemu podjął pan szczególne środki ostrożności, primusie Graves.

Teraz odwrócił się do mnie. Wyprostowałem się i stłumiłem ziewnięcie.

– McGill, ty na pewno wiesz więcej, niż do tej pory ujawniłeś. Pora, abyś zaczął mówić otwarcie.

– Hm?

Drusus zacisnął wargi w cienką kreskę.

– Czy przyłożyłeś rękę do tego buntu?

– Co? Nie, sir! Pomogłem go stłumić.

– To jedna możliwa interpretacja zdarzeń.

Zmarszczył brwi i ponownie odtworzył nagranie ukazujące rzeź Mogwa. Do tego czasu pobrano pliki ze wszystkich kamer. Obejrzelśmy z każdego możliwego kąta, jak Armel rozbija czaszki i stawy pajęczych odnóży.

– To będzie cud, jeśli wyjdziemy z tego cało – stwierdził Drusus. – Widzicie, jak uprzejmie zachowują się Mogwa po tym zdarzeniu? Odnoszę wrażenie, że Sateekas jedynie gra na czas. Chce opuścić nasz okręt, zanim go zabijemy. Czy też tak uważasz, McGill?

Teraz to ja zmarszczyłem brwi.

– Zanim go zabijemy?

– Oczywiście – przytaknął Drusus. – On i jego wszystkie okręty zostały zniszczone. Wskrzesiliśmy go, ale możemy w każdej chwili naprawić ten błąd.

– Naprawić... zabijając go?

– Otóż to. Później możemy po prostu zostawić go martwego i siedzieć cicho. Tak byłoby najłatwiej. Tyle że Mogwa mogą nam się przydać w walce ze Skayami. Dlatego skłaniam się raczej ku temu, żeby zgłosić fakt zniszczenia floty Sateekasa i zataić tylko ten szczegół, że w ogóle go wskrzesiliśmy. A potem niech sobie Mogwa robią, co chcą.

– Ale on przecież żyje w tym momencie, sir! – zaproponowałem. – A pan mówi o nim jak o zmarłym.

Drusus przekrzywił głowę, taksując mnie.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, McGill. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak ochoczo zabijał wroga i równie bezrefleksyjnie bronił towarzysza.

– Dziękuję, sir – odparłem, postanawiając potraktować to jako komplement. – Po prostu nie podoba mi się zdrada osoby, która i tak

ma pod górkę. Sateekas zaatakował okręt Skayów między innymi dlatego, że wjechałem mu na ambicję. Próbował nas chronić. Chciał bronić naszej prowincji. Nie chciałem, żeby przez to poszedł na permy.

Drusus miał ponurą minę.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie mogę pozwolić, aby przekazał pozostałym, co zrobił Armel, prawda? Ten drugi Mogwa, kapitan Akuma, już zapowiedział, że zamierza wszcząć postępowanie. Przeprowadzą śledztwo i prześwietlą nas wszystkich.

– Sir, zgadzam się z pańską oceną sytuacji – wtrącił się Graves. – Prawdę mówiąc, poczyniłem już stosowne przygotowania.

– Jakie przygotowania? – Drusus obrócił się w fotelu w jego stronę.

– Posiadamy na pokładzie niewielką ilość pewnej... toksycznej substancji. Wtłoczmy ją do ich modułu i na niebieski pokład, gdzie odradzają się pozostali. Nikt inny nie odczuje skutków. Nikt nawet nie dowie się, jak oni zginęli.

– Proszę zaczekać! – Zerwałem się z krzesła. – Jeśli to zrobimy, będziemy tacy sami jak ten sukinsyn Armel!

– Nieprawda – odparł Drusus. – Nim kierowały egoistyczne pobudki. My mamy na względzie dobro każdego mieszkańca Ziemi. Jeśli nie zachowamy ostrożności, możemy doprowadzić do wyginięcia całego gatunku.

Miał rację. W pewnym sensie Mogwa sami byli sobie winni. Karząc tak surowo swoich podwładnych, zmuszali nas do rozważenia radykalnych działań.

– Ale co się stanie, jeśli toksyna pozostawi jakieś ślady? – zapytałem. – Jeśli da się ją wykryć po latach? Jakiś wścibski Nairb mógłby pewnego dnia odkryć, co zrobiliśmy.

Drusus zasępił się.

– Możliwe, że masz rację. Mam nowy pomysł. Wpuścimy ich wszystkich do modułu, który im przydzielono, i tam ich zatrujemy. A kiedy będzie po wszystkim, wystrzelimy cały moduł w nadprzestrzeń. Promieniowanie i tarcie spowodowane powrotem do zwyczajnej przestrzeni sprawią, że wszystko wyparuje.

– Co za podły plan! – wykrzyknąłem.

Graves spojrzał na Drususa.

– Mam to traktować jako rozkaz, sir?

Drusus namyślał się jeszcze chwilę, aż wreszcie skinął głową. Wyraz jego twarzy zdradzał zmęczenie.

– Zróbcie to. Tylko nie popełnijcie błędu.

– Ależ proszę pana! Ci obcy walczyli w naszym imieniu. Kilkunastu Mogwa zginęło w bitwie ze Skayami. Nie wolno nam!

– McGill – syknął Drusus – rozumiem twoje oburzenie, ale stawka jest zbyt wysoka. W tym przypadku musimy spróbować jeszcze raz.

– Czyli jednak ich wskrzesicie? Ze zmodyfikowanymi engramami pamięci?

Zamrugął, słysząc ten pomysł.

– To jest... wykonalne.

– Ale niebezpieczne – zauważył Graves. – Jeśli popełnimy błąd albo jeśli jakimś sposobem się dowiedzą, skazą ludzkość na zagładę.

Drusus pokiwał głową.

– Później to omówimy. Na razie proszę osobiście dopilnować, żeby zginęli, primusie.

Graves wstał i wyszedł. Jego pełna determinacji mina nie pozostawiała złudzeń – dziś w jego sercu nie będzie litości.

Podążyłem za nim, choć zdawałem sobie sprawę, że to kiepski pomysł. Sateekas jeszcze nie opuścił maszyny. Graves poszedł więc na niebieski pokład. Gdy biosi usłyszeli, że mają przerwać wskrzeszenie Sateekasa i pozostałych zabitych Mogwa, pobledli jak płótno.

– Sir, nie jestem pewna, czy wystarczy odpowiednich białek, jeśli teraz...

– Opróżnić maszyny. Natychmiast. Jeżeli później będzie trzeba ich ponownie wskrzesić, możecie wykorzystać ten sam materiał.

Skonsternowana bioska zamrugwała. Współczułem jej. Miała paskudną robotę, ale przynajmniej zwykle odtwarzała życie, a nie przerywała je przedwcześnie. Taki rozkaz musiał być dla niej szokiem.

Odwróciła się i zawołała coś do swoich podwładnych. Ku swojemu zaskoczeniu rozpoznałem jednego z nich. To był Raash, Saurianin ze Świata Stali. Raash i ja nie byliśmy kolegami – delikatnie mówiąc. Zawsze gdy się widzieliśmy, dochodziło do spięć. Albo do zabójstwa.

– Proszę, proszę. – Spojrzał na mnie spode łba. – Rzeźnik McGill przyszedł ślinić się nad tą niesprawiedliwością. Brak mi słów, żeby

wyrazić, jak przytłaczającą odrazę odczuwam.

– Zabawne – odparłem. – To samo mówiła o tobie Floramel, kiedy ostatnio zabrałem ją na randkę.

Raash był stu pięćdziesięciokilowym kosmicznym jaszczurem w sile wieku. Jego zęby, mięśnie i łuski sprawiały, że w uczciwym starciu człowiek miał z nim niewielkie szanse, nawet ja. Ale nie dbałem o to. Zawsze byłem gotów stanąć z nim do walki.

– Centurionie, specjalisto, to nie jest odpowiednia pora – wtrącił się Graves. – Umówcie się po godzinach na zielonym pokładzie.

– Nie będę z nim szedł na randkę, sir – burknąłem.

– Ani tym bardziej bił się z nim na niebieskim pokładzie. Opanujcie się.

Rozdzieliliśmy się niechętnie. Raash podszedł do wielkiej maszyny i wylał z niej oślizgłą grudę mięsa. Była wstrętna z wyglądu i zapachu.

– Ja pierdziele, trupy Mogwa strasznie cuchną – skomentowałem.

Wrzucili na wpół wyhodowane ciało do utylizatora, który zmielił tkanki z cichym pomrukiem. Zasalutowałem na znak szacunku. Graves zauważył ten gest i pokręcił głową.

– Ten obcy wiele razy zagroził zniszczeniem Ziemi, McGill.

– No tak. Ale tym razem zginął jako bohater. Nie zapomnę go, nawet jeśli okaże się, że to kolejny Mogwa, którego posłaliśmy na permy.

Graves zmrużył oczy.

– Kolejny Mogwa? O czym mówisz?

Dotarło do mnie, że się wygadałem. Graves wiedział o mojej wyprawie na Mogwa Prime – ale przecież nie znał szczegółów. Nie miał pojęcia, że zabiłem naszego poprzedniego gubernatora, Xlura.

– No cóż, sir, to trochę trudno wyjaśnić... – zacząłem.

Graves mierzył mnie wzrokiem przez parę sekund.

– Nieważne – powiedział wreszcie. – Nic mi nie mów. Wolę nie wiedzieć.

– Załatwione, primusie.

Kiedy utylizator miał tkanki, Graves zerknął na mnie podejrzliwie jeszcze kilka razy, ale się nie odezwał. Naprawdę uważam, że tak było lepiej.

Rozdział 47

Po zmieleniu na wpół wyrośniętej wersji Sateekasa miałem dość. Graves wziął zbiornik z żółto-czarnymi naklejkami ostrzegawczymi, ale ja nie chciałem patrzeć, jak działa toksyna i jak umierają Mogwa. Oczywiście kapitan Akuma był dupkiem, ale dzielnie walczył i w dodatku był naszym gościem.

Gdy było po wszystkim, okręt lekko drgnął. Wiedziałem, że w tym momencie wystrzeliliśmy moduł mieszkalny, który miał zaraz wypaść z bąbla nadświetlnego i przestać istnieć.

– Co to było? – zapytał Harris, nerwowo spoglądając na ściany.

Jako weteran kilku bitew kosmicznych z przeważającymi siłami wroga był jeszcze ostrożniejszy niż zwykle.

– To tylko duch, adiunkcie – odpowiedziałem.

Zawiesił wzrok na mojej twarzy.

– Znam ten uśmiech. Ty coś wiesz, ale nie chcesz powiedzieć. Znam cię, McGill.

To zaniepokoiło mnie prawie tak bardzo, jak zabicie Mogwa. Jeśli Harris nauczył się rozpoznawać moje kłamstwa, legionowe życie w jego towarzystwie mogło stać się dużo trudniejsze.

– Gadasz jak wariat, Harris. Wiesz, że ja walę prosto z mostu.

Prychnął lekceważąco.

– Pierwsze słyszę... sir.

– Wspaniale! – Uniosłem ręce i klasnąłem tak głośno, że aż podskoczył.

– Co jest takiego wspaniałego?

– Twoja hojna propozycja, Harris. Bardzo ją doceniam. Pewnie już się domyśliłeś, że na pokładzie miały miejsce pewne śledztwa i... rozprawy.

– Co takiego? – zapytał, nieźle zaniepokojony.

– Wiesz, że ostatnio sporo czasu spędzałem na złotym pokładzie, prawda? I o tym, że niektórzy z naszych pozaziemskich gości przedwcześnie rozstali się z życiem. Potrzebny mi świadek. Świetnie sprawdzi się człowiek, który zna mnie od ponad trzydziestu lat.

Chciałem go objąć, ale on wyslizgnął się, jakbym próbował zarzucić mu pętlę na szyję.

– Hej, zaczekaj chwilę, McGill! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Nie będę ci zapewniał alibi ani potwierdzał twoich bajeczek.

– Ale... przed chwilą powiedziałaś...

– Zapomnij, co mówiłem. Wcale cię nie znam. Jesteś zdany na siebie.

Odsunął się ode mnie, a ja zaśmiałem się w duchu. Wiedziałem, że Harris nie znosi zobowiązań. Zwłaszcza takich, przez które miałyby nadstawić dla kogoś karku.

Ruszyłem przed siebie korytarzem, pogwizdując radośnie. Liczyłem na to, że spędzę trochę czasu w damskim towarzystwie – a tak się złożyło, że miałem na pokładzie kilka potencjalnych kandydatek. Sytuacja wreszcie stawała się stabilna, więc postanowiłem się do jednej odezwać.

Skierowałem się do wind, aby pojechać na zielony pokład, gdzie ludzie chadzali wieczorami, aby odpocząć. Niestety, miłosne uniesienia nie były dziś pisane Jamesowi McGillowi. Nie przeszedłem nawet dwudziestu kroków, gdy całym okrętem zatrzęsło.

Nie jestem ekspertem od lotów kosmicznych, ale jak dotąd czułem takie drżenie tylko raz.

– Co jest, do cholery? – rzuciłem w przestrzeń.

Przytrzymałem się ściany. Uczucie było takie, jakby niespodziewanie złapały mnie zawroty głowy. I wtedy okręt znów zadygotał, a światła przygasły na moment.

Problemy z zasilaniem?

Zawróciłem i rzuciłem się biegiem w stronę działu inżynieryjnego. Czyżby stało się coś bardzo złego z napędem Alcubierre'a? Takie miałem wrażenie.

Kiedyś, gdy lecieliśmy po raz pierwszy na Świat Krwi, nasza podróż została przerwana około trzystu lat świetlnych od układu docelowego. Okręt pełen gremlinów naruszył nasz bąbel i wyrzucił nas z nadświatłnej do normalnej przestrzeni. Tamte wstrząsy były bardzo podobne.

– McGill do Gravesa. – Uniosłem stuka do ust. – McGill do Gravesa, myślę, że coś jest nie tak z napędem, sir.

Po chwili zgłosił się primus.

– Masz rację, ale to nie to, co myślisz. Z niczym się nie zderzyliśmy. Trafiły nas wiązki siłowe.

– Co?

– Wiazki siłowe. Oddziałują grawitacyjnie na dowolny obiekt, nawet w bąblu nadświatlnym. Ciągną go i spowalniają. Mózgowcy z laboratoriów przed chwilą nam to wyjaśnili.

– No to trzeba uciekać, sir! – wykrzyknąłem. Zatrzymałem się i z trudem złapałem oddech. – Jeśli wypadniemy z nadświatlnej, będzie po nas.

– Istnieje spore ryzyko, że tak się stanie – zgodził się. – Ale decyzja nie należy do mnie.

„Drusus” – pomyślałem natychmiast. Zerwałem połączenie z Gravesem i spróbowałem przebić się do pretora, ale było już za późno. Rozległ się jęk spowalniającego napędu nadświatlnego. Bąbel wokół transportowca zanikał, a ja nawet nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Podejrzywałem, że Drusus też tego nie wie.

Po paru chwilach na ścianach wyświetlił się widok z zewnątrz. Nie wiem, co spodziewałem się zobaczyć – może okręt Mogwa, którego załoga znalazła moduł pełen martwych pobratymców – ale to nie było to. Byłem bardzo zaskoczony, gdy odkryłem prawdę.

– Skayowie – szepnąłem z niedowierzaniem.

Zerknąłem na stuka, ale to samo wyświetlało się na jego ekraniku. Za naszym – dodam, że sporych rozmiarów – transportowcem leciała olbrzymia, poznaczona czerniałymi plamami kula. Była tuż za naszą rufą. W porównaniu z „Legatem” okręt Skayów był absolutnie gigantyczny. Dopiero z bliska ujawniał swój prawdziwy ogrom. W środku zmieściłoby się tysiąc jednostek takich jak nasza.

Ruszyłem w stronę złotego pokładu. Najpierw truchtem, potem biegiem. Po dłuższej chwili wpadłem do pomieszczenia wypełnionego oficerami. Nikt mnie nie wyprosił. Wszyscy patrzyli na wyświetlacze jak zahipnotyzowani.

– Dogonili nas jak kot uciekającego szczura – jęknął Winslade. – Nie mogę uwierzyć, że ich technologia jest aż tak zaawansowana. Doścignęli nas, choć byliśmy w bąblu nadświatlnym. Jak to wyjaśnić z fizycznego punktu widzenia?

– Cicho, primusie – mruknął z rezygnacją Drusus. – Zostaliśmy schwytani. Nie ma sensu stawiać oporu. Skontaktujcie się ze Skayami. Powiedzcie, że się poddajemy.

– Nie! – zaprotestowałem.

Wszyscy obrócili głowy i popatrzyli na mnie ze zdumieniem.

– McGill, wynocha ze złotego pokładu! – huknął Graves.

– Przepraszam, sir, ale...

– Niech mówi – odezwał się Drusus zmęczonym głosem. – Pewnie zaraz usłyszę, że los nas pokarał za zabicie Mogwa, co, McGill?

– Nie, sir, nic z tych rzeczy. Choć nadal uważam, że popełniliśmy błąd, wyrzucając moduł mieszkalny z bąbla nadświatlnego. Spalając się, pewnie zostawił za sobą smugę cząsteczek. To było jak flara na nocnym niebie.

Przez chwilę wszyscy tylko gapili się na mnie. Wreszcie jeden z techników odchrząknął.

– Hm, centurion może mieć rację, sir. Duży obiekt wyrzucony z bąbla nadświatlnego wyglądałby jak kometa. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, że ktoś za nami podąża...

– Oczywiście – przytaknął Drusus. – Ich technologia jest tak zaawansowana, że z naszego punktu widzenia to praktycznie magia.

– Ale i tak się nie poddawajmy, sir – doradziłem mu. – To niewłaściwe posunięcie.

– Czemu? Przecież to Galaktycy, McGill. Dogonili nas bez problemu. Nie umiemy wyrwać się z wiązek siłowych. Strzelanie do nich jest bezcelowe.

– Strzelanie? – roześmiałem się. – Nie, sir, to też byłoby kiepskim pomysłem. Te istoty są jak Mogwa, tylko gorsze. To gatunek oparty na sztucznej inteligencji. Jeśli ktoś nie da im dobrego powodu, żeby zostawili go przy życiu, raczej nie ma szans.

– Mów dalej.

– Odwiedziłem kiedyś Układy Centralne, sir. Szedłem ulicami Mogwa Prime. Dla nich buntownicy są bezużyteczni, ale niewolnicy mogą być cenni. Musimy ich przekonać, że jesteśmy cenni.

Drusus zamrugał ze zdziwieniem, a Graves podszedł do mnie, rozgniewany.

– Sugerujesz, żebyśmy zaofiarowali się nowemu władcy jako słudzy? To samo gadał tamten sukinsyn Armel.

– Nie, primusie, ja proponuję coś zupełnie innego – odpowiedziałem. – Musimy ich zaciekawić. Niech poczują się niepewnie.

– A jak konkretnie mamy to zrobić? – zapytał Drusus.

– No cóż, sir, to trochę trudno wytłumaczyć. Ale gdyby pozwolił mi pan z nimi porozmawiać...

– Wykluczone, McGill – prychnął z pogardą Graves.

Drusus przez chwilę milczał. Graves popatrzył na niego, zaniepokojony.

– Sir, proszę mi nie mówić...

– Zaciekawimy ich – oznajmił Drusus po chwili namysłu. – Nie wyślemy wiadomości. Nie oddamy ani jednego strzału. Pozwolimy, żeby wciągnęli nas do środka kuli.

– Świetnie – powiedziałem z uśmiechem.

– Sir, trzeba walczyć albo uciekać – zaprotestował Graves.

Drusus popatrzył na niego.

– McGill ma rację. Nie możemy zrobić żadnej z tych rzeczy.

Niedługo później wiązki chwyciły nas jeszcze mocniej i zaczęły powoli ciągnąć „Legata” w stronę gigantycznego okrętu.

– Rozbijemy się – jęknął Winslade.

– Spokojnie – mruknął Drusus.

Gdy wydawało się, że uderzymy o wielką jak księżyc sferę, jej powierzchnię przecięła ciemna linia. Zaczęła się rozszerzać, aż w końcu zmieniła się w otwarte wrota.

Tymczasem wiązki wciągały nas do pancernego wnętrza planetoidy. Technicy podawali odczyty odległości i prędkości, ale poza nimi nie odzywał się nikt, nawet najwyższej postawieni dowódcy.

Najwyraźniej oni też nie mieli pojęcia, co robić.

Rozdział 48

Ze wszystkich osób obecnych na mostku tylko ja byłem wcześniej wewnątrz molocha. Czułem się jak Jonasz pechowiec, drugi raz połknięty przez tego samego cholernego wieloryba.

– Musieli za nami lecieć od układu 51 Pegasi – powiedział Drusus.
– Nie mogę w to uwierzyć.

Winslade postukał w ekran i pokręcił głową. Westchnął ciężko.

– Choć z bólem to przyznaję, McGill miał rację. Technicy właśnie potwierdzili, że zostawiliśmy w przestrzeni smugę pozostałą po spaleniu modułu z martwymi Mogwa. Zamiast ukryć swoją zbrodnię, zrobiliśmy z niej racę.

Graves spuścił głowę. Mogłem mu powiedzieć, że to nie jego wina, ale nie było czasu na cackanie się z kimkolwiek. Poza tym i tak by nie posłuchał.

– McGill, ty jako jedyny byłeś w trzewiach tej bestii – zwrócił się do mnie Drusus. – Co powinniśmy zrobić?

– Yy, pewnie wejść w nadświetlną i wylecieć.

– Myślisz, że nie próbowaliśmy? – zapytał Winslade. – Mają tu coś w rodzaju pola wytłumiającego. Nie da się uformować bąbla. Jesteśmy wciągani w głąb okrętu, pewnie po to, żeby nas rozebrali na części i zbadali.

– Albo zmienili w kolejne opancerzone stwory – odpowiedziałem.

Wszyscy zrobili przejęte miny, tak jakby wcześniej nie przyszło im to do głowy. Trochę dziwne, choć z drugiej strony oni do tej pory siedzieli wygodnie na pokładzie „Legata”, kiedy ja walczyłem z maszkarami. Dla mnie perspektywa zostania cybernetyczną hybrydą była bardzo realna.

– Nie licząc ucieczki, co jeszcze możemy zrobić? – zapytał Drusus.

Powiódł wzrokiem po twarzach podwładnych. Po chwili wymownej ciszy odezwał się Graves:

– Chyba wszyscy doszliśmy do tego samego wniosku: mamy tylko jedną opcję.

– Jaką?

– Zainicjujemy samozniszczenie transportowca – odpowiedział primus takim tonem, jakby to było oczywiste.

– To wydaje się dość... radykalne – mruknął Winslade. – Jak wtedy uciekniemy?

Graves prychnął lekceważąco.

– Nijak. Daj spokój, Winslade, przyszyj sobie jaja, skoro nie masz własnych. Lepiej wyparować w eksplozji, niż dać się zmielić i wcisnąć do maszyn.

– Nie możemy stąd ostrzec Ziemi – zauważył Drusus. – Okręt zakłóca wszelkie transmisje, a nie mamy na pokładzie prec-komu.

– Ale mamy słupki bramy teleportacyjnej – powiedział Winslade. – Można je rozstawić i wysłać posłańca. Byłbym nawet skłonny zgłosić się na ochotnika.

Parę osób rzuciło mu kwaśne spojrzenia, ale Drusus pokiwał głową.

– W porządku, proszę biec na szary pokład i spróbować teleportacji na Ziemię. Niech pan zabierze ze sobą spis zabitych i żyjących. Jeśli nie odezwiemy się przez rok, władze Hegemonii mogą założyć, że wszyscy zginęliśmy. Tylko proszę się pospieszyć, bo kiedy wrota się zamkną, teleportacja może się nie udać.

Ostatnie słowa powiedział już do pleców Winslade'a. Chudzielec robił się strasznie szybki, gdy czuł na karku oddech śmierci.

– To jak, naprawdę się wysadzimy? – zapytałem konwersacyjnym tonem.

– Nie mamy już głowic z antymaterią – odpowiedział z namysłem Graves. – Zostało kilka głowic jądrowych o niskiej mocy. Tyle będzie musiało wystarczyć.

– Przygotujcie je, ale proszę poczekać na mój rozkaz – polecił Drusus.

Graves zrobił rozczarowaną minę, ale był zbyt dobrym żołnierzem, żeby sprzeczać się z przełożonym. Opuścił mostek szybkim, pewnym krokiem. Teraz Drusus obrócił się w moją stronę. Po oczach poznałem, że chodzą mu po głowie nieprzyjemne myśli.

– Zrobię to, sir! – odezwałem się głośno.

– Jeszcze nawet nie powiedziałem, co to za misja.

– Bez znaczenia. Jestem odpowiednią osobą. Nadszedł moment, żeby postawić wszystko na jedną kartę.

– To prawda – przytaknął, zamyślony. – Zamierzam zorganizować atak na ich mostek.

– Hm, a czy ktokolwiek ma pojęcie, gdzie on może się znajdować?

– Nie – przyznał Drusus. – Nigdy nie widzieliśmy tak ogromnego okrętu. Cała Flota Bojowa 921, i mówię tu o tej dawnej flocie, nie dałaby mu rady.

Kilkukrotnie widziałem Flotę Bojową 921, zanim uległa zniszczeniu w Układach Centralnych. Ta monstrualna kula faktycznie załatwiłaby ją całą – tysiąc dwieście okrętów.

– Może spróbujemy zniszczyć zawiasy, sir – zaproponowałem. – Jeśli teraz wystrzelimy ze wszystkich dział, nie będą mogli zamknąć wrót, tak jak poprzednio.

– To rozsądna sugestia, McGill – odpowiedział Drusus – ale wątpię, czy ta sama sztuczka zadziała drugi raz. Wróg trzyma nas więzkami siłowymi. Nawet jeśli zostawimy otwarte wrota, i tak nie uciekniemy. A co gorsza, jak twoim zdaniem zareagują na coś takiego?

– Hm, pewnie nas rozwalą.

– Właśnie. A przecież wiemy, że potrafimy naprawić wrota. Zyskamy tylko tyle, że trochę uprzykrzymy życie wrogowi, a sami damy się zabić. Chcę ugrać więcej, jeśli to możliwe.

Osobiście byłem zdania, że to będzie całkiem imponujące, jeśli uda nam się w ogóle uszkodzić tego molocha.

– Chcę to rozegrać w następujący sposób – zapowiedział Drusus. – O ile nas od razu nie wysadzą, zamierzam wysłać na zewnątrz transportowca gotową do walki piechotę.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Myśli pan, że to zadziała?

– Może tak, może nie. Ale zrobimy to mimo wszystko. O ile wiemy, Skayowie lubią porywać istoty i zmieniać je w swoje sługi. Chyba dlatego wciągają nas do środka. Zawsze trudniej jest kogoś pojmać, niż zabić. Dzięki temu mamy okazję, żeby się odgryźć.

– Skoro mówimy o porywaniu... – mruknąłem, wskazując na wyświetlacze.

Wszechświat wokół nas pociemniał. Wszystkie gwiazdy zniknęły, gdy połknął nas gigantyczny okręt. Ogromne drzwi zaczęły się zamykać za nami, gdy tylko znaleźliśmy się w środku.

– Mamy jakieś uzbrojenie, prawda? – upewniłem się.

– Mamy, ale nie wiemy, gdzie je wycelować. To twoje zadanie. I nie tylko twoje, bo wyślemy na zwiad dziesiątki oddziałów.

– Yy...

– Wiem, że to nie brzmi obiecująco, ale nie mamy lepszych opcji. Wybierz garstkę najlepszych ludzi i zróbcie rekonesans. Znajdźcie odpowiedni cel do ostrzału.

– A wy co będziecie robić pod naszą nieobecność?

– Będziemy improwizować. Odwracać uwagę wroga. Stawimy zacięty opór i pozwolimy, aby wzięli do niewoli część z nas. W ten sposób zyskacie czas na namierzenie celów.

To brzmiało coraz gorzej z minuty na minutę. Nie miałem bladego pojęcia, jak można unieszkodliwić tak gigantyczną jednostkę – ale wiedziałem, że obcy nie pozwolą, żebyśmy zbyt długo ganiłi sobie beztrzesko po wnętrzu okrętu.

– Hmm, jak przebijemy się przez obrońców? – zapytałem z powątpiewaniem. – Pewnie wyślą na nas mnóstwo biegających i latających stworów. Otoczą nas...

– Bez wątpienia. Prawdę mówiąc, właśnie na to liczę. Bo widzisz, tym razem mam plan. Tak szalony, że sam mógłbyś na niego wpaść.

– Wykorzysta pan jeden z moich planów?

Uśmiechnął się szeroko, ale mnie wcale nie było do śmiechu.

Rozdział 49

Niecałą godzinę później znalazłem się w niefortunnym położeniu – do góry nogami i z tyłkiem w powietrzu w wyrzutni kapsuł desantowych. Rury wokół mnie zajmowali moi najbardziej oddani ludzie. Świetni żołnierze.

Ktoś mógłby zadać pytanie, po co wleźliśmy do urządzenia, które służy do wystrzeliwania legionistów z orbity. I pogratulowałbym temu komuś pomysłu, bo sam miałem podobne zastrzeżenia. Prawdę mówiąc, odkąd Drusus podzielił się ze mną swoim błyskotliwym pomysłem, dzieliłem się tymi zastrzeżeniami z każdym, kto chciał albo musiał mnie słuchać.

Jasne, to prawda, że znajdowaliśmy się wewnątrz okrętu tak wielkiego, że mógłby być planetoidą – jednak to była ograniczona przestrzeń. Ograniczona twardszym niż kamień kadłubem, o który można się rozbić na krwawą miazgę.

Poprawiłem się w podobnej do sarkofagu kapsule. Czekałem, aż się zacznie. Wydarzenia mogłem śledzić tylko za pośrednictwem stuka, którego sparowałem z wyświetlaczem hełmu. Pokazywały mi się głównie cyferki – odczyty ciśnienia, poziom gotowości żołnierzy i tak dalej. Nie dbałem o te pierdoły. Rozglądałem się uważnie za pośrednictwem kamer i próbowałem wypatrzeć stwory nasłane na nas przez Skayów.

Co ciekawe, przeciwnikowi wcale się nie spieszyło. W końcu Drusus stracił cierpliwość i postanowił, że to my wykonamy pierwszy krok. Z wnętrza „Legata” wymaszerowała cała kohorta żołnierzy. Składała się z samych lekkozbrojnych. Prawie nikt z nich nie miał pancerza. Nosili je tylko oficerowie i bombardierzy.

Zdaje się, że Drusus miał poczucie humoru – a może chodziło o dumę. Każda kompania maszerowała w szyku paradnym, a nad ich głowami powiewały sztandary. No, może słowo „powiewały” jest tu trochę na wyrost, bo atmosfera wewnątrz gigantycznej kuli była bardzo rozrzedzona. Tkanina zwisała luźno, ale i tak prezentowała

się wspaniale. Sztandary z wilczą głową i numerem kompanii trzymał najstarszy stażem podoficer w danym oddziale.

Żołnierze uformowali czworoboki i ustawili się wokół okrętu. Uśmiechnąłem się. Byli przynętą i pewnie zdawali sobie z tego sprawę.

Minęło pięć minut, a wrogowie nadal nie reagowali. Zdaje się, że jeszcze ich nie wkurzyliśmy. Wreszcie Drusus odezwał się do mnie na kanale prywatnym:

– To nie działa, McGill. Jak ostatnim razem udało ci się sprowokować wroga?

– Zaczęliśmy rozwalać różne rzeczy. To przykuło jego uwagę.

– W porządku.

Rozłączył się. Byłem zaskoczony, że w ogóle się ze mną skontaktował. Pewnie się denerwował.

Zobaczyłem jakiś ruch na ekranie przed twarzą. Obróciła się jedna z naszych wieżyczek. Gdy wystrzeliła serię, terkot działka dotarł do mnie nawet tutaj, w trzewiach okrętu. Prześledziłem wzrokiem trajektorię lotu pocisków. Wieżyczka celowała w pękatą wypustkę z metalu i szkła, która wisiała daleko od nas, wysoko nad wewnętrzną powierzchnią kadłuba. Przypominała element superstruktury okrętu i może tym właśnie była.

Bańka pękła. Wieżyczka obróciła się i wystrzeliła ponownie, chyba do kolejnej wypustki. Powtarzało się to przez jakieś dwie minuty. Dopiero wtedy doczekaliśmy się reakcji.

Zobaczyliśmy skłębioną armię wrogich istot. Dziwaczny widok. Gruby kadłub sferycznego okrętu był zaokrąglony jak wnętrze globusa. Materiał miał tak wysoką gęstość, że „Legat” trzymał się tej wewnętrznej powierzchni, która przyciągała nas równie mocno, co ziemski Księżyc. A okrążające nasz transportowiec wojska przeciwnika wyglądały jak mrówki chodzące po ściankach pustej butelki.

Obcy kłębili się teraz wszędzie wokół „Legata”. Wieżyczki obróciły się i wycelowały w nadchodzącą hordę. Zaczęły strzelać pociskami i wiązkami. Pierwsze szeregi przerzedziły się, ale przybywały kolejne istoty.

Do pechowych legionistów rozstawionych wokół transportowca dołączyła druga kohorta, a potem trzecia. Graves postanowił wysłać

ich do walki już teraz, zanim wszystko będzie stracone. Na moje oko to była beznadziejna walka, ale i tak żałowałem, że nie jestem na pierwszej linii, stojąc ramię w ramię z resztą legionu.

– McGill, teraz wasza kolej – odezwał się z głośnika Graves. – Ugnij kolana.

Ledwo zdążyłem zmienić ich położenie o parę stopni, gdy kapsuła została wystrzelona. Zwykle kapsuły desantowe wypadają z „brzucha” okrętu, ale tutejszy czerwony pokład był inny i pozwalał na zmianę kąta.

Uczucie było jednocześnie przerażające i ekscytujące. Widziałem, jak okręt znika, a ja zagłębiałem się w mglistą ciemność. Atmosfera wewnątrz kuli była cienka, ale nieprzejrzysta, pełna unoszącego się pyłu i czegoś w rodzaju sadzy. Moja rozpędzona kapsuła zostawiała w powietrzu płonące smugi.

Jak daleko poleciałem? Tysiąc kilometrów? Mniej więcej tyle. W końcu jednak kapsuła osiągnęła najwyższy punkt na łuku, po którym leciała – i zaczęła opadać w stronę kadłuba. Choć może i to było złudzeniem. Kiedy pocisk jest wystrzelony wewnątrz kuli, zakrzywiona powierzchnia prędzej czy później zacznie się do niego zbliżać. Z mojego punktu widzenia wyglądało to jak spadanie.

Kapsuła obróciła się i odpaliła silniki hamujące. Podłoże znów uderzyło mnie w podeszwy stóp. Szykowało się twarde lądowanie... tylko gdzie? Z tego sztucznego świata nie było ucieczki. Jedyne wrota, o których wiedziałem, zostały zamknięte.

Uwięziony i zdesperowany, leciałem Bóg wie gdzie do walki z Bóg wie czym.

Rozdział 50

Kiedy uderzyłem w coś twardego, zaćmiło mnie na chwilę. Może nawet na minutę.

– Sir? Centurionie McGill? – odezwał się głos.

Osoba była dość młoda, chyba rekrut. Poczulem, że ktoś mną potrząsa. Ocknąłem się z jękiem.

– On żyje!

– Wyciągnijcie go z kapsuły – polecił ktoś znajomy. – Utworzyć perymetr obronny. Ruchy!

Ten ostatni głos należał do Leesona. Ktoś wręczył mu widły i poprosił, żeby dołączył do mnie w piekle.

Dźwignęli mnie do pionu. Stałem o własnych siłach, ale się zachwiałem. Oparłem się o dymiący wrak, który przed chwilą był moją kapsułą desantową. Omiotłem go wzrokiem. Był cały powyginany.

– O kurde, dobrze, że są wytrzymałe – mruknąłem.

– Żołnierze z Varusa też są wytrzymali – dodał Leeson. – Dasz radę iść, człowieku? Jesteś z nami?

– Jestem.

– Dobrze. No to z powrotem obejmujesz dowodzenie.

Wyprostowałem obolałe plecy i rozejrzałem się. Strasznie kłuło mnie w karku. Migający na czerwono symbol systemu medycznego informował, że mam pęknięty kręg szyjny. W tej chwili niewiele mogłem na to poradzić, więc wyłączyłem ostrzeżenie.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytałem Leesona.

– Straciliśmy trzy osoby przy lądowaniu. Dwie są ranne, ale mogą walczyć. Tak jak ty.

– Nic mi nie jest. Wykreśl mnie z listy.

Leeson wzruszył ramionami.

– Dobra. Teraz jesteś zdrowy jak koń.

– Gdzie my, do cholery, jesteśmy? – zapytałem, rozglądając się z zaciekawieniem po strefie lądowania.

Spodziewałem się czegoś innego. Wyobrażałem sobie obszar przemysłowy, ale to bardziej przypominało gniazdo robali. Otaczały nas oślizgłe struktury z czegoś w rodzaju zaschniętej, półprzejrzystej wydzieliny. Ze stropu zwieszały się sopele zgęstniałej mazi.

– Wpadliśmy w jakieś gniazdo os – powiedział Leeson. – A przynajmniej tak to wygląda. Cholera wie, czemu przełożeni uznali, że to najlepsze miejsce na misję komandosów, ale co poradzisz?

– Racja – przytaknąłem odruchowo, sprawdzając sprzęt. Mój pancerz i uzbrojenie były w lepszym stanie niż ja sam. – Cooper, przeprowadź zwiad na dachu. A reszta rozproszyć się i przeszukać gniazdo.

Cooper stęknął z niezadowolenia, ale wspiął się po ścianie na wierzch owadziej konstrukcji. Poruszał się z taką łatwością jak mucha idąca po ścianie. Niskie ciążenie na pewno ułatwiało sprawę. Gdy znalazł się na górze, włączył maskowanie i zniknął przy jednej z dziur, które nasze kapsuły wybiły w stropie podczas lądowania.

– Meldować! – zawołałem do wszystkich zwiadowców.

– Nic tu nie ma – powiedział Cooper. – Widać tylko małą grupę skrzydlatych sukinsynów, ale daleko.

– Jak daleko?

– Czujnik pokazuje dwa kilometry.

Pozostali też się zgłosili. Najwyraźniej trafiliśmy do gniazda stworzonego przez latające istoty – te same, które napotkaliśmy przy pierwszej wizycie wewnątrz kuli.

Zgromadziłem wszystkich z powrotem w centralnej komorze.

– W porządku – powiedziałem. – Możemy rozwalić to miejsce, ale pewnie nikt się tym nie przejmie. Okręt jest ogromny, takich gniazd są tu pewnie tysiące.

– Może to tak naprawdę nie jest okręt – powiedział Cooper. – W sensie, że... może to raczej świat.

– Wyjaśnij, szybko – poleciłem.

– Takie mam wrażenie, sir. Te stwory tu żyją, ale nie służą jako załoga. Zaatakowały „Legata” dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy strzelać. To znaczy nie mówię, że to nie jest okręt, ale on jest czymś więcej. Wywróconą na lewą stronę planetą.

Zastanowiłem się nad tym. Pomysł był dziwaczny, ale pokrywał się z faktami. To miejsce było zdolne do podtrzymywania życia, ale nie zostało zorganizowane w sztywną hierarchię. Gigantyczny habitat był raczej oazą życia, która samodzielnie przemierzała kosmos.

– Ale tu musi istnieć jakaś załoga, jakiś kapitan – wtrącił się Leeson. – Ktoś kontroluje wrota i uzbrojenie. I te wiązki, które nas tu wciągnęły.

– Obaj macie rację. To miejsce działa jednocześnie jako okręt i jako habitat. To nam w pewnym sensie ułatwia sprawę. Mają tu gniazda i kolonie żywych istot, ale nie wielomilionową armię. Musimy znaleźć mostek. Miejsce, z którego ktoś steruje silnikami i uzbrojeniem.

– Gdziekolwiek on jest, na pewno nie tutaj – zauważył Cooper.

– Rzeczywiście – zgodziłem się. – Chodź ze mną z powrotem na dach.

– Mówiłem panu, że niczego tam...

– Ale już!

Zacząłem wspinać się przez otwór w suficie. W pancerzu miałem utrudnione zadanie – tak jakbym podciągał się na drążku, a ktoś ciągnąłby mnie za nogi. Tyle dobrego, że panowało tu niższe ciśnienie.

– Tak jest, sir, już idę! – odkrzyknął Cooper.

Gdy znaleźliśmy się na górze, poleciłem, żeby zarzucił na mnie swoją pelerynę. Maskowanie na niewiele się zdało na Ziemi, ale uznałem, że na pewno nie zaszkodzi. Ukryci pod tkaniną, rozejrzeliśmy się po tym nowym i dziwnym świecie.

– Tu jest inaczej – zauważyłem. – W głębi kadłuba jest nawet roślinność i coś w rodzaju gleby. I skądś dochodzi poświata.

– Nie ma roślin bez światła – stwierdził Cooper. – Ale nie widać niczego w rodzaju sztucznego słońca. Wydaje mi się, że ta poświata jest rozproszona. Może niektóre połączenia kadłuba emanują blask.

– Ciekawe. Co jeszcze zauważyłeś?

– Zdaje się, że obszar w pobliżu głównych wrót to martwa strefa – odpowiedział. – Kiedy się otwierają, próżnia zabiera ciepło i część powietrza. Myślę, że w pobliżu wrót jest pole siłowe, które zatrzymuje uciekające powietrze, ale nie w stu procentach.

– Racja. Teraz jesteśmy dalej od wejścia.

Trudno mi było uwierzyć, że wszystkie dziwaczne stwory, które napotkaliśmy, były mieszkańcami tego „świata”, na to jednak wyglądało.

Rozejrzałem się, wykorzystując przyrządy optyczne hełmu, aż w końcu zauważyłem coś ciekawego. Znajdowało się dość daleko, ale to był jedyny w zasięgu wzroku cel wart zbadania.

– Widzisz to? Jakaś wieża albo wzgórze?

– Jasne – odpowiedział. – Musi być wysokie jak Mount Everest.

Miał rację. Cokolwiek to było, u szczytu białał szron. Obiekt miał dziwny kształt, podobnie jak wszystko na tym świecie. Wydawał się częściowo organiczny, a częściowo sztuczny.

– No cóż, to największa struktura w zasięgu wzroku – stwierdziłem. – Może to coś jak latarnia morska, a może fabryka przenośnych kibli. Bez znaczenia, bo i tak nie mamy innego punktu zaczepienia. Idziemy tam.

– Tak jest – westchnął Cooper. – Włączę maskowanie i pójdę przodem.

Zabrał ze mnie pelerynę i zniknął. Choć był niewidzialny, wciąż widziałem wgniecenia, jakie pozostawiały jego buty na powierzchni gniazda. Straciłem go z oczu dopiero po kilkunastu krokach. Miałem nadzieję, że tutejsi kosmici nie będą w stanie go wypatrzeć z taką łatwością, jak tamte cyborgi na Ziemi. Stwierdziłem, że wkrótce się przekonamy.

– Oddział, szykować się! – zawołałem.

– Dokąd idziemy? – zapytał Leeson.

– Wypatrzyłem fajną knajpę, tylko dwadzieścia kilosów stąd. Ruchy!

Ruszyłem przodem. Co kilka sekund oglądałem się przez ramię. Za każdym razem czułem ostry ból w karku, ale nie umiałem się powstrzymać. Wyglądałem skrzydlatych bestii. Miałem nadzieję, że nie zniszczyły „Legata” i nie szukały niedobitków.

Rozdział 51

Szliśmy przez kilka godzin. Czasem natrafialiśmy na takie czy inne dziwadło. Zwykle nas ignorowały, tylko niektóre atakowały. Odpowiadaliśmy siłą i szybko je rozwalaliśmy.

– Czuję się jak w Serengeti – mruknął Leeson. – Co sto metrów widać jakiegoś dziwnego bawoła.

– Tyle dobrego, że są zaskoczone – odpowiedziałem. – Myślę, że póki jesteśmy w ruchu, nie będą próbowały nas otoczyć.

– Hej, centurionie – odezwał się Carlos, gdy dogonił mnie truchtem. – Chyba już wystarczająco długo jesteśmy na tym patrolu, nie sądzisz?

Leeson i ja spojrzeliśmy na niego.

– O co chodzi, specjalisto? – rzucił Leeson. Nie lubił, gdy pozwalałem Carlosowi się spoufalać. – Masz jakąś ważną radę do przekazania naszemu centurionowi? Chcesz go pouczać w sprawach dowodzenia?

Nawet taki cwaniaczek jak Carlos wiedział, kiedy lepiej odpuścić. Od razu zmienił ton.

– Spokojnie, sir. – Zwolnił, żeby iść za mną, a nie obok, po czym nachylił się i zniżył głos. – Hej, możemy poważnie pogadać? Zabiliśmy już więcej niż kilku tych drani.

– Dlatego że wystrzelili nas do pustego gniazda os! – odpowiedział Leeson.

– Właśnie. To nie nasza wina, ale to nieważne. Mamy przerąbane. Z „Legata” pewnie został tylko wrak, a reszta legionu została przerobiona na karmę dla tych stworów.

Rysy Leesona stężały, ale nie rozkazałem Carlosowi się zamknąć. Przecież wiedziałem, że może mieć rację.

– Masz coś konstruktywnego do powiedzenia, specjalisto? – zapytałem.

– Tylko to, że powinniśmy skontaktować się z transportowcem. Lepiej wiedzieć, co się stało.

Zatrzymałem się i wbiłem w niego wzrok.

– Te istoty słyszą nasze sygnały – powiedziałem. – Musiałeś to już zauważyć. Jak tylko przerwiemy ciszę radiową, zbiegną się tu wszystkie i nas załatwią.

– Pewnie tak. Ale jeśli Graves jeszcze się broni, może będzie lepiej, jeśli spróbujemy wrócić. A jeżeli już zginął razem z pozostałymi, to i tak mamy przerąbane. Siedząc cicho, tylko odwlecemy to, co nieuniknione.

– Tyle że ja lubię odwlekać to, co nieuniknione – zaproponowałem. – Zwłaszcza gdy tym czymś jest makabryczna śmierć.

– Słuchaj – powiedział Carlos. – Ja też nie chcę, żeby mnie przerobili na mięso mielone i wcisnęli do pancerza. Nikt tego nie chce.

Leeson zarechotał wrednie.

– Jesteś pewien, chłopcze?

Carlos nie dał się sprowokować.

– Chodzi o to – kontynuował – że nigdy nie wespniemy się na górę wielką jak Olympus Mons. Zwyczajnie nam się to nie uda.

Nie spodobało mi się to, co usłyszałem. To był defetyzm. Choć, z drugiej strony, Carlos miał sporo racji. Pomyślałem, że jeśli teraz skontaktujemy się z „Legatem”, albo nas uratują, albo dostaniemy nowy cel, albo przynajmniej szybko zginiemy.

Zastanawiałem się przez parę minut. W końcu pokręciłem głową.

– Idziemy dalej. Mniej gadania, więcej maszerowania.

Przybity Carlos zwolnił i dołączył do idących z tyłu podoficerów.

Szliśmy przez kolejnych parę godzin. Prądu, powietrza i wody mieliśmy pod dostatkiem, bo zapasy dało się uzupełniać, pobierając je z otoczenia. Jednak głównym ograniczeniem była żywność. Wiedziałem, że to ona skończy się jako pierwsza. A wtedy umrzemy z głodu – chyba że zdecydujemy się jeść tkankę mięśniową scyborgizowanych poczwara.

Podczas jednego z postojów wpadłem na pomysł. Przedyskutowałem go z Kivi, naszą techniczką.

– Tak, potrafię to zrobić – powiedziała. – Napiszę skrypt dla brzęczyka.

Ruszyliśmy dalej. W Świecie Pancerza nie było dnia ani nocy, więc robiliśmy sobie przerwy na jedzenie i odpoczynek, gdy po prostu nasza ochota. Krajobraz wyglądał ponuro, ale coraz bardziej

naturalnie. Przypominał pustynię. Rosły tu sucholubne, kolczaste rośliny, były kamienie i kości – mnóstwo kości. Po pewnym czasie zrozumieliśmy, że zwierzęce części cyborgów umierały i rozkładały się, napędzając tutejszy ekosystem.

– Ohyda – mruknął Carlos. – Idziemy po glebie, która powstała ze zgniłego mięsa i gówna.

– Zamknij gębę – warknął Leeson. – Oceany są pełne rybich szczyn, a każda drobina ziemi uprawnej przeszła przez flaki jakiegoś zwierzęcia. Jesteś biosem, do kurwy nędzy. Powinieneś wiedzieć takie rzeczy.

Po tym Carlos już się nie odzywał.

– Dobra, Kivi – powiedziałem jakąś godzinę później. – Już czas?

– Tak, brzęczyk wystartuje za chwilę. Pozaczepiam nas.

Zebraliśmy się wokół i połączyliśmy swoje pancerze. W ten sposób dzieliliśmy się energią i danymi, a także mogliśmy widzieć ten sam strumień wideo ze stuka Kivi.

Brzęczyk przebudził się i wzbił w powietrze, po czym pomknął w stronę „Legata” i wysłał wiadomość. Z początku nie było reakcji. Jednak po jakimś czasie zobaczyliśmy twarz Gravesa.

– To nieautoryzowana transmisja – oznajmił. – To niezwykle ważne, żeby wszystkie patrole utrzymały ciszę radiową.

Moi ludzie wydali radosny okrzyk. Nie byliśmy sami i jeszcze nie utknęliśmy w tej wielkiej kuli. Tymczasem Graves spoglądał w ekran z grymasem niezadowolenia. Dopiero po chwili zorientował się, że nie jesteśmy kompletnymi kretynami i że wysłaliśmy wiadomość za pośrednictwem drona, któremu kazaliśmy się najpierw oddalić.

– Oddział McGilla, mogłem się domyślić. Nadal żyjemy, choć niewiele brakowało. Odparliśmy pierwszy atak, ale nasi eksperci od obcych twierdzą, że przeciwnik zbierze większe siły i uderzy ponownie ciągu dwudziestu godzin. – Na moment spuścił wzrok i westchnął. – Jeśli chcesz iść dalej, proszę bardzo. Jeśli wolisz wrócić, też możesz. Spłynęły raporty, ale nie dostaliśmy żadnych dobrych wieści. Walczymy z wrogiem o rozmiarach planetoidy, a mamy tylko jeden legion. To tak, jakby ktoś próbował zabić dinozaura pinezką. Tylko go wkurzymy. Cokolwiek postanowisz, powodzenia. Bez odbioru.

– Ja pierdolę! – wykrzyknął Carlos. – Nigdy nie widziałem Gravesa tak przybitego. Wie, że już po nas. Po prostu wie.

Leeson wstał i kopnął go w tyłek. Szkoda, że nie było z nami Moller, ale zginęła przy lądowaniu. Ona umiałaby zadbać, żeby trzymał język za zębami.

Podszedł do mnie Cooper.

– Jaki jest plan, centurionie? – zapytał.

Podniosłem wzrok. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa.

– Jest kiepsko – odpowiedziałem szczerze. – Zorganizuję głosowanie. Albo idziemy dalej w stronę góry, albo wrócimy, żeby zginąć przy „Legacie” razem z resztą legionu.

Wszyscy wystawili kciuki. To była tradycja stara jak Rzym. Kciuk w górę albo kciuk w dół. Tylko ja nie głosowałem.

Gdy wszyscy wyrazili już swoje zdanie, byłem zaskoczony. Mniej więcej dwie trzecie postanowiły wrócić. Wstałem, górując nad siedzącymi.

– Dwie sprawy – oznajmiłem. – Po pierwsze, jestem rozczarowany, że obecnie mamy w swoich szeregach tylu tchórzy. Czym jest paskudna śmierć dla żołnierza z Varusa? Niczym!

– A po drugie, centurionie? – zapytał Cooper.

– Po drugie, to nie demokracja. Liczy się decyzja tylko jednego człowieka. Moja, czyli waszego dowódcy. Wstawać, idziemy do tej zasranej góry.

– Tak podejrzewałem – mruknął Cooper.

Zauważyłem, że ktoś wsunął mu do ręki garść kredytów. Cooper doskonale mnie znał i obstawiał, że tak będzie.

Ludzie, narzekając, zebrali się i podążyli za mną. Wiedziałem, że to dobrzy żołnierze, tylko czasem potrzebują kopa w tyłek.

Rozdział 52

Nie dotarliśmy do góry. Naprawdę się staraliśmy, ale wrogowie nas dogonili. Wysłali siły, z którymi nie mogliśmy się mierzyć.

– Sir! Czołgi! – krzyknął Cooper.

Zobaczyłem jego ślady, gdy zbiegał po zboczu wzniesienia. Do tej pory próbowaliśmy być jak najmniej widoczni, dlatego trzymaliśmy się dolin i wąwozów, które biegły wzdłuż koryt wyschniętych rzek.

Wkrótce zobaczyłem wroga. Faktycznie, to były czołgi. Gigantyczne. Może nawet większe niż tamte na planecie Pegazów.

– Nie biegnijcie! – rozkazałem. – Tych maszyn nie prześcigniemy. Wyciągają spokojnie pięćdziesiąt na godzinę. Zająć pozycje na grzbiecie wzniesienia!

Ludzie wbiegli po zboczu i zatrzymali się na granicy wąwozu. Stamtąd mieliśmy dobry widok na to, co jechało w naszą stronę.

– Człowieku, już po nas – jęknął Carlos. – Ja pierdzielę, jesteśmy martwi. To już nawet nie jest zabawne.

Nikt nie zaprzeczył.

– Bombardierzy, mądrze wybierzcie sobie pozycje – rozkazałem. – Decyzję zostawiam wam. Unieszkodliwcie oczy, które celują z wieżyczek. Kiedy wróg znajdzie się w zasięgu, wyślijcie im taką dawkę promieniowania, która oślepi wszystko w promieniu pięciu metrów.

Pomógł fakt, że sam kiedyś byłem bombardierem. Znałem ich sprzęt i jego możliwości. Rzygacz to nie był prosty kawałek uzbrojenia, we wprawnych rękach potrafił być bardzo wszechstronny i skuteczny.

Nasi dwaj bombardierzy ustawili maksymalny rozrzut wiązki i zgodnie z poleceniem wybrali sobie dobre pozycje. Poczuję dumę, że przyszło mi dowodzić tak świetnymi żołnierzami. Wszyscy szykowali się do walki, jak na profesjonalistów przystało. Piękny widok.

Oczywiście mieliśmy kompletnie przesrane i każdy o tym wiedział, ale i tak byliśmy gotowi.

Zobaczyłem obok siebie obłoczki kurzu wzbijanego butami.

– Dobrze wiedzieć, że nie uciekłeś, Cooper.

– Nie ma lepszego miejsca niż obok pana, sir.

Czołgi rozproszyły się. Było ich siedem. Jeśli wierzyć czujnikom, każdy wysoki na sześć metrów.

– Myśli pan, że nas widzą? – zapytał Cooper.

– Tak.

– Więc już przegraliśmy, prawda?

– Na to wygląda.

Basowy pomruk silników przybierał na sile. Gąsienice obracały się, wyrzucając w górę tumany kurzu. Przy maksymalnym zbliżeniu widziałem już gałki oczne, za pomocą których maszyny celowały ze swoich licznych wieżyczek. Te ślepia najwyraźniej nigdy nie mrugały. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi.

– To był zaszczyt z panem służyć, McGill – powiedział Cooper. – I zawsze chciałem przeprosić za to, że z początku byłem takim chujem.

– W Izbie Werbunkowej?

– Tak. I trochę później też.

Roześmiałem się.

– Jesteśmy kwita, młody. Nie zapominaj, kto zwerbował cię do Varusa.

Przez chwilę milczał.

– Faktycznie. To przez pana tu jestem. Po jaką cholere w ogóle przepraszam?

– Bo jesteś głupkiem. A teraz skup się na tym, co tu i teraz. Wal do tych ślepi, tylko celnie.

Wkrótce rozległy się pojedyncze wystrzały z trachów. Czołgi wciąż były kilometr od nas, a gałki oczne stanowiły ruchome cele, nie większe od melona. Żołnierze potrzebowali sporo szczęścia, żeby trafić, ale niektórym się udało.

Przy odległości ośmiuset metrów zaśpiewały rzygacze. Szerokie wiązki na chwilę zasłoniły wszystko i oślepiły parę wieżyczek. Wróg zmienił taktykę. Dwa czołgi wciąż jechały prosto na nas, a reszta ukryła się za nimi, tworząc dwie kolumny. Tych z tyłu nie mogliśmy trafić, jednak tym na czele daliśmy popalić. Zanim do nas dotarły, na przedniej krzywiźnie nadwozia nie ocalało nic organicznego.

– Czemu nie strzelają? – zapytał Cooper.

– Nie pytaj, tylko wal do nich.

Gdy czołgi dojechały do wąwozu, rozpędziły nas jak spłoszone króliki.

– Niech przejadą nad nami! – krzyknąłem. – Padnijcie na ziemię, nie dajcie się zmiażdżyć!

Mój rozkaz na nic się nie zdał. Trzech ludzi natychmiast zginęło pod gąsienicami. Wśród nich był Carlos. Pozostałe czołgi otoczyły moich żołnierzy i zatrzymały się, celując do nas z wieżyczek.

Moim ludziom nie brakowało odwagi, trzeba im to przyznać. Dalej strzelali w wielkie gałki oczne. Wróg miał zaraz przerobić nas na mielonkę, ale oni chcieli najpierw zadać mu jeszcze trochę bólu.

– ...przestańcie... – powiedział jakiś donośny głos.

Wydawało się, że to sam Wszechmogący do nas przemawia. Ale nie, to nie był Bóg, tylko czołgi. Mówiły wszystkie razem, jednym głosem.

– ...zaprzestańcie uszkodzeń...

Spojrzeliśmy po sobie.

– Co robić, centurionie? – zapytał Leeson.

– Yy...

Większość moich ludzi zamarła i przestała strzelać, ale jeden z bombardierów ani myślał nie zdejmować palca ze spustu i spalił kolejne skupisko ślepi. W odpowiedzi huknęło jedno działo. Z tej odległości dźwięk był ogłuszający. Bombardier zniknął. Nie został po nim żaden ślad oprócz wypalonego w ziemi zagłębienia.

– Wstrzymać ogień! – krzyknąłem do paru pozostałych, którzy jeszcze strzelali.

– One chcą nas po prostu zeżreć – mruknął nieszczęśliwym głosem Leeson.

– Pewnie tak. Powtarzam, wstrzymać ogień!

Tkwiliśmy w ciszy, przykucnięci, wpatrzeni w górujące nad nami maszyny. Czołgi były przerażające pod każdym względem. Tak obce. Tak potężne. Pozbawione litości i nieczułe na ból.

– Czego chcecie? – zawołałem przez tubę ułożoną z dłoni. – Pogadać?

– Nie wolno wam mnie dalej uszkadzać. Jesteście skażeniem. Błędem.

– Yy, czy mam przyjemność rozmawiać z dowódcą Skayów? – zapytałem.

Czołgi przez chwilę milczały, a potem odpowiedziały, znów jednym głosem:

– Wszyscy Skayowie są dowódcami. Wszyscy Skayowie władają swoim środowiskiem. Zakłóćcie moje procesy trawienne bez żadnego celu.

– Hmm... – mruknąłem z namysłem.

Opuściłem karabin i zerknąłem na Leesona.

– Mnie nie pytaj. – Wzruszył ramionami. – Podrywanie obcych to twoja działka, McGill. Zapytaj, czy to facet, czy babka. Jak ci się poszczęści, tym razem będziesz robił za dziewczynę.

Jego sugestia nie była szczególnie pomocna, więc znów zwróciłem się do groteskowych istot, które nas otaczały:

– Zabierzcie nas do swojego przywódcy. Do kapitana tego gigantycznego okrętu. Mam dla niego prezent.

– Twoje słowa są niemal pozbawione znaczenia. Jesteście nieudanymi istotami. Zaprzestańcie swoich działań i poddajcie się mojej woli.

– Brzmi jak dupek, czyli jak typowy Galaktyk – mruknął Leeson.

Jego uwaga podsunęła mi pewien pomysł.

– Rzeczywiście, jesteśmy irytujący – powiedziałem. – Ale chyba przyznasz, że świetnie walczymy? Służymy Imperium. Jesteśmy egzekutorami na rozkazach Mogwa, ale chyba możemy służyć wam.

– Co jest, do kurwy nędzy? – zdziwił się Leeson. – McGill...?

Uciszyłem go machnięciem ręki. Czołgi przez chwilę milczały.

– Nie jesteście dobrymi niewolnikami, jeśli tak ochoczo porzucacie swoich panów.

– Nieprawda! – krzyknąłem. – My służymy Imperium. Jeśli tą prowincją legalnie rządzą teraz Skayowie, w takim razie służymy Skayom. To nie jest zdrada. Tak naprawdę to nawet nie jest nasza decyzja.

Czołgi namyślały się przez chwilę. Przyznam, że z nerwów ciekła mi po plecach strużka potu. Często tak było, gdy przekraczałem granicę, której przekroczenia wcześniej nawet nie rozważałem. Moi żołnierze patrzyli po sobie, niecierpliwie rozluźniając i zaciskając palce na broni. Trudno. Nie było już odwrotu.

– Macie niewiele do zaoferowania. Nie potrafilibyście roztrzaskać nawet jednego Skaya, a w Układach Centralnych są nas tysiące.

– Na pewno masz rację, ale czy nie byłoby miło, gdybyście nie musieli tu ciągle przylatywać na patrol? Stacjonuje tutaj tylko garstka okrętów Mogwa. To my jesteśmy siłami porządkowymi Rubieży 921. Zastępujemy garnizon. Wiernie służymy naszym panom, niezależnie od tego, kim są.

Maszyny znów milczały przez dłuższą chwilę. Potrzebowały czasu do namysłu czy raczej dyskutowały między sobą? A może ich urządzenie tłumaczące było niedoskonałe?

W trakcie tej przerwy zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem. „Nie potrafilibyście roztrzaskać nawet jednego Skaya”. Nie rozumiałem tego. Czyżby słowem „Skay” nazywali te wielkie okręty?

Czołgi zaczęły się poruszać bez najmniejszego ostrzeżenia. Otoczyły nas ściślejszym okręgiem i wymierzyły działa. Niektóre wieżyczki były pozbawione oczu, ale i tak celowały z dużą precyzją. Dotarło do mnie, że są ze sobą połączone i wymieniają się informacjami. Bardzo się staraliśmy je oślepić, ale dopóki zostało im choć kilka gałek ocznych, nasze wysiłki były daremne.

– Rozważyłem wasze słowa. Nie jesteście bezużyteczni, ale najpewniej staniecie z powrotem po stronie Mogwa, gdy ich flota odbije prowincję. Z tego powodu jesteście zbyt niegodni zaufania, żeby służyć potężnym Skayom.

– Chwila! – zawołałem. – Mamy dla was inny, dużo cenniejszy prezent!

Czołgi znieruchomiały, a my oblaliśmy się potem. Nie miałem pojęcia, czy to nie są ostatnie sekundy mojego życia. Bo śmierć tutaj, we wnętrzu gigantycznego okrętu Skayów, byłaby permanentna. Nikt nigdy by nas nie znalazł i nie postanowił wskrzesić.

Tym bardziej że niedługo później pewnie zginęłaby cała ludzkość.

Rozdział 53

Tym razem Skay rozważał moją propozycję bardzo długo. Leesonowi zaczęło odbijać z niecierpliwości.

– McGill! – syknął.

– Zamknij się.

– Centurionie? A co, jeśli on się namyśla, co z nami zrobić? Lepiej, żeby nas rozwalił tu i teraz.

Popatrzyłem na niego. Możliwe, że miał rację.

– Śledził nasze ruchy od samego początku. – Adiunkt nakręcał się coraz bardziej. – Chciał pozyskać nasze tkanki i zrobić nowe stwory. Może twoje jaja skończą jako amortyzatory w jednym z czołgów!

– Zamknij się – powtórzyłem.

Tym razem na szczęście zadziałało. Po paru chwilach czołgi wreszcie przemówiły.

– Zaciekawiała mnie twoja propozycja. To intrygujący test behawioralny. Czy jesteście prostymi istotami skłonnyymi do oszustwa z desperacji? Czy może jesteście czymś bardziej użytecznym?

Skay mówił teraz szybciej i wyraźniej. Czyżby przyswajał nasz język w tak szybkim tempie? Jeśli tak, to ta sztuczna inteligencja była więcej niż imponująca. Była przerażająco bystra.

– Zapewniam, panie Skay, że ludzie są bardzo przydatni – powiedziałem ostrożnie. – Służyliśmy Mogwa przez długi czas. Znamy sekrety waszych rywali.

– Przekaż mi je natychmiast.

– Yy, nie tutaj, proszę pana. Ten sekret został na naszym okręcie.

Minęło kolejnych dziesięć sekund. Leeson wiercił się, jakby miał pełny pęcherz.

– Przemieścimy się do tego miejsca. Jednak wasi sprzymierzeńcy muszą przestać strzelać do moich dzieci. Jeszcze nie ustaliłem, jak ich powstrzymać, nie ponosząc znaczących strat. Być może wy mi w tym pomożecie.

– Jasne, że tak!

Czołgi z chrzestem wielkich gąsienic ruszyły w stronę „Legata”. Pobiegliśmy truchtem, ale wkrótce nas wyprzedziły. Jeden z czołgów zawrócił i zapytał z wyrzutem:

– Zwlekacie, żeby jak najbardziej wydłużyć swoje istnienie?

– W sumie tak, ale wcale nie dlatego zostaliśmy w tyle. Po prostu ludzie nie potrafią przemieszczać się szybciej bez użycia pojazdów.

– Rozczarowujące. Szanse na niepowodzenie tego eksperymentu właśnie wzrosły o dziewięć procent.

– Mam pomysł. Może pozwolicie, żebyśmy wspięli się na kadłuby waszych maszyn albo weszli do przestrzeni na amunicję? Wtedy będziecie mogli jechać z maksymalną szybkością.

Nastąpiła kolejna przerwa.

– Panu chyba odbiło, McGill – poskarżył się Cooper. – Nie chcę włączyć do środka!

Nawet się nie rozejrzałem, bo zwiadowca z pewnością był niewidoczny.

– Nie wpuszczę was do wnętrza ciał moich dzieci – odpowiedział głos. – Jednak możecie jechać na ich grzbietach.

Czołgi stały nieruchomo. Nabrałem powietrza. Miałem świadomość, że sam muszę wykonać pierwszy krok. Wspiąłem się po boku pojazdu. Między płytami pancerza widziałem skórzastą, owłosioną tkankę pokrytą naroślami, ale nie zadrżałem z przerażenia i odrazy. Stałem na dachu – czy może raczej grzbiecie – czołgu i rozkazałem swoim ludziom zrobić to samo. Wiele osób marudziło albo klęło pod nosem, jednak wszyscy wdrapali się na pojazdy i złapali czegoś.

– Pan jest, kurwa, genialny – szepnął Cooper. – Wrócimy do „Legata” na tych wielkich, durnych stworach, a potem je rozwalimy, prawda? Jestem pod wrażeniem.

Nie odpowiedziałem. Raz, że nie chciałem narażać go na wykrycie, a dwa, że czołg przestałby nam ufać, gdyby nas usłyszał.

Ruszyliśmy. Początkowe szarpnięcie strąciło jednego z żołnierzy na ziemię, gdzie sekundę później rozjechał go kolejny pojazd w kolumnie. Wzruszyłem ramionami i popatrzyłem w przód. Wiedziałem, że ryzyko jest wielkie i że nie ma sensu oplakiwać jednego żołnierza. Mój plan mógł zadziałać, ale mógł też kompletnie nie wypalić, a wtedy i tak było po nas.

– Trzymajcie się mocniej – poleciłem reszcie.

Niepotrzebnie. Uczepili się jak kot firanki.

Podróż trwała jakieś dziesięć minut, choć mieliśmy wrażenie, że znacznie dłużej. W końcu pojazdy się zatrzymały.

– Do „Legata” zostało jeszcze parę kilometrów – przypomniałem.

– Ostrzelają nas, jeśli się zbliżymy.

– Czemu po prostu nie zniszczyliście naszego okrętu? – zapytałem.

– Kwestionujesz moje decyzje? Jesteś bardzo niepokornym niewolnikiem.

– Aha, rozumiem – odpowiedziałem. – Boisz się. Odczuwasz ból. Drobne obrażenia wystarczą, żeby cię przepędzić. Dobrze wiedzieć.

Czołg obrócił w moją stronę wieżyczkę wraz z kilkoma gałkami ocznymi. Trudno stwierdzić, czy do mnie celował, czy raczej mierzył mnie wzrokiem.

– W umysłach Skayów nie istnieje tchórzostwo. Dokonujemy obliczeń, a później opracowujemy optymalną sekwencję działań zgodnie z logiką.

– No tak, to samo gadają tchórze na naszej planecie. Czemu w ogóle przylatywaliście do Rubieży 921, skoro boicie się zranienia? Myśleliście, że nas pokonacie bez jednego draśnięcia?

– Ja pierdołę, McGill – syknął Cooper. – Może go nie wkurzajmy, co?!

Olałem zwiadowcę i czekałem na odpowiedź. Czołg jednak milczał przez dłuższą chwilę, a gdy się odezwał, jego słowa mnie zaskoczyły.

– Masz rację, nie spodziewałem się, że doznam obrażeń. Wasze uzbrojenie okazało się niespodziewanie zaawansowane. Mogwa chyba postradali rozum, skoro wyposażają prowincjonalne gatunki w broń opartą na teleportacji.

– Nie wyposażają – odparłem. – Sami ją wymyśliliśmy.

– W takim razie jesteście współwinni tego naruszenia zasad. Ale to nadal również ich odpowiedzialność, ponieważ to oni wami rządzą.

– Panie Skay, próbowałem połączyć się z okrętem. – Uznałem, że najwyższa pora na zmianę tematu. – Ale nie mogę. Przestańcie zakłócać nasze transmisje radiowe, a wtedy z nimi pogadam.

– Oszukacie mnie. Wykorzystacie sygnał do naprowadzenia rakiet.

– W normalnych warunkach rozsądnie byłoby tak zrobić – zgodziłem się. – Problem w tym, że nie możemy samodzielnie

opuścić tego miejsca. Poza tym nie damy rady zniszczyć wszystkich czołgów i pozostałych istot. Dlatego musimy się dogadać, żeby stąd uciec.

– Nic, co wleci przez usta Skaya, nie opuści jego wnętrza niezmiennie.

Zamrugalem ze zdumienia. Istota nazwała gigantyczne wroga ustami. „Ustami Skaya”. Nagle mnie olśniło. Z perspektywy czasu to mogło wydawać się oczywiste i część żołnierzy pewnie już się tego domyśliła, słuchając naszej rozmowy. Ta sfera o rozmiarach planetoidy... Ona cała była wielkim, pojedynczym Skayem. Cała.

Okręt kosmiczny, żyjący świat i sztuczna inteligencja – wszystko w jednym.

– Nie miałem pojęcia, że istnieje rodzaj tak ogromnych Galaktyków – powiedziałem, szukając potwierdzenia dla swojego przecucia. – Czy odczuwasz ból, gdy strzelamy raketami w twój kadłub? Jesteś żywy?

– Twoje pytania są absurdalne. Gwiazdny pył nie odczuwa bólu. W moim umyśle aktywują się procesy, które sprawiają, że żałuję swoich decyzji, gdy sprawy przybierają niepożądany obrót, ale na tym koniec. A teraz, człowieku, skontaktuj się z okrętem. To robi się nużące.

Połączyłem się z „Legatem” za pośrednictwem stuka. Po jakichś dwudziestu sekundach zgłosił się Graves. Wydawał się poirytowany.

– McGill? Co ja ci mówiłem o transmisjach? Macie zachować ciszę radiową i jakiegokolwiek...

Urwał, gdy wreszcie zauważył widoczne za moimi plecami wieżyczki, lufy i gałki oczne.

– Co jest, do cholery?

– Primusie, chciałbym przedstawić panu dziecko naszego gospodarza, Skaya. Nasz nowy przyjaciel jest Galaktykiem i chciałby porozmawiać. Czy możemy się zbliżyć? Nie ostrzelacie nas?

– McGill... W życiu nie spotkałem takiego szaleńca jak ty. Mamy siedzieć z założonymi rękami, gdy czołg wroga będzie podjeżdżał pod sam transportowiec?

– Właśnie o to proszę. Już panu wyjaśniam, sir. Jesteśmy uwięzieni wewnątrz tej istoty zwanej Skayem. Ale udało mi się z nią

zakumplować, więc myślę, że uda nam się zawrzeć z nią układ podobnie jak kiedyś z Mogwa.

Graves nie odpowiedział od razu. Ekran zgasł. Pewnie primus naradzał się z Drususem. Znów zacząłem się pocić, choć wcale nie było gorąco.

– Zaczynam tracić cierpliwość – oznajmił Skay. – Teraz moduły trawiące pojazdów was przetworzą. Proszę zejść z ich grzbietów i ustawić się w pobliżu otworów gębowych.

– Yy...

Czołg wydał nieprzyjemny dźwięk. Przesuwały się płyty jego pancerza – pewnie odsłaniając jakąś szkaradną paszczę gotową, by nas pochłonąć.

– Graves! – zawołałem do stuka. – Marnujemy cenny czas pana Skaya, sir!

Wreszcie z powrotem pojawił się na ekranie. Wyglądał na wkurzonego.

– Niech twoi nowi koledzy podjadą bliżej. Ale jeśli otworzą ogień, spalimy was wszystkich.

– To bardzo miłe z pana strony! – skłamałem. – Podoba mi się pańska gościnność.

Pojazd ruszył naprzód. Wjechaliśmy na wzniesienie, z którego w oddali zobaczyłem „Legata”. Z każdym przebytym kilometrem stresowałem się coraz bardziej. Wiedziałem, że czekają mnie negocjacje, które wystawią na próbę wszystkie moje zdolności dyplomatyczne. A nawet wtedy będę potrzebował mnóstwo szczęścia.

Rozdział 54

Czołgi zbliżyły się do stojącego na podłożu transportowca, śledzone przez wszystkie wieżyczki „Legata”. Pojazdy nie pozostawały nam dłużne i one też nieustannie celowały do okrętu w pokazie obustronnej nieufności.

Naprawdę rozważałem, czy nie powiedzieć Gravesowi, żeby otworzył ogień. To byłoby całkiem imponujące, gdyby strzelcom na pokładzie udało się szybko załatwić czołgi, unikając poważnych uszkodzeń okrętu. A jednak odrzuciłem ten pomysł. Teraz rozumiałem, że nie ma sensu walczyć z pojedynczymi pojazdami. Świat Panczerza był pełen podwładnych Skaya. Garstka czołgów nic dla niego nie znaczyła. Prędzej czy później zmiażdżyłby nas jak robactwo.

Dlatego dotrzymałem słowa. Gdy się zatrzymaliśmy, zszedłem z pojazdu na czele kolumny i ruszyłem w stronę rampy. W zasięgu wzroku nie było nikogo z załogi. Żołnierze za moimi plecami też zaczęli zeskakiwać na ziemię, ale ich powstrzymałem.

– Zaczekajcie, wy zostajecie z czołgami. Wszyscy jesteście zakładnikami.

Posłuchali i zostali pod czujnym okiem obcych istot, choć miny mieli bardzo ponure. Tymczasem zacząłem wchodzić po rampie. Usłyszałem za sobą wredny rechot Coopera.

– Ale z pana zimny drań, McGill. Rozwali pan ich wszystkich razem?

– Nie.

Miałem ochotę rozkazać, żeby dołączył do pozostałych, ale tego nie zrobiłem. Nikomu nie robił krzywdy, uciekając w bezpieczniejsze miejsce.

Przy wejściu czekali na mnie Graves i Drusus. Wydawali się spięci i zdenerwowani. Graves stracił rękę tuż poniżej łokcia, ale nie dopytywałem o szczegóły. W legionach wszystkie urazy były tymczasowe.

Odezwał się Drusus:

– McGill, powitałbym cię z powrotem na pokładzie, ale to chyba byłoby nie na miejscu. Czemu sprowadziłeś tu oddział Skayów?

– To nie są Skayowie, sir – odparłem. – Widzi pan, cała ta wywrócona na lewą stronę planeta jest pojedynczym Skayem.

– Mówisz o tym okręcie?

– Zgadza się. Niektórzy Galaktycy nie są biologicznymi istotami, tylko maszynami. Sztuczną inteligencją. Jedną z takich frakcji są Skayowie. To rasa gigantycznych okrętów kosmicznych albo planet, albo księżyców... Jakkolwiek by nazwać to, w czym jesteśmy uwięzieni.

Drusus był zdziwiony, ale szybko się w tym połapał.

– Rozumiem. To wyjaśnia kilka spraw. W tych czołgach pewnie jest ukryty komputer. Rozmawiałeś z nim?

– Rozmawiałem ze Skayem za pośrednictwem czołgów.

– Czemu chciał z tobą mówić? – zapytał Graves, mrużąc oczy. Zrobił taki ruch, jakby chciał skrzyżować ręce na piersi, ale zapomniał, że stracił przedramię i dłoń.

– To dla mnie zagadka – odpowiedziałem szczerze. – Myślę, że odezwał się, bo byliśmy wkurzający i chciał nas wchłonąć.

Graves spojrzał na mnie tak, jakby podejrzewał, że to właśnie zrobił ze mną Skay. Stwierdziłem, że jeśli ktoś tu będzie myślał racjonalnie, to tylko Drusus. Zwróciłem się do niego:

– Zawarłem z nim umowę. Powiedziałem Skayowi, że jeśli przyprowadzi nas z powrotem do „Legata” i pozwoli nam odlecieć, dostanie od nas coś potężnego.

Drusus zaśmiał się uprzejmie.

– Typowy McGill. Kłopot w tym, że nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby zainteresować tego potwora. Chyba że mamy mu sprezentować własne tkanki. Na taki układ się nie piszę.

– Chwileczkę, przecież mamy coś na wymianę – powiedziałem. – Powiedziałem Skayowi, że dysponujemy bronią. Potężną bronią przeciwko Mogwa.

Popatrzyli na mnie z konsternacją. Graves zrozumiał jako pierwszy.

– Zapomnij, McGill. – Pokręcił głową. – Nie zrobimy tego. Prędzej spróbujemy wyrwać się stąd siłą.

– Czy już tego nie próbowaliśmy? – Wskazałem ruchem głowy w stronę odległej, skręconej jak sprężyna wieży. Uszkodziliśmy ją przy naszej pierwszej wizycie we wnętrzu Skaya. – Mechanizm nieźle oberwał, ale usta są nadal zamknięte.

– Usta? – zapytał Drusus.

– Skay tak nazywa główne wrota. Mówi, że to jego usta.

– Urocze. Ale tak, zrobiliśmy, co mogliśmy. Teraz nie damy rady tego uszkodzić, bo jest otoczone polem ochronnym. Skay nie tylko się naprawił. Wprowadził też ulepszenia.

– Czemu nie wykorzystamy głowicy z antymaterią? – zapytałem.

– Jesteśmy za blisko – wyjaśnił Graves. – „Legat” uległby zniszczeniu. Poza tym ostatni egzemplarz tak potężnej broni zachowaliśmy na wypadek, gdyby któraś z grup zwiadowczych namierzyła lepszy cel.

– Na przykład mózg Skaya?

– Właśnie.

– Udało się?

– Nic z tego – powiedział primus. – Takie było wasze zadanie, ale większość wysłanych oddziałów już zginęła.

– To było desperackie posunięcie – dodał Drusus. – Wiedzieliśmy, że szanse na sukces są niewielkie. Ale i tak warto było spróbować.

Graves miał kwaśną minę. Dla niego porażka to porażka.

– No i jak? – zapytałem. – Damy mu ją? To jedyny sposób, żeby się stąd wydostać.

Drusus zmrużył oczy.

– Teraz rozumiem. Masz na myśli broń biologiczną przeciwko Mogwa? Poważnie, McGill? Naprawdę taki jest twój plan?

– Oczywiście, sir. To nasza jedyna karta przetargowa. Skayowie toczą wojnę z Mogwa. Jeśli damy im broń, uznają nas za swoich sojuszników.

– No i proszę, znowu negocjujesz w naszym imieniu. – Graves potrząsnął głową. – Pretorze, nalegam, aby nie uległ pan temu szaleństwu. Walczmy dzielnie. Zgińmy z honorem. Niech zapamiętają nas jako bohaterów.

– Tak, kiedy ten Skay wytępi ludzkość, będziemy mieli dziesięć miliardów poległych bohaterów – rzuciłem. – Może nawet więcej,

jeśli parę innych gatunków w okolicy też załapie się na bohaterską śmierć.

– Uważasz, że on nas unicestwi? – zapytał Drusus.

– Tak. Ten drań to maszyna bez serca. Pozbawiona empatii. Bezduszna.

Drusus z chrzęstem podrapał się w podbródek. Dwudniowa szczecina na twarzy zdradzała więcej, niż mogło się wydawać, bo pretor zawsze był gładko ogolony, chyba że sprawy szły wyjątkowo fatalnie.

– Wygląda na to, że ten Skay najpierw odwiedził układ 51 Pegasi – powiedział z namysłem. – Kiedy podbił planetę i skolonizował ją za pomocą fabryki cyborgów, poleciał na Ziemię.

– I oczywiście to samo zamierzał zrobić z nami – dokończyłem. – Nie potrafimy go zniszczyć, więc musimy się z nim dogadać. Drugi raz nie nabierze się na sztuczkę z wteleportowaniem się przez otwarte usta. Podjął kroki, żeby się przed tym zabezpieczyć na przyszłość.

– On się uczy – przytaknął Drusus. – To sprytny robot.

Pretor wyraźnie bił się z myślami. Z kolei na twarzy Gravesa malowało się oburzenie. Czekałem, aż to sobie przemyśla.

Jednak nagle usłyszałem za plecami kroki. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, kto wchodzi po rampie. To była Kivi. Biegła tak, jakby uciekała przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. W jej oczach widziałem desperację i niemą prośbę.

Nagle rozległ się huk. Z dziewczyny został tylko but i smużka dymu. W rampie pojawił się wypalony otwór.

– Nasz gość chyba się niecierpliwi – rzuciłem. Odwróciłem się z powrotem do przełożonych. – Gdyby panowie zmienili zdanie, proszę przysłać kogoś z pojemnikiem trucizny. A ja idę pogadać ze Skayem i zyskać na czasie.

– Kiedy zaczniemy walić do tych czołgów, nie będziemy się zastanawiać, czy jesteś obok! – zawołał za mną Graves.

Machnąłem lekceważąco ręką i potruchtałem na zewnątrz, omijając dziurę w rampie.

Cybernetyczne czołgi były w podłych nastrojach. Niecierpliwie jeździły tu i tam, a moi ludzie, biali na twarzach, kurczowo trzymali się ich grzbietów. Byli o krok od zerwania się do ucieczki tak jak Kivi

i powstrzymywało ich tylko wspomnienie jej natychmiastowej śmierci.

– Wróciła mówiąca małpa – odezwał się na mój widok główny czołg. – Czemu zwlekałeś? Więc ludzie tak nagradzają swoich nowych władców? Opieszałością i zdradą?

– Ależ nie, panie Skay! – odpowiedziałem głośno. – Musiałem przekonać swoich przełożonych do tej wymiany.

– Jeszcze nawet nie wyjaśniłeś, na czym polega twoja propozycja. Zaczynam mieć dosyć tego nonsensu. Nie ruszaj się, żebym mógł cię szybko usunąć.

Dopiero teraz zauważyłem, że wieżyczki śledzą każdy mój ruch. Z tej odległości nie mogły chybić.

– Nie chce pan najpierw usłyszeć, jak możecie pokonać Mogwa? – zapytałem.

– Jesteś bardzo męczącą kreaturą... ale mów. Posłucham jeszcze kilka chwil.

Uśmiechnąłem się szeroko i wytłumaczyłem Skayowi, w czym rzecz. Szybko zrozumiał, ale niestety, nie był pod wielkim wrażeniem.

– Broń biologiczna? To wszystko? Przepelnia mnie rozczarowanie. Już kupiliśmy tę formułę. Znajduje się w sąsiedniej Rubieży 929 i czeka na odbiór.

Mógłbym przysiąc, że usłyszałem w głowie element układanki wskazujący na swoje miejsce. Rubież 929 była przygranicznym obszarem spornym, który jakiś czas temu odłączył się od Imperium. Mieszkali tam Rigelianie, około pięciuset lat świetlnych od nas.

– Pieprzony misiek... – mruknąłem, a potem podniosłem głos. – Yy, panie Skayu, nie spotkał pan ostatnio koleżki mniej więcej takiego wzrostu? – Wyprostowałem dłoń na wysokości metra. – Kudłaty i brzydki? Nazywa się Squanto?

– Trafnie opisałeś tę istotę. Skąd o tym wiesz?

Roześmiałem się.

– Bo to ja jestem dostawcą! Tak naprawdę to właśnie Ziemiańskie stworzyli tę broń biologiczną, a Squanto chce ją od nas kupić. Najwyraźniej postanowił odsprzedać ją z zyskiem.

Czołg przez chwilę milczał.

– To faktycznie możliwe – przyznał wreszcie. – Jednak musisz to udowodnić. Natychmiast przekaz mi formułę albo giń.

Część wieżyczek obróciła się i wycelowała w newralgiczne punkty na kadłubie „Legata”. Zadałem sobie pytanie, czy te czołgi dałyby radę zniszczyć transportowiec szybkim atakiem z zaskoczenia. Niewykluczone.

Sytuacja wyglądała raczej kiepsko. Wszystko wskazywało na to, że negocjacje zaraz zmienią się w rzeź. Grunt palił mi się pod nogami. Czołgi ledwo powstrzymywały się od przemocy, a przecież strzelców na pokładzie „Legata” też kusilo, żeby otworzyć ogień. A najgorsze, że stary James McGill stał w samym centrum wydarzeń i za moment miał zmienić się w ochłapy zwęglonego mięsa.

– Zaczekajcie! – wykrzyknąłem, wymachując rękami nad głową.

Chciałem zwrócić na siebie uwagę, ale gest chyba zadziałał aż zbyt dobrze, bo w moją stronę obróciło się jeszcze parę wieżyczek. Poruszały się z upiorną precyzją.

– Mam coś lepszego niż sama formuła. Mogę wam dać próbkę. Dawkę toksyny na tyle dużą, żeby zabić mieszkańców całego miasta Mogwa!

Większość czołgów cofnęła się, zostawiając na ziemi ślady ogromnych gąsienic. Dwa podjechały bliżej i stanęły tuż obok. Górowały nade mną jak budynki.

– Mogwa mają tylko jedno miasto – odparł głos z wnętrza pojazdu.

Z jakiegoś powodu przeszło mi przez myśl, że na pewno jest głodny.

– Yy, no tak. Trochę przesadziłem. Ziemskie miasta są znacznie mniejsze. Ale zapewniam, że ta ilość toksyny będzie w stanie zabić dużą liczbę Mogwa.

– Doskonale. Szybko mi ją przekaz.

– Ale jeszcze nawet nie ustaliliśmy, co dostaniemy w zamian – zauważyłem.

– W zamian jeszcze nie zakończę waszej egzystencji.

– Jasne, to świetnie. Ale to dotyczy całej ludzkości, prawda? Nie tylko mnie i załogi tego jednego okrętu?

Czołg zastanowił się.

– Jeżeli produkt działa zgodnie z opisem, to tak. W ten sposób udowodnicie, że jesteście wartościowymi niewolnikami.

– Fantastycznie! W takim razie pójdę na pokład i wezmę próbkę. Zaraz wracam!

Potruchtałem z powrotem po rampie i zniknąłem wewnątrz transportowca. Drusus i Graves nadal stali przy wejściu. Choć trudno to sobie wyobrazić, tym razem byli jeszcze bardziej niezadowoleni na mój widok.

– Zaoferowałeś nie tylko formułę, ale też porcję toksyny? – upewnił się Drusus. – Jakie ty masz kompetencje, żeby składać podobne propozycje?

– No cóż, sir, nie o kompetencje chodzi, tylko o to, że jestem człowiekiem. Chcę dalej żyć. I chcę, żeby dalej żyli mieszkańcy Ziemi. Czyli, krótko mówiąc, w moim interesie leży to, żeby dogadać się ze Skayem.

– Ale czemu zaoferowałeś mu więcej niż Rigelianie? – zapytał ostro Graves. – Gdybyś dał samą formułę, byłoby dużo trudniej wysledzić, skąd się wzięła. Ale w tej próbce mogą być organiczne ślady, które wskażą na nas.

– Trochę znam się na handlu. Nie mogłem zaproponować tyle samo. Musiałem przebić jego ofertę.

Oficerowie wymienili spojrzenia. Zapadła nieprzyjemna cisza.

– No i? – zapytałem w końcu. – Czołgi zaraz znowu się zniecierpliwia. Damy im to, czego chcą?

Drusus westchnął ciężko, zamknął oczy i z rezygnacją spuścił głowę.

– Graves, niech pan weźmie towar i wręczy go McGillowi. I to szybko.

Graves zaklął pod nosem i oddalił się pośpiesznie. Drusus stał nieruchomo jak statua przedstawiająca ucieleśnienie rozpacz.

– No już, niech pan się nie martwi, pretorze – powiedziałem. – Wszystko się ułoży.

– Wiesz, tego właśnie chciała Turov – powiedział cicho, nie podnosząc głowy. – Zmieniłeś się, James. Stałeś się jej pupilkiem.

– Yy, ale jak to?

– Nie zastanawiałeś się, czemu tak długo trzymała cię w kolejce do wskrzeszenia? Czemu ona i Armel załatwiali jakieś interesy?

Popatrzyłem na niego podejrzliwie.

– Chce pan powiedzieć, że Galina i Armel uknuli plan, żeby zdradzić Mogwa i sprzedać się Skayom?

– Tak. Właśnie tak było. Kiedy wy przeprowadzaliście zwiad, my prowadziliśmy śledztwo. Odkryliśmy, że od dawna chcieli przejść pod kontrolę innych władców, bo uważali Mogwa za zbyt słabych. Pamiętasz Głownogi?

– No tak. Galina już wtedy chciała przejść na ich stronę, prawda?

– Zgadza się. A dzisiaj ty przychodzisz do mnie z ultimatum, które sprowadza się do tego samego. A co dziwniejsze, ja się na to godzę. Ziemianie są teraz zbuntowanym gatunkiem, przynajmniej w oczach Mogwa. Co gorsza, współpracujemy z ich wrogiem, dostarczamy mu broń...

Oczywiście to była prawda. Każde słowo.

– Ale teraz to co innego – zaproponowałem. – Nie buntujemy się przeciw Imperium. Po prostu akceptujemy fakt, że od teraz będziemy mieli nowych panów z Układów Centralnych. Nie można nas za to winić. To sprawa pomiędzy Mogwa i Skayami.

Drusus prychnął z rozbawieniem.

– Jeśli wrócimy na Ziemię, każę ci wytłumaczyć to Mogwa.

– To chyba nie będzie proste...

– Nie będzie. I właśnie dlatego przystałem na twój plan. Tutaj nie ma miejsca na półśrodki. Kiedy przeprowadzasz zamach na króla, lepiej dla ciebie, żeby się udało.

W tym momencie wrócił zasapany Graves. Wcisnął mi do rąk żółty, cylindryczny zbiornik z chipem pamięci na wierzchu.

– Rób swoje – rzucił.

Odwróciłem się i zbiegłem po rampie, a potem powitałem czołgi, które niecierpliwie orały ziemię gąsienicami.

Rozdział 55

Czołgi odjechały bez słowa podziękowania. Zabrały ze sobą śmiertcionośny towar, który im dostarczyłem. Byłem ciekawy, czy naprawdę użyją toksyny do zabijania Mogwa.

Wracając na pokład, pogwizdywałem radośnie. Jeśli o mnie chodzi, zostałem bohaterem. Uratowałem wszystkich. Choć jednocześnie poczułem w piersi ukłucie na myśl o starym Sateekasie. Miałem wyrzuty sumienia. Uważałem go prawie za przyjaciela. Jasne, był aroganckim, skórzastym workiem na pajęczych odnóżach, który wolałby spalić Ziemię na popiół, niż uderzyć się w kant szafki jednym z kilkadziesiątu palców, ale mimo wszystko darzyłem go podziwem.

Niecałą godzinę później „Legat” był wolny. Wielkie wrota otworzyły się, a my w tym czasie zebraliśmy sprzęt i przygotowaliśmy się do startu.

– Primusie? – odezwał się do Gravesa, gdy przypinaliśmy się do foteli na złotym pokładzie.

– O co chodzi? – zapytał mój przełożony. – Chyba wiesz, że pozwoliliśmy ci tutaj przebywać tylko na wypadek, gdyby Skay się z nami skontaktował? Przy okazji przypominam, że obiecałeś siedzieć cicho.

– Jasne, sir. Po prostu zastanawiam się, co zrobimy z Sateekasem. Czy ktoś już wysłał raport na Mogwa Prime i wyjaśnił, co się z nim stało?

– Nie, „Legat” nie ma prec-komu.

– Hmm...

W tym momencie transportowiec wystartował, dygocząc pod naszymi tyłkami. Wielkie wrota zwane ustami Skaya uchyliły się na tyle, żeby nas wypuścić. Uformowały wokół siebie emanujące lekką poświatą pole siłowe podobne do tego, które na lotniskowcu utrzymywało ciśnienie atmosferyczne w hangarze dla myśliwców. Nie działało jednak idealnie, sądząc po rzadkiej i zimnej atmosferze wewnątrz Skaya oraz po otaczającej wrota martwej strefie.

Wszyscy obsługiwali przyrządy i ze skupieniem wpatrywali się w ekrany, ale ja się nie martwiłem. Gdyby Skay zmienił zdanie, mógł nas zestrzelić w każdej chwili. Zamartwianie się w niczym by nie pomogło.

– Wiecie, na co nie wpadłem? – zapytałem głośno.

Graves rzucił mi poirytowane spojrzenie. Chyba coś go dręczyło. Zamiast niego odezwał się Drusus:

– O czym nie pomyślałeś, centurionie?

– Zapomniałem zapytać tego Skaya o imię. Da pan wiarę? Przecież on musi mieć jakieś oznaczenie, żeby dało się go odróżnić od pozostałych, prawda? Jak rozpoznać, czy następny Skay, którego spotkamy, to ten sam, czy inny?

Drusus spojrział na mnie spod zmrużonych powiek.

– Mówił coś o powrocie?

– Nie, nic konkretnego. Po prostu zakładam, że wróci. W końcu przysięgliśmy mu wierność.

Graves stracił cierpliwość.

– A nie przeszło ci przez myśl, że naszym poprzednim panom, czyli Mogwa, też przysięgliśmy lojalność? I że pewnego dnia wrócą z całą flotą, żeby odzyskać prowincję, którą uważają za swoją własność? I że ty, Jamesie McGill, jedną nieprzemyślaną decyzją sprowadziłeś wojnę domową z Układów Centralnych do naszego zakątka Galaktyki?

To była niezła przemowa jak na Gravesa. Chyba musiał to w sobie dusić od dłuższego czasu.

– Tak pan uważa? – zapytałem. – Naprawdę pan myśli, że Skayowie i Mogwa będą walczyć o tę garstkę gwiazd? O ile wiem, i jedni, i drudzy uważają tę prowincję za nic niewarte zadupie.

– To kwestia dumy – mruknął Drusus, nadal wpatrzony w ekrany.

Właśnie opuściliśmy wnętrze Skaya i otoczyła nas otwarta przestrzeń kosmiczna. Wszyscy na mostku odetchnęli z ulgą.

– Wejźmy w nadświetlną najszybciej jak się – rozkazał Drusus, po czym zwrócił się do mnie i Gravesa. – Duma – powtórzył. – To przez nią niejedno imperium w historii uwikłało się w długą i wyniszczającą wojnę o jakiś bezwartościowy skrawek ziemi.

– Najważniejszy jest fakt – powiedział Graves – że Galaktycy mają w zwyczaju spalać na żużel powierzchnię każdej planety, której

pechowi mieszkańcy staną im na drodze. McGill, chyba pamiętasz, co powiedział magnat Xlur o ostatniej wojnie domowej w Układach Centralnych?

– Pamiętam. Zostało zniszczonych dwadzieścia tysięcy światów. – Podrapałem się za uchem. – To strasznie dużo...

– No właśnie – burknął Graves i odwrócił się w stronę ekranów.

Wiedziałem, że primus nie lubi, gdy przekraczam swoje kompetencje, ale, no cóż, powinien wiedzieć, że ten model tak ma. Nie próbowałem specjalnie pakować siebie i nas w kłopoty. Prawdę mówiąc, największe katastrofy powodowałem właśnie wtedy, gdy próbowałem ich uniknąć.

– Lepiej by było, gdybyśmy tam zginęli, primusie? – zapytałem poważnym tonem. – Bo jeśli naprawdę panu na tym zależy, jeszcze można zawrócić, wlecieć przez usta Skaya i odpalić wszystkie głowy.

Znów na mnie spojrzał.

– I co byśmy w ten sposób osiągnęli?

– Może udałoby się zniszczyć czołgi razem z toksyną.

Zastanowił się, ale zaraz pokręcił głową.

– To nie pomoże. Mogwa i tak tu przylecą. Zdają sobie sprawę, że Skayowie wkroczyli na ich terytorium. Zechcą się zemścić niezależnie od tego, co zrobimy.

– Bingo! – wykrzyknąłem. – Nie ma znaczenia, co zrobimy. Ale teraz przynajmniej nie zginęliśmy i możemy ostrzec Ziemię. Dopóki żyjemy, mamy różne opcje.

Graves westchnął.

– Chyba po prostu żałuję, że znaleźliśmy się w tej sytuacji.

– No i proszę, jest pan w odpowiednim miejscu! Z całym szacunkiem, sir, ale kiedy jest pan przytłoczony i ma wrażenie, że ciężar wszechświata spoczywa na pańskich barkach, to odpowiedni moment, żeby wezwać Jamesa McGilla. On naprawi to, z czym nikt inny nie dałby sobie rady!

Graves przez chwilę patrzył na mnie beznamiętnie, a ja posłałem mu szeroki uśmiech. W końcu odwrócił wzrok, kręcąc głową. Drusus przysłuchiwał się wymianie zdań z nienachalnym zainteresowaniem. W końcu nabrał powietrza i powiedział:

– McGill, znów jesteśmy twoimi dłużnikami. Nie wiem, jak bez ciebie wydostalibyśmy się z brzucha tego potwora.

– Nie wydostalibyście się – zapewniłem. – Sytuacja była beznadziejna.

– A to czemu? – zapytał z nutą rozbawienia.

– Bo panów myśli biegną jak od linijki, od punktu A do punktu B. Moje nie. Mój umysł składa się z samych esów-floresów. W tej głowie nie znajdzie się ani jedna prosta linia.

Drusus uśmiechnął się półgębkiem, po czym odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy. Wkrótce ekrany wypełniła oślepiająca biel, gdy „Legat” uformował wokół siebie bąbel nadświatlny.

Uciekliśmy przed pierwszym Skayem, jakiego napotkała ludzkość. Zachodziłem w głowę, co teraz wydarzy się w Układach Centralnych.

Rozdział 56

Podczas długiej podróży powrotnej spotkałem się z kobietą, z którą od dawna miałem ochotę spędzić trochę czasu, ale wcześniej nie było okazji. Mianowicie z centurion Mills.

To wydarzyło się po ceremonii, na której rekruci otrzymali awans na szeregowców. Uroczystość nie obchodziła nikogo oprócz ich samych, ale oni o tym nie wiedzieli. Dla nich to był najważniejszy dzień w życiu.

Po rozdaniu oznaczeń i lepszych mundurów – niektórzy dostali w przydziale nawet ciężkie pancerze – opuściłem ukradkiem swoją kompanię i podszedłem do oddziału Jennie.

– Hej, Mills! – zawołałem, unosząc w jej stronę plastikową butelkę piwa. – Nie widzieliśmy się od układu Pegazów.

Rozejrzała się i gdy wychwyciła w tłumie moją twarz, jej rysy złagodniały. Wydawała się raczej rozbawiona niż przeschęśliwa na mój widok, ale to nic. Dopóki kobieta nie witała mnie miną spod znaku „jesteś dla mnie trupem”, wiedziałem, że wciąż mam u niej szanse.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu i podszedłem bliżej, lawirując między świeżo upieczonymi szeregowcami. Czekala bez słowa, aż się zbliżę.

– Walka w Świecie Pancerni to było coś! – zagailem. – Prawda?

Wzdrygnęła się.

– Nie podobało mi się w tym okręcie śmierci. Brak słońca, brak naturalnego ekosystemu. Wszystko było takie obce. Takie złowrogie.

– Rzeczywiście – zgodziłem się. – Napijesz się ze mną? Żałuję, że wtedy musiałem lecieć i później nie było okazji się spotkać.

Jennie przyjrzała mi się badawczo. Znałem ten wzrok. W tym momencie podejmowała decyzję, czy będę miał u niej jakiegokolwiek szanse. Oczywiście nie dałem po sobie poznać, że wiem, co jest grane. Uśmiechałem się głupkowato i przyjaźnie, czekając na werdykt. Facet musi wiedzieć, kiedy nie wolno naciskać.

– W porządku – postanowiła wreszcie.

Wzięliśmy sobie po piwku – ja już prawie dopiłem swoje pierwsze – i usiedliśmy na zielonym pokładzie. Cieszyliśmy się sztucznym niebem, sztucznymi drzewami, sztuczną trawą i swoim bardzo realnym towarzystwem. Jennie nie kazała mi czekać. Na szczęście. Wiele dziewczyn, nawet twardych babek z Varusa, kazało facetowi czekać co najmniej tydzień. Poszliśmy do modułu mieszkalnego jej oddziału i do jej kabiny, gdzie kochaliśmy się namiętnie.

Obudziłem się godzinę później. Szarpała mnie z taką miną, jakby chciała mnie wyrzucić. Ale przecież to niemożliwe...

– Co jest, maleńka?

– Wynoś się – warknęła.

– Yy, coś nie tak? Chrapałem?

Włączyła światło. Stała nade mną naga. Wyglądała wspaniale – jedna z tych kobiet o szerokich biodrach, wąskiej talii i kanciastych barkach. Włosy okalały twarz, a pod oczami miała ciemne plamy rozmazanego makijażu.

Bez słowa wskazała palcem na mojego stuka. Na ekraniku wyświetlała się wiadomość. Była od adiunkt Barton i zawierała tylko dwa słowa, widoczne na podglądzie.

„Dziś wieczorem?”

Ten znak zapytania okazał się dla mnie gwoździem do trumny. Znaczenie wiadomości było oczywiste.

– Och. – Zacząłem gorączkowo myśleć. Najszybciej jak potrafiłem wyrwany ze snu, czyli niezbyt szybko. – Hej, ona tylko chciała... omówić jutrzejsze ćwiczenia. Wiesz, niezapowiedziane manewry o świcie.

– Poważnie? – zapytała Jennie, krzyżując ręce. Żal było patrzeć, jak znikają z oczu jej jędrne piersi. – Na serio nie stać cię na lepsze kłamstwo? Podobno jesteś ekspertem od wciskania kitu kobietom.

– Hmm. – Podrapałem się pod żebrem i zacząłem ubierać. – Jakby co, ona nie jest moją dziewczyną. Ale ty też nie jesteś. Bardzo cię lubię, Jennie, ale nie podejrzewałem, że od pierwszej randki będziesz taka zaborcza.

– Po pierwsze, to nasza trzecia randka. I po drugie, sypiasz z własną podwładną. To niedopuszczalne.

Wyrzuciła mnie na korytarz. Wyszedłem niechętnie. Po drodze do wind chyba słyszałem, jak kilka mijających mnie osób zaśmiało się

pod nosem albo wymieniło złośliwe uwagi. Ale może to tylko moja wyobraźnia.

Wróciłem do własnego modułu i padłem na łóżko z głębokim westchnięciem. Mimo wszystko przyjemnie było spać samemu. Niestety, nie dane mi było cieszyć się spokojem do samego rana. Po trzeciej ktoś zastukał do moich drzwi. Otworzyłem, ziewając.

W progu stała Erin Barton. Sądząc po minie, ona też była urażona. Szlag. One już wymieniły się informacjami? To nieuczciwe. Kobiety zawsze lubiły wziąć się na faceta takiego jak ja.

– Dzień dobry – powiedziałem tak radośnie jak potrafiłem.

– Nie odpisałeś – syknęła.

Smutno wbijała wzrok w podłogę.

– Hm, naprawdę? Och... Rzeczywiście, wybac. Widocznie spałem.

Zerknęła na mnie i znów spuściła wzrok.

– Przyszłam tu wcześniej. Zanim napisałam wiadomość i trochę później. Nie było cię tutaj.

Westchnąłem.

– Posłuchaj, Erin. Ostatnio trochę rozmyślałem...

– Nie musisz nic więcej mówić. Wiem. To nie w porządku. Musimy to zakończyć tu i teraz. Nasza relacja źle wpływa na żołnierzy. Na morale.

Stała na palcach. Poczułem na policzku muśnięcie jej warg. Dotknąłem skóry w miejscu, gdzie zostawiła stygnący pocałunek.

– Masz rację – powiedziałem. – Było nam dobrze, ale zakończmy to. W porządku?

Pokiwała głową i odeszła. Nietrudno było zgadnąć, że dla niej nic nie jest w porządku. Przynajmniej nie do końca. Ale chociaż nie dowiedziała się o Jennie. Oby nigdy się to nie zmieniło.

Rozdział 57

W drodze do domu wskrzesiliśmy swoich licznych zmarłych. Nie wszystkich, ale większość. Ludzie z Varusa wracali do życia jako pierwsi dlatego, że tylko nasz transportowiec ocalał. Ci z Solstice musieli poczekać, aż wrócimy na Ziemię.

Na początku kolejki wskrzeszeń znalazła się osoba, której nie widziałem od dawna – trybun Galina Turov. Podobno obudziła się wściekła. To znaczy jeśli wierzyć plotkom rozprowadanym przez biosów, ale ja nie miałem powodu, żeby w nie wątpić. Galina nie znosiła umierać.

O jej powrocie do życia dowiedziałem się od Carlosa. Chętnie mnie o tym poinformował. Powiedziałbym, że nawet zbyt chętnie.

– Zaraz zaczniesz cię szukać, McGill. Chyba o tym wiesz?

– Skąd taki pomysł?

– Żartujesz sobie? Jesteś jej rycerzem na białym rumaku! Chłoptasiem, który przybiegnie na każde zawołanie, żeby ratować jej kształny tyłek. A przynajmniej do teraz, gdy zostawiłeś ją martwą na kilka tygodni, podczas gdy sam uganiałeś się za każdą chętną laską w legionie. I nie łudź się, że ona nie wie. Wszyscy wiedzą.

Odkąd wiele lat temu po raz pierwszy spotkałem Carlosa, regularnie miałem ochotę mu przywalić. To była kolejna taka sytuacja.

– Wszyscy powinni pilnować własnego nosa – rzuciłem i oddaliłem się, tupiąc ze złości.

Gdy znalazłem się sam w swojej kabinie, postanowiłem na próbę zagaić do Galiny.

„Hej, słyszałem, że już jesteś z nami. Świetnie, że Graves w końcu zatwierdził twoje wskrzeszenie. Okropnie się martwiłem”.

Środkowa część była po to, żeby przerzucić winę na kogoś innego, a końcówka była kłamstwem w żywe oczy. Oczywiście wiedziałem, że Galina od razu się zorientuje. Pomyślałem jednak, że nie

zaszkodzi chociaż poudawać, nawet jeśli obie strony mają świadomość, że to nieprawda.

Odpowiedź nie nadeszła. Po trzech minutach ciszy przestałem zerkać na stuka i zająłem się swoimi sprawami. Jeśli była w podłym nastroju, lepiej dla mnie, żeby ochłonęła, zanim pogadamy.

Przez jakiś czas musztrowałem żołnierzy. Panowało rozleniwienie, wszyscy myślami byli już na Ziemi. Trudno się dziwić. Lecieliśmy do domu, gdzie najpewniej czekała nas demobilizacja.

Na koniec ustawili się w niedbałą imitację dwuszeregu, a ja przeszedłem się przed nimi i pochwaliłem ich za to, jak spisali się w Świecie Pancerza.

– Ciężka planeta, mam rację? – zapytałem. – Słowo „paskudna” nabiera nowego znaczenia. Pomyślcie sami. Byliśmy w żywych wnętrznościach inteligentnej maszyny o rozmiarach sporego księżyca. Nasi spece od obcych twierdzą, że wszyscy Skayowie tak działają. Tworzą w swoich ciałach cyborgi działające jak enzymy albo białe krwinki. Te ohydne konstrukty z mięsa i metalu trawią materię, oczyszczają organizm, a nawet go bronią i leczą.

Zauważyłem, że nastawienie ludzi zmieniło się w jednej chwili. Wcześniej zgarbieni i rozkojarzeni, teraz nagle wyprostowali się, zrobili poważne miny i wbili wzrok wprost przed siebie. Obejrzałem się przez ramię. I faktycznie – za moimi plecami stała trybun.

– Trybun na pokładzie! – krzyknął Harris, który w tym samym momencie zorientował się, że jesteśmy obserwowani.

Turov spoglądała na nas chłodno. Albo mi się zdawało, albo jej włosy były wilgotne i pozlepiane. Chyba przyszła tu prosto od biosów, zaraz po wskrzeszeniu. Co to oznaczało? Trudno stwierdzić, ale prawie na pewno nic dobrego.

– Spocznij – powiedziała w końcu. – Proszę kontynuować, centurionie. Chcę wiedzieć, czego się pan dowiedział. Niektórzy z nas byli bardzo długo poza obiegiem informacji...

– Tak jest, yy, proszę pani.

Odwróciłem się do swoich ludzi i zauważyłem, że są, delikatnie mówiąc, zestresowani. Nie każdego dnia zdarza się, że dowódczyni całego legionu odwiedza moduły zwyczajnych żołnierzy. Prawdę mówiąc, nie przypominałem sobie podobnej sytuacji.

– Jak już mówiłem, Skayowie są nie tylko pełnoprawnymi Galaktykami, ale też grupą najdziwniejszych istot, jakie napotkaliśmy wśród gwiazd. Tworzą sobie podwładnych z tkanek i metalu, ale ich mózgi zawsze są elektroniczne. Na szczęście to powoduje pewną nieelastyczność umysłu, którą byliśmy w stanie wykorzystać.

Usłyszałem za plecami ciche prychnięcie – trochę rozbawione, trochę lekceważące. To na pewno była trybun. Potraktowałem tę nieuprzejmość z pogodą ducha i nie pozwoliłem, żeby zbiła mnie z tropu.

– Jakieś pytania, żołnierze? – rzuciłem.

Natychmiast podniósł rękę Cooper. Przewróciłem oczami.

– O co chodzi, duchu?

– Co się stało z Mogwa? – zapytał, poruszając drażliwy temat. – Gdzie oni są? Widziałem ich, jak łazili po złotym pokładzie, ale gdy dolecieliśmy do planetoidy, już ich nie było. Sprzedaliśmy jednych Galaktyków drugim czy co?

Zaskoczył mnie. Zamrugąłem parę razy, co było jasnym sygnałem, że coś ukrywam. W chwilach słabości zdarzał mi się ten błąd.

– Hm, dobre pytanie – mruknąłem, drapiąc się w podbródek. – A przy okazji, jak to się stało, że ich widziałeś?

Cooper głośno wypuścił powietrze.

– Zadanie ducha polega na tym, żeby widział różne rzeczy, sir. Więc patrzyłem.

– Na złotym pokładzie? Nie wolno ci tam przebywać.

– Nawet wtedy, gdy jeden z trybunów zamierza się zbuntować? – zapytał.

Pozostali byli w szoku. Spojrzeli zdumieni na Turov, bo na pewno zakładali, że to o niej mowa.

– To bezczelne kłamstwo, Cooper – oznajmiłem. – Myślałem, że każdy na pokładzie wie, że Armel porzucił Solstice i omal nie doprowadził do zniszczenia „Legata”.

Parę osób aż sapnęło z przejęcia. Nie wszyscy znali krążące wśród żołnierzy i załogi plotki.

– W każdym razie – kontynuowałem – wracając do twojego pytania, Ziemia pozostaje w stu procentach wierna Mogwa.

Gdybyśmy mieli zmienić przynależność, z pewnością oficjalnie ogłoszono by ten fakt.

Cooper zacisnął wargi i pokiwał głową. Wiedział, że to ściema. Jednak na wypadek, gdyby pozostali się tego nie domyślali, szybko przeszedłem do następnego punktu programu. Powiedziałem, że lecimy do domu i że spodziewamy się demobilizacji, i do kogo się zwracać z ewentualnymi problemami. Odpowiedziałem na parę pytań i pozwoliłem im się rozejść.

Galina podeszła do mnie. Cooper zniknął, ale nie zrobił tego dostatecznie szybko. Wyciągnąłem nogę i podciąłem go. Upadł na ziemię i zaklął, a ja udałem, że przejmuję się jego samopoczuciem.

– Ojej, musisz uważać z tym maskowaniem, Cooper – poradziłem mu. – Duchom, którzy go nadużywają, ciągle przytrafiają się wypadki.

– Dzięki za wskazówkę, centurionie – rzucił kwaśno, wstając.

Galina stanęła obok mnie. Wspólnie patrzyliśmy, jak kompania opuszcza główną komorę treningową.

– Świetnie cię znowu widzieć! – odezwałem się radośnie. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Wiem, czego na pewno nie zrobisz, McGill – wycedziła. – W każdym razie nie dzisiaj.

– Hm?

– Przestań udawać debila. Dzisiaj szczególnie mnie to denerwuje. Powiedz wprost: jak to zrobiłeś? Jakim sposobem zmanipulowałeś wszystkich tak, żeby mieli cię za bohatera, a na mnie patrzyli jak na smugę gówna na muszli klozetowej?!

Była wściekła. A w takich chwilach Galina traciła nad sobą kontrolę.

– Może się przejdziemy? – zasugerowałem. – Gdzieś z dala od ludzi?

Wskazałem głową parę osób, które spojrzały na nas, gdy podniosła głos. Odwróciła się na pięcie i odeszła ze złością. Przyklepiłem na usta uśmiech i podążyłem za nią.

Rozdział 58

Na opustoszałym korytarzu naskoczyła na mnie bez żadnych zahamowań.

– A więc to prawda – rzuciła. – Zostawiłeś mnie martwą na ponad miesiąc, żeby móc w spokoju uganiać się za dziewczynami. Nie wiem, co w tobie widziałam.

– Co? Hej! To nie była moja decyzja, żeby cię nie wskrzeszać.

– Ale nawet nie spróbowałeś. Wiesz, ile razy pociągałam za sznurki, żeby znów tchnąć życie w twojego bezwartościowego trupa?

Zastanowiłem się nad tym. Faktycznie, było tak co najmniej kilka razy. Choć z drugiej strony, zawdzięczałem jej nie tylko życie, ale i parę zgonów. Nikt normalny nie nazwałby naszej relacji idealną.

– Posłuchaj, jestem tylko centurionem – przypomniałem. – Nie mam tyle pieniędzy i znajomości. Zarabiam na życie, strzelając do kosmitów.

– Gówno prawda. Zawsze i tak stawiasz na swoim. Nie czułabym się taka zdradzona, gdybyś uwodził bioski, żeby mnie odzyskać. Ale nie! Nic takiego nie zaszło. Wiem, bo sprawdzałam.

– Hm.

– Taki jesteś wygadany? Tylko tyle masz na swoją obronę?

Oparłem się o ścianę i znów uśmiechnąłem. Przez chwilę z namysłem ją lustrowałem.

– Wiesz co? Cieszę się, że wróciłaś. Nawet jeśli na dzień dobry opieprzasz mnie jak burą sukę.

Galina odwróciła się, nadal wkurzona, i oddaliła szybko. Odprowadziłem ją wzrokiem. Zastanawiałem się, czy powinienem za nią pójść. Nigdy nie byłem typem faceta, który łązi za kobietą jak pies. Generalnie miałem takie podejście, że jeśli kobieta chce odejść, to droga wolna, znajdę sobie inną. Jednak Galina działała na mnie inaczej. Widok jej pleców – i, umówmy się, pośladków – kazał mi za nią podążyć. Inne kobiety w moim życiu nie miały do niej startu.

Westchnąłem ciężko i poszedłem za nią, choć czułem, że mogę tego pożałować. Przyspieszyła, ale to na nic się nie zdało. Mam naprawdę długie nogi. Musiałaby puścić się biegiem, żeby mi uciec.

– Dokąd idziemy? – zapytałem, gdy ją dogoniłem.

– Mają postawić mnie przed sądem – oznajmiła. – Pogadam ze swoim botem adwokackim i zaplanuję, co powiedzieć w zeznaniach. Nadal chcesz ze mną iść?

Zastanowiłem się.

– W porządku. Może jakoś pomogę.

Spojrzała na mnie, zaskoczona.

– Z czym pomożesz?

– Ze szczegółami. Nie zapominaj, że wiem rzeczy, o których nikt inny nie ma pojęcia. To ja negocjowałem ze Skayem. I rozmawiałem z Armelem i Sateekasem w ich ostatnich chwilach.

Zatrzymała się przy windach, wcisnęła przycisk i niecierpliwie czekała.

– Nie wiesz niczego, o czym sama nie wiem. Czytałam twoje raporty i widziałam nagrania z kamer na panczerzu.

– Aha. No tak, racja. Bo przecież w raportach pisałem całą prawdę, a kamer nie da się oszukać.

Specjalnie podsycalem jej ciekawość – i to działało. Wpuściła mnie do windy, pojechaliśmy na złoty pokład. Przez cały czas wpatrywała się we mnie badawczo. Uśmiechnąłem się przyjaźnie i pozwoliłem, żeby trochę ochłonęła.

Poszliśmy do jej gabinetu połączonego z kabiną mieszkalną. Strażnicy przed wejściem unieśli brwi. Zignorowałem ich, podobnie jak skonsternowanego asystenta w przedsionku gabinetu. Pewnie nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś mnie zobaczy.

– Trybunie? – odezwał się, gdy Galina przemknęła obok jego biurka. – Czekaj na panią mnóstwo korespondencji do nadrobienia i wniosków do podpisania. Znajdzie je pani...

Ale w tym momencie zamknęły się za nami drzwi do gabinetu.

– Napijemy się? – zaproponowałem.

– Nie ma mowy. Nie oszukasz mnie. Powiedz coś, czego nie wiem, albo zaraz cię stąd wyrzucę.

– Ale o czym? – zapytałem, udając idiotę.

Podszedłem do barku i sam się obsłużyłem.

– O Sateekasie albo o Skayach, którym sprzedałeś duszę.

Spojrzałem na nią.

– Więc nie chcesz dla nich pracować? Nie chcesz przysiąc wierności nowej rasie Galaktyków?

– Jedyne, czego chcę, James, to przeżyć. Chcę powstrzymać Rigelian i nie dopuścić, żeby Ziemia została uwikłana w wojnę domową, która toczy się w Układach Centralnych.

– Wiesz, co mi powiedział Sateekas? Że Imperium potrzebuje władcy. Zdaniem Mogwa to jest sedno problemu. Jak może istnieć imperium bez imperatora?

Wyglądała na zdziwioną. Chyba wcześniej nie słyszała tego argumentu, choć – gdy się nad tym zastanowić – sprawa wydawała się oczywista. Nie wszyscy rządzący byli dobrzy, ale system zbudowany od podstaw z myślą o jednym władcy nie mógł długo istnieć z pustym tronem.

– Więc o to walczą? – zapytała. – O sukcesję?

– Tak, od kilkudziesięciu lat. Spłonęły tysiące światów. Stawka jest wysoka, a graczy zbyt wielu. Nie mogą się zgodzić, kto powinien zasiąść na tronie.

Wbiła nieobecne spojrzenie w ścianę.

– Wojna powoli, ale nieubłaganie dociera również do nas, James – powiedziała cicho. – Chcemy czy nie, stajemy się jej uczestnikami. Wszystko, co do tej pory wydawało nam się ważne, staje się nieznaczące w porównaniu z jedną bitwą w Układach Centralnych. Wszystkie nasze spory i wojenki, cała ta walka o dominację nad pograniczem...

– Źle o tym myślisz. – Wcisnąłem jej w dłoń szklanę z alkoholem.

– Dla muchy liczy się tylko klepka. Nie obchodzi jej, że w innym dystrykcie zostało zbombardowane całe miasto.

– I my jesteśmy jak ta mucha, prawda? – Upiła łyk. – O to ci chodzi?

– Takie są fakty.

– Racja. A teraz powiedz, co tak naprawdę stało się z Armelem i Sateekasem. Raporty podają ugrzecznioną wersję napisaną po to, żeby uspokoić tych w Centrali.

Opowiedziałem jej wszystko, nawet to, jak Armel użył prostego narzędzia do rozbicia łbów kilku Mogwa.

– To nie w jego stylu – stwierdziła. – On się wymeldowuje. Nie ma innej opcji.

– Wymeldowuje?

– Opuszcza Ziemię. Chodziło o to, żebyśmy myśleli, że posyłamy go na permy, ale on tak naprawdę będzie sobie żył w innym miejscu.

– Tak jak Claver? Ale kto chciałby wskrzesić Maurice’a Armela? Nawet w swoje najlepsze dni jest wkurzającym chujkiem.

Galina przez chwilę przyglądała mi się wyczekująco. Upiła kolejny łyk alkoholu i przekrzywiła głowę. Odwzajemniałem spojrzenie. Najwyraźniej uważała, że powinienem znać odpowiedź, ale...

– Na pewno nie Rigelianie – powiedziałem, myśląc na głos. – Te miśki są tak aroganckie, że nie chciałyby zadawać się z ludzkim oficerem.

– To prawda.

– W takim razie... kto inny miałby go wskrzesić? Mogwa na pewno nie. Zaczekaj. Chyba nie chodzi ci o Clavera?

– Sam wymieniłeś jego nazwisko.

– Jasne, Claver jest prawdziwym czarodziejem, jeśli chodzi o nielegalne wskrzeszenia – zgodziłem się. – Parę razy przywrócił mnie do życia tylko po to, żeby ze mną pogadać. Zaprosił mnie na swoją dziwną planetę klonów.

– I jak myślisz, czemu to zrobił? Na co liczył?

– Że zyska pomocnika? Kogoś takiego jak ja?

Wskazała na mnie palcem. Miała niepomalowane paznokcie, co zdarzało jej się tylko świeżo po wyjściu z maszyny.

– Claver potrzebuje wojskowego – powiedziała. – Czy to nie oczywiste? Armel nie bał się śmierci, nawet permanentnej. Sam powiedziałeś, że nalegał, żebyście go szybciej zabili.

– Zgadza się. Mówił, że jest z kimś umówiony. Czyżby z Claverem na jego planecie?

Znów wycelowwała we mnie palec.

– Tak. Claver zaczął gromadzić swoich zwolenników. Nie sądzisz, że społeczeństwo złożone wyłącznie ze zidiociałych klonów byłoby zubożałe?

– Ty też tam kiedyś byłaś – powiedziałem ściszym głosem. – Ty i Armel.

– Oczywiście, że tak. – Wzruszyła ramionami. – Naprawdę myślisz, że jesteś taki wyjątkowy i Claver uruchomił maszynę wskrzeszającą tylko dla ciebie? Nie bądź naiwny. Zapraszał na pogawędkę różne osoby. Różnica polega na tym, że pozostali mieli dość rozumu, żeby się tym nie chwalić.

Zastanowiłem się nad jej słowami. Nie przypadły mi do gustu.

– Galino, może nie powinnaś mi mówić nic więcej – stwierdziłem.

– Jeśli chcesz, żebym zeznawał na twoją korzyść, lepiej nie przyznawaj się do rzeczy, które graniczą ze zdradą stanu.

Roześmiała się i wypila do dna.

– Żartujesz? Zaczniemy od tego, że nigdy nie wezwałabym cię na świadka. Musiałabym być szalona. I nie zapominaj, mój przerośnięty harcerzyku, że jeśli zająkniesz się choćby słowem o nielegalnych wskrzeszeniach u Clavera, oboje możemy pójść na permy.

– W porządku. – Dołałem nam obojgu alkoholu. – No i co teraz?

Popatrzyła na mnie z głębokim namysłem.

– Teraz cię stąd wykopię, bo nie powiedziałaś niczego przydatnego.

Zaskoczyła mnie. Myślałem, że kiedy porozmawiamy i trochę wypijemy, Galina zapomni, po co mnie tu zaprosiła. Zastanowiłem się, ale nic nie przyszło mi do głowy.

– Nie jestem pewien...

Dopiła jednym haustem zawartość szklaneczki i poszła w stronę łazienki.

– Wezmę prysznic, bo nadal lepię się po wskrzeszeniu. I nie, nie możesz wykąpać się ze mną. Albo przypomnisz sobie coś ważnego, albo ma cię tu nie być, kiedy wrócę.

Zostawiła mnie ze szklanką w dłoni i zaczęła się rozbierać już w progu łazienki. Chyba z czystego okrucieństwa zostawiła uchylone drzwi. Z udręką słuchałem, jak zrzuca na podłogę resztę ubrań i wchodzi do kabiny.

Moją pierwszą myślą było dopić drinka, zabrać butelkę z barku i wyjść. Niewiele brakowało, żebym faktycznie tak zrobił, ale nagle przypomniało mi się coś, co nie dawało mi spokoju. Z radosnym uśmiechem pstryknąłem palcami i dołałem sobie więcej alkoholu.

Wyszła z łazienki po paru minutach. Suszarkorobot dobrze się spisał. Włosy miała proste i błyszczące. Dziwne tylko, że zapomniała

włożyć z powrotem mundur.

Nie urodziłem się wczoraj. Galina była kobietą ambitną i pozbawioną zahamowań. Lubiała wykorzystywać do własnych celów każdy dar, jaki dostała od losu. Ten moment nie był wyjątkiem – chciała namieszać mi w głowie, żebym zaczął gadać. A gdybym jednak nie chciał nic powiedzieć albo zwyczajnie nie miał o niczym pojęcia? No cóż, ona uwielbiała dręczyć mężczyzn, więc tak czy inaczej nie mogła być stratna. I doskonale o tym wiedziała.

– No i? – zapytała, opierając ręce na biodrach.

– Coś mi się przypomniało – wykrztusiłem. – Chyba obłoki pary z twojej łazienki sprawiły, że przejaśniło mi się w głowie.

– Na pewno tak właśnie było. – Zaśmiała się. – A teraz gadaj albo wynoś się.

– Pamiętasz Świat Ciemności? I tamtą stocznnię kosmiczną, którą zepchnąłem z orbity?

Jej twarz pociemniała.

– Ze wszystkich rzeczy, które mogłeś powiedzieć, postanowiłeś przypomnieć mi akurat o tamtej porażce? Mam wezwać ochronę i rozkazać, żeby cię wyprowadzili?

– Nie! – Wyprostowałem się. – Chodziło mi o tamten generator. Było tam takie dziwne urządzenie, które zasilalo stocznnię albo przynajmniej jej część. Gdy wywołałem zwarcie, cała stacja spadła na planetę.

Zmrużyła oczy.

– Pamiętam. I co w związku z tym?

– Czytałaś mój raport z akcji pod kopułą w Hammonton? Znaleźliśmy taki sam generator na Ziemi.

Z namysłem pokiwała głową, sięgnęła po szlafrok i ku mojemu rozczarowaniu zakryła nagie ciało.

– W porządku, zamieniam się w słuch – oznajmiła. – Znalazłeś dwa takie same generatory pozaziemskiego pochodzenia. To bardzo ciekawe, ale...

– Jeden był na Świecie Ciemności, a drugi na Ziemi. I na pewno pochodził od Skayów.

– Tak, to logiczne, ale nie robi na mnie wrażenia. Mówię poważnie, James, jeśli nie masz nic więcej...

– Zastanów się nad tym – przerwałem jej. – Skąd wziął się generator, który znaleźliśmy w stoczni? Myślisz, że skonstruowali go Vulbici?

– Nie, to mało prawdopodobne. Nie są tak kreatywni ani inteligentni. Pracowali na stacji, ale jej nie zbudowali.

– Więc kto ją zbudował? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie Głownogi albo Rigelianie.

– Też tak z początku myślałem, ale teraz nie jestem tego taki pewien. Wiesz, że nasza prowincja tak naprawdę nie jest obszarem przygranicznym? Że Imperium kiedyś było większe, ale utraciło część obrzeży?

Skinęła głową, przyglądając mi się badawczo. Nie wiedziała, do czego zmierzam, ale była zaintrygowana.

– Nasza prowincja ma numer 921, a sąsiednia 929. Ponad sto lat temu, jeszcze przed aneksją Ziemi przez Mogwa, Rubież 929 odłączyła się od Imperium.

– W porządku, to fascynujące, ale jaki ma związek z generatorami?

– Skay powiedział mi, że jego pobratymcy kiedyś rządzą Rubieżą 929. A więc to Skayowie zbudowali stocznnię orbitalną nad Światem Ciemności. Do dzisiaj używają tych samych urządzeń do wytwarzania energii.

Uśmiechnąłem się z satysfakcją, gdy Galina wstała i zaczęła w zamyśleniu chodzić po pomieszczeniu. Ja tymczasem siedziałem, sączyłem drinka i przyglądałem się jej.

– Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz – powiedziała. – Skayowie kiedyś kontrolowali obszary graniczące z terytorium Mogwa. Być może chcieliby odzyskać ten region. Wielka szkoda, że Galaktycy zatajają przed nami takie informacje.

– Wiedza to potęga – stwierdziłem sentencjonalnie. – Z tego powodu już przed wiekami w wielu imperiach najniższym warstwom społecznym nie wolno było uczyć się czytania i pisania.

– Hmm. Myślę, że mogę wykorzystać tę informację podczas rozprawy. Tylko żeby była jasność: sama na to wpadłam.

– Co?! – wykrzyknąłem z udawanym oburzeniem. – A ja już planowałem wygłosić na ten temat serię wykładów.

– Nie wątpię. – Ku mojemu zaskoczeniu usiadła mi na kolanach. –
Umowa stoi?

– Jasne.

Potem już nic nie mówiliśmy, tylko zaczęliśmy się namiętnie kochać. Galina poskarżyła się, że jestem trochę zbyt łapczywy – ale cóż, tak działało na mnie jej młode, świeżo wskrzeszone ciało. A poza tym dawno jej nie miałem.

Dla mnie to było jak powrót do domu.

Rozdział 59

„Legat” dotarł na orbitę Ziemi jakiś miesiąc później. Natychmiast wezwano nas do Centrali, największego budynku w Ameryce Północnej. Drusus zaprosił na rozmowę mnie, Gravesa i Turov. Polecieliśmy barką do portu kosmicznego, a potem wojskowym pociągiem powietrznym. Czułem się mile połączony, podróżując jak VIP w towarzystwie wysoko postawionych oficerów do siedziby głównej dowództwa ziemskich sił zbrojnych. Co ciekawe, byliśmy jedynymi pasażerami. Nie przywykłem do takiego traktowania.

Gdy zeszliśmy poniżej linii chmur, wyjrzałem przez okno i od razu rzuciła mi się w oczy Centrala. Imponujący budynek z czarnego pastobetonu i kuloodpornego szkła przywodził na myśl górującą nad miastem aztecką piramidę, na której szczycie składano krwawe ofiary z ludzi.

– Ja pierdziele, patrzcie, co się stało! – sapnąłem z przejęcia.

Nikt inny się nie odezwał. Pozostali z ponurymi minami spoglądali na ruiny Miasta Centralnego. Wszystkie zabudowania w promieniu ponad kilometra wokół Centrali zostały zrównane z ziemią. Trochę dalej, w dzielnicy portowej, wszystko wyglądało w miarę normalnie.

Domyślałem się, że to sprawka Skaya, tyle że wcześniej nie widziałem tych zniszczeń, bo byłem martwy od zakończenia operacji w Hammonton.

– Ale... jeśli Skay wycofał się, zanim zrzuciliśmy głowicę na Hammonton, kto to wszystko zrobił? – zapytałem.

– Niektóre okręty wroga przetrwały detonację – odpowiedział Graves. – Zrewanżowały się, wystrzelując pociski rakietowe. Nie zdołaliśmy zestrzelić ich wszystkich.

– Niesamowita siła ognia – mruknąłem ze zdumieniem. – Myślę, że ta wojna mogła skończyć się dla nas o wiele gorzej. Tamten Skay tylko się nami bawił. Potrzebował surowców i posłusznych niewolników, a nie wojny totalnej.

– Podejrzewam, że masz rację, McGill – zgodził się pretor Drusus, który siedział za mną. – To dość często spotykane w przypadku, gdy

siły Imperium chcą podporządkować sobie pomniejszych państewka. Choć oni są dużo silniejsi, nie angażują się w pełni, bo ewentualne straty nie są dla nich warte zachodu. Z kolei my jesteśmy gotowi walczyć do ostatniego żołnierza. Dzięki temu czasami wojna partyzancka ma szanse powodzenia.

– To kwestia determinacji – podsumował Graves.

Spoglądając na spustoszoną dzielnicę, oszacowałem, że zginęło około pół miliona cywilów. Myślę, że to dobrze pokazywało naszą determinację.

Wlecieliśmy w chroniące Centralę pole siłowe i wylądowaliśmy na dachu. To było surrealistyczne uczucie – stać na szczycie nietkniętego budynku wyrastającego z ruin.

– W tej okolicy było wiele dobrych restauracji i barów – mruknąłem z ubolewaniem.

– Nie przejmuj się, już rozpoczęto odbudowę – odparł Drusus.

Weszliśmy do środka i wsiedliśmy wszyscy razem do windy. I właśnie wtedy zdarzyło się coś niespodziewanego.

Później domyśliłem się, że niektórzy z naszej czwórki już wcześniej coś planowali, ale z jakiegoś powodu nie wtajemniczyli mnie w swoje zamiary. Oczywiście takie mieli prawo, byli starsi stopniem. Ale okazało się to kiepskim pomysłem.

Pierwszy ruch wykonał Drusus. Odwrócił się do Gravesa i skinął głową. Zauważyłem to, ale nie przywiązywałem do tego wagi, dopóki primus nie zrobił kroku naprzód i nie sięgnął po pistolet w kaburze u boku Galiny.

Jasne, nie powinienem reagować. Myślący człowiek nie kiwnąłby palcem, tyle że ja nie zawsze myślę. Częściej działam.

Podejrzewam, że po prostu zadziałał instynkt. Galina stała spokojnie i nikomu nie wadziła. Pisała wiadomość na stuku, jak to kobiety mają w zwyczaju. Wydawała się niewinna i nieświadoma zagrożenia. Dlatego gdy Graves wykonał gwałtowny ruch, dla zwierzęcej części mojego mózgu tego było za wiele. Cokolwiek by mówić, mnie i Galinę coś łączyło – nawet jeśli ten związek nie był idealny. Krótko mówiąc, kierował mną impuls, żeby ją obronić. I zrobiłem to bez wahania.

Graves zdziwił się, gdy złapałem go za nadgarstek. Próbował wyrwać rękę, ale przewidziałem ten ruch i podciąłem go. Upadł na

wznak i uderzył potylicą o podłogę windy. Nie okazał bólu. Wstał zwinnie jak jakiś ninja i uniósł pięści, gotowy do walki. Zrobiłem to samo.

Tymczasem Galina odwróciła się, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie. Trzymała w ręce pistolet. Drusus też wyjął broń. Zrobił się z tego najprawdźniejszy meksykański impas.

– No już dobrze, dobrze, uspokójmy się – powiedział pretor.

– Co to ma znaczyć, Drusus? – zapytała Galina. – Próba morderstwa?

– Kiedy pretor zabije trybuna, to nie jest morderstwo – odezwał się Graves, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Tylko zgodna z prawem egzekucja.

– Więc to miała być egzekucja? – zapytałem.

– Nie – odpowiedział stanowczo Drusus. – Aresztowanie. Przepraszam za niechlujne wykonanie, ale to aresztowanie odbywa się zgodnie z prawem.

Galina przyjrzała mi się uważnie.

– Zauważyłeś, że chcą mnie aresztować, więc ich zaatakowałeś?

Wzruszyłem ramionami i wyprostowałem się, rozluźniając spięte od adrenaliny mięśnie. Graves też opuścił ręce, ale wciąż ani na moment nie spuszczał mnie z oczu.

– Yy, no tak – przyznałem. – Nie wiedziałem, co się dzieje.

Galina skinęła głową i spojrzała nieufnie na pozostałych dwóch facetów.

– Naprawdę jestem aż tak groźna, że musieliście na mnie napaść w windzie? Chyba mogę być z siebie dumna, skoro wzbudzam taki strach.

Drusus i Graves wydawali się zirytowani. Pretor jako pierwszy schował broń.

– To błąd, sir – syknął Graves, ale Drusus zbył jego ostrzeżenie machnięciem ręki.

– Trybun Galino Turov, jest pani aresztowana pod zarzutem zdrady stanu.

Przekrzywiła głowę.

– Och, doprawdy? A co konkretnie zdradziłam?

– Ziemię. Hegemonię. Nawet całą ludzkość.

Szeroko otworzyłem oczy ze zdumienia. Jeśli aresztowali Galinę, to na pewno mieli dobry powód. Była największą intrygantką ze wszystkich moich kobiet.

– W porządku – powiedziała. – Nie będę stawiała oporu.

Wręczyła swój pistolet Gravesowi, a on skuł jej ręce. Dopiero wtedy Drusus mógł się rozluźnić.

Graves wskazał na mnie palcem.

– A co z McGillem? Jego też mam aresztować, sir?

Drzwi windy wreszcie się otworzyły. Przez całe zdarzenie przejechaliśmy kilkaset pięter. Wyszliśmy na korytarz, a Drusus rozważał różne opcje.

– Nie – zdecydował. – McGill po prostu był czujny. Nie ma powodu, żeby go zatrzymywać.

Graves pokręcił głową. Na pewno uważał, że Drusus jest zbyt pobłażliwy. Powstrzymałem się od posłania mu triumfalnego uśmiechu. W końcu był moim bezpośrednim przełożonym.

Idąc razem z pozostałymi do gabinetu Drususa, zacząłem rozmyślać o Turov. Była o wiele zbyt spokojna i milcząca. Zwykle gdy ktoś ją zaskoczył, syczała jak wkurzona kotka. W pierwszej chwili myślałem, że rozmasowuje nadgarstek, ale to nie to. Ona coś pisała na stuku, wcale nie patrząc na ekran. Wiedziałem, że tak potrafi. Wykorzystywała ten talent w kryzysowych sytuacjach.

Zacząłem rozglądać się z niepokojem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zza rogu wyskoczył na nas oddział komandosów. Ale nie wyskoczył. Bez problemów dotarliśmy do gabinetu Drususa. Drzwi otworzyły się przed nami, lecz Drusus zatrzymał się, zamiast wejść do środka. Spojrzał na swojego stuka i zmarszczył brwi.

– O co chodzi, pretorze? – zapytała niewinnie Galina.

Wszyscy spojrzeliśmy na nią podejrzliwie. W tym momencie Drusus zrobił coś bardzo nie w swoim stylu. Złapał Galinę za ramię i lekko potrząsnął.

– Co pani zrobiła? – zapytał ostro.

– Nic! – odpowiedziała, ale w jej oczach dostrzegłem niebezpieczny błysk.

Drusus minął nas wszystkich i wbiegł truchtem do gabinetu. Nad ustawionym pośrodku stołem strategicznym pojawił się hologram.

Od razu rozpoznałem osobę, która ustanowiła połączenie. To był Mogwa. Osobnik pełniący funkcję gubernatora Rubieży 921.
Sateekas we własnej osobie.

Rozdział 60

Drusus dobiegł do holowyświetlacza i wcisnął przycisk wyciszenia. W ten sposób kazał Sateekasowi czekać. Dysząc ciężko, pretor odwrócił się do nas. Galina podeszła niespiesznie, lekko kołysząc biodrami. Graves i ja podążyliśmy za nią, zaskoczeni i zdezorientowani.

– Co tu robi Sateekas? – zapytał Graves. – Był martwy. A przecież jeszcze nie zgłosiliśmy jego śmierci Układowi Centralnym.

– Oczywiście, że nie – przytaknęła Galina.

Drusus spojrział na nią jak na jadowitego węża. Wiedziałem z doświadczenia, że to skojarzenie nie było całkiem bez sensu.

– On wie? – zapytał Drusus. – Wie, co się tam wydarzyło?

– Nie wie wszystkiego. Nie jestem pewna szczegółów.

Drusus był zdumiony.

– Naprawdę posunęłaby się pani tak daleko? Pociągnęła za sobą do piekła całą Ziemię?

– Ależ pan dramatyzuje, pretorze! – odpowiedziała. – Nie miałam zamiaru pogrążyć Ziemi. Wiem, że potrzebujecie kozła ofiarnego, którego obwinicie o to fiasko ze Światem Pancerza... ale to nie będę ja. Sateekas dowiedział się, że zginął w tej prowincji po przegranej bitwie z Skayem. Ktoś inny powiedział mu o tym już dawno.

– Na pewno Armel – stwierdził Drusus. – Ktoś go wskrzesił, a on poinformował Mogwa. To katastrofa.

– Nie panikujmy – powiedziała Galina. – Ja tylko dałam admirałowi znać, że byliśmy przy tym obecni.

– Ale po co?

– Żeby postawić pana pod ścianą – wyjaśniła z rozbrajającą szczerością. – Sateekas za chwilę nas przesłucha. Jeśli zgodzi się pan wycofać wszystkie oskarżenia przeciw mnie, potwierdzę każdą bajeczkę, jaką mu pan opowie. I tyle.

Drusus wydawał się zdesperowany. Nie był najlepszym kłamcą – delikatnie mówiąc. Na tle innych oficerów zdawał się prawdomówny jak harcerz. A jednocześnie wiedział, że aby

ugłaskać Sateekasa, będzie musiał kłamać szybko i przekonująco. Nie byłem pewien, czy da sobie radę.

Widoczny jako hologram admirał właśnie uderzył jednego z Nairbów. Na pewno był wkurzony i narzekał, że musi czekać. I wyżywał się na podwładnych. Choć w sumie trudno się dziwić, bo gdyby Nairbowie pracowali dla mnie, pewnie codziennie zabijałbym choćby jednego.

– Stary Sateekas znów jest młody – powiedziałem. – Nie wiem, czemu tak się złości, że zginął. Według mnie dobrze się stało.

Drusus zdawał się mnie nie słyszeć. Przeskakiwał po naszych twarzach dzikim wzrokiem.

– Niech mi pani powie jedną rzecz – poprosił Galinę. – Czy współpracowała pani ze Skayem?

– Nie.

– A Armel? Zdaje się, że on wiedział, co się wydarzy.

Galina zrobiła speszoną minę. Wiedziałem, że tylko udaje, ale była tak przekonująca, że większość osób by się nabrała.

– Faktycznie coś planował – powiedziała. – Coś knuł ze swoimi kalmarami. Więcej nie wiem.

– Z centurionami wspomagającymi? – upewnił się Drusus.

Skinęła głową.

– Chwileczkę! – wykrzyknąłem nagle. – Teraz pamiętam! Mój znajomy Głowonóg, centurion wspomagający Bąbel, dziwnie się zachowywał, gdy tamtego dnia spotkałem go na złotym pokładzie. Udawał, że mnie nie zna, i denerwował się na mój widok.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – mruknął Graves.

– Rzeczywiście – zgodziłem się – ale możemy z niego wydobyć więcej. Niech pan się z nim nie cacka! Trzeba go tak przycisnąć, że aż zasika atramentem całą podłogę. Z tymi oślizgłymi kalmarami nie da się inaczej dogadać.

Drusus odwrócił się w stronę hologramu. Nairb, który wcześniej oberwał, leżał martwy. Sateekas wyraźnie tracił cierpliwość.

– Nie możemy dłużej zwlekać – oznajmił Drusus. – Musimy zacząć rozmowę. McGill, postaraj się niczego nie palnąć.

– Spokojna głowa, pretorze.

Westchnął i spojrzał na Galinę.

– Jeśli wyjdziemy z tego cało, zostanie przeprowadzone dochodzenie, ale śledczy nie znajdą żadnych nieprawidłowości. Zrozumiano?

– Oczywiście. A teraz pogadajmy z tym Mogwa, zanim Centrala znowu oberwie.

Drusus z powrotem włączył dźwięk. Usłyszeliśmy klekocząco-szczekające odgłosy. Dwie sekundy później automatyczny translator zaczął tłumaczyć obcą mowę.

– ...zasłużyłeś sobie, nędzna kreaturo! Nie pozwolę, żeby przeszkadzał mi jakiś biurokrata. Pozwalam wam wszystkim żyć tak długo, dopóki jesteście dla mnie przydatni i pracujecie na chwałę Imperium...

Sateekas zawiesił głos, gdy zauważył, że mu się przyglądamy. Odwrócił się w naszą stronę.

– Czy to cztery osoby, z którymi chciałem rozmawiać? – zapytał.

– Tak, gubernatorze – odpowiedział Drusus.

Skrzywiłem się. Przecież Sateekas uważał, że funkcja gubernatora jest uwłaczająca dla byłego dowódcy floty, dlatego ja wciąż nazywałem go admirałem. Drusus chyba o tym zapomniał i zdołał obrazić obcego już w pierwszych dwóch słowach.

Sateekas nerwowo poruszył odnóżami.

– Dotarła do mnie informacja, że przez krótki czas żyłem na pokładzie waszego żalostnego stateczku. Czy to prawda?

– Zgadza się.

– Czemu tego nie zgłosiliście?

– Dopiero wróciliśmy na Ziemię z układu 51 Pegasi. Nasze jednostki nie osiągną takich prędkości, jak okręty Galaktyków.

Na razie nieźle mu szło. „Tylko tak dalej, Drusus” – pomyślałem.

– Hmm, i oczywiście wasz transportowiec „Legat” nie ma precyzyjności. A jednak jakimś sposobem dotarła na Mogwa Prime informacja, że należy mnie wskrzesić. Bardzo ciekawe...

– To wszystko kwestia budżetu, sir – odparł Drusus. – Nie wyposażamy każdej jednostki w tak drogie urządzenie. Zakładam, że inny okręt złożył raport na temat pańskiej śmierci.

Znowu się skrzywiłem. Drusus wdepnął na kolejną minę. Sateekas nie znosił, gdy ktoś narzekał na ograniczony budżet.

– Za każdym razem, gdy odwiedzam waszą planetę żebraków, słyszę te same błagania o większe nakłady finansowe. To żalosne.

Drusus zamrugał dwa razy.

– Och. Przepraszam, sir. Ja tylko próbowałem wyjaśnić brak...

– Zamilknij, zanim rozgniewasz mnie jeszcze bardziej. Próbuję być obiektywny.

– Tak jest.

Sateekas odwrócił się i spojrzał na kogoś poza kadrem. Zażądał, aby podszedł jeden z Nairbów. Któryś zebrał się na odwagę i wykonał polecenie. Podobny do foki zielony stworek stanął nad trupem swojego pobratymca.

– Jeśli nikt nie ma nic przeciwko, niniejszym oficjalnie rozpoczynam rozprawę – oznajmił Nairb.

Graves, Turov i ja wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia. Prawdę mówiąc, mieliśmy coś przeciwko. Drusus był biały jak kreda.

– Kto... Kto jest dziś postawiony przed sądem, szanowny admirale? – wykrztusił.

– Wy, ludzie – odpowiedział Nairb. – Wszyscy razem.

– A pod jakim zarzutem?

– Zdrada stanu. Morderstwo. Zbrodnie wojenne. Udział w spisku. To tylko najważniejsze zarzuty, choć cała lista jest długa i szczegółowa. Mam wymienić wszystko?

– Nie – wychrypiał Drusus przez zaciśnięte gardło. – Lepiej nie. Jakie macie dowody na poparcie tych oskarżeń?

– Wyszło na jaw, że gatunek prymitywnych form życia nazywanych zbiorczo „ludzkością” wskrzesił i zabił obecnego gubernatora Rubieży 921. Dowody zostały przedstawione w formie wizualnej.

Jeden z Nairbów zaczął odtwarzać nagranie. Natychmiast rozpoznałem te wydarzenia – to była rzeź Mogwa, która miała miejsce na pokładzie „Legata”. Nie było dźwięku, tylko sam obraz. Z początku myślałem, że jakimś sposobem uzyskali kopię plików z moich kamerek na mundurze, ale szybko okazało się, że oglądamy akcję z punktu widzenia mordercy.

– Armel to wszystko nagrywał? – zapytałem.

Pozostali spojrzeli na mnie, wstrząśnięci, więc szybko się zamknąłem. Tymczasem na ekranie pojawiła się moja własna twarz. Wycelowałem do Armela, rozmawiałem z nim przez kilka chwil, a potem go zastrzeliłem. Nagranie się skończyło.

– Oskarżyciel wzywa pierwszego świadka, centuriona Jamesa McGilla – oznajmił Nairb. – Czy jest obecny?

– Jestem.

Pozostała trójka ludzi poblądła jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Istoto zwana McGill, czy to ty jesteś na nagraniu? – zapytał Nairb.

– Yy, no tak, na to wygląda.

– Czy na końcu zastrzeliłeś napastnika?

– Zgadza się. To był trybun Armel. Zabiłem go. Nie został wskrzeszony.

Nairb coś zanotował. Poczułem, jak pot cieknie mi po plecach. Ci biurokraci to podstępne bestie. Trzeba się z nimi obchodzić jak z jadowitymi węzami.

– Rozmawiałeś z zamachowcem – kontynuował – ale nie mamy kanału audio. Co zostało powiedziane?

– Hm, nie pamiętam każdego słowa...

– Czy to nie było coś w rodzaju: „Świetna robota, towarzyszu, ale teraz musisz umrzeć”?

– Co? Nie, nie, nie! Armel był trybunem. Zostałbym skazany za zdradę stanu, gdybym zastrzelił starszego stopniem oficera bez dobrego powodu.

Nairb wymienił uwagi z kilkoma pobratymcami, a po chwili znów zwrócił się do mnie.

– Twoja odpowiedź została przyjęta. Co nie zmienia faktu, że nie zastrzeliłeś mordercy od razu. Najpierw rozmawiałeś z nim przez jakiś czas.

– Musiałem wiedzieć, dlaczego postanowił pozabijać naszych ukochanych Mogwa. Myślałem, że oszalał. Poza tym chciałem upewnić się, czy z nikim nie współpracował.

Na te słowa Nairb ożywił się. Wcześniej wydawał się prawie znudzony.

– Doprawdy? I co odpowiedział?

– Że tak, współpracował z największym wrogiem, z jakim się zetknęliśmy. Był agentem innej rasy Galaktyków. To najpodlejsze możliwe istoty, znane jako Skayowie. Planują przejąć kontrolę nad tą prowincją.

W tym momencie na mostku rozległ się straszny jazgot. Nairbowie i Mogwa wrzeszczeli jeden przez drugiego – tak szybko, że automatyczne translatory nie nadążały z tłumaczeniem.

Rozdział 61

Gdy Nairbowie wreszcie się uspokoili, Sateekas podszedł do kamery i przemówił do nas osobiście.

– Ludzie, wasza prowincja ma w sobie coś bardzo dziwnego. Mój poprzednik Xlur wspominał o tym kilkukrotnie, ale zawsze zakładałem, że jest szalony. Dziś nie jestem już tego taki pewien. Teraz gdy zobaczyłem, jak przedstawiciel waszego żalosnego gatunku mnie zabija...

Zrobił pauzę, tak jakby potrzebował chwili namysłu. Oskarżyciel próbował go okrążyć, ale Sateekas odsunął Nairba od siebie.

– Każdy rozsądny Mogwa unicestwiłby was już teraz. Nie potrzebowałyby dalszych dowodów na to, że w waszej naturze leży nikczemność. Że jesteście jak oszalałe zwierzęta, które trzeba uśpić dla dobra Galaktyki. A jednak wciąż się waham...

Nairb wykorzystał moment. Prześlizgnął się obok byłego admirała i znów stanął przed kamerą.

– Jeśli pan pozwoli, gubernatorze, zamierzam postawić ludzkości jeszcze bardziej druzgoczące zarzuty.

Sateekas lekko się odsunął.

– Jak to możliwe? Jaka zbrodnia mogłaby przyćmić zamach na Mogwa sprawującego rządy nad ich prowincją?

Nagle zrozumiałem, do czego zmierza oskarżyciel. To było jasne jak słońce.

Babcia zawsze powtarzała, że jestem geniuszem w dziedzinie sprawiania kłopotów. Głęboko wierzę, że teraz zadziałała właśnie ta najbystrzejsza część mojego mózgu. Mogłem zrobić tylko jedno – i zrobiłem to bez wahania, zanim Nairb zdążył powiedzieć coś więcej.

– Dokładnie wiem, o czym mowa – odezwałem się.

Sateekas i biurokrata spojrzeli na mnie, zaskoczeni. Skupiłem na sobie ich uwagę.

– McGill? – szepnął błagalnie Drusus, ale nawet na niego nie spojrzałem.

Byłem w swoim żywiole. Zapomniałem o całym świecie – tak jak wtedy, gdy człowiek gra w bilard, jest już po czwartym piwie, a bile raz za razem trafiają do luz.

– Skayowie opracowali toksynę! – powiedziałem głośno. – Próbowali nam ją wcisnąć. Nawet spryskali nią „Legata”.

– Toksynę? – powtórzył Nairb. – Czyżbyś przyznawał się do kolejnego zarzutu, zanim jeszcze go postawiłem? To dla mnie nowość.

– Nie, ty durna foko. Skayowie przylecieli, żeby przejąć prowincję. Tyle chyba wiecie, prawda?

– Ustaliliśmy ten fakt na własną rękę, bezczelna istoto – burknął Nairb.

– Właśnie. Przylecieli tu, ale mieli w planach coś więcej niż przysłanie jednego okrętu. Myślicie, że bez asa w rękawie ośmieliliby się przeciwstawić potędze floty Mogwa?

– Analizuję związek frazeologiczny... Ach tak, chodzi o ukrytą przewagę. A więc twierdzisz, że byłeś tego świadomy?

– Skayowie mają dużo ambitniejsze plany niż przejęcie tej zacofanej prowincji. Oni chcą was wytępić, admirale. Was wszystkich. Stworzyli broń biologiczną, która zabija wyłącznie Mogwa.

– Zdajemy sobie sprawę z istnienia takiej substancji, człowieku – odpowiedział Nairb. – Twoje próby wywinięcia się od odpowiedzialności za...

Szybki cios odnóżem zwałił oskarżyciela z płetw. Podobny do foki obcy upadł z płaskiem na podłogę. Przez chwilę wił się jak zamroczony. Uderzenie raczej nie było śmiertelne, ale pewnie zdrowo go uszkodziło. W końcu jego gatunek był dość delikatny, bo pochodził z planety o niskim ciężeniu.

Sateekas przysunął się do kamery i popatrzył na nas wyczekująco.

– Jaki macie dowód, że to Skayowie uknuli tę intrygę? – zapytał.

– Nie mogło być inaczej – odpowiedziałem. – Nie mamy tysięcy okrętów, za pomocą których moglibyśmy przebić się do Mogwa Prime i potraktować waszą planetę toksyną. Zresztą nasza wiedza z dziedziny biochemii jest zbyt ograniczona, żebyśmy stworzyli taką broń. Nie, proszę pana, za tym wszystkim stoi potężny umysł, kompletnie wykraczający poza nasze zrozumienie.

Sateekas przez chwilę rozważał moje słowa, a potem wykonał zdecydowany ruch przednim odnóżem.

– Wierzę McGillowi. Na własne oczy widziałem, jak zabijasz innego człowieka, w dodatku starszego stopniem, aby mnie pomścić. Jak mógł umknąć Nairbom tak oczywisty akt miłości niewolnika do jego prawowitego pana? Oni nie rozumieją, czym jest lojalność. Byliby skłonni oskarżyć strażaka o podpalanie budynków, bo zawsze pojawiał się na miejscu pożaru.

– Otóż to. Nie rozumieją duszy wojownika.

– Jeszcze jedno – dodał Sateekas. – Musicie dostarczyć nam próbkę otrzymanej od Skayów broni biologicznej, abyśmy mogli ją zbadać.

– Och...

Odwróciłem się do Drususa. Miał taką minę, jakby zaraz miał puścić pawia, ale zdołał skinąć głową.

– Zrobimy to, wielki admirale – odpowiedziałem za pretora.

Słyszając tytuł, który znacznie bardziej mu odpowiadał, Sateekas wyprostował się odrobinę.

– Rozprawa zakończona – oznajmił i rozłączył się.

Wszyscy wokół z ulgą wypuścili powietrze. A ja bez pytania poszedłem do barku Drususa i nalałem każdemu szklaneczkę czegoś mocniejszego. Wszyscy się napili, nawet Graves.

Gdy okręt Mogwa odleciał, odbył się szereg śledztw i rozpraw sądowych, ale w końcu Galina została uniewinniona.

Oczywiście dla mnie to żadne zaskoczenie. Nie wydawała mi się winna, choć wiedziałem, że w przeszłości była zamieszana w różne szemrane historie, przez co zawsze była podejrzana, gdy w stolicy źle się działo. Miała wysoko postawionych przyjaciół oraz wrogów. W pewnym sensie była jak szmaciana lalka, którą wrywali sobie z rąk wpływowi politycy.

Zresztą nawet gdyby była winna, myślę, że koniec końców by jej nie skazali. Była na to zbyt sprytna – i przecież załatwiła sobie wstawiennictwo pretora Drususa.

Ja tymczasem zajrzałem do Etty. Okazało się, że jest zadowolona ze swojego nowego życia w Mieście Centralnym. Gdy już upewniłem

się, że u córki wszystko w porządku, wyjechałem do rodzinnego Waycross. Uznałem, że Galina musi po tym wszystkim odetchnąć, najlepiej z dala ode mnie.

Przez kolejne cztery tygodnie żyłem spokojnie w swojej szopie. Którejś mglistej nocy późnym latem siedziałem na skrzypiącej werandzie i sączyłem piwo. Świetliki mrugały w ciemności, a żaby i świerszcze grały swój bagienny koncert. Nie przeszkadzało mi to. Cieszyłem się, że jestem w domu.

W pewnym momencie zauważyłem, że dwa świetliki są bardzo wysoko, nad wierzchołkami sosen na północy. Bliźniacze punkciki zniżały się i były coraz większe. Zrozumiałem, że to nie owady, tylko latające auto.

Dla zwyczajnego człowieka pojawienie się takiego samochodu na wiejskiej posesji stanowiłoby powód do podekscytowania. Może nawet do świętowania. Tutejszych zwyczajnie nie było stać na takie luksusy.

Ale ja byłem inny. Gdy ludzie mnie tutaj odwiedzali, często mieli złe zamiary. Dlatego szybko zgasilem światło i wyjąłem broń, ukryty w ciemności.

Samochód wylądował na bagnie. Nie na drodze czy na podejździe przy domu rodziców, tylko właśnie na mokradle.

Siedziałem nieruchomo i oddychałem jak najciszej, obserwując otaczającą dom wysoką trawę. Sąsiedzi pewnie myśleli, że nie koszę jej po prostu z lenistwa. Jasne, to był jeden z powodów, ale wysoka trawa miała też swoje plusy. Stanowiła system wczesnego ostrzegania na wypadek, gdyby ktoś próbował się zakraść w skafandrze maskującym.

Nie śmieście się, to nie byłby pierwszy raz.

Odczekałem może dziesięć minut. Nuda i poirytowanie sprawiły, że już chciałem wstać i pójść na mokradła w poszukiwaniu kierowcy – ale wtedy nagle coś usłyszałem.

Ktoś zaklął. Sądząc po głosie, kobieta. Puściła tak paskudną wiązanekę, że trzydzieści lat temu bym się zarumienił.

Rozległ się chlupot wody, a potem kroki na suchym lądzie. Zobaczyłem kobietę – była młoda i drobnej budowy, a co najciekawsze, miała na sobie białe spodnie. Skrzywiłem się. Nikt

w Waycross nie był tak głupi, żeby chodzić po bagnie w białych spodniach. Tylko ktoś z północy mógł wpaść na taki pomysł.

Klnąc pod nosem i przystając co chwilę, aby oczyścić ubranie z błota, Galina Turov podeszła do moich drzwi.

– Niech cię szlag, McGill, lepiej, żebyś był w domu – szepnęła do siebie i zapukała.

– Bu! – wykrzyknąłem, nadal niewidoczny w ciemności.

Podskoczyła ze strachu, a ja ryknąłem śmiechem. Odwróciła się, wkurzona, i pobiegła przed siebie. Dogoniłem ją, złapałem w ramiona i uniosłem w powietrze.

Przez chwilę szamotała się, ale w końcu pozwoliła, żebym zaniósł ją z powrotem na werandę. Pocałowaliśmy się, a potem spoliczkowała mnie za ten wygłup. Dopiero wtedy weszliśmy do środka.

Noc była bardzo przyjemna. Kochaliśmy się do świtu.

KONIEC TOMU JEDENASTEGO

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Raport „Niebezpieczeństwa ekspansji ekonomicznej”
opublikowany przez Departament Gospodarki Hegemonii

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61

[1] William Shakespeare, „Jak wam się podoba” (tłum. Leon Ulrich).